

Lee Child

61 godzin

Lee Child

Tytuł oryginału: 61 HOURS

Copyright © Lee Child 2010 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2011

Redakcja: Beata Słama Zdjęcie na okładce: Vetta/Getty Images/Flash Press Media Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-507-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz. t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009 www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe www.empik.com www.merlin.pl www.gandalf.com.pl www.ksiazki.wp.pl www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa www.wydawnictwoalbatros.com

KJ

2011. Wydanie I Druk: Opolgraf S.A., Opole

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko:

Jack Reacher (drugiego imienia nie ma)

Narodowość:

Amerykańska

Urodzony:

29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg; 127 cm w klatce piersiowej

Ubranie:

Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:

Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie;

Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Odnaczenia służbowe: Wysokie:

Srebrna Gwiazda, za wzorową służbę Service Medal, Legia Zasługi Ze środkowej półki:

Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce Z dolnej półki: „Junk awards”

Matka:

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec:

Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie

Brat:

Joe, ur. 1958, zm. 1997; 5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych; Departament Skarbu

Ostatni adres:

Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

1

Czternasta pięćdziesiąt pięć. Dokładnie sześćdziesiąt jeden godzin, zanim to się wydarzy. Adwokat wjechał na pusty parking. Ziemię pokrywała jednocalowa warstwa świeżego śniegu, dlatego przez minutę grzebał się, zakładając śniegowce. W końcu wysiadł, postawił kołnierz płaszcz a i podszedł do wejścia dla odwiedzających. Z północy wiał przenikliwy wiatr sypiący grubymi płatkami śniegu. Sześćdziesiąt mil dalej szalała śnieżycą. W radiu bez przerwy o tym trąbili.

Adwokat wszedł do środka i strząsnął śnieg z butów. Nie było kolejki — to nie był normalny dzień odwiedzin. Przed sobą miał wyłącznie puste pomieszczenie, pusty taśmociąg z urządzeniem prześwietlającym, bramkę wykrywacza metali oraz trzech rozleniwionych strażników. Nie znał ich, lecz mimo to skinął im głową. Stali po tej samej stronie co on. Więzienie to świat zerojedynkowy. Albo jest się za kratkami, albo nie. Oni nie byli. On też nie.

Na razie.

Wziął z chybottliwego stosu szarą plastikową tacę i położył na niej zwinięty płaszcz. Zdjął marynarkę, złożył ją i położył na płaszczu. W więzieniu było gorąco. Taniej kupić więcej oleju opałowego, niż wydać osadzonym po dwa komplety garderoby, jeden na lato i drugi na zimę. Słyszał wydawane

9

przez nich odgłosy: brzęk metalu i stukanie o beton, rozlegające się od czasu do czasu dzikie wrzaski i niski pomruk rozmów, a wszystko to stłumione przez zbiegające się pod ostrymi kątami korytarze i wiele zamkniętych drzwi.

Adwokat opróżnił kieszenie spodni z kluczyków, portfela, komórki i drobnych monet i położył te wszystkie ciepłe, osobiste przedmioty na marynarce. Wziął do ręki szarą plastikową tacę, ale nie umieścił jej na taśmociągu. Zamiast tego zaniósł ją do małego okienka w ścianie i zczekał, aż weźmie ją kobieta w mundurze i da mu w zamian numerek. Stając przed bramką wykrywacza metali, poklepał się po kieszeniach i popatrzył na strażników, jakby czekał na zaproszenie. Zachowanie wyuczone na lotnisku. Strażnicy pozwolili, by stał tak przez minutę: mały nerwowy mężczyzna bez marynarki i z pustymi rękami. Bez teczki. Bez notesu. Nawet bez długopisu. Nie przyjechał tu, by udzielić porady. Przyjechał, by ją otrzymać. Nie żeby mówić, lecz by słuchać. I z całą pewnością nie zamierzał zapisać tego, co usłyszy, na żadnym skrawku papieru.

Strażnicy dali znak, żeby przechodził. Zapaliło się zielone światelko i nie odezwał się sygnał alarmowy, ale pierwszy strażnik i tak sprawdził go ręcznym wykrywaczem, a drugi obmacał. Trzeci zaprowadził go w głąb kompleksu przez szereg drzwi zaprojektowanych tak, by nie mogły się otworzyć, dopóki nie zamkną się poprzednie i następne, przez korytarze krzyżujące się tak, by spowolnić tempo ucieczki, obok grubych zielonych szyb, za którymi widać było czujne twarze.

Hol wejściowy był zuniformizowany: linoleum na podłodze, zielona farba na ścianach i jarzeniówki pod sufitem. Miał połączenie ze światem zewnętrznym: kiedy otwierano drzwi, do środka wpadało zimne powietrze, na podłodze widniały plamy soli i kałuże topiącego się śniegu. Wewnątrz więzienie było inne. Nie miało połączenia ze światem. Nie było tam widać nieba, nie było pogody. Nikt nie przejmował się wystrojem wnętrza: wszędzie surowy beton, wytarty i lśniący tam,

10

gdzie dotykały go rękawy i ramiona, w innych miejscach matowy i zakurzony. Pod stopami szorstka szara farba, dokładnie taka sama jak w garażu entuzjasty motoryzacji. Śniegowce adwokata głośno na niej skrzypiały.

Rozmównice były cztery. Każda stanowiła pozbawiony okien betonowy sześcian, przedzielony przez długi blat oraz zamontowane nad nim pancerne szyby. Pod sufitem paliły się okra-towane lampy. Na betonowym blacie nadal widać było ślady szalunku. Trzy grube szyby zachodziły na siebie, żeby rozmawiający mogli się słyszeć. Centralna szyba miała wycięty otwór na dokumenty. Tak samo jak w banku. Obie połowy pomieszczenia miały swoje krzesło i swoje drzwi. Idealnie symetryczne. Adwokaci wchodzili z jednej strony, osadzeni z drugiej. Później wychodzili tą samą drogą którą przyszli, każdy w swoją stronę. Strażnik otworzył drzwi z korytarza i zrobił dwa kroki do środka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Następnie stanął z boku i wpuścił do rozmównicy adwokata. Adwokat wszedł i zaczekał, aż strażnik zamknie za sobą drzwi. Kiedy prawnik został sam, usiadł i zerknął na zegarek. Spóźnił się osiem minut. Jechał wolno z powodu pogody. Spóźnienie w innym przypadku świadczyłoby o braku profesjonalizmu i szacunku. Ale spotkanie w więzieniu różniło się od innych. Dla więźniów czas nie ma znaczenia.

Po kolejnych ośmiu minutach w ścianie za szybami otworzyły się drugie drzwi. Strażnik wszedł do środka, sprawdził pomieszczenie, po czym cofnął się i do rozmównicy, powłócząc nogami, wszedł więzień. Klient adwokata. Biały, zupełnie łysy i z olbrzymią nadwagą ubrany w pomarańczowy więzienny strój. Nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach miał skute łańcuchami, które wydawały się delikatne niczym biżuteria. Miał mętne oczy, uległą bezmyślną twarz i przez cały czas poruszał ustami jak ograniczona umysłowo osoba usiłująca zapamiętać skomplikowaną informację.

Drzwi w ścianie się zamknęły.

11

Więzień usiadł.

Adwokat przysunął swoje krzesło do blatu.

Więzień zrobił to samo.

Symetrycznie.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział adwokat.

Więzień nie odpowiedział.

— Co słyszać? — zapytał prawnik.

Więzień nie odpowiedział.

Adwokat milczał. W rozmównicy było gorąco. Minutę później więzień zaczął mówić, recytować, przekazywać instrukcje, zdania i akapity, których nauczył się na pamięć. „Zwolnij trochę”, prosił co jakiś czas adwokat i za każdym razem facet przerywał, czekał chwilę, a potem zaczynał na nowo, od początku poprzedniego zdania, nie zmieniając ani trochę tempa i melodii wypowiedzi. Jakby nie potrafił komunikować się w inny sposób.

Podobnie jak inni prawnicy adwokat uważał, że ma bardzo dobrą pamięć, zwłaszcza do szczegółów. Wysilek, z jakim starał się wszystko dokładnie zapamiętać, odwracał jego uwagę od treści otrzymywanych instrukcji, lecz mimo to, zanim więzień skończył i odchylił się do tyłu, zdążył naliczyć w nich czternaście różnych przestępczych propozycji.

Nie odezwał się ani słowem.

— Zapamiętał pan wszystko? — zapytał więzień.

Adwokat pokiwał głową a jego rozmówca zapadł w bydlęcy bezruch. Przypominał pasącego się na polu cierpliwego osła. Czas dla więźniów nie ma znaczenia. Szczególnie dla tego. Adwokat odsunął krzesło i wstał. Drzwi się otworzyły i wyszedł na korytarz.

Piętnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało sześćdziesiąt godzin.

Na adwokata czekał ten sam strażnik. Dwie minuty później znów znalazł się na parkingu. W holu włożył ciepłe ubranie i schował do kieszeni wszystkie swoje rzeczy. Ich swojski, znajomy ciężar dodawał mu otuchy. Śnieg rozpadał się na

12

dobre, zrobiło się chłodniej, wiał silniejszy wiatr. Zapadał szybki wczesny zmierzch.

Adwokat siedział przez chwilę z zapalonym silnikiem i włączonym ogrzewaniem fotela.

Wycieraczki zgarniały na lewo i prawo śnieg z przedniej szyby. Wreszcie ruszył powoli, zataczając szeroki krąg. Opony samochodu skrzypiały na świeżym śniegu, przednie światła wycinały jasne łuki w zadymce. Podjechał do bramy w ogrodzeniu z siatki, odczekał swoje i kiedy sprawdzono mu bagażnik, ruszył prostą długą drogą która prowadziła przez miasto do autostrady.

•••

Czternaście przestępczych propozycji. Czternaście przestępstw, jeśli przekaże te propozycje i zostaną zrealizowane, co z pewnością nastąpi. Właściwie piętnaście przestępstw, ponieważ on sam stanie się wówczas współsprawcą. A może nawet dwadzieścia osiem przestępstw, jeżeli prokurator uzna, że jest współsprawcą czternastu oddzielnych przestępstw, co może zrobić po prostu dla jaj. Dwadzieścia osiem powodów, by okryć się hańbą stracić prawo wykonywania zawodu, wylądować na ławie oskarżonych, a potem za kratkami. Prawie na pewno do końca życia, ze względu na charakter jednej z propozycji, i to pod warunkiem, że uda się zawrzeć ugodę sądową. Wołał nie myśleć o tym, co będzie, jeśli ugoda nie zostanie zawarta.

Adwokat wjechał na autostradę i wybrał wolny, lewy pas. Wszędzie wirowały gęste płatki śniegu, szare w zapadającym zmroku. Ruch był niewielki. W jego kierunku jechały z rzadka pojedyncze samochody i ciężarówki, niektóre szybciej, inne wolniej, i tak samo wyglądało to po drugiej stronie. Trzymając jedną ręką kierownicę, uniósł się w fotelu i wyjął komórkę. Zważył ją w dłoni. Ma trzy wyjścia. Po pierwsze, nic nie robić. Po drugie, zadzwonić pod numer, pod który kazano mu zadzwonić. Po trzecie, zadzwonić pod numer, pod który rzeczywiście powinien zadzwonić, czyli w tym przypadku dziewięćset

13

jedenastę, a następnie do lokalnej policji, do drogówki, do rady adwokackiej i do swojego prawnika.

Wybrał drugą opcję, co było do przewidzenia. Opcja numer jeden przesunęłaby tylko problem do chwili, kiedy by go dopadli. Opcja numer trzy gwarantowała mu pewną śmierć, po wielu godzinach, a może nawet dniach strasznych cierpień. Był małym nerwowym mężczyzną, żadnym tam bohaterem.

Wystukał numer, pod który kazano mu zadzwonić.

Sprawdził go dwa razy, po czym wcisnął zielony guzik i podniósł komórkę do ucha, co w wielu stanach stanowiłoby dwudzieste dziewiąte popełnione przez niego wykroczenie.

Ale nie w Dakocie Południowej.

Jeszcze nie.

Marna pociecha.

W słuchawce zabrzmiał męski głos, który słyszał już wcześniej cztery razy. Ochrypli i szorstki, przepojony czymś w rodzaju zwierzęcej drapieżności. Brzmiący, zdaniem prawnika, zupełnie jak głos z innego świata.

— Wal, chłopie — ponaglił głos wesoło i z okrutną satysfakcją, jakby jego właściciel napawał się swoją absolutną władzą, a także strachem, dyskomfortem i odrazą adwokata. Adwokat przełknął ślinę i zaczął recytować, instrukcje, zdania i akapity w prawie identyczny sposób, w jaki zostały przekazane jemu. Zaczął mówić siedem mil i siedem minut przed mostem na autostradzie. Ten most nie był właściwie podobny do mostu. Poziom jezdni nie zmienił się, obniżył się tylko trochę przylegający do niej teren, przechodząc w szeroki płytki jar. Przez większą część roku jar był suchy, ale za pięć miesięcy miały nim spłynąć wiosenne wody. Drogowcy zbudowali przepust i umieścili pod jezdnią czterdzieści betonowych rur, żeby woda nie podmywała co rok fundamentów. Ten system dobrze sprawdzał się wiosną, miał jednak pewną wadę, która dawała o sobie znać zimą. Aby jej zaradzić, drogowcy umieścili z obu stron mostu tablice z napisem: UWAGA GOŁOLEDŹ.

Adwokat prowadził samochód i mówił. W siódmej minucie

14

monologu doszedł do najmniej zawołowanej i najbardziej oczywistej i brutalnej z czternastu propozycji. Wyrecytował ją do telefonu w taki sam sposób, w jaki usłyszał ją w więzieniu, to znaczy neutralnym, pozbawionym emocji tonem. Facet o ochrypłym głosie zarechotał i adwokatem wstrząsnął dreszcz. Zrodzony w jego wnętrzu spazm moralnej odrazy spowodował, że zadrżały mu ramiona i przesunęła się nieco dłoń, w której trzymał komórkę. A także ręka trzymająca kierownicę.

Przednie koła samochodu wpadły w poślizg na moście i kiedy zbyt wolno skorygował tor jazdy, tylne koła zarzuciły raz, drugi i trzeci. Adwokat przejechał w poprzek trzy pasy i w tumanach śniegu zobaczył nadjeżdżający z naprzeciwka autobus. Biały, wielki autobus, który pędził prosto na niego. Tylne część mózgu adwokata uznała, że kolizja jest nieunikniona. Przednia zaś odparła, że nie, że ma jeszcze trochę czasu i miejsca, a od nadjeżdżającego pojazdu dzieli go środkowy pas i dwie metalowe bariery. Przygryzł wargę, przestał ścisnąć kurczowo kierownicę, wyrównał kierunek jazdy i autobus przejechał siedem jardów obok niego, dokładnie równoległym torem.

Adwokat wypuścił powietrze z płuc.

— Co jest? — zapytał głos w słuchawce.

— Wpadłem w poślizg — odparł adwokat.

— Dokończ to, co masz do powiedzenia, dupku — mruknął głos.

Adwokat przełknął ślinę i podjął przerwana relację, zaczynając od początku poprzedniego zdania.

•••

Kierowca jadącego w przeciwnym kierunku białego autobusu pracował w swoim zawodzie od dwunastu lat. W małym światku jego wyspecjalizowanej profesji trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego. Miał odpowiednie papiery, ukończył odpowiednie szkolenia i dysponował odpowiednim doświadczeniem. Nie był już młody, ale nie był też stary. Mentalnie i psychicznie

15

znajdował się gdzieś na szerokim plateau zdrowego rozsądku, dojrzałości i szczytowych możliwości. Jechał zgodnie z rozkładem. Nie spieszył się. Nie był pijany ani naćpany.

Ale był zmęczony.

Od prawie dwóch godzin wpatrywał się w jednolitą ścianę śniegu. W odległości stu jardów ujrzał samochód, który sunął bokiem w jego stronę. Zmęczenie spowodowało, że zareagował o ułamek sekundy za późno, a napięcie w odrętwiałym ciele sprawiło, że była to reakcja zbyt gwałtowna. Szarpnął kierownicą jakby chciał uchylić się przed ciosem. Zbyt mocno i zbyt późno.. A poza tym niepotrzebnie. Samochód, który wpadł w poślizg, wyrównał tor jazdy i był za nimi, zanim przednie koła autobusu zaczęły manewr. A właściwie, zanim próbowały go wykonać. Koła wjechały na lód na moście dokładnie w tym samym momencie, w którym

układ kierowniczy kazał im skręcić, w wyniku czego straciły przyczepność i wpadły w poślizg. Autobus miał nadmiernie obciążony tył. Był tam wielki żeliwny blok silnika. Zbiornik z wodą. Toaleta. Zupełnie jakby mieli z tyłu wahadło. Dlatego tył autobusu zapragnął wyprzedzić jego przód. Nie udało mu się to, jednak zatoczył dość duży łuk. Kierowca zareagował prawidłowo. Próbował skontrolować, ale przednie koła nie miały przyczepności. Nie odpowiadały na ruch kierownicy. Tył autobusu wyrównał, a potem zaczął się przesuwając w drugą stronę.

Kierowca walczył zaciekle przez trzysta jardów. Dwanaście długich sekund, które wydawały się dwunastoma długimi godzinami. Przekręcił wielkie plastikowe koło kierownicy w lewo, przekręcił w prawo, próbując opanować poślizg, próbując z niego wyjść. Ale poślizg nie dawał się opanować. Nabierał impetu. Wielkie ciężkie wahadło z tyłu sunęło raz w jedną raz w drugą stronę. Miękkie resory zgrzytały i podrygiwały. Wysoki autobus przechylał się i zbaczał z kursu. Jego tył zatoczył się czterdzieści pięć stopni w lewo, a potem czterdzieści pięć stopni w prawo. UWAGA GOŁOLEDŹ. Autobus minął ostami z betonowych przepustów i przednie

16

koła odzyskały przyczepność, ale stało się to w momencie, gdy byli zwróceny ukosem do pobocza. Cały autobus obrócił się w tę stronę, jakby wykonywał zgodny z prawem rozkaz. Jakby chciał znowu okazać posłuszeństwo. Kierowca ostro zahamował. Autobus, nie zmieniając kierunku, zwolnił.

Ale niewystarczająco.

Przednie opony przecięły białą ciągłą linię, przecięły pobocze i zjechały do wypełnionego śniegiem i zamrożonym błotem płytkiego rowu. Podwozie szorowało po skraju jezdni jeszcze przez dziesięć stóp, a potem autobus zatrzymał się przechylony w dół, w jednej trzeciej w rowie i w dwóch trzecich na poboczu. Komora silnika zawisła nad prawym pasem ruchu. Przednie koła zatrzymały się w miejscu, z którego nie sposób było ruszyć. Silnik zgasł i słychać było tylko syk stygnących na śniegu gorących części, łagodne posapywanie pneumatycznych

hamulców i krzyki pasażerów, które bardzo szybko ucichły.

•••

Pasażerowie stanowili jednorodną grupę, wszyscy z wyjątkiem jednego. Dwadzieścioro siwowłosych staruszków plus młodszy mężczyzna, w autobusie, w którym było czterdzieści miejsc siedzących. Wśród emerytów było dwanaście wdów i cztery pary. Pochodzili z Seattle i brali udział w zorganizowanej przez Kościół wycieczce krajoznawczej. Obejrzeliby właśnie Miasteczko na Prerii i jechali na zachód do Mount Rushmore. Obiecano im, że zahaczą o geograficzny środek Stanów Zjednoczonych i zwiedzą parki narodowe i prerię. Fajna trasa, ale zła pora roku. Dakota Południowa w zimie nie należy do zbyt gościnnych miejsc. Stąd pięćdziesięcioprocentowa zniżka na bilety, które i tak nie były drogie.

Nietypowym pasażerem był mężczyzna o co najmniej trzydzieści lat młodszy od najmłodszego z wycieczkowiczów. Siedział samotnie trzy rzędy za ostatnim z emerytów. Był kimś w rodzaju pasażera na gapę. Dołączył do wycieczki tego samego dnia, na stacji benzynowej na wschód od miasteczka o nazwie

17

Cavour. Za Miasteczkiem na Prerii, przed muzeum Dakotaland. Bez żadnego wyjaśnienia. Po prostu wszedł do autobusu. Niektórzy widzieli, jak rozmawiał wcześniej z kierowcą i jak z ręki do ręki przeszły pieniądze. Nikt nie wiedział, co o tym myśleć. Skoro zapłacił za przejazd, nie jest pasażerem na gapę, ale pasażerem trzeciej klasy. Kimś zbliżonym do autostopowicza.

Tak czy inaczej, uznano go za dość miłego faceta. Małomówny i grzeczny, był ponad stopę wyższy od najwyższego ze staruszków i sprawiał wrażenie bardzo silnego. Nie miał urody

filmowego amanta, ale nie był też brzydki. Przypominał sportowca, który właśnie zakończył karierę. Być może futbo-listę. Był ubrany w wyłożoną na spodnie pogniecioną koszulę i ocieplaną płócienną kurtkę. Nie miał żadnych bagaży, co było dziwne. Generalnie jednak dobrze było mieć kogoś takiego na pokładzie, zwłaszcza że okazał się osobą kulturalną i w żaden sposób im nie zagrażał. Groźne zachowanie u mężczyzny tych rozmiarów byłoby niestosowne. Dobre maniery u mężczyzny tych rozmiarów były czarujące. Kilka co śmielszych wdów zastanawiało się, czy wdać się z nim w pogawędkę, lecz facet raczej do tego nie zachęcał. Przez większą część podróży spał, a na wszelkie próby nawiązania kontaktu odpowiadał grzecznie, lecz krótko, w sposób zupełnie pozbawiony treści. Wiedzieli jednak przynajmniej, jak się nazywa. Jeden z mężczyzn przedstawił mu się, gdy wracał z toalety z tyłu autobusu. Wysoki nieznajomy spojrział na niego z wyżyn swojego fotela i zawahał się, jakby się zastanawiał, czy opłaca mu się zareagować. W końcu uściśnął wyciągniętą rękę.

— Jack Reacher — powiedział.

2

Reacher obudził się, kiedy jego głowa uderzyła pod wpływem siły odśrodkowej o szybę. Natychmiast zdał sobie sprawę, gdzie jest. W autobusie. Przez następny ułamek sekundy obliczał szanse wyjścia z poślizgu. Śnieg, lód, rozsądna szybkość, nieduży ruch. Uderzymy w środkową barierkę albo zjedziemy do rowu. W najgorszym razie przewrócimy się na bok. Specjalnie go to nie przerażało. Z pewnością bardziej ucierpią siedzący przed nim starszowie. Ale prawdopodobnie nikt nie zginie. Bardziej martwiło go to, co będzie potem. Dwadzieścia starszych osób, przerażonych, być może rannych, pokaleczonych, połamanych, uwięzionych w rozbitym autobusie w środku śnieżycy, całe mile od ludzkich siedzib. Niedobrze.

Przez następnych jedenaście i pół sekundy przytrzymywał się, czego się dało, walcząc z inercją zarzucającego raz w prawo, raz w lewo autobusu. Był najdalej w tyle siedzącym pasażerem, i to nim najbardziej miotało. Ludźmi siedzącymi bliżej miotało słabiej. Ale mieli kruche kości. Widział, jak głowy latają im na boki. Widział we wstecznym lusterku twarz kierowcy. Facet się nie poddawał. Nieźle. Ale walka była przegrana. Luksusowy autokar niełatwo się prowadzi. Za komfort trzeba płacić. Reacher odwiedził z jakiegoś powodu Marshall w Minnesocie

19

i zabrał go stamtąd facet, który jechał do Huronu w Dakocie Południowej. Nie wiadomo dlaczego nie chciał go jednak dowieźć do końca i wysadził przy stacji benzynowej na obrzeżach Cavour. Co z początku nie wróżyło dobrze, ponieważ miasto Cavour nie jest raczej dużym węzłem komunikacyjnym.

Ale gdy Reacher wypił dwie filiżanki kawy, na stację zajechał czterdziestomiejsowy luksusowy autokar i wysiadło z niego tylko dwadzieścia osób, co oznaczało, że są wolne miejsca. Kierowca wyglądał na bezpośredniego faceta, więc Reacher zwrócił się do niego w bezpośredni sposób. Dwadzieścia dolców za podwiezienie do Rapid City? Facet zażądał czterdziestu i zgodził się na trzydzieści. Reacher wszedł do autobusu i spędził cały dzień w dogadanych warunkach. Komfort zawdzięczali miękkim resorom oraz tłumiacemu wstrząsy układowi kierownicemu, które w tym momencie nie okazały się zbyt pomocne.

Siedem sekund później Reacher patrzył jednak w przyszłość z większym optymizmem. Kierowca zdjął nogę z gazu i autokar zwalniał. Trudno było odnieść takie wrażenie, ale było to oczywiste. Wynikało z prostych praw fizyki. Zasady dynamiki Newtona. Jeśli nie wpadnie na nich inny pojazd, będą się przez jakiś czas telepali i w końcu staną być może w poprzek drogi, być może przodem do tyłu, ale na kołach i zdolni do dalszej jazdy.

Nagle poczuł, że przednie koła znów łapią przyczepność, i zobaczył, że autobus zjeżdża z drogi. Co było złe. Kierowca wdepnął jednak mocno hamulec i w końcu z głośnym łomotem i

zgrzytem zatrzymali się w połowie na jezdni, a w połowie poza nią co było w porządku. Tyle że tył autobusu zawisł teraz nad pasem ruchu, co nie było w porządku, i umilkły wszelkie mechaniczne odgłosy, co sugerowało, że pojazd nie nadaje się do jazdy, i było zdecydowanie nie w porządku.

Reacher obejrzał się i zobaczył, że z tyłu nie zbliżają się do nich żadne światła. Na razie.

Wstał, przeszedł na przód i zo-

20

baczył przed sobą zaśnieżony płaski teren. Żadnych urwisk, żadnych wąwozów. Nie grozi im nagły przechył przy zmianie środka ciężkości. W związku z tym Reacher cofnął się i zaczął namawiać starszaków, żeby przeszli do przodu. Jeśli wpadnie na nich osiemnastokołowa ciężarówka, oderwie najwyżej tył autobusu, nikogo nie zabijając. Ale starszacy byli w szoku i nie chcieli się przemieszczać. Siedzieli bez ruchu. Reacher wrócił więc do kierowcy, który też siedział nieruchomo na fotelu, mrugając, przetykając ślinę i czekając, aż obniży mu się poziom adrenaliny.

— Dobra robota, chłopie — pochwalił go Reacher.

Kierowca pokiwał głową.

— Dzięki — mruknął.

— Uda ci się wyjechać z tego rowu?

— Nie wiem.

— A jak ci się wydaje?

— Chyba nie.

— Dobra. Masz flary? — spytał Reacher.

— Co takiego?

— Flary. Tył autobusu sterczy nad pasem ruchu.

Facet przez chwilę nie odpowiadał. Był oszołomiony. Potem pochylił się, otworzył schowek przy swoich stopach i wyjął trzy ostrzegawcze flary, matowoczerwone tekturowe tuby ze stalowymi szpikulcami na końcu.

— Masz apteczkę? — chciał wiedzieć Reacher, biorąc je od niego.

Facet znów pokiwał głową.

— Sprawdź, czy pasażerowie nie odnieśli jakichś obrażeń. Zachęć ich, żeby przenieśli się jak najbliżej do przodu. Najlepiej, żeby siedli razem w przejściu. Jeśli ktoś na nas wpadnie, oberwiemy w tyłek.

Facet kiwnął głową po raz trzeci, a potem otrząsnął się jak pies i zaczął działać. Wyjął apteczkę z drugiego schowka i wstał z fotela.

— Najpierw otwórz drzwi — powiedział Reacher.

21

Facet wcisnął przycisk i drzwi z sykiem się otworzyły. Do środka wpadło mroźne powietrze i tumany śniegu. Zamieć rozszalała się na dobre.

— Zamknij za mną drzwi — polecił Reacher. — Nie trać ciepła.

Następnie zeskoczył do rowu, pobrnął po lodzie i błocie w stronę pobocza, wdrapał się na jezdnię i pobiegł do końca autobusu. Śnieg sypał mu w twarz. Trzymając się wyznaczającej pas linii, przebiegł trzydzieści kroków wzdłuż trasy, którą pokonali. Zakrzywiona trajektoria. Trzydzieści kroków, trzydzieści jardów. Dziewięćdziesiąt stóp. Osiemdziesiąt osiem stóp na sekundę równa się sześćdziesięciu milom na godzinę, a nie brakuje szaleńców, którzy będą pędzili sześćdziesiątką nawet przy szalejącej śnieżycy. Pochylił się i wbił szpikulce flary w jezdnię. Na drugim końcu zapalił się samoczynnie szkarłatny płomień. Reacher przebiegł kolejnych trzydzieści kroków. Zapalił kolejną flarę. Przebiegł jeszcze trzydzieści i zapalił trzecią, żeby dopełnić ostrzegawczą sekwencję: trzy sekundy, dwie, jedna, zjeżdżaj na lewy pas, do cholery.

A potem wrócił biegiem do autobusu, przebrnął przez rów i walił w drzwi tak długo, aż kierowca przestał opatrywać poszkodowanych i mu otworzył. Reacher wsiadł. Razem z nim do środka wpadł tuman śniegu. Zdążył porządnie zmarznąć. Skostniała mu twarz i stopy. A w autobusie zrobiło się wyraźnie chłodniej. Okna z jednej strony już były zasypane śniegiem.

— Powinieneś włączyć silnik i ogrzewanie — powiedział do kierowcy.

— Nie mogę. Mogło dojść do przerwania przewodu paliwowego. Szorowaliśmy podwoziem o asfalt.

— Na dworze nie poczułem zapachu paliwa — stwierdził Reacher.

— Nie wolno mi ryzykować. Wszyscy żyją. Nie chcę, żeby spłonęli w pożarze.

— Wolisz, żeby zamazli na śmierć?

22

— Zajmij się udzielaniem pierwszej pomocy. Ja spróbuję wykonać parę telefonów. Reacher ruszył więc przejściem na tył i zaczął oglądać starszków. Kierowca załatwił pierwsze dwa rzędy. To było jasne. Czwórka siedzących przy oknach pasażerów miała plastry Band-Aid tam, gdzie skaleczyli się o metalową framugę szyby. Za komfort trzeba płacić. Lepszy widok, ale i większe ryzyko. Jedna z kobiet miała plaster również po drugiej stronie twarzy, prawdopodobnie tam, gdzie uderzył ją głową mąż podrygujący niczym szmaciana lalka.

Pierwsze złamanie było w trzecim rzędzie. Delikatna starsza pani, drobna jak ptaszek. Kiedy autobus zmienił kierunek, przechyliła się w prawo, a potem w lewo. Okno rąbnęło ją w ramię. Pod wpływem uderzenia złamał się obojczyk. Reacher poznał to po tym, jak ścisnęła swoją rękę.

— Czy mogę rzucić na to okiem, proszę pani? — zapytał.

— Nie jest pan lekarzem.

— Szkolono mnie w wojsku.

— Był pan sanitariuszem?

— Byłem żandarmem. Mieliśmy szkolenie z udzielania pierwszej pomocy.

— Zimno mi.

— To pod wpływem szoku — wyjaśnił Reacher. — I pada śnieg.

Odwróciła się do niego przodem, wyrażając w ten sposób zgodę. Reacher dotknął przez bluzkę jej obojczyka. Kość była delikatna jak ołówek. Pękła w połowie długości. Czyste złamanie. Nieskomplikowane.

— To coś poważnego? — zapytała.

— Bynajmniej. Obojczyk wykonał swoje zadanie. To taki rodzaj bezpiecznika. Łamie się, żeby uchronić nas przed urazem ramienia i szyi. Szybko i łatwo się zrasta.

— Muszę iść do szpitala?

Reacher pokiwał głową.

— Zawieziemy tam panią.

23

Ruszył dalej. W czwartym rzędzie był skręcony, a w piątym złamany nadgarstek. Poza tym łącznie trzynaście skaleczeń, dużo drobnych stłuczeń i ogólny szok.

Temperatura szybko spadała.

Przez tylną boczną szybę Reacher widział flary. Nadal się paliły, trzy szkarłatne purchawki jaśniejące w tumanach śniegu. Poza tym nie widać było żadnych świateł. Ruch wstrzymany. Wrócił z pochyloną głową do kierowcy, który siedział na swoim fotelu i gapił się w przednią szybę, trzymając w prawej ręce otwartą komórkę i bębniąc palcami lewej w kierownicę.

— Mamy problem — oznajmił.

— Jakiego rodzaju?

— Zadzwońm pod dziewięćset jedenaście. Patrole drogówki są sześćdziesiąt mil na północ i sześćdziesiąt mil na wschód od nas. Nadchodzą dwie wielkie śnieżyce. Jedna z

Kanady, druga od Wielkich Jezior. Dzieją się dantejskie sceny. Wszystkie wozy holownicze są zajęte. Mają karambole na sto samochodów. Ta autostrada jest zamknięta za nami i przed nami.

Ruch wstrzymany.

— Gdzie jesteście?

— W Dakocie Południowej.

— Wiem o tym.

— Więc wiesz, co mam na myśli. Poza Sioux Falls i Rapid City to zadupie. A nie jesteśmy w pobliżu Sioux Falls ani Rapid City.

— W pobliżu musi być jakieś miasto.

— Na GPS-ie widzę miejscowość, która nazywa się Bolton. Może dwadzieścia mil stąd.

Ale nie jest duża. Po prostu kropka na mapie.

— Możesz załatwić zastępczy autobus?

— Przyjechaliśmy ze Seattle. Być może uda się go ściągnąć cztery dni po śnieżycy.

— Czy w tym Bolton mają posterunek policji?

— Czekam na odpowiedź.

24

— Może są tam jakieś wozy holownicze?

— Na pewno. Przynajmniej jeden. Stoi przy stacji benzynowej i nadaje się do ściągnięcia zepsutego półtoratonowego pick-upa. Ale nie pojazdu tej wielkości.

— A ciągniki rolnicze?

— Potrzebowaliby ich przynajmniej osiem. I grube łańcuchy.

— No to jakiś szkolny autobus. Pasażerowie mogliby się przesiąść.

— Chłopcy z drogówki nas nie zostawią. Dotrą tutaj.

— Jak się nazywasz? — zapytał Reacher.

— Jay Knox.

— Musi pan myśleć z wyprzedzeniem, panie Knox. Patrol z drogówki dojedzie do nas w najlepszym razie za godzinę. Przy tej pogodzie za dwie. Zważywszy, z czym muszą się uporać, za trzy. Więc musimy coś wymyślić, bo za godzinę ten autobus zmieni się w lodówkę. Za dwie godziny te starowinki zaczną padać jak muchy. Może nawet szybciej.

— Więc za czym głosujesz?

Reacher miał zamiar odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie zadzwoniła komórka Knoxa. Facet odebrał i jego twarz na chwilę się rozjaśniła, a potem znów nachmurzyła.

— Dzięki — mruknął, po czym rozłączył się i spojrzał na Reachera. — Jak się okazuje, w Bolton jest komisariat policji. Wysyłają kogoś, ale mają własne problemy, i to zajmie trochę czasu.

— Ile?

— Co najmniej godzinę.

— Jakiego rodzaju problemy?

— Nie powiedzieli.

— Będziesz musiał uruchomić silnik.

— Pasażerowie mają płaszcze.

— To nie wystarczy.

— Boję się pożaru.

— Ropa jest o wiele mniej łatwopalna niż benzyna.

— Jesteś jakimś ekspertem?

25

— Służyłem w wojsku. Wszystkie ciężarówki i humvee mają silniki Diesla. Nie bez powodu. — Reacher obejrzał się za siebie. — Masz latarkę? A gaśnicę?

— Dlaczego pytasz?

— Sprawdź podwozie. Jeśli nie zobaczę niczego podejrzanego, stuknę dwa razy w podłogę. Wtedy uruchomisz silnik i jeśli coś się zapali, ugaszę to, stuknę raz, a ty wyłączysz silnik.

— No nie wiem...

— To najlepsze, co możemy zrobić. A coś zrobić musimy.

Knox milczał przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami, otworzył kolejne schowki i wyjął z nich srebrną latarkę Maglite i gaśnicę. Reacher wziął je, zaczekał, aż Knox otworzy drzwi, po czym zeskoczył do rowu i wkroczył w widmowy szkarłatny świat flar. Tym razem obszedł autobus od przodu, bo jego lewy bok był zawieszony nad asfaltem na dłuższym odcinku niż prawy. Czołganie się po zamrożonym błocie nie było zbyt pociągające. Czołganie się po asfalcie wydawało się minimalnie lepsze. Odnalazł wlew paliwa, po czym położył się na śniegu, wsunął pod autobus i zapalił latarkę. Gruba rura biegnąca od wlewu paliwa do baku była nienaruszona. Sam bak, wielki, ucięty pod kątem prostym cylinder, był lekko porysowany i powgniatany, lecz nic z niego nie ciekło. Przewód paliwowy biegnący do tyłu, w stronę komory silnika, raczej nie wzbudzał podejrzeń. Śnieg przesiąkł przez kurtkę i koszulę Reachera, który poczuł na skórze lodowatą wilgoć. Zadrżał.

Uderzył dwa razy szerszym końcem latarki w podłogę.

Usłyszał terkot przekładników, a potem rżenie i świst pompy paliwowej. Sprawdził bak. Sprawdził przewód tak daleko, jak pozwalało mu światło latarki. Następnie odepchnął się nogami i wsunął głębiej pod autobus.

Żadnych przecieków.

Rozrusznik zaczął się obracać.

Silnik zaskoczył. Zaklekotał, zadygotał i teraz pracował z głośnym łomotem.

26

Nic nie przecieka.

Nic się nie pali.

Nie było żadnych oparów.

Zmagając się z zimnem, odczekał jeszcze minutę, wykorzystując ten czas na sprawdzenie innych rzeczy. Wielkie opony wyglądały dobrze. Poobijana była część wieszaków przedniego zawieszenia, a podłoga luku bagażowego powgniatana w paru miejscach. Kilka mniejszych przewodów i rurek było zmiażdżonych i poprzerrywanych. Jakaś firma ubezpieczeniowa w Se-attle dostanie do zapłacenia spory rachunek.

Wygramolił się spod autobusu, wstał i otrząpał. Ubranie mu przemokło. Wokół niego wirowały płatki śniegu, duże i ciężkie. Na ziemi leżała świeża dwucalowa warstwa białego puchu. Ślady jego butów sprzed czterech minut były już przysypane. Idąc po nich, wrócił do rowu i stanął przed drzwiami. Knox na niego czekał. Drzwi się otworzyły i Reacher wsiadł do autobusu. Tuman śniegu wpadł za nim z szumem do środka. Reacher zadrżał. Drzwi się zamknęły.

Silnik zgasł.

Knox usiadł na swoim fotelu i wcisnął przycisk. Reacher usłyszał, jak daleko z tyłu rozrusznik kręci się, jazgocze, wyje i rżęzi.

Bez skutku.

— Co zobaczyłeś tam na dole? — zapytał Knox.

— Zniszczenia — odparł Reacher. — Dużo rzeczy jest poobijanych.

— Poprzerywane przewody?

— Kilka.

Knox pokiwał głową.

— Przewód paliwowy jest prawdopodobnie urwany — stwierdził. — Zużyliśmy to, co w nim było, i do silnika nie dopływa więcej paliwa. Poza tym mogą nie działać hamulce. Może dlatego silnik nie chce pracować.

— Zadzwoń znowu na policję w Bolton — poradził mu Reacher. — Żarty się skończyły.
27

Knox wybrał numer, a Reacher wrócił do pasażerów. Zdjął płaszcze z górnych półek i kazał emerytom je włożyć. A także czapki, rękawiczki, szaliki i wszystko, co mają. On sam nie miał nic. Tylko to, w czym był, a to, w czym był, było mokre i zimne. Temperatura jego ciała spadała. Drżał, niezbyt mocno, ale bezustannie. Za komfort trzeba płacić. Życie bez bagażu ma wiele plusów. Ale ma również poważne minusy. Wrócił do Knoxa. Przez szpary w drzwiach wpadało powietrze. Z przodu autobusu było zimniej niż z tyłu.

— I co? — zapytał.

— Przyślą samochód najszybciej, jak to możliwe — odparł Knox.

— Jeden samochód to za mało.

— Powiedziałem im to. Opisałem, jaki mamy problem. Obiecali, że coś zorganizują.

— Widziałeś wcześniej takie śnieżyce?

— To nie jest śnieżyca. Śnieżyca jest sześćdziesiąt mil stąd. My jesteśmy na jej skraju.

Reacher zadrżał.

— Czy przemieszcza się w naszą stronę? — zapytał.

— Z pewnością.

— Jak szybko?

— Nie pytaj.

Reacher zostawił kierowcę, wrócił na tył, usiadł na podłodze przy toalecie, za ostatnimi siedzeniami, i oparł się mocno plecami o tylną ściankę, mając nadzieję, że ogrzeje się w ciepłe, które wydziela stygnący silnik.

Czekał.

Szesnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało pięćdziesiąt dziewięć godzin.

3

Czterdzieści pięć minut później adwokat dotarł do domu. To była długa, wolna podróż. Jego podjazd był nieodśnieżony i przez chwilę obawiał się, że przymarzła brama do garażu. Ale kiedy wcisnął przycisk na pilocie, zamontowany pod sufitem silniczek o mocy pół konia mechanicznego podciągnął drzwi na prowadnicach i wjechał do środka. Potem jednak nie chciały się zamknąć, bo śnieg, który spadł z opon, kiedy wjeżdżał, uaktywnił funkcję ochrony dzieci. Musiał więc znowu założyć śniegowce, wziąć łopatę i wyrzucić śnieg na zewnątrz.

Drzwi w końcu się zamknęły. Adwokat zdjął śniegowce i stał przez chwilę w sieni, mobilizując się, oczyszczając się wewnętrznie, biorąc mentalny prysznic. Siedemnasta czterdzieści. A potem wszedł do ciepłej kuchni i przywitał się z rodziną, jakby to był zwyczajny dzień.

•••

O siedemnastej czterdzieści w autobusie było ciemno i mroźno. Reacher obejmował się mocno rękoma i trząsał jak osika. Dwadzieścia starszych osób i kierowca Knox robili z grubsza to samo. Okna od zewnętrznej strony autobusu były czarne i zalepione śniegiem. Za oknami od zewnętrznej widać było wszechobecną szarość. Śnieżyca nacierająca nieubłaganie z pół-

29

nocnego wschodu trafiała na aerodynamiczną przeszkodę w postaci unieruchomionego pojazdu, piekliła się pod nim i nad nim i wpadała wirem w powstałą za nim próżnię: wielkie nieważkie płatki tańczyły w górę i w dół, w lewo i w prawo.

Nagle we wszechobecnej szarości pojawiły się niewyraźne światła. Najpierw białe, a potem czerwone i niebieskie, jasno oświetlone kule, które migotały, błyskały i przesuwały się w mroku. W niesamowitej ciszy przysypanego śniegiem świata słychać było pobrękiwanie śniegowych łańcuchów. Jadący do nich niewłaściwym pasmem autostrady radiowóz przedzierał się powoli i ostrożnie przez zawieję.

•••

Minutę później gliniarz był już w autobusie. Musiał wcześniej przebrnąć przez rów, ale wysiadł z nagrzanego samochodu i miał na sobie wysokie zimowe buty, wodoodporne spodnie, rękawice, puchową kurtkę i futrzaną czapę z nausznikami i plastikowym daszkiem, w związku z czym mróz nie robił na nim wrażenia. Był wysoki, szczupły i miał okolone zmarszczkami błękitne oczy, które widziały już sporo upalnego słońca i zimowych zadymek. Oznajmił, że nazywa się Andrew Peterson i jest zastępcą szefa policji w Bolton, po czym zdjął rękawice i ruszył między siedzeniami, ściskając dłonie i przedstawiając się z nazwiska i stopnia każdej parze starszych i każdej samotnej osobie w sposób, który miał dać do zrozumienia, że jest poczciwy, szczerzy i pełen entuzjazmu — prosty wiejski chłopak, który cieszy się, że może pomóc ludziom w potrzebie. Obserwując te okolone zmarszczkami błękitne oczy, Reacher doszedł jednak do wniosku, że to tylko pozory. Peterson był w gruncie rzeczy całkiem niegłupim facetem i miał na głowie coś więcej niż tylko ratowanie ludzi z wypadku.

To wrażenie umocniło się w nim, kiedy policjant zaczął

30

zadawać pytania. Kim są? Skąd pochodzą? Skąd dzisiaj wyjechali? Dokąd zmierzają? Czy mają tam zarezerwowane miejsca w hotelu? Łatwe pytania dla Knoxa oraz pozostałej dwudziestki starszych, turystycznej grupy z Seattle, jadącej zgodnie z marszrutą z muzeum Dakotaland pod Mount Rushmore, i mającej potwierdzone rezerwacje w motelu niedaleko pomnika, trzynaście pokoi dla czterech małżeństw, czterech wspólnie nocujących par, czterech osób, które dopłaciły za pokój jednoosobowy, oraz dla samego Knoxa.

Wszystkie informacje były prawdziwe, lecz w tych okolicznościach niezbyt przydatne.

Peterson poprosił Knoxa o pokazanie dokumentów rezerwacji.

Następnie zwrócił się z uśmiechem do Reachera:

— Jestem Andrew Peterson, zastępca szefa policji w Bolton. Czy mógłby się pan przedstawić, proszę pana?

Sporo prowincjonalnych gliniarzy służyło wcześniej w wojsku, ale Peterson do nich nie należał. Nie miał tej specyficznej otoczki. Sprawiał wrażenie faceta, który niewiele podróżował, porządnego chłopaka, który dobrze się uczył w miejscowym liceum, a potem został tutaj, aby służyć lokalnej społeczności. Znał od podszewki swoje miasteczko, gubił się trochę, gdy trzeba było wypłynąć na szersze wody, ale starał się stawić czoło każdym przeciwnościom.

— Proszę pana? — powtórzył.

Reacher podał mu swoje nazwisko. Peterson zapytał, czy należy do wycieczki. Reacher odparł, że nie. W związku z tym Peterson zapytał, co robi w tym autobusie. Reacher poinformował go, że jedzie na zachód z Minnesoty, w nadziei że wkrótce uda mu się skrócić na południe i znaleźć się w łagodniejszej strefie klimatycznej.

— Nie podoba się panu nasz klimat?

— Na razie nie.

— I podróżuje pan stopem? Wycieczkowym autobusem?

— Zapłaciłem.

31

Peterson spojrział na Knoxa, który kiwnął głową.

- Jest pan na wakacjach? — zapytał Peterson, zwracając się znowu do Reachera.
- Nie.
- W takim razie, jaka jest dokładnie pańska sytuacja?
- Moja sytuacja nie ma znaczenia. Żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia. Nikt z nas nie spodziewał się znaleźć w miejscu, w którym się teraz znajdujemy. Cała sprawa była całkowicie nie do przewidzenia. Wypadek. Dlatego nie ma i nie może być żadnych powiązań między nami i tym, co pana niepokoi.
- Kto mówi, że coś mnie niepokoi?
- Ja.

Peterson posłał mu długie surowe spojrzenie.

- Co się stało z autobusem? — zapytał.
- Jak rozumiem, wpadł w poślizg — odparł Reacher. — Spałem, kiedy to się stało.

Peterson pokiwał głową.

- Jest tu most, który wcale nie wygląda jak most — stwierdził. — Ale postawili przed nim znaki ostrzegawcze.
- Samochód z naprzeciwka tańczył po całej jezdni — powiedział Knox. — Szarpnąłem kierownicą — dodał, jakby chciał się usprawiedliwić.

Peterson spojrział na niego ze współczuciem i bez śladu krytycyzmu, i znów pokiwał głową.

- Szarpnięcie kierownicą na ogół wywołuje taki skutek. Każdemu może się zdarzyć. Mnie też.

— Musimy zabrać tych ludzi z autobusu — przypomniał Reacher. — Inaczej zamarzną na śmierć. Ja też.

Peterson milczał przez długą sekundę. „Nie ma i nie może być żadnych powiązań między nami i tym, co pana niepokoi”. Następnie jeszcze raz pokiwał głową, stanowczo, jakby podejmował decyzję.

- Słuchajcie państwo! — zawołał. — Przewieziemy was do miasta, gdzie będziemy mogli się wami odpowiednio zająć.

32

Pani ze złamanym obojczykiem i pani ze złamanym nadgarstkiem pojedą ze mną samochodem. Dla pozostałych osób zorganizujemy inny transport.

•••

Poszkodowane kobiety nie były w stanie zeskoczyć do rowu, więc Peterson wziął na rękę jedną, a Reacher drugą. Radiowóz stał jakieś dziesięć jardów dalej, lecz śnieg sypał tak gęsto, że prawie nie było go widać, a kiedy Peterson odjechał i Reacher odwrócił się w stronę autobusu, w ogóle go nie zobaczył. Był zupełnie sam w białej pustce. Śnieg zalepiał mu twarz, oczy, uszy i szyję, wirował dokoła i oślepił. Było mu bardzo zimno. Na ułamek sekundy ogarnęła go panika. Gdyby z jakiegoś powodu poszedł w złą stronę, w ogóle by o tym nie wiedział. Szedłby przed siebie tak długo, aż by zamarznął.

Ale przesunąwszy się nieco w bok, zobaczył szkarłatną poświatę flar. Nadal dzielnie się paliły. Na podstawie ich położenia ustalił, gdzie jest autobus, i skierował się w tamtą stronę. Dotarł do niego od zawietrznej, okrążył od przodu, a potem, idąc pod wiatr, zeskoczył do rowu i podszedł do drzwi. Knox wpuścił go do środka i kucając w przejściu, wpatrywali się w ciemność, żeby zobaczyć, jaki wysłano po nich środek transportu.

Siedemnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało pięćdziesiąt osiem godzin.

•••

O osiemnastej wszystkie przestępcze propozycje w liczbie czternastu zostały wreszcie zapisane. Facet, który odebrał telefon od adwokata, był bardzo sprytny, jeśli za spryt uznamy specyficzne uliczne cwaniactwo, ale zawsze uważał, że człowiek inteligentny powinien znać

własne ograniczenia. Jego polegały na tym, że poddany presji zaczynał się gubić w szczegółach. A za chwilę miał być poddany presji, to nie ulegało wątpliwości.

33

Wcielenie propozycji w życie wymagało aprobaty pewnych bardzo ostrożnych osób. Zapisał więc wszystko na kartce w czternastu oddzielnych punktach, a potem odłączył od ładowarki fabrycznie nowy, niemożliwy do namierzenia telefon na kartę i zaczął wybierać numer.

•••

Pojazd, który po nich wysłano, był czymś w rodzaju szkolnego autobusu, ale nie do końca. Z całą pewnością był to samochód marki Blue Bird, o typowych rozmiarach i kształcie, ale szary, nie żółty, z ciężkimi metalowymi kratami przy-spawanymi przy oknach i wymalowanymi z boku słowami: WYDZIAŁ PENITENCJARNY.

Robił wrażenie prawie nowego.

— Lepsze to niż nic — mruknął Knox.

— Pojechałbym karawanem, gdyby miał ogrzewanie — stwierdził Reacher.

Więzienny autobus wykręcił na trzech pasach jezdni i po kilku dodatkowych manewrach stanął tak, że jego drzwi znalazły się mniej więcej w połowie długości uszkodzonego autokaru. Reacher zorientował się dłaczego. Autokar miał wyjście awaryjne w postaci łatwej do usunięcia szyby. Peterson obejrzał rów, pasażerów i szybę i podjął właściwą decyzję. Był niegłupim facetem.

Osiemnaście starszych osób w innych okolicznościach trzeba by dość długo przekonywać, żeby wygramoliły się przez okno w zadymkę i zaufały biorącemu ich na ręce nieznanemu, ale przesywające zimno pomogło przewyciężyć ich opory. Knox pomagał im wyjść, a Reacher odbierał ich z drugiej strony. Cała operacja byłaby o wiele łatwiejsza, gdyby nie mróz i śnieg. Najlżejszym pasażerem był staruszek ważący niecałe dziewięćdziesiąt pięć funtów, a najcięższa kobieta ważyła prawie dwieście. Wszyscy mężczyźni chcieli na własnych nogach pokonać dystans między pojazdami. Kobiety wołały, żeby je przenieść.

34

Więzienny autobus był nowy, lecz niezbyt wygodny. Przedział dla pasażerów oddzielono od kierowcy stalową siatką. Siedzenia były twarde, wąskie i pokryte lśniącem plastikiem, podłoga gumowa, kraty za oknami żłowrogie. Ale działało ogrzewanie. Nie dlatego, żeby państwo szczególnie dbało o więźniów, lecz ponieważ zatroszczył się o to producent, którego pojazdy miały wozić dzieci. Państwo łaskawie zostawiło instalację, okazując coś w rodzaju pasywnej wielkoduszności. Kierowca ustawił temperaturę i dmuchawę na maksimum.

Peterson potrafił myśleć z wyprzedzeniem.

Kiedy pasażerowie usiedli, Reacher i Knox znowu wyszli na mróz i wyciągnęli walizki z luku bagażowego uszkodzonego autobusu. Emeryci będą potrzebowali nocnych koszul, leków, przyborów toaletowych i ubrań na zmianę. Walizek było dużo. Zajęły wszystkie wolne fotele i większą część przejścia. Knox usiadł na jednej z nich. Reacher stanął obok kierowcy, jak najbliżej dmuchawy.

Wiatr kołysał autobusem, ale na oponach mieli łańcuchy i poruszali się ze stałą szybkością. Po siedmiu milach zjechali z autostrady, minęli przestrzelony śrutem zardzewiały znak nakazujący ustąpienie pierwszeństwa przejazdu i skręcili w długą i prostą drogę okręgową. Po jakimś czasie minęli tablicę z napisem: ZAKŁAD KARNY. NIE ZATRZYMYWAĆ SIĘ I NIE BRĄĆ AUTOSTOPOWICZÓW. Tablica była nowa, pokryta odblaskową farbą.

Reachera nie ucieszył jej widok. Jutro rano może mu nieco utrudnić dalszą podróż.

Już po niespełna minucie padło nieuniknione pytanie. Kobieta siedząca w pierwszym rzędzie z zakłopotaną miną zerknęła w lewo i w prawo lecz i tak je zadała.

— Nie wsadzą, nas chyba do więzienia? — powiedziała.

— Nie, proszę pani — odparł Reacher. — Umieszczą nas pewnie w motelu. Przymuszczam, że to jedyny autobus, jaki mieli w tym momencie pod ręką.
— Motele są pełne — stwierdził kierowca więziennego autobusu i nie dodał nic więcej.

35

Osiemnasta pięćdziesiąt pięć.
Zostało pięćdziesiąt siedem godzin.

•••

Okręgowa droga biegła prosto jak strzelił przez dziesięć mil. Widoczność nigdy nie przekraczała dziesięciu jardów. W świetle reflektorów widać było ścianę śniegu. Niezmienny ton silnika wskazywał, że jadą po równym terenie. Żadnych wzniesień, żadnych spadków. Typowa preria dodatkowo spłaszczona przez masy śniegu, którego do rana mogło napadać na grubość jednej stopy.

Minęli znak z napisem: GRANICA MIASTA BOLTON, 12 261 MIESZKAŃCÓW. A więc wcale nie taka mała miejscowość. Nie kropka na mapie. Kierowca nie zwolnił. Łańcuchy chrzęściły jeszcze przez dwie mile. W końcu zobaczyli blask najpierw jednej, a potem drugiej ulicznej latarni oraz stojący w poprzek bocznej ulicy radiowóz. Czerwone światła na jego dachu obracały się leniwie. Musiał tam stać od dawna. To jasne. Ślady, które zostawiły jego koła, wypełnił już w połowie świeży śnieg.

Autobus toczył się z chrzęstem łańcuchów przez kolejne ćwierć mili, po czym zwolnił i skręcił trzy razy. W prawo, w lewo i jeszcze raz w prawo. Reacher zobaczył niski murek z wielką czapą śniegu i stojący na nim podświetlony znak POLICJA BOLTON. Za murkiem był duży parking zastawiony cywilnymi pojazdami: sedanami, ciężarówkami, pick-upami. Wszystko wskazywało na to, że przyjechały tu całkiem niedawno. Świeże ślady opon, czyste przednie szyby, śnieg topiący się na maskach. Autobus przejechał obok nich i zatrzymał się przy oświetlonym holu wejściowym. Kierowca nie zgasił silnika. Ogrzewanie nadal działało. Budynek komisariatu był długi, niski i całkiem spory, z płaskim dachem najeżonym licznymi wystającymi spod śniegu antenami. Przy frontowych drzwiach stały dwa blaszane pojemniki na śmieci, niczym dwaj dumni wartownicy.

36

w holu musi być ciepło.

Kierowca pociągnął za wajchę i otworzył drzwi, a z budynku wyszedł facet w ciepłej policyjnej kurtce, z szuflą w ręku, i zabrał się do odśnieżania drogi między blaszanymi pojemnikami. Reacher i Knox zaczęli przenosić bagaże z autobusu do komisariatu. Śnieg nie padał już tak obficie, ale robiło się coraz zimniej.

Następnie do budynku przeszli pasażerowie. Knox pomagał im zejść po stopniu, Reacher prowadził ich alejką, a facet w kurtce zapraszał do środka. Część od razu usiadła na ławkach, część nie usiadła i stała w miejscu, część kręciła się po holu, który był kwadratowym, wyłożonym linoleum pomieszczeniem z lamperią na ścianach. W głębi stało biurko recepcji; na ścianie za nim wisały korkowe tablice, na których przypięto pineskami różne kartki. Za biurkiem siedział na stołku starszy pan w cywilnym ubraniu. Nie gliniarz, ale cywilny pracownik policji.

Mężczyzna w kurtce na chwilę zniknął i wrócił z facetem, który zdaniem Reachera musiał być szefem miejscowej policji. Nowo przybyły miał pas z bronią i mundur z dwiema metalowymi belkami wszytymi w kołnierzyk na końcach. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać za piętnaście lat Peterson: wysoki, szczupły facet, który z wiekiem trochę zmiękł i trochę się zgarbił. Sprawiał wrażenie zmęczonego, zapracowanego, uginającego się pod brzemieniem kłopotów i nieco zasmuczonego, jakby przeszłość widział w jaśniejszych barwach niż teraźniejszość, ale również do pewnego stopnia szczęśliwego, ponieważ napotkał prosty problem, z którym łatwo może się uporać. Oparł się pośladkami o biurko i choć nikt nic nie mówił, podniósł rękę, prosząc o ciszę.

— Witamy w Bolton — zaczął. — Nazywam się Tom Holland, jestem szefem policji i moim zadaniem jest dopilnowanie, żebyście wszyscy państwo spędzili tę noc wygodnie i pod dobrą opieką. Wszystkie motele są niestety pełne, lecz mieszkańcy Bolton nie należą na szczęście do ludzi, którzy

37

pozwoliliby takim jak wy podróżnym nocować na materacach w szkolnej sali gimnastycznej. Zapytaliśmy więc o wolne pokoje gościnne i miło mi zakomunikować państwu, że spotkaliśmy się z przychylnym odzewem ze strony ponad tuzina osób, które są tu obecne i zaproszą państwa do swoich domów, jakbyście byli honorowymi gośćmi albo niewidzianymi od dawna znajomymi.

Po tym oświadczeniu słyhać było przez chwilę szmer komentarzy. Emeryci byli nieco zaskoczeni, nieco skonsternowani, ale bardzo zadowoleni. Rozpromienili się, uśmiechnęli i wyprostowali. Komendant Holland zaprosił z przyległej sali mieszkańców, którzy zgodzili się ich przenocować: pięć par, czterech mężczyzn i cztery kobiety. W holu zrobił się nagle tłok. Ludzie przedstawiali się sobie, wymieniali uściski dłoni, tworzyli grupki i szukali swoich walizek w stosie bagaży.

Reacher szybko policzył w pamięci. Trzydzieści grupek oznacza trzydzieści pokoiw gościnnych, dokładnie tyle samo, ile zgodnie z dokumentami Knoxa czeka na nich w motelu niedaleko Mount Rushmore. Peterson to facet, który potrafi myśleć z wyprzedzeniem.

W dokumentach Knoxa nie było mowy o Reacherze.

Patrzył, jak hol pustoszeje. Wynoszono walizki, podawano pomocne ramiona, otwierano drzwi; parami, dwójkami i czwórkami wsiadano do czekających pojazdów. Trwało to wszystko niecałe pięć minut i Reacher wkrótce został sam. Facet w kurtce wrócił do środka, zamknął za sobą drzwi i zniknął za rogiem korytarza. Po chwili znów pojawił się komendant Holland.

— Zaczekajmy w moim gabinecie — powiedział, spoglądając na Reachera.

Dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało pięćdziesiąt sześć godzin.

4

Gabinet Hollanda nie różnił się od tysiąca innych, które Reacher widział w swoim życiu. Prosty zuniformizowany wystrój, zamówiony u wykonawcy, który złożył najniższą ofertę cenową. Wszystkie ściany pokryte grubą pomarszczoną lamperią winylowe płytki na podłodze, politurowane biurko, sześć ustawionych w nierównym rzędzie szafek na akta najnowszej generacji, wiszący nad nimi typowy zegar. Na środkowej szafce stała oprawiona w ramki fotografia przedstawiająca bardziej wyprostowanego, młodszego i uśmiechniętego Hollanda z kobietą i dzieckiem. Portret rodzinny zrobiony być może przed dziesięcioma laty. Kobieta była atrakcyjna, z jasną cerą blond włosami i ostrymi rysami twarzy.

Prawdopodobnie żona Hollanda. Dziecko, dziewczynka, miało osiem albo dziewięć lat i nieuforną małą wyrazistą twarz. Prawdopodobnie ich córka. Na biurku leżały dwie kostki do gry. Duże, stare, kościane kostki, z wytartymi od częstego używania, wyblakłymi kropkami, pożyczowane tam, gdzie odpadł miękki wapń i zostały twardsze minerały. Oprócz fotografii i kostek w gabinecie nie było niczego osobistego. Cała reszta związana była wyłącznie z pracą.

Holland usiadł za biurkiem na sfatygowanym skórzanym fotelu. Za jego plecami było odsłonięte panoramiczne okno,

39

potrójnie szklone z powodu panujących mrozów. Czyste szyby. Na dworze ciemność. Śnieg na zewnętrznym parapecie, grzejnik pod wewnętrznym parapetem.

Reacher usiadł naprzeciwko, na krześle dla gościa.

Holland się nie odzywał.

- Na co czekam? — zapytał Reacher.
- Chcieliśmy potraktować pana z podobną gościnnością jak innych.
- Ale trudniej było mnie sprzedać?

Na ustach Hollanda pojawił się znużony uśmiech.

— Niekoniecznie. Andrew Peterson zaproponował, że pana przenocuje. Ale w tym momencie jest zajęty. Więc będzie pan musiał poczekać.

— Czym jest zajęty?

— Tym, czym zajmują się gliniarze.

— Ta miejscowość jest większa, niż się spodziewałem — stwierdził Reacher. — Na GPS-ie w autokarze oznaczono ją jako kropkę na mapie.

— Miasto się rozwinęło. Dane z GPS-u są chyba trochę nieaktualne.

W gabinecie było za ciepło. Reacher przestał się trząść i zaczął się pocić. Ubranie schło na nim, sztywne i brudne.

— Rozwinęliście się, bo zbudowano tu więzienie — powiedział.

— Jak pan zgadł?

— Nowy więzienny autobus. Nowy znak za zjazdem z autostrady.

Holland pokiwał głową.

— Mamy nowe jak spod igły więzienie federalne. Walczyliśmy o nie. Wszyscy chcieli je mieć. To tak jak przekonać Toyotę albo Hondę, żeby otworzyli nową montażownię. Dużo miejsc pracy, dużo dolarów. A potem stan zbudował swoje własne więzienie w tym samym kompleksie, co dało kolejne miejsca pracy i kolejne dolary. Mamy tam również więzienie okręgowe.

40

— Dlatego w motelach nie ma miejsc? Jutro jest dzień odwiedzin?

— W tygodniu są łącznie trzy dni odwiedzin. A rozkład linii autobusowych jest taki, że większość ludzi musi spędzić w mieście dwie noce. W związku z tym w motelach mają komplet przez sześć dni w tygodniu. Właściciele są zadowoleni. Podobnie jak właściciele barów, restauracji i linii autobusowej, która kursuje do więzienia. Tak jak mówiłem: miejsca pracy i dolary.

— Gdzie mieści się więzienie?

— Pięć mil na północ. To kura znosząca złote jajka.

— Macie szczęście — stwierdził Reacher.

Holland milczał przez chwilę.

— Już dawno nauczyłem się nie zaglądać darowanemu koniowi w zęby — odparł w końcu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł bez zaproszenia facet w kurtce i podał Hollandowi jakieś akta. Zegar na ścianie pokazywał dwudziestą co zgadzało się z grubsza z tym, co mówił zegar w głowie Reachera. Holland obrócił się na krześle, po czym otworzył teczkę pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, żeby Reacher nie zobaczył, co zawiera, jednak to, co w niej było, odbijało się wyraźnie w szybie za jego głową. W teźce znajdowały się zdjęcia z miejsca przestępstwa, kolorowe błyszczące odbitki w formacie osiem na dziesięć cali, z wydrukowanymi w dolnym rogu podpisami. Holland przerzucił je. Plan ogólny, potem kolejne zbliżenia. Leżący na śniegu, ubrany na czarno człowiek, najprawdopodobniej mężczyzna, najprawdopodobniej martwy. Uraz skroni powstały wskutek uderzenia tęym narzędziem. Żadnej krwi.

„W Bolton jest komisariat policji. Wysyłają kogoś, ale mają własne problemy, i to zajmie trochę czasu”, powiedział wcześniej Knox, kiedy skończył rozmawiać przez komórkę w autobusie.

Holland zamknął teczkę. Nic nie powiedział. Był małomównym, skrytym mężczyzną. Podobnie jak Reacher. W rezultacie przez jakiś czas siedzieli bez słowa. Milczenie nie było wrogiem,

41

ale krył się w nim jakiś kontekst. Holland trzymał dłoń na zamkniętej teczce i zerkał raz na nią, raz na gościa, jakby nie mógł się zdecydować, czy większy problem stanowi on, czy teczka.

Kiedy w Bolton w Dakocie Południowej była dwudziesta, w Mexico City wybiła dwudziesta pierwsza. Tysiąc siedemset mil na południe, czterdzieści stopni cieplej. Facet, który odebrał telefon z niemożliwej do namierzenia komórki na kartę, miał teraz zamiar zadzwonić ze swojej otoczonej murem willi w mieście do położonej sto mil dalej, otoczonej murem wiejskiej posiadłości. Jego rozmówca powinien wysłuchać go bez komentarza i obiecać, że decyzja zostanie podjęta w ciągu dwunastu godzin. Tak to zwykle wyglądało. Bez zastanowienia i refleksji nie da się osiągnąć nic wartościowego. Zastanowienie i refleksja pozwalają uniknąć pochopnych błędów i umożliwiają zaplanowanie śmiałych posunięć.

•••

W gabinecie Hollanda panowała cisza i drzwi były zamknięte, ale Reacher słyszał hałasy dochodzące z całego komisariatu. Przez mniej więcej trzydzieści minut ludzie wchodzili i wychodzili. Potem znowu zapadła cisza. Domyślił się, że służbę objęła nowa zmiana. Pora wskazywała, że nie pracują w systemie trójzmianowym, prędeż dwu. Zmiana dzienna schodziła, zmiana nocna zaczynała pracę, każda po dwanaście godzin, powiedzmy, od wpół do ósmej rano do dziewiętnastej trzydzieści wieczorem. Układ niezbyt typowy i chyba nie permanentny. Świadczył o jakiejś krótkoterminowej sytuacji kryzysowej. Mają własne problemy.

•••

Andrew Peterson wrócił do komisariatu o dwudziestej pierwszej dwadzieścia. Wsadził głowę do gabinetu Hollanda, a ten

42

wyszedł do niego na korytarz z fotografiami z miejsca zbrodni. Zaimprovizowana konferencja nie trwała długo, niecałe pięć minut. Reacher zakładał, że Peterson widział trupa na miejscu i z tego względu nie musi studiować fotografii. Dwaj gliniarze weszli do gabinetu i widać było, że praca na dzisiaj jest już zakończona. To był długi dzień i następny nie zapowiadał się na krótszy, jednak na razie mieli dosyć. Podobne uczucie Reacher często widywał na twarzach ludzi, z którymi zdarzyło mu się pracować. Niekiedy ogarniało i jego. Ale nie wówczas, gdy miał na głowie ofiarę zabójstwa.

— Chodźmy — powiedział Peterson.

Dwudziesta pierwsza dwadzieścia pięć.

Zostało pięćdziesiąt cztery i pół godziny.

•••

Kiedy w Dakocie Południowej minęła dwudziesta pierwsza dwadzieścia pięć, w ogrodzonej murem posiadłości sto mil od Mexico City zbliżała się dwudziesta druga trzydzieści. Właścicielem posiadłości był wyjątkowo niski mężczyzna o ksywce Platon. Pewni ludzie uważali, że Platon jest Brazylijczykiem i hołduje brazylijskiemu zwyczajowi wybierania jednego krótkiego, wpadającego w ucho imienia, które zastępuje długi szereg patronimików z aktu urodzenia. W podobny sposób, w jaki piłkarski gwiazdor, Edison Arantes do Nascimento, nazwał się Pele. Albo jak inny gwiazdor, Ricardo Izecson dos Santos Leite, nazwał się Kaka. Inni twierdzili, że Platon jest Kolumbijczykiem, co było o wiele logiczniejsze, zważywszy na jego zajęcie. Jeszcze inni upierali się, że jest Meksykaninem. Wszyscy zgadzali się, że Platon to niski facet, choć na pewno nie odważyliby się powiedzieć mu tego w twarz. W prawie jazdy napisano, że ma pięć stóp i trzy cale wzrostu. W

rzeczywistości miał pięć stóp i cal w butach na wysokich obcasach i cztery stopy i jednaście cali bez nich.

Nikt nie ważył mu się powiedzieć w twarz, że jest niski, z powodu tego, co przytrafiło się jego byłemu wspólnikowi

43

Martinezowi. Martinez pokłócił się z Platonem, stracił nad sobą panowanie i nazwał go karłem. Przewieziono go nieprzytomnego do najlepszego szpitala w Mexico City, gdzie został zabrany na salę operacyjną, położony na stole i znieczulony. Zmierzone go od czubka głowy w dół i tam, gdzie taśma pokazała cztery stopy i dziesięć cali, narysowano kreski na jego gołeniach, trochę bliżej kolan niż łydek. Następnie zespół chirurgów i pielęgniarek przeprowadził podwójną amputację, elegancko, starannie i zgodnie ze sztuką medyczną. Martinez spędził jeszcze dwa dni w szpitalu, po czym został odwieziony do domu ambulansem. Platon przesłał mu życzenia powrotu do zdrowia z dołączonym prezentem. W liście wyraził nadzieję, że prezent ten zostanie doceniony i odpowiednio wyeksponowany. Ponieważ paczka była duża, ciężka i coś w niej chlupotało, ludzie Martineza doszli do wniosku, że to akwarium z tropikalnymi rybkami. Kiedy ją rozpakowano, okazało się, że to rzeczywiście akwarium. Nie pływały w nim jednak rybki. W formaldehydowej kąpieli stały wysokie na dziesięć cali stopy Martineza wraz z jego łydkami.

Dlatego nikt już potem nie robił uwag na temat wzrostu Platona.

Odbierając telefon z ogrodzonej murem willi w mieście, Platon obiecał, że udzieli odpowiedzi w ciągu dwunastu godzin, lecz tak naprawdę nie warto było zajmować się tak długo stosunkowo drobnym problemem dotyczącym stosunkowo mało ważnej placówki wchodzącej w skład wielkiej i złożonej międzynarodowej organizacji. W związku z tym półtorej godziny potem wiedział, co zrobi: każe uciszyć świadka. Wyśle swojego człowieka tak szybko, jak to możliwe.

I pójdzie krok dalej: doda do listy piętnasty punkt. Był nieco zdziwiony, że nikt nie zaproponował tego wcześniej. Ale w końcu nie bez kozery nazywa się Platon.

Ze względów bezpieczeństwa przerwie łańcuch pośredników.

Każe uciszyć również adwokata.

5

Peterson wyszedł wraz z Reacherem na mróz i zapytał go, czy jest głodny. Reacher odpowiedział, że owszem, umiera z głodu, w związku z czym Peterson zajechał do sąsiadującej ze stacją benzynową sieciowej restauracji przy głównej drodze prowadzącej do autostrady. Jeździł standardowym policyjnym foldem crown victoria, z zimowymi oponami z przodu i łańcuchami z tyłu. W środku cuchnęło gumą, tłustymi hamburgerami i rozgrzаныmi płytkami obwodów. Śnieg prawie przestał padać.

— Jest za zimno, żeby padało — zauważył Peterson i było to chyba prawdą. Nocne niebo częściowo się przejaśniło i w dół spłyneło lodowate arktyczne powietrze. Przeszywało na wskroś nieodpowiednio ubranego Reachera i znów przyprawiło go o dreszcze, kiedy szedł przez parking do restauracji.

— Miała się tu zbliżyć wielka śnieżycy — zauważył.

— Zbliżają się dwa fronty burzowe — odparł Peterson. — Tak to wygląda. Pchają przed sobą zimne powietrze.

— Kiedy tu dotrą?

— Niedługo.

— Wtedy się ociepli?

— Tylko trochę. Na tyle, żeby znowu zaczął padać śnieg.

45

— To dobrze. Wolę śnieg od mrozu.

— To jest według ciebie mróz? — zapytał Peterson.

- Nie jest zbyt ciepło.
- To betka.
- Wiem — odparł Reacher. — Spędziłem zimę w Korei. Było zimniej niż tutaj.
- Ale?
- Ale wojsko dało mi porządne ubranie.
- I?
- Korea była przynajmniej ciekawa.

Ta ostatnia uwaga trochę ubodła Petersona. Restauracja była pusta i wyglądała, jakby zaraz mieli ją zamknąć, lecz i tak weszli do środka. Usiedli przy dwuosobowym stoliku, laminowanym kwadracie o boku trzydziestu cali, który wydawał się dla nich zdecydowanie za mały.

- Bolton to całkiem ciekawe miasto — mruknął Peterson.
- Mówisz o zabitym?
- Tak — odparł Peterson i nagle umilkł. — Jakim zabitym?

Reacher się uśmiechnął.

- Za późno zaprzeczać.
- Nie powiesz mi, że Holland ci o nim opowiedział. Pokazał ci fotografie?
- Nie. Ale siedziałem dość długo w jego gabinecie.
- Sam?
- Ani przez chwilę.
- I pozwolił ci obejrzyć fotografie?
- Bardzo mu zależało, żebym ich nie zobaczył, jednak sprzątaczką dobrze umyła okno.
- Widziałeś wszystkie?
- Nie mogłem stwierdzić, czy facet był martwy, czy tylko nieprzytomny.
- Podpuściłeś mnie tą gadką o Korei.
- Lubię wiedzieć, co się dzieje. Jestem głodny wiedzy.

Podeszła do nich kelnerka, zmęczona kobieta koło czterdziestki, w tenisówkach i uniformie, który składał się z krawata

46

i koszuli khaki. Peterson zamówił pieczeń wołową, Reacher to samo plus kawę.

- Jak długo byłeś w wojsku? — zainteresował się Peterson.
- Trzydzieści lat.
- I służyłeś w żandarmerii?

Reacher pokiwał głową.

- Odbyłeś szkolenie medyczne?
- Rozmawiałeś z pasażerami.
- Iz kierowcą.
- Sprawdzaleś mnie.
- Oczywiście, że cię sprawdzałem. Gruntownie. A czym twoim zdaniem się zajmowałem?

- I chcesz, żebym nocował dzisiaj w twoim domu...
- Masz jakieś lepsze miejsce?
- ...gdzie będziesz mógł mieć mnie na oku.
- Skoro tak twierdzisz.
- Dlaczego?
- Mamy swoje powody.
- Możesz mi powiedzieć jakie?
- Tylko dlatego, że jesteś głodny wiedzy?
- Chyba tak.

— W tym momencie wystarczy, jeśli powiem, że musimy wiedzieć, kto tu przyjeżdża i kto stąd wyjeżdża.

Peterson nie powiedział nic więcej i minutę później podano im posiłek. Kopiaste talerze, ziemniaki puree, dużo sosu. Kawa była zaparzona godzinę wcześniej i odbiło się to negatywnie na jej smaku, ale dodało mocy.

— Czym dokładnie zajmowałeś się w żandarmerii? — zapytał Peterson.

— Wszystkim, co kazali mi robić.

— Poważnymi przestępstwami?

"— Czasem.

— Zabójstwami?

— Każdym, od usiłowania po seryjne.

Jak gruntowne było szkolenie medyczne, które odbyłeś?

47

— Masz zastrzeżenia do jedzenia, które tu podają?

— Ja też lubię wiedzieć, co się dzieje.

— Tak naprawdę to nie było poważne szkolenie. Zależało mi po prostu, żeby starszkwowie poczuli się pewniej.

— Dobrze się o tobie wyrażali.

— Nie wierz im. Nic o mnie nie wiedzą.

Peterson nie odpowiedział.

— Gdzie znaleziono zwłoki? — zapytał Reacher. — Tam, gdzie radiowóz blokował boczną ulicę?

— Nie. To inna historia. Trupa znaleziono gdzie indziej.

— Nie został zabity tam, gdzie go znaleziono.

— Skąd wiesz?

— Na śniegu nie było krwi. Jeśli walniesz kogoś w głowę na tyle mocno, by go zabić, czaszka pęka. To nieuniknione. A czaszka krwawi jak cholera. Przy trupie powinna być szeroka na jard kałuża krwi.

Peterson przez minutę jadł w milczeniu.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał po chwili.

To było trudne pytanie. Ale nie dla Reachera. Dla niego odpowiedź była prosta. Nie mieszkał nigdzie i tak było zawsze. Syn amerykańskiego oficera, urodził się w berlińskim szpitalu i od dnia, gdy wyniesiono go stamtąd w beciku, tułał się po całym świecie, przenosząc się z jednej do drugiej podobnej bazy wojskowej i z jednej do drugiej taniej kwatery, a potem sam wstąpił do wojska i żył w podobny sposób na własny rachunek. Cztery lata spędzone w West Point były dla niego najdłuższym okresem względnej stabilizacji i nie spodobała mu się ani akademia West Point, ani stabilizacja. Obecnie, nie służąc w wojsku, nadal był w ciągłym ruchu. Nie znał innego trybu życia i nie potrafił go zmienić.

Poza tym tak naprawdę wcale nie próbował tego robić.

— Jestem nomadą — powiedział.

— Nomadzi mają zwierzęta. Wędrują, żeby znaleźć pastwiska. Taka jest definicja.

48

No dobrze, jestem nomadą, który nie ma zwierząt.

__ Jesteś menelem.

__Możliwe.

_ Nie masz żadnego bagażu.

__Masz z tym jakiś problem?

__To dziwnie zachowanie. Gliniarze nie lubią dziwnych zachowań.

—Dlaczego przemieszczanie się jest dziwniejsze od sterczenia przez cały czas w jednym miejscu?

Peterson milczał przez chwilę.

— Każdy ma jakieś rzeczy — stwierdził w końcu.

— Nie są mi potrzebne. Podróżuj bez bagażu, podróżuj daleko.

Peterson nie odpowiedział.

— Tak czy inaczej, nie musisz się mną interesować — powiedział Reacher. —Nigdy wcześniej nie słyszałem o Bolton. Gdyby kierowca autobusu nie szarpnął kierownicą, siedziałbym dziś wieczorem w Mount Rushmore.

Peterson pokiwał niechętnie głową.

— Trudno się z tym nie zgodzić.

Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt pięć.

Zostały pięćdziesiąt cztery godziny.

•••

Tysiąc siedemset mil na południe, w otoczonej murem posiadłości sto mil od Mexico City, Platon też jechał: antrykot z wołowiny dostarczonej drogą lotniczą z Argentyny. Dochodziła dwudziesta druga czasu miejscowego. Późna kolacja. Platon miał na sobie spodnie khaki, białą koszulę z przypinanym kołnierzykiem i czarne skórzane mokasy, wszystko z kolekcji chłopięcej Brooks Brothers. Buty i ubranie pasowały jak ulał, ale dziwnie w nich wyglądał. Były przeznaczone dla grubych, białych, amerykańskich dzieci z klasy średniej, a Platon był stary, brązowy i przysadzisty i miał ogoloną spiczastą czaszkę. Zależało mu jednak, żeby kupować ubrania, które pasują

49

natychmiast po rozpakowaniu. Szycie na miarę było wykluczone. Krawcy mierzyli go i przestawali się odzywać, a potem podawali niskie liczby z wystudiowaną i sztuczną obojętnością. Przerabianie gotowej garderoby wcale nie było lepsze. Wizyty miejscowych podenerwowanych szwaczek i ukradkowe pozbywanie się nadmiaru materiału bardzo go irytowały.

Odłożył nóż i widelec, wytarł usta wielką białą, serwetą po czym wziął do ręki komórkę i wcisnął dwa razy zielony przycisk, żeby połączyć się z numerem, z którego wcześniej do niego telefonowano.

— Nie musimy czekać. Wyślij faceta i załatw świadka — rzucił.

— Kiedy? — zapytał mężczyzna w willi.

— Kiedy tylko nadarzy się okazja.

— Dobra.

— Załatw również adwokata. Żeby przerwać łańcuch pośredników.

— Dobra.

— I niech ci kretyni wiedzą że mają wobec mnie wielki dług.

— Dobra.

— Powiedz im, żeby w przyszłości nie zawracali mi głowy takimi duperelami.

•••

— Więc dlaczego tamta ulica była zablokowana? — zapytał Reacher w połowie pieczeni.

— Może zerwały się kable elektryczne — odparł Peterson.

— Mam nadzieję, że nie. Bo to by oznaczało, że macie dziwne priorytety. Zostawiacie na godzinę dwudziestu emerytów marznących na autostradzie, żeby pilnować zerwanych kabli na bocznej uliczce?

— Może doszło do stłuczki.

— Ta sama odpowiedź.

50

— Czy to takie ważne? I tak jechałeś już wtedy do miasta.

— Ten radiowóz stał tam ponad dwie godziny. Ślady opon były zasypane śniegiem. Ale powiedzieliście nam, że nie macie nikogo do dyspozycji.

— Ten funkcjonariusz nie był do dyspozycji. Wykonywał swoją robotę.

— Jaką robotę?

— Nie twój interes.

— Jak duży jest wasz komisariat?

— Wystarczająco duży.

— I wszyscy byli zajęci?

— Zgadza się.

— Ilu z nich wykonuje swoją robotę, siedząc beczynnie w zaparkowanych samochodach?

— Jeśli tak cię to martwi, proponuję, żebyś się tu przeniósł i zaczął płacić podatki. Wtedy będziesz mógł pogadać z komendantem Hollandem.

— Mogłem się przeziębic.

— Ale się nie przeziębilesz.

— Za wcześnie o tym przesądzać.

Wrócili do jedzenia. Jedli, aż zadzwoniła komórka Petersona. Odebrał, słuchał przez chwilę, po czym rozłączył się i odsunął talerz.

— Muszę coś załatwić — powiedział. — Zaczekaj tu na mnie.

— Nie mogę — odparł Reacher. — Za chwilę zamkną lokal. Jest dziesiąta. Kelnerka chce, żebyśmy się stąd wynieśli. Chce wracać do domu.

Peterson nie odpowiedział.

— Nie mogę iść sam — nalegał Reacher. — Po pierwsze, nie wiem dokąd, a po drugie, jest za zimno, żebym chodził pieszo.

Peterson nie odpowiedział.

— Zostanę w samochodzie — zaproponował Reacher. — Po prostu mnie ignoruj.

51

— No dobrze — mruknął Peterson, ale widać było, że nie jest zadowolony. Reacher zostawił na stoliku dwadzieścia dolarów. Kelnerka posłała mu szeroki uśmiech. Zdaniem Reachera całkiem słusznie. Przy cenach, jakie mieli w Dakocie Południowej, dał jej sześćdziesiąt procent napiwku. Albo sto, jeśli Bolton należy do tych miast, gdzie gliniarze jedzą za darmo.

W fordzie nadal było trochę cieplej niż na dworze. Peterson dodał gazu, łańcuchy złapały przyczepność i samochód potoczył się po śniegu. Po drodze nie spotkali żadnych pojazdów oprócz pługów śnieżnych wykorzystujących przerwę w opadach. Reacher miał pewien problem z pługami śnieżnymi. Nie z samymi pojazdami, ale z ich nazwą. Pług odwraca ziemię i zostawia ją w tym samym miejscu. Pługi śnieżne nie robią czegoś takiego ze śniegiem. Bardziej przypominają buldożery. Tak czy owak, Peterson wszystkie je wyprzedził. Nie zwalniał na skrzyżowaniach, nie ustępował pierwszeństwa przejazdu, nie czekał na zielone światła.

— Dokąd jedziemy? — chciał wiedzieć Reacher.

— Na zachodnie obrzeża miasta.

— O co chodzi?

— Intruzi.

— W czyimś domu?

— Na ulicy. Zawiadomiła o nich straż sąsiedzka.

Koniec wyjaśnień. Peterson po prostu jechał dalej, pochylony nad kierownicą spięty i podenerwowany. Reacher rozsiadł się obok niego na fotelu, zastanawiając się, jacy to intruzi sprawili, że zastępca komendanta miejscowej policji pędzi na złamanie karku w odpowiedzi na telefon jakiegoś wścibskiego sąsiada.

•••

Tysiąc siedemset mil na południe mężczyzna w ogrodzonej murem willi w Mexico City zadzwonił do Stanów Zjednoczonych. Ostatnie zadanie tego dnia. Dwudziesta trzecia czasu 52

lokalnego, dwudziesta druga czasu centralnego u wielkiego sąsiada z północy. Telefon został odebrany i mężczyzna z willi powtórzył instrukcje Platona, wolno i dokładnie. Nie było miejsca na nieścisłości. Nie było miejsca na błąd. Zaczekał na potwierdzenie i się rozłączył. Nie oddzwonił do Platona. Nie było takiej potrzeby. Platon nie rozumiał samej idei potwierdzania. Dla Platona wykonanie rozkazu następowało po jego wydaniu tak samo jak noc następowała po dniu. Było nieuniknione. Rozkaz mógłby nie zostać wykonany, tylko gdyby Ziemia przestała się kręcić wokół swojej osi.

Peterson miał włączoną radiostację. Reacher rozpoznał cztery różne głosy z czterech różnych radiowozów. Wszystkie przemierzały zachodnie obrzeża miasta i żaden z policjantów nie widział intruzów, o których donosili mieszkańcy. Peterson zaczął patrolować ulice, których tamci jeszcze nie sprawdzili. Skręcał w prawo, skręcał w lewo, dojeżdżał do końca ślepych uliczek, cofał się, jechał dalej. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem i w jego sieniej poświacie Reacher zobaczył elegancką podmiejską zabudowę, stojące w równych rzędach niewielkie domy, ciepłe światła za oknami, chodniki, podjazdy i podwórka, wszystkie jednakowe i płaskie pod grubą pierzyną śniegu. Na dachach wisiały grube białe czapy. Pługi zdążyły już odśnieżyć niektóre ulice i przy krawężnikach leżały wysokie sterty śniegu. Inne nadal były pokryte świeżą warstwą puchu, grubą lecz nie tak grubą jak podwórka i podjazdy. Obecne opady były najwyraźniej drugimi lub trzecimi w tym tygodniu. Drogi były zasypywane i odśnieżane, zasypywane i odśnieżane w niekończącym się rytmie zimy.

— Ilu jest tych intruzów? — zapytał Reacher.

— Mamy informacje o dwóch.

— Poruszają się samochodem?

54

— Pieszko.

— Co robią?

— Po prostu się przechadzają.

— Więc trzymaj się ulic, które odśnieżono. Nikt nie przechadza się dla przyjemności po sześciocalowej warstwie śniegu.

Peterson zwolnił i przez chwilę się nad tym zastanawiał. Następnie wjechał bez słowa w jedną z odśnieżonych ulic i ruszył w ślad za pługiem, skręcając raz w lewo, raz w prawo. Na asfalcie została cienka biała warstwa. Śnieg odgarnięty przez pług leżał po bokach, nadal czysty i miękki.

Cztery minuty później odnaleźli intruzów.

Było ich dwóch i stali ramię w ramię naprzeciwko trzeciego mężczyzny. Był nim komendant Holland. Jego samochód stał zaparkowany dwadzieścia stóp dalej. Nieoznakowany ford crown vic, granatowy albo czarny — trudno to było zgadnąć w świetle księżyca. Model policyjny, z antenami na pokrywie bagażnika i schowanymi na tylnej półce światłami awaryjnymi. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, silnik pracował. Pod dwiema rurami wydechowymi na śniegu widać było dwie ciemne smugi skroplonych spalin. Holland najwyraźniej wysiadł, przeszedł kilkanaście kroków i stawiał czoło dwóm facetom.

Dwaj faceci byli wysocy, biali, potężnie zbudowani i niechlujni. Mieli czarne wysokie buty Frye, czarne dżinsowe spodnie, czarne dżinsowe koszule, skórzane kamizelki, czarne rękawiczki bez palców, czarne skórzane bandany i włożone na to wszystko niezapięte, czarne, ocieplane kurtki. Z wyglądu nie różnili się zbyt od martwego faceta z fotografii.

Peterson zahamował w odległości trzydziestu stóp od nich i nie zgasił silnika. Reflektory jego samochodu oświetliły całą scenę. Holland nie był chyba w zbyt korzystnej sytuacji. Robił

wrażenie zdenerwowanego. Dwaj faceci nie. Szachowali komendanta, który stał odwrócony plecami do śnieżnej zasy.

55

Weszli na jego terytorium i nie zamierzali się wycofać. Holland wyglądał na pokonanego. Bezradnego.

Reacher zobaczył dlaczego. Kabura przy jego pasku była odpięta i pusta, ale on nie trzymał w ręku broni. Zerkał w dół na lewo.

Najwyraźniej upuścił pistolet w zaspę.

Albo wytracono mu go z ręki.

Tak czy owak, niedobrze.

— Co to za jedni? — zapytał Reacher.

— Niepożądany element.

— Tak niepożądany, że szef policji przyłącza się do polowania?

— Widzisz to samo co ja.

— Co chcesz zrobić?

— Sprawa jest śliska. Prawdopodobnie są uzbrojeni.

— Ty też.

— Nie mogę pozwolić, żeby komendant Holland wyszedł na idiotę.

— Nie jego wina — stwierdził Reacher. — Zmarzły mu ręce.

— Dopiero co wysiadł z samochodu.

— Nie dopiero co. Silnik pracuje na jałowym biegu od dziesięciu minut. Spójrz na kałuże pod rurą wydechową.

Peterson nie odpowiedział. I nie poruszył się.

— Co to za jedni? — zapytał znowu Reacher.

— A co to cię obchodzi?

— Pytam z czystej ciekawości. Boisz się ich.

— Tak sądzisz?

— Gdyby było inaczej, siedzieliby już w tej chwili skuci kajdankami z tyłu samochodu.

— To motocykliści.

— Nie widzę żadnych motorów.

— Jest zima. W zimie jeżdżą pick-upami.

— To teraz nielegalne?

— To ćpuny.

56

— A co ćpają?

— Białe kryształki.

— Amfetaminę?

— Metamfetaminę. Pałają ją. A ściśle rzecz biorąc, odparowują i robią sobie inhalacje. Ze szklanej fifki albo folii aluminiowej. Podgrzewa się ją i wdycha. Ludzie robią się wtedy nieodpowiedzialni i nieobliczalni.

— Ludzie zawsze są nieodpowiedzialni i nieobliczalni — zauważył.

— Nie tak jak ci faceci.

— Znasz ich?

— Tych konkretnie nie. Ale znam ich wszystkich.

— Mieszkają w mieście?

— Pięć mil na zachód. Jest ich całkiem sporo. Mają tam coś w rodzaju obozu. Na ogół stamtąd nie wystawiają nosów, ale ludzie ich nie lubią.

— Zabity facet był jednym z nich odrzekł Reacher.

— Na to wygląda — odparł Peterson.

— Więc może szukają swojego kumpla?

— Albo sprawiedliwości.

Peterson obserwował i czekał. Trzydzieści stóp dalej język ciała osób uczestniczących w scysji w ogóle się nie zmienił. Komendant Holland trząsał się z zimna albo ze strachu.

A może z obu powodów.

— Lepiej coś zrób — powiedział Reacher.

Peterson się nie ruszył.

— Ciekawa strategia — mruknął Reacher. — Będziesz czekał, aż zamrzną na śmierć.

Peterson się nie odezwał.

— Szkopuł w tym, że Holland zamrznie pierwszy — stwierdził Reacher.

Peterson nie odpowiedział.

— Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

— Jesteś cywilem.

— Tylko formalnie rzecz biorąc.

57

— Nie jesteś odpowiednio ubrany. Jest zimno.

— Ile to może potrwać?

— Nie masz broni.

— W starciu z tego rodzaju ludźmi nie muszę być uzbrojony.

— Metamfetamina to nie żarty. Nie mają żadnych zahamowań.

— W takim razie mamy równe szanse.

— Osoby będące pod jej wpływem nie odczuwają bólu.

— Nie muszą odczuwać bólu. Wystarczy, jeśli poczują, że są nieprzytomni.

Peterson nie odpowiedział.

— Ty idź na lewo, ja pójdę na prawo — powiedział Reacher. — Odwróć się do mnie i wtedy zajdziesz ich od tyłu.

Trzydzieści stóp przed nimi Holland coś powiedział i faceci zrobili krok do przodu. Holland cofnął się, potknął i klapnął ciężko na śniegu. Teraz był na wyciągnięcie ręki od miejsca, gdzie musiał upuścić pistolet.

Dwudziesta druga trzydzieści.

— Nie możemy z tym czekać — stwierdził Reacher.

Peterson pokiwał głową i otworzył drzwi.

— Nie ruszaj ich — powiedział. — Nie wszczynaj żadnej burdy. Na razie nie mamy im nic do zarzucenia.

— Z Hollandem siedzącym na tyłku?

— Dopóki nie udowodni im się winy, są niewinni. Tak stanowi prawo. Mówię poważnie.

Nie ruszaj ich.

Peterson wysiadł, przez sekundę stał przy otwartych drzwiczkach, po czym obszedł samochód i ruszył do przodu. Reacher dotrzymywał mu kroku.

Dwaj faceci zobaczyli, że się zbliżają.

Reacher zaszedł ich od prawej, Peterson od lewej. W samochodzie mieli przyjemną temperaturę plus dwadzieścia jeden stopni, temperatura na dworze była niższa co najmniej o trzydzieści trzy stopnie. Reacher zapiał kurtkę pod szyję wcisnął ręce do kieszeni i zgarbił ramiona tak, że kołnierz podjechał w górę. Mimo to trząsał się już po pięciu krokach.

Powiedzieć,

58

że mu zimno, to za mało. Powietrze było głęboko zamrożone. Dwaj faceci cofnęli się. Zrobili trochę więcej miejsca Hollandowi, który podniósł się z ziemi. Peterson stanął obok niego, nie wyjmując broni z kabury. Reacher obszedł zamrzniętą kałużę i zatrzymał się sześć stóp za facetami. Holland zrobił krok do przodu, pogrzebał w zaspie, podniósł swój pistolet, otrzepał go ze śniegu, oczyścił lufę i schował do kabury.

Wszyscy zastygli w bezruchu.

Cienka warstwa śniegu, którą zostawiły pługi, składała się częściowo z jasnego białego puchu, a częściowo z kryształków lodu, które migotały w świetle księżyca. Peterson i Holland patrzyli dwóm facetom prosto w oczy. Reacher stał za nimi, ale nie miał wątpliwości, że faceci nie pozostają im dłużni. Dygotał coraz bardziej, zaczęły mu szcząkać zęby, a jego oddech zamieniał się w mgiełkę.

Nikt się nie odzywał.

Facet po prawej stronie Reachera miał ponad sześć stóp wzrostu i prawie cztery szerokości. Na ten ostami wymiar składała się również wypchana gęsim puchem czarna zimowa kurtka, ale w przeważającej części ciało i krew. Facet po lewej stronie Reachera był trochę niższy i trochę węższy, lecz nadrabiał to aktywnością. Nie potrafił ustać spokojnie w miejscu, przestępował z nogi na nogę i kołysał rękami. Z pewnością z zimna, ale Reacher zgadywał, że cała ta ruchliwość to kwestia chemii, nie temperatury.

Nikt się nie odzywał.

— Panowie, albo sobie stąd pójdziecie, albo jeden z was będzie musiał mi pożyczyć kurtkę — odezwał się Reacher.

Faceci odwrócili się powoli. U tego dużego z prawej strony biała plama twarzy wyłaniała się z gęstej brody. Broda była cała oszroniona. Jak u polarnika albo alpinisty. Mniejszy facet, ten po lewej, miał dwudniowy zarost i rozbiegane oczy. Otwierał i zamykał usta niczym wypływająca z wody złota rybka. Cienkie ruchliwe wargi, zepsute zęby.

"— Co z ciebie za jeden? — zapytał duży facet z prawej.

59

— Wracajcie do domu — odparł Reacher. — Za zimno, żeby się wygłupiać na ulicy. Żadnej odpowiedzi.

Stojący za dwoma facetami Peterson i Holland nie przejawiali inicjatywy. Broń mieli w kaburach, kabury zapięte. Reacher planował następne posunięcia. Lepiej być przygotowanym. Nie przewidywał jakichś poważniejszych kłopotów. Wolałby, żeby większy facet stał po jego lewej stronie, ponieważ zmaksymalizowałoby to siłę uderzenia prawego sierpowego, pozwalając na nieco większy zamach, a on zawsze wolał nokautować w pierwszej kolejności większego z dwóch napastników. Był jednak gotów dostosować się do sytuacji. Może lepiej powalić najpierw tego ruchliwego. Większy facet jest prawdopodobnie wolniejszy i może mniej zajadły, niewspomagany chemią.

— Kurtka albo spływajcie, chłopcy — ponaglił ich.

Nie doczekał się odpowiedzi ze strony żadnego z dwóch facetów.

W tym momencie obudził się do życia i zapłonął gniewem komendant Holland. Zrobił krok do przodu i pchnął mniejszego faceta w plecy.

— Wynoście się, do diabła, z mojego miasta — warknął.

Mniejszy facet zatoczył się w stronę Reachera, po czym odzyskał równowagę i odwrócił się do Hollanda z pięścią zaciśniętą z tyłu niczym baseballista, który chce rozwalić radar mierzący szybkość piłki. Reacher złapał go za nadgarstek, przytrzymał przez ułamek sekundy i puścił, co wytrąciło faceta z rytmu, zakłóciło koordynację jego ruchów i sprawiło, że cios nie dosięgnął celu.

Jednak chwilę później odwrócił się i spróbował trafić kolejnym sierpowym Reachera. Co zdaniem tego ostatniego zdjęło z porządku dziennego kwestię jego domniemanej niewinności. Reacher zrobił krok w lewo i rozpedzona pięść minęła o cal jego podbródek. Facet poleciał do przodu, a Reacher podciął go i rzucił twarzą na lód. W tym samym momencie ruszył na

60

niego większy facet, stawiając małe krocзки, zaciskając wielkie jak bochny pięści i puszczając nosem obłoczki pary, niczym wściekły byk z dziecięcej książeczki z obrazkami.

Łatwy przeciwnik.

Reacher dostosował siłę uderzenia do impetu faceta i rąbnął poziomo łokciem w sam środek białej plamy między jego brodą i linią włosów. Tak jakby ktoś wpadł z rozpędu na rusztowanie. Gra skończona, tyle że mniejszy facet podniósł się na czworaki i próbował wstać, szukając oparcia dla dłoni i stóp jak ustawiający się w blokach sprinter. W związku z czym Reacher kopnął go mocno w głowę. Facetowi oczy stanęły w ślup, po czym przewrócił się na bok i znieruchomiał z podwiniętymi nogami.

Reacher wsadził ręce do kieszeni.

— Jezu — jęknął Peterson.

Dwaj faceci leżeli blisko siebie: dwa parujące czarne wzniesienia w skąpanej w świetle księżycy, skutej lodem kałuży. Peterson nie powiedział nic więcej. Holland pomaszerował do swojego nieoznakowanego samochodu, skorzystał z radia i po dłuższej chwili wrócił.

— Właśnie wezwałem dwa ambulansy — oznajmił i zmierzył spojrzeniem Reachera.

Reacher nie zareagował.

— Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego musiałem wezwać dwa ambulansy? — zapytał Holland.

— Bo się poślizgnąłem — odparł Reacher.

— Co takiego?

— Na lodzie.

— Taka jest pańska wersja? Że się pan poślizgnął i na nich wpadł?

— Nie. Poślizgnąłem się, zadając cios większemu facetowi. To osłabiło siłę uderzenia.

Gdybym się nie poślizgnął, nie wzywałby pan dwóch ambulansów. Wzywałby pan jeden ambulans i jeden karawan.

61

Holland odwrócił wzrok.

— Idź i zaczekaj w samochodzie — powiedział Peterson.

Adwokat poszedł spać o dwudziestej drugiej czterdzieści pięć. Jego dzieci zrobiły to dwie godziny wcześniej, żona nadal krzątała się w kuchni. Adwokat ustawił buty na półce, schował krawat do szuflady i powiesił garnitur na wieszaku. Koszulę, skarpetki i bieliznę wrzucił do kosza z rzeczami do prania. Włożył piżamę, odlał się, umył zęby, po czym wsunął się pod kołdrę i wbił wzrok w sufit. W jego uszach nadal rozbrzmiewał śmiech, który usłyszał w słuchawce tuż przed tym, nim wpadł w poślizg na autostradzie. Rechet, w którym słyhać było podniecenie, oczekiwanie, złośliwą satysfakcję. „Wyeliminować świadka”, wyrecytował wcześniej adwokat i facet po drugiej stronie linii radośnie się roześmiał.

Reacher wrócił do samochodu Petersona i zamknął za sobą drzwi. Twarz zeszywniała mu z zimna. Nastawił dmuchawę i ogrzewanie na maksimum i czekał. Pięć minut później pojawiły się ambulansy z migającymi na białym tle jaskrawoczerwonymi i niebieskimi światłami. Zabrały dwóch facetów, którzy nadal byli nieprzytomni. Wstrząśnienia mózgu i prawdopodobnie drobne uszkodzenia szczęki. Nic poważnego. Po solidnej dawce środków przeciwbólowych, trzech dniach wylegiwania się w łóżku i tygodniowej rekonwalescencji powinni dość do siebie.

Reacher nadal czekał w samochodzie. Trzydzieści stóp przed sobą widział Hollanda i Petersona. Stali odwróceny do niego bokiem, rozmawiając półgłosem. Domyślał się, że mówią o nim.

•••

62

— Czy on może być tym facetem? — pytał komendant Holland.

— Jeśli to on — odpowiadał Peterson — wyekspediował właśnie swoich dwóch domniemyanych współników do szpitala. Co wydaje się nieco dziwne.

— Może to zmyłka. Może to ukartowali. Albo jeden z nich chciał się z czymś wygadać, a on musiał ich uciszyć.

- Chronił ciebie, szefie.
- Na początku.
- Potem to była samoobrona.
- Jesteś pewny, że to nie on?
- Na sto procent. To po prostu nieprawdopodobne. Miał jedną szansę na milion, że tu trafi.
- Nie mógł spowodować, że autobus miał wypadek właśnie tutaj?
- Musiałby podbiec do kierowcy i fizycznie go zaatakować. A nikt nie twierdzi, że to zrobił. Ani kierowca, ani pasażerowie.
- No dobrze. W takim razie może to kierowca? Czy mógł rozmyślnie spowodować wypadek?
- Cholernie ryzykowne — uznał Peterson.
- Niekoniecznie. Przypuśćmy, że zna tę drogę, bo jeździł nią wcześniej, w lecie i w zimie. Wie, kiedy jest gołoledź. I celowo wprowadził autobus w poślizg.
- Z naprzeciwka jechał na niego samochód.
- Tak teraz mówi.
- Przecież mógł sam ucierpieć. Mógł zabić pasażerów. Mógł wylądować w szpitalu albo w więzieniu za spowodowanie śmiertelnego wypadku.
- Niekoniecznie — powtórzył Holland. — Te nowoczesne autobusy mają różne systemy zabezpieczeń. System kontroli frakcji, ABS i tak dalej. Wystarczyło zarzucić parę razy tyłem i zjechać do rowu. Nic trudnego.
- Mogę dziś pogadać z Reacherem — powiedział Peterson. — Jechał tym autobusem. Mogę z nim pogadać i wyrobić sobie pogład.

63

- To psychopata — mruknął Holland. — Chcę, żeby się stąd wyniósł.
 - Drogi są nieprzejezdne.
 - W takim razie chcę go przymknąć.
 - Naprawdę? — zdziwił się Peterson. — Szczerze mówiąc, szefie, zrobił na mnie wrażenie sprytnego faceta. Zastanów się. Dzięki niemu nie masz rozbitego nosa, a ja nie musiałem zastrzelić dwóch facetów. Robiąc to, co zrobił, oddał nam obu wielką przysługę.
 - Przypadkowo.
 - Może celowo.
 - Uważasz, że zdawał sobie sprawę, co robi? W momencie kiedy to się działo?
 - Owszem, moim zdaniem zdawał sobie sprawę. Moim zdaniem to rodzaj faceta, który widzi pewne sprawy pięć sekund przed całą resztą.
 - Mówisz poważnie?
 - Tak, spędziłem z nim trochę czasu, szefie.
- Holland wzruszył ramionami.
- No dobrze, pogadaj z nim, skoro tak ci zależy.
 - Może nam się przyda? To były wojskowy. Może coś wie.
 - O czym?
 - O tym, co jest na zachód od miasta.
 - Polubiłeś go?
 - Nie ma znaczenia, czy go lubimy. Możemy go wykorzystać. W tych okolicznościach grzechem byłoby tego nie zrobić.
 - Robiąc to, przyznajemy się do klęski.
 - Nie, szefie, to z naszej strony przejaw zdrowego rozsądku. Lepiej wcześniej poprosić o pomoc, niż dać sobie później skopać tyłki.
 - Ile powinniśmy mu powiedzieć?

— Większość — odparł Peterson. — Może wszystko. Pewnie i tak wszystkiego się domyśli.

— Tak właśnie byś postąpił, gdybyś był szefem?

64

— Tak, szefie, tak bym postąpił.

Holland zastanawiał się nad tym przez chwilę. Pokiwał głową.

— Dobrze, to mi wystarczy — powiedział. — Pogadaj z nim. Dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć.

Zostały pięćdziesiąt trzy godziny.

Peterson wracał do domu radiowozem. Co zdaniem Reachera było niezwykle. Z doświadczenia wiedział, że małomiasteczkowi gliniarze zostawiają służbowe auta na parkingu i wracają do domu prywatnymi. Potem nowa zmiana ładuje się do służbowych i wyrusza w teren, kiedy silniki i siedzenia są jeszcze ciepłe. Ale Peterson oświadczył, że policja w Bolton ma wystarczająco dużo samochodów. Każdemu funkcjonariuszowi przysługuje własny. I każdy funkcjonariusz ma obowiązek mieszkać w odległości najwyżej dziesięciu minut jazdy od komisariatu.

On sam mieszkał w odległości dwóch minut jazdy, milę od centrum, w miejscu, w którym stały pozostałości starej farmy. Pomalowany na czerwono dom z białymi profilami był solidny i drewniany, miał kształt piaskowej babki. W kilku oknach paliło się ciepłe żółte światło. Obok stała utrzymana w tym samym stylu stodoła. Dachy obu budynków przysypane były śniegiem. Otaczający teren był biały, ścięty mrozem, płaski i cichy. Kwadratową działkę o powierzchni mniej więcej jednego akra ogrodzono rozpiętym na palikach drutem kolczastym wystającym mniej więcej stopę nad śniegiem.

Odśnieżony podjazd rozwidła się: jedna nitka prowadziła do stodoły, druga do domu.

Peterson zaparkował w stodole,

66

otwartym od frontu budynku z trzema stanowiskami. Stał tam już pick-up z zamontowanym pługiem śnieżnym, obok leżał stos drewna na opał. Reacher i Peterson wysiedli z samochodu, przeszli odśnieżonym pasem do rozwidlenia, po czym skręcili w stronę domu.

Drewniane frontowe drzwi pomalowane były na ten sam kolor co ściany. Otworzyły się, zanim jeszcze do nich podeszli. W sieni stała kobieta, za nią było ciepłe wnętrze i ciepłe światło. W wieku Petersona, szczupła, więcej niż średniego wzrostu, ze związanymi w kucyk jasnymi włosami, miała na sobie czarne spodnie i wełniany sweter z wyhaftowanym skomplikowanym wzorem.

Żona Petersona.

Cała trójka odstawiła pantomimę grzeczności, Peterson, chcąc schronić się przed zimnem, jego żona, nie chcąc wyziębnić wnętrza, Reacher, nie chcąc pchać się do środka niezaproszony. Po dłuższej chwili kobieta otworzyła szerzej drzwi. Peterson położył dłoń na ramieniu Reachera i weszli razem do środka. Hol miał lakierowaną drewnianą podłogę, niski sufit i tapety na ścianach. Po lewej stronie znajdował się salon, po prawej jadalnia. W głębi na wprost kuchnia. Gdzieś w pobliżu paliło się drewno w piecyku. Reacher poznał to po zapachu dymu i rozgrzanego żelaza.

Peterson przedstawił ich sobie, mówiąc półgłosem, co uświadomiło Reacherowi, że na górze muszą spać dzieci. Żona Petersona miała na imię Kim i najwyraźniej wiedziała wszystko o wypadku autobusu i potrzebie zapewnienia noclegu. Oświadczyła, że posłała łóżko w gabinecie. Powiedziała to przeproszającym tonem, jakby prawdziwa sypialnia była lepsza.

— Wystarczyłby mi kawałek podłogi, proszę pani — odparł Reacher. — Przepraszam, że w ogóle sprawiam kłopot.

— To żaden kłopot.

Mam nadzieję, że rano ruszę dalej.

Nie sędę. Zapowiadają obfite opady śniegu aż do świtu.
W takim razie może później w ciągu dnia, proszę pani.

67

- Obawiam się, że autostrada nadal będzie zamknięta. Prawda, Andrew?
- Chyba tak — mruknął Peterson.
- Proszę czuć się jak u siebie w domu tak długo, jak długo będzie pan musiał zostać — powiedziała jego żona.
- To bardzo miło z pani strony. Dziękuję — odparł Reacher.
- Zostawił pan bagaż w samochodzie?
- On nie ma żadnego bagażu — wyjaśnił Peterson. — Twierdzi, że rzeczy nie są mu potrzebne.

Na twarzy Kim nie odbiły się żadne uczucia, jakby miała problemy z przetworzeniem tego rodzaju informacji. Popatrzyła na kurtkę, koszulę i spodnie Reachera.

— Z samego rana pójde do sklepu — wyjaśnił. — Tak właśnie zrobię. Co parę dni kupuję nowe rzeczy.

- Zamiast oddawać stare do pralni?
- Tak jest.
- Dlaczego?
- Bo to logiczne.
- Będzie pan potrzebował cieplej kurtki.
- Na to wygląda.

— Niech pan jej nie kupuje. Za drogo panu wyjdzie, tylko na parę dni. Możemy ją panu pożyczyć. Mój tata ma pańskie wymiary. Trzyma kurtkę u nas na czas odwiedzin. — Kim odwróciła się, otworzyła szafę, nachyliła się i zdjęła wieszak z pałąka. Wisiała na nim olbrzymia puchowa kurtka z poziomymi pikowaniami wielkości dętek samochodowych. Była stara, znoszona i miała ciemne ślady w miejscach, gdzie odpruto od niej odznaki i pagony. Te na rękawach miały kształt szew-ronów.

- Emerytowany gliniarz? — zapytał Reacher.
- Z drogówki — odparła Kim Peterson. — Pozwalali im zatrzymać ubranie, pod warunkiem że odprują insygnia.

Kurtka miała obszyty futrem kaptur, futrzaną czapkę wetkniętą do kieszeni i dwie rękawice w drugiej.

— Niech pan przymierzy — powiedziała Kim.

68

Okazało się, że jej ojciec nie był taki jak Reacher. Był większy, a kurtka była o jeden numer za duża. Ale zawsze lepiej, jeśli coś jest za duże, niż gdyby miało być za małe. Reacher włożył ją, zerknął na rękawy i się uśmiechnął. Ślady po szewronach sprawiły, że poczuł się człowiekiem kompetentnym. Zawsze lubił swoich sierżantów. Odwalali dobrą robotę. Kurtka pachniała naftaliną. Czapka zaś włosami innego mężczyzny. Była zrobiona z brązowego nylonu i króliczego futra.

— Dziękuję — powiedział Reacher. — Bardzo pani miła.

Zdjął kurtkę, a ona wzięła ją i powiesiła na wieszaku tuż przy wejściu, tam, gdzie Peterson wieszał swoją parkę. Następnie wszyscy przeszli do kuchni zajmującej prawie całą szerokość domu. Były w niej te same co wszędzie kuchenne sprzęty, a także sfatygowany stół, sześć krzeseł i kącik rodzinny z sofą, dwoma fotelami i telewizorem. W drugim końcu pomieszczenia stała opalana drewnem koza, która huczała jak parowóz. Za nią były zamknięte drzwi.

— To gabinet — poinformowała Reachera Kim. — Proszę, niech pan wejdzie. Zrozumiał, że odprawiają go na noc. Odwrócił się, żeby jeszcze raz podziękować, ale okazało się, że Peterson ma zamiar mu towarzyszyć.

— On chce z panem pogadać — powiedziała Kim. —
Domyślałam się, bo ze mną nie rozmawia.

•••

Mężczyzna, któremu kazano zabić świadka i adwokata, zabrał się do czyszczenia pistoletu, który dostał do wykonania zadania. Był to glock 17, niezbyt stary i niezbyt nowy, sprawdzony i w dobrym stanie. Mężczyzna rozłożył go, naoliwił i z powrotem złożył. Kolba była chropowata i w mikroskopijnych rowkach zgromadził się brud. Uporał się z nim zmoczonym w rozpuszczalniku patyczkiem kosmetycznym. Blisko krawędzi

69

wytłoczone było wymyślne i raczej amatorskie logo producenta, na którym duża litera G otaczała resztą napisu. Łatwo było potraktować G jako obrys i z tego względu ją pominąć. Na pierwszy rzut oka nazwa mogła brzmieć LOCK. Cały napis również był zabrudzony. Mężczyzna ponownie zmoczył patyczek w rozpuszczalniku i po minucie logo było czyste.

•••

Gabinet Petersona był niedużym, ciemnym, męskim pomieszczeniem zajmującym tylny róg domu, z dwoma oknami wychodzącymi na dwie różne strony świata. Grube kraciaste zasłony były rozsunięte. W dwóch wewnętrznych ścianach było troje drzwi. Do pokoju rodzinnego oraz zapewne do łazienki i małej garderoby. Przy ścianach stały kupione na podwórkowych wyprzedazach szafki na akta, a także stare biurko z małą lodówką na blacie. Na lodówce tykał staroświecki budzik z dwoma metalowymi dzwoneczkami. Poza tym umeblowanie składało się z niskiego skózanego fotela w skandynawskim stylu i rozłożonej dwuosobowej sofy.

Reacher usiadł na niej. Peterson wyjął z lodówki dwa piwa, otworzył je, wyrzucił kapsle do kosza na śmieci, podał jedną z butelek Reacherowi i usiadł w skózanym fotelu.

— Mamy tu pewien problem — oznajmił.

— Wiem — odparł Reacher.

— Jak dużo wiesz?

— Wiem, że certolicie się z bandą ćpających amfę motocyklistów. Jakbyście się ich bali.

— Nie boimy się ich.

— Więc dlaczego się z nimi certolicie?

— Dojdziemy do tego. Co jeszcze wiesz?

— Wiem, że macie całkiem duży budynek komisariatu.

— Zgadza się.

— Z czego wynika, że służy u was sporo ludzi.

70

— Sześćdziesięciu funkcjonariuszy.

— I pracujecie pełną parą przez cały dzień i przez cały wieczór tak ciężko, że niebędący na służbie komendant i niebędący na służbie jego zastępca muszą reagować na obywatelskie zgłoszenie o dziesiątej wieczorem. Prawdopodobnie wynika to z tego, że większość waszych ludzi pełni służbę przy blokadzie drogowej. Właściwie macie zamknięte całe miasto.

— Dlaczego?

— Bo obawiacie się kogoś, kto przybędzie z zewnątrz.

Peterson upił długi łyk piwa.

— Czy wypadek autobusu nie był sfingowany? — zapytał.

— Nie jestem facetem, którego szukacie.

— Wiemy, że nim nie jesteś. Nie miałaś wpływu na to, co się stało. Ale może być nim kierowca.

Reacher pokręcił głową.

— To zbyt wykoncypowane. Cały plan mógł się nie udać na tysiąc różnych sposobów.

— Naprawdę starał się wyjść z poślizgu?

— A cóż innego mógł zrobić?
— Mógł go na przykład spowodować.
— Czy nie lepiej byłoby po prostu zgasić silnik i udać, że się popsuł? I zrobić to bliżej skrzyżowania?
— To byłoby zbyt oczywiste.
— Spałem. Ale to, co zobaczyłem, kiedy się obudziłem, wydawało mi się autentyczne. Nie sądzę, żeby to był wasz facet.
— Ale może nim być.
— Wszystko jest możliwe. Ale gdybym to ja nim był, udałbym, że przyjeżdżam na widzenie. Komendant Holland mówi, że macie sporo odwiedzających. Motele pękają w szwach przez sześć dni w tygodniu. Dobrze znamy wszystkich odwiedzających. Ludzie raczej nie odsiadują tu krótkich wyroków. Twarze się nie zmieniają i obserwujemy ich. Jeśli pojawia się ktoś nieznaną, dzwoniemy do więzienia, żeby sprawdzili, czy jest na liście.

71

Odwiedzający to zresztą głównie kobiety i dzieci. Spodziewamy się mężczyzny. Reacher wzruszył ramionami i pociągnął z butelki. Piwo było marki Miller. Stojąca obok niego lodówka zaczęła buczeć. Kiedy Peterson otworzył drzwiczki, do środka dostało się ciepłe powietrze i teraz agregat musiał je ochłodzić.

— Budowa więzienia trwała dwa lata — powiedział Peterson. — Pracowało przy niej kilkuset robotników. Zbudowano dla nich obóz pięć mil na zachód od miasta, na państwowym terenie. Jest tam stara baza wojskowa. Postawili w niej więcej domków i przyczep. Coś w rodzaju małej osady. A potem się wynieśli.

— Kiedy?
— Rok temu.
— I co?
— Pojawili się motocykliści. Przejęli to miejsce.
— Ilu ich jest?
— Więcej niż setka.
— I co?
— Sprzedają metamfetaminę. Dużo metamfetaminy. Na wschód i na zachód od nas dzięki autostradzie. Mają duże obroty.
— Więc ich przegońcie.
— Próbowaliśmy, ale to nie jest takie łatwe. Nie mamy przekonującego powodu, żeby zrobić tam kłopot. Co normalnie nie jest problemem. Laboratorium w przyczepie funkcjonuje najwyżej kilka dni. Aparatura wybuchą. Trzeba tylko tam wpaść w ślad za strażą pożarną. Całe mnóstwo łatwopalnych chemikaliów. Tyle że ci ludzie są bardzo ostrożni. Do tej pory nie było żadnych wypadków.

— Ale?
— Pojawiła się szansa na przełom. Z Chicago przyjechał ważny kupiec, żeby negocjować duży zakup. Spotkał się z ich szefem tu, w Bolton. Na neutralnym gruncie, w cywilizowany sposób. Kupił próbkę prosto ze skrzyni pick-upa na parkingu przed restauracją w której jedliśmy dzisiaj kolację.

72

— I co?
— Mamy świadka, który widział całą transakcję. Facet z Chicago zwiął, ale udało nam się przejąć narkotyki i pieniądze i zgarnęliśmy motocyklistę. Siedzi w więzieniu okręgowym, czeka na proces.
— To ich szef? Nie daje wam to prawa do przeszukania obozu?

_ Jego pick-up jest zarejestrowany w Kentucky. Prawo jazdy wydane w Alabamie. Facet twierdzi, że jest tu przejazdem i w ogóle nie mieszka w tym miejscu. Nie mamy nic, co by go z nim wiązało. Nie możemy wydać nakazu na podstawie tego, że ubiera się tak samo jak inni faceci, których widzieliśmy. Sądom to nie wystarcza. Chcą czegoś więcej.

— Więc jaki macie plan?

— Chcemy, żeby się przyznał. Zaoferujemy mu ugodę sądową a on powie nam wszystko, czego potrzebujemy, żeby zlikwidować ten bajzel.

— Zgodził się?

— Jeszcze nie. Bierze nas na przeczekanie. Ma nadzieję, że świadek zapomni, co widział, albo umrze.

— Kim jest świadek?

— To miła starsza pani, mieszka w mieście. Ma siedemdziesiąt parę lat. Była kiedyś nauczycielką i bibliotekarką. W stu procentach wiarygodna.

— Czy może zapomnieć, co widziała, albo umrzeć?

— Oczywiście, że tak. Tak to się tutaj załatwia. Zastrasza się świadków. Albo zabija.

— Dlatego nie podobają ci się obcy przyjeżdżający do miasta. Boisz się, że przyjeżdżają do niej?

Peterson pokiwał bez słowa głową.

Reacher pociągnął z butelki długi łyk.

— Dlaczego uważacie, że to będzie obcy? Czy motocykliści nie mogą tego załatwić sami?

Peterson pokręcił głową.

73

— Mamy na oku wszystkich motocyklistów, którzy przyjeżdżają do miasta. Sam to dziś widziałeś. Wszyscy mają ich na oku. Więc to nie będzie motocyklista, boby się wkopali. Cała ich strategia polega na zaprzeczaniu, że cokolwiek się zdarzyło.

— Rozumiem.

— Wybiera się tu ktoś inny. To musi być ktoś inny. Ktoś, kto działa w ich imieniu. Ktoś, kogo nie rozpoznamy, kiedy tutaj dotrze.

8

Reacher znów napił się piwa.

— To nie jest kierowca autobusu — stwierdził.

— Skąd ta pewność? — zapytał Peterson.

— Ile pieniędzy dostają ci faceci za metamfetaminę?

— Z tego, co wiem, dwieście dolców za gram, a przewożą ją pick-upami, które mogą zabrać sporo gramów. Niewykluczone, że zarabiają miliony.

— W takim razie stać ich na wynajęcie zawodowców. Zawodowy zabójca, który dorabia w ciągu dnia jako kierowca autobusu, to niezbyt przekonujące połączenie.

Peterson pokiwał głową.

— No dobrze, więc to nie kierowca. Pan Jay Knox jest niewinny.

— Czy możecie ręczyć za wszystkich ludzi, którzy odwiedzają osadzonych?

— Obserwujemy ich. Przyjeżdżają do moteli, wsiadają do autobusu jadącego do więzienia, wracają, wyjeżdżają nazajutrz. Każde odstępstwo od tej rutyny zwróciłoby naszą uwagę.

— Gdzie przebywa świadek?

— W swoim domu. Nazywa się Janet Salter. Jest naprawdę urocza. Typowa babcia z książki dla dzieci. Mieszka na szczęście w ślepym zaułku. Nasz radiowóz blokuje tam wjazd przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Widziałeś go.

75

- To za mało.
 - Wiemy. Mamy również drugi samochód przed jej domem i trzeci zabezpieczający tyły na sąsiedniej ulicy. Poza tym policjantki w samym domu, najlepsze, jakie mamy, minimum cztery o każdej porze, dwie dyżurujące, dwie odpoczywające.
 - Kiedy odbędzie się proces?
 - Za miesiąc, jeśli wszystko dobrze się ułoży.
 - Pani Salter nie chce wyjechać? Moglibyście umieścić ją w jakimś hotelu. Na przykład na Karaibach. Ja od razu bym się zgodził.
 - Nie chce nigdzie wyjeżdżać.
 - Czy zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa?
 - Wyjaśniliśmy jej sytuację, ale ona chce postąpić tak, jak nakazuje jej sumienie. Mówi, że to kwestia zasad.
 - To godne pochwały.
- Peterson pokiwał głową.
- Nam to pasuje, bo przyskrzynimy całą bandę. Choć z drugiej strony przysparza nam to masę kłopotów. Musimy angażować duże środki.
- Teraz to Reacher pokiwał głową.
- I dlatego certolicie się z motocyklistami, zamiast stawić im czoło. Otwarta wojna mogłaby okazać się dla was zbyt kosztowna.
 - I ponieważ musimy przekonać ławę przysięgłych. Nie możemy pozwolić, żeby adwokaci udowodnili, iż to było celowe nękanie. Poza tym motocykliści nie są tacy głupi. Pilnują się. W pojedynkę żaden z nich jeszcze nikogo nie skrzywdził. Przynajmniej publicznie.
 - Czego nie można powiedzieć o ich adwersarzach. Widziałem fotografie.
 - Zgadza się — odparł Peterson. — Wygląda na to, że któryś z naszych porządnymi obywateli zatłukł jednego z nich na śmierć.

•••

76

Zegar na lodówce pokazywał dwudziestą trzecią pięćdziesiąt pięć. Zostały pięćdziesiąt dwie godziny. Księżyc wspiął się wyżej, świeży śnieg skrzył się w jego poświacie. Powietrze stało w miejscu. Wiatr ucichł. Mróz był tak duży, że Reacher czuł, jak zimno przenika przez ściany domu. W strefie buforowej zakradało się i cofało, wypierane przez ciepłe powietrze z piecyka.

- Czy komendant Holland daje sobie radę z tym wszystkim? — zapytał.
- Dlaczego pytasz? — odparł Peterson.
- Mam wrażenie, że sytuacja trochę go przerosła.
- Holland to porządny facet.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Czy służąc w wojsku, dyskutowałeś o swoich przełożonych?
- Bez przerwy. Z ludźmi, którzy byli mi równi rangą.
- Czy jesteście równi rangą?
- Mniej więcej.
- I jacy byli ci twoi przełożeni?
- Niektórzy byli dobrzy. Inni byli dupkami.
- Holland jest w porządku — zapewnił Peterson. — Ale jest zmęczony. Zmarła mu żona. A potem jego córka dorosła i odeszła z domu. Jest samotny i trochę psychicznie poobijany.
- Widziałem fotografię w jego gabinecie.
- Z lepszych czasów. Tworzyli fajną rodzinę.
- Więc daje sobie radę czy nie?

— W dostatecznym stopniu, żeby poprosić o pomoc, kiedy będzie jej potrzebował — odparł Peterson.

— A kogo o nią poprosi?

■— Ciebie.

Reacher dokończył piwo. Było mu ciepło, wygodnie i czuł się trochę zmęczony.

— Co mógłbym dla niego zrobić?

Na terenie obozu dla robotników była kiedyś baza wojskowa.

77

— Już mi to mówiłeś.

— Chcemy wiedzieć, co się tam dokładnie znajdowało.

— Nie wiecie tego?

Peterson pokręcił głową.

— Zbudowano ją dawno temu. Jest tam jeden murowany budynek wielkości domu mieszkalnego.

— To wszystko?

Peterson pokiwał głową.

— Długa prosta droga prowadzi do małego samotnego domku na prerii — dodał.

— Jest wielkości domu mieszkalnego?

— Właściwie mniejszy.

— Jaki ma kształt?

— Kwadratowy. Prostokątny. Jak to dom.

— Ma dach?

— Oczywiście.

— Bo przyszło mi do głowy, że to silos rakietowy. W Dakocie jest ich sporo.

— To nie silos.

— W takim razie to może być cokolwiek. Coś, co zaczęli i nie skończyli.

— Raczej nie. Starsi ludzie dużo pamiętają. Mówią, że przez długie miesiące pracowało tutaj kilkuset żołnierzy wojsk inżynieryjnych. I teren otoczony był kordonem. Stale ktoś tam przyjeżdżał i stamtąd wyjeżdżał. Spory ruch, jak na jeden budynek.

— Słyszałem o dziwniejszych rzeczach.

— Musimy to wiedzieć. Niewykluczone, że będziemy musieli tam wejść i aresztować ponad sto osób. Musimy wiedzieć, z czym przyjdzie nam się zmierzyć.

— Zadzwońcie do kogoś. Skontaktujcie się z Departamentem Wojsk Lądowych.

— Zrobiliśmy to. Dzwoniliśmy my, dzwoniły władze okręgu i władze stanu.

— I co?

78

— Nikt nie doczekał się odpowiedzi.

— Ile lat mają wasi najstarsi mieszkańcy?

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Pytam, kiedy zbudowano ten obiekt. Czy widzieli tych wszystkich żołnierzy na własne oczy? Może powtarzają historie, które usłyszeli od swoich rodziców i dziadków?

— Obiekt ma mniej więcej pięćdziesiąt lat.

— Ile czasu minęło, odkąd po raz ostami widziano tu jakichś żołnierzy?

— Nigdy ich nie widziano. Obiekt nie był nigdy użytkowany.

Reacher wzruszył ramionami.

— No więc mamy do czynienia z porzuconym obiektem z lat zimnej wojny. Może nawet nigdy nieukończonym. Jeszcze wczoraj jego zbudowanie wydawało się doskonałym pomysłem, nazajutrz już nie. Takie rzeczy zdarzały się wtedy bez przerwy, ponieważ strategia była płynna albo dlatego, że nikt nie miał zielonego pojęcia, co robi. Nie stanowi to jednak

wielkiego problemu. Murowany budynek będzie bardziej odporny na strzały z broni palnej niż barak albo przyczepa, lecz zakładam, że nie macie zamiaru wdawać się tam w strzelaninę.

— Musimy mieć pewność.

— Nie mogę wam pomóc. Nigdy tam nie służyłem. Nigdy nie słyszałem żadnych plotek na ten temat.

— Możesz zasięgnąć języka nieoficjalnie. Może nadal znasz odpowiednich ludzi.

— Odszedłem z wojska dawno temu.

— Mógłbyś tam pojechać i rzucić okiem.

— To murowany budynek. Wojskowe mury wszędzie są takie same.

— Więc po co sprowadzono tam kilkuset żołnierzy?

— Do czego zmierzasz?

— Zastanawiamy się, czy jest tam coś pod ziemią. Może budynek to tylko szczyt schodów. Na dole może być prawdziwy labirynt. Może mieści się tam laboratorium, w którym produkują nietamfetaminę. To by tłumaczyło brak pożarów i wybuchów

79

w przyczepach. Mogli zrobić z tego miejsca prawdziwą fortecę. Mogą tam mieć na dole żywność, wodę i broń. Cała historia może się zmienić w oblężenie. Nie chcemy tego.

•••

Peterson wstał, podszedł do biurka i wyjął z lodówki dwie kolejne butelki. Reacher zorientował się, że są dopiero w połowie rozmowy. Albo w jednej trzeciej, jeśli Peterson trzyma w lodówce sześciopak.

— Jest coś więcej — powiedział.

— Nie mów — mruknął Reacher.

— Zamknęliśmy ich szefa, ale nadal ktoś nimi dowodzi. Grupa wciąż sprawnie funkcjonuje.

— To znaczy, że ma zastępcę.

— Gangi nie funkcjonują w taki sposób.

— To znaczy, że nadal się z nimi komunikuje. Przez komórkę albo wysyłając grypsy.

— Wykluczone.

— No to za pośrednictwem adwokata. Spotyka się z nim codziennie. Udają, że przygotowują się do procesu, ale w rzeczywistości wasz facet wydaje instrukcje, a adwokat je przekazuje.

— Tego się obawialiśmy. Ale nic takiego się nie dzieje.

— Skąd wiecie?

— W rozmównicy mają ukrytą aparaturę audio i wideo.

— Rejestrują rozmowy adwokata z klientem? Czy to zgodne z prawem?

— Niewykluczone. To całkiem nowe więzienie, a w nowych federalnych przepisach jest dużo paragrafów zapisanych drobnym drukiem.

— On nie jest więźniem federalnym.

— No więc dobrze, może to nie jest do końca legalne.

— Ale i tak to robicie?

— Owszem — odparł Peterson. — I nie usłyszeliśmy ani jednej instrukcji. Nie przekazano żadnych notatek, niczego nie zapisano.

80

— Słyszeliście kiedyś o Czwartej Poprawce? To może wam zawalić całą sprawę.

— Nie mamy zamiaru wykorzystywać tego, co zarejestrowaliśmy. Prokurator nie wie, że to robimy. Chcemy po prostu wiedzieć wcześniej, na wypadek gdyby chcieli załatwić świadka.

— Nic jej się nie stanie. Dobrze jej pilnujecie. To za ledwie miesiąc. Musicie tylko przyłożyć się trochę bardziej do roboty.

— Walczyliśmy o to więzienie.

— Holland mi o tym mówił. Jak o montażownię Toyoty. Albo Hondy.

— To było coś za coś.

— Zawsze tak jest.

— Personel więzienia dostał ulgi podatkowe, zbudowaliśmy domy, rozbudowaliśmy szkołę.

— Ale?

— Musieliśmy jednocześnie zaakceptować ich plan kryzysowy.

— Który polega na czym?

— Jeśli dojdzie do ucieczki, mamy wyznaczone zadania.

— Które polegają na czym?

— Wszyscy policjanci z Bolton meldują się na ustalonych wcześniej pozycjach, milę od więzienia.

— Wszyscy?

— Co do jednego. Ci, którzy są na służbie, i ci, którzy mają wolne. Ci, co są na chodzie, i ci, co śpią. Zdrowi i chorzy.

— Mówisz poważnie?

— Na to właśnie się zgodziliśmy. Dla dobra miasta.

— To niedobrze.

— Bardzo niedobrze — przyznał Peterson. — Słyszac syrenę, rzucamy wszystko i jedziemy na północ. Wszyscy. Jeśli syrena zawyje w ciągu tego miesiąca, zostawimy Janet Salter na łasce losu.

9

Reacher wypił prawie całe drugie piwo.

— To jest chore — oświadczył.

— Tylko w rzeczywistości. Nie na papierze. Teoretycznie mamy jako wsparcie drogówkę. A federalni zaproponowali nam program ochrony świadka dla pani Salter. Ale w zimie patrol drogówki jest na ogół odległy o kilka godzin jazdy, a pani Salter nie zgodziła się na program ochrony. Mówi, że to nie ją, lecz motocyklistów powinno się trzymać pod kluczem.

— No to macie problem — westchnął Reacher.

— Nie musisz mi o tym mówić.

Reacher wyjrzał przez okno i popatrzył na skąpany w księżycowej poświacie krajobraz.

— Przyznasz jednak, że to nie jest idealna pogoda na ucieczkę. Nie w tym momencie — powiedział. — I może przez kilka następnych miesięcy. W promieniu pięciu mil wszędzie jest gruba warstwa śniegu. Jeśli ktoś przedostanie się przez ogrodzenie, jakie tam mają, w ciągu godziny umrze z wyziębienia. Albo zostanie namierzony przez helikopter. Jego ślady stóp będą doskonale widoczne.

— Nikt już nie ucieka z więzienia na piechotę. Zbiegowie wyjeżdżają ukryci w furgonetce dostawczej czy podobnym pojeździe.

— Więc po co meldować się milę od więzienia?

82

— Nikt nie powiedział, że ich plan kryzysowy jest sensowny.

— Więc ich oszukajcie. Zostawcie część ludzi na miejscu. Przynajmniej te policjantki, które pilnują pani Salter w domu.

— Nie da się. Wszyscy zostaną policzeni. A potem czeka nas audyt. Jeśli nie wypełnimy co do joty ich zaleceń, obetną nam dotacje federalne na następne dziesięć lat. Miasto podpisało kontrakt. Wzięliśmy od nich pieniądze.

- Na dodatkowe samochody? — spytał Reacher.
Peterson pokiwał głową.
- I na domy. Wszyscy mieszkają w odległości dziesięciu minut od więzienia, wszyscy mają samochody, wszyscy mają włączone radiostacje, wszyscy reagują natychmiast.
- Nie możecie załadować pani Salter do radiowozu i zabrać jej ze sobą?
- Nie wolno nam angażować osób cywilnych. Na pewno nie możemy ich ze sobą zabierać.
- Czy ktoś już stamtąd uciekł?
- Nie. To nowe więzienie. Dobrze sobie radzą.
- Więc pozostaje mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.
- Nie rozumiesz tego. Nadzieja to za mało. Gdyby chodziło o hipotetyczną możliwość czy zbieg okoliczności, raczej byśmy się nie przejmowali — tłumaczył Peterson. — Ale to nie jest hipotetyczna możliwość. Ponieważ ten sam facet, który chce, żebyśmy przestali pilnować Janet Salter, jest w stanie nas do tego zmusić. Kiedy tylko zechce.
- Uciekając w ustalonym momencie? Nie sądzę. Zorganizowanie ucieczki wymaga czasu. Musiałby ocenić sytuację, opracować plan, znaleźć szofera furgonetki, zdobyć jego zaufanie, zorganizować pieniądze, wszystko przygotować.
- Jest coś jeszcze. Coś o wiele gorszego.
- Słucham.
- Druga część planu kryzysowego dotyczy rozruchów w więzieniu. Personel wchodzi do środka, a my zajmujemy wieże i bramę.
- Wszyscy?

83

- Tak samo jak w części pierwszej. A rozruchy w więzieniu można zorganizować bardzo szybko. Mogą się zacząć w ułamku sekundy. Możesz mi wierzyć, więzienie to miejsce, które aż się prosi o rozruchy.

•••

Nie było trzeciej butelki piwa. Nie było więcej konkretów do omówienia. Jedynie kilka uściśleń i powtórzeń.

- Rozumiesz? Więzienn może to zaplanować co do minuty — mówił Peterson. — Wystarczy powiedzieć coś nieodpowiedniego odpowiedniej osobie i za minutę wybucha bójka. W następnej minucie mamy rozruchy na całego. Dostajemy telefon i dziesięć minut później jesteśmy pięć mil od domu Janet Salter.
- Facet siedzi w areszcie? — upewnił się Reacher. — W więzieniu okręgowym, tak? Nikt nie wywołuje zamieszek w areszcie. Wszyscy czekają na rozprawę. Kombinują jak udowodnić, że są niewinni.
- To motocyklista. Ma znajomych w głównym budynku. Albo majątam znajomych jego znajomi. Tak działają więzienne gangi. Dbają o swoich. I jest wiele sposobów, żeby się ze sobą komunikować.
- Niedobrze — mruknął Reacher.
- Bardzo niedobrze — zgodził się z nim Peterson. — Kiedy zawyje syrena, zostawiamy za biurkiem dziadka, który jest cywilem, i na tym koniec. Ma nas zawiadomić, gdyby ogłoszono alarm antyterrorystyczny, ale poza tym mamy związane ręce.
- Spodziewacie się alarmu antyterrorystycznego?
- Nie tutaj. Mount Rushmore ma wartość symboliczną ale to problem Rapid City.
- Czy rozbudowaliście również komisariat? — zapytał Reacher. — Podobnie jak szkołę?
- Musieliśmy. Ponieważ miasto się rozrosło.
- Jak bardzo się rozbudowaliście?

— Podwoiła się liczba funkcjonariuszy. W pewnym momencie walczyliśmy z więzieniem o pracowników. Trudno było

84

zachować standardy. Na tym w głównym stopniu polega problem komendanta Hollanda. Rzecz w tym, że połowa policjantów jest z jego dawnych czasów, a połowa nie.

— Nie mogę mu pomóc — odparł Reacher. — Jestem tu tylko przejazdem.

— Możesz zadzwonić do swoich znajomych w wojsku. To by mu pomogło. Jeśli chcemy przetrwać ten miesiąc, musimy zasięgnąć informacji.

— Za dużo czasu minęło od mojego odejścia. Pracuje tam zupełnie nowe pokolenie. Nawet mnie nie wysłuchają.

— Mógłbyś spróbować.

— Nawet mnie nie przełączają.

— Dawno temu, kiedy zaczynałem służbę, mieliśmy specjalny numer awaryjny do terenowego biura FBI w Pierre. System zmienił się przed wielu laty, ale nadal pamiętam ten numer.

— I co z tego?

— Przypuszczam, że ty też pamiętasz podobny numer. I że to nie jest centrala.

Reacher milczał.

— Zadzwoń tam. Zrób to dla nas — poprosił Peterson. — Możemy dać ci biurko i fotel.

— Gdzie?

— W komisariacie. Jutro.

— Chcesz, żebym jutro przyszedł do was do pracy? Do komisariatu? Przecież tak naprawdę mi nie ufasz.

— Jesteś w moim domu. W którym śpią moja żona i moje dzieci.

Reacher pokiwał głową.

— Trudno się z tym nie zgodzić.

•••

Ale Kim Peterson jeszcze nie spała. Dziesięć minut po Wyjściu Petersona Reacher, któremu przeszkadzały zwietrzały °dór chmielu z pustych butelek po piwie, złapał je za szyjki i wyniósł do kuchni, mając nadzieję, że znajdzie kosz na

85

śmieci. Zamiast tego zastał tam Kim Peterson, która robiła porządki w lodówce. W kuchni było ciemno, paliło się tylko jasne światło wewnątrz lodówki. Kim była skąpana w jego żółtym blasku. Miała na sobie stary pluszowy szlafrok i rozpuściła włosy. Reacher bez słowa pokazał jej butelki.

— Pod zlewem — poinstruowała go.

Reacher pochylił się, otworzył drzwiczki szafki i ustawił butelki w rzędzie obok sześciu innych, które stały tam wcześniej.

— Ma pan wszystko, co trzeba? — zapytała.

— Tak, dziękuję.

— Czy Andrew prosił, żeby coś pan dla niego zrobił?

— Chce, żebym wykonał kilka telefonów.

— W sprawie tego wojskowego obozu?

Reacher pokiwał głową.

— I robi pan to?

— Spróbuję — odparł Reacher.

— To dobrze. To miejsce doprowadza go do szaleństwa.

— Zrobię, co mogę.

— Obiecuję pan?

— Słucham?

— Czy obieca pan, że jeśli Andrew pana poprosi, zrobi pan wszystko, co w pana mocy? On za ciężko pracuje. Jest teraz za wszystko odpowiedzialny. Komendant Holland sobie nie radzi. Nie zna połowy swoich pracowników. Wszystko jest na głowie Andrew.

•••

Reacher skorzystał z małej przylegającej do gabinetu łazienki i wziął prysznic. Potem położył ubranie na oparciu fotela, na którym wcześniej siedział Peterson, i wślizgnął się pod kołdrę. Sprężyny sofy zaskrzypiały i ugięły się pod jego ciężarem. Przewrócił się na jeden bok, przewrócił na drugi, przez chwilę słuchał głośniego tykania zegara i po minucie już spał.

Za pięć pierwsza w nocy.

Zostało pięćdziesiąt jeden godzin.

10

Reacher obudził się za dziesięć siódma w świecie, w którym panowała grobowa cisza. Za oknami gabinetu widać było kłębiące się gęste płatki, opadające łagodnie, lecz nieubłaganie na śnieg, który spadł wcześniej i pokrył ziemię warstwą grubą na jedną stopę. Nie było wiatru. Każdy z miliardów płatków spadał prosto w dół, czasami lekko się chybocząc, czasami wirując, czasami schodząc kilka cali z toru, którego nie zakłócało nic poza jego własną piórkową niestabilnością. Większość dokładała swój mikroskopijny ciężar do grubej białej pierzyny, na której lądowały. Inne przywierały do fantastycznych pierzastych kształtów na przewodach elektrycznych i drutach ogrodzenia.

W łóżku było ciepło, ale w pokoju zimno. Reacher domyślił się, że ogień w żelaznej koczce został przysypany węglem, a dopływ powietrza odcięty. Zastanawiał się przez chwilę, jak powinien zachować się gość w takiej sytuacji. Czy ma wstać, otworzyć szyber i dołożyć trochę drewna? Czy pomoże w ten sposób gospodarzom? Czy też źle się im przysłuży, zakłócając subtelny, ustalony dawno plan spalania i powodując, że dwa tygodnie później będą musieli wybrać się w nocy po opał?

W końcu nie zrobił nic. Podciągnął po prostu kołdrę pod brodę i zamknął oczy.

87

Za pięć siódma.

Zostało czterdzieści pięć godzin.

•••

Tysiąc siedemset mil na południe dzień był już o godzinę starszy. Platon jadł śniadanie w mniejszej z dwóch położonych na tarasie jadalni. Większa była zarezerwowana na oficjalne kolacje i z tego względu rzadko używana, ponieważ oficjalne kolacje były kolacjami biznesowymi, a jego obecni partnerzy biznesowi byli w większości Rosjanami, którym raczej nie zależało, żeby przekąsić coś w wieczornym upale sto mil od Mexico City. Woleli klimatyzację. Platon przypuszczał, iż to kwestia przyzwyczajenia. Słyszał, że w pewnych częściach Rosji jest tak zimno, że kiedy człowiek spluwa, ślina zamarza w powietrzu i odbija się od ziemi niczym marmurowa kulka. Nie wierzył w to. Gotów był przyjąć do wiadomości, że w pewnych częściach Rosji panują siarczyste mrozy i rzeczywiście w temperaturach, o których czytał w informatorach i prognozach pogody, niewielka ilość substancji organicznej może zamarznąć między ustami a ziemią. Był jednak przekonany, że chcąc przetrwać w takich warunkach, człowiek musiałby mieć na twarzy kominiarkę zrobioną z jedwabiu bądź też innego, bardziej nowoczesnego materiału syntetycznego, a spluwanie jest kategorycznie wykluczone, kiedy ktoś ma na twarzy kominiarkę. Poza tym wiedział, że skrajnie niskie temperatury idą w parze ze skrajnie niską wilgotnością która raczej nie zachęca do spluwania, czyniąc je w zasadzie niewykonalnym. Anegdota, mimo że obrazowa, była zatem nieprawdziwa.

Platon był dumny ze swoich zdolności analitycznych.

Myślał o Rosjanach, ponieważ przed godziną otrzymał od jednego z nich przez telefon intrygującą propozycję. Kuzyn znajomego szwagra Rosjanina potrzebuje sporej ilości pewnej

substancji i czy Platon mógłby mu pomóc? Priorytetem Platona było oczywiście pomaganie Platonowi, w związku z czym rozważył propozycję pod tym kątem i doszedł do interesującego

88

wniosku, który po odpowiednim dopracowaniu i zaangażowaniu zdolności kupieckich mógł zaowocować korzystną transakcją. Dramatycznie korzystną, oczywiście wyłącznie dla niego, ale w końcu nie bez kozery nazywa się Platon, czego nie można powiedzieć o anonimowym kuzynie Rosjanina.

Istotne były trzy czynniki.

Po pierwsze, transakcja wymagała zasadniczej modyfikacji w stosunku do pierwotnych założeń Rosjanina w tym sensie, że to nie substancję dowiezie się jemu, lecz on zostanie dowieziony do substancji.

Po drugie, Platon musiał żywić niezachwiane przekonanie, że lepszy wróbel w garści niż orzeł na dachu.

Po trzecie, należało wprowadzić pewne zmiany w Dakocie Południowej. Z tego względu panująca tam sytuacja powinna być w dalszym ciągu czysta, sprzyjająca i pod każdym względem atrakcyjna. Innymi słowy, idealna pod względem marketingowym. A to oznacza, że trzeba zająć się świadkiem i adwokatem raczej prędzej niż później.

Platon sięgnął po telefon.

•••

Czternaście minut po siódmej na starej farmie nadal panowała cisza. Piętnaście po siódmej dom zbudził się do życia. Reacher usłyszał przez ściany i sufit niewyraźne buczenie i zawodzenie budzików, a potem tupot stóp na piętze. Tupot ośmiu stóp. Rodziców i dwójki dzieci. Dwóch chłopców, sądząc po niepohamowanej niezdarności ich kroków. Drzwi otwierały się i zamykały, woda płynęła ze spluczek i pryszniców. Dziesięć minut później zaczęły się hałasy w kuchni. Bulgotanie i syk ekspresu do kawy, stłumiony odgłos zamykanych drzwi lodówki, szuranie nóg krzesła

0 deski podłogi. Reacher znów zastanawiał się, co powinien zrobić. Czy ma wyjść i zjeść śniadanie razem z rodziną? Czy robiąc to, nie wystraszy dzieci? Przypuszczał, że zależy to od ich wieku

1 usposobienia. Może powinien poczekać, aż dzieci pojedą do szkoły? Czy w ogóle pojedą do szkoły, skoro spadło tyle śniegu?

89

Wziął szybki prysznic, ubrał się w małej łazience, po czym posłał łóżko i usiadł na nim. Minutę później usłyszał szuranie nóg krzesła, szybki tupot małych stóp i niewprawne pukanie do drzwi. Zaraz potem otworzyły się i do środka wsadził głowę mniej więcej siedmioletni brzdąc będący miniaturową wersją Andrew Petersona. Był lekko nadąsany, bo wysłano go ze zleceniem, ale jednocześnie zaciekawiony, co zastanie. Przez sekundę wpatrywał się w Reachera.

— Mama mówi, żeby pan przyszedł na kawę — powiedział i zniknął.

Kiedy Reacher wszedł do kuchni, dzieciaków już w niej nie było. Słyszał ich tupot na schodach. Miał wrażenie, że widzi pozostawione przez nich powietrzne wiry, zupełnie jak w komiksie. Ich rodzice siedzieli w milczeniu przy stole, ubrani tak samo jak poprzedniego dnia, Peterson w mundurze, jego żona w swetrze i spodniach. Nie rozmawiali. Każdą próbę rozmowy zagłuszyłyby tupot na górze. Reacher nalał sobie kawy z dzbanka, ale nim zdążył usiąść, Peterson wstał i wyszedł do stodoły, żeby uruchomić pick-upa i odśnieżyć podjazd. Jego żona poszła na górę sprawdzić, czy dzieci są gotowe do wyjścia. Minutę później obaj chłopcy zbiegli po schodach i wypadli na dwór. Reacher usłyszał warkot silnika Diesla i zobaczył prześwitujący przez śnieg szkolny żółty autobus, któremu zła pogoda najwyraźniej nie przeszkadzała.

Minutę później w domu zrobiło się zupełnie cicho. Kim nie wróciła do kuchni. Reacher nie dostał nic do jedzenia. Trudno. Przywykł do tego, że jest głodny. Siedział sam aż do chwili, gdy Peterson zajrzał z sieni i zawołał go. Wtedy zdjął z wieszaka pożyczoną kurtkę funkcjonariusza drogówki i wyszedł.

Za pięć ósma. Zostały pięćdziesiąt cztery godziny.

•••

Adwokat miał na nogach śniegowce, a w ręku łopatę i znów zmagał się z bramą garażu. Na podjeździe leżał świeży śnieg, który utworzył przy niej zaspę i znów ją zablokował. Silniczek 90

pod sufitem garażu nie dawał rady. Adwokat złapał za wewnętrzną klamkę i szarpnął ją. Łańcuszki mechanizmu napięły się, brama podjechała gwałtownie do góry i leżący na szczycie zasy śnieg wpadł do środka. Adwokat odgarnął go, po czym uruchomił samochód i był gotów na wyzwania nowego dnia.

Jego dzień zaczynał się od śniadania. Przywykł jadać je na mieście. Typowy małomiasteczkowy zwyczaj. Jadł śniadanie w kafejce, żartując z ludźmi i nawiązując kontakty. Co jest cenne. Ale nie warto poświęcać na to więcej niż pół godziny. Maksimum trzy kwadransy. Teraz spędzał w swoim boksie całą godzinę. Czasami półtorej.

Bał się iść do pracy.

Każdego ranka jego sekretarka wręczała mu plik żółtych karteczek z wiadomościami. Większość była niewinna. Czasami jednak trafiała mu w ręce kartka z informacją: Klient chce się spotkać w związku ze sprawą #517 713. Nie było sprawy o takim numerze. Ani akt. Notatka była szyfrem, który nakazywał mu udać się do więzienia i wysłuchać kolejnych instrukcji.

Czasami przez dłuższy czas jej nie otrzymywał. Ale w końcu zawsze nadchodził taki dzień. Nie sposób było tego przewidzieć. Stanowiło to teraz część jego porannego rytuału: stał przed biurkiem sekretarki z wyciągniętą ręką i sercem w gardle w oczekiwaniu na to, co przyniesie mu życie.

•••

Jadąc do śródmieścia, Reacher nie zobaczył nic oprócz śniegu. Śnieg na ziemi, śnieg w powietrzu. Śnieg wszędzie. Świat skurczył się, ucichł, zwolnił bieg. Ruch był niewielki, samochody poruszały się po odśnieżonych wąskich pasach pośrodku jezdni. Ubity śnieg sypał się wachlarzowato spod opon. Niewielkie konwoje pojazdów toczyły się niczym nie-Przekraczające dwudziestu mil na godzinę powolne pociągi. Radiowóz Petersona był jednak ciepły, bezpieczny i solidny.

91

Ciężki pojazd, poruszający się po płaskim terenie, z łańcuchami z tyłu i zimowymi oponami z przodu. Żadnych problemów.

W dzień, przy padającym śniegu, wzniesiony z białej cegły budynek komisariatu wydawał się dłuższy i niższy niż w nocy. Miał płaski dach z satelitarnymi i radiowymi antenami zamontowanymi na stalowych rusztowaniach. Przypominał Reacherowi klasyczne koszary policji stanowej. Może budując go, skorzystano ze standardowego planu? Na parkingu stało sporo radiowozów, nadal ciepłych, dopiero co zaparkowanych. Ludzie z dziennej zmiany przyjechali z domu na odprawę, która poprzedzała wyjazd w teren o ósmej trzydzieści.

Między samochodami kręciła się mała koparka na gumowych gąsienicach, zgarniając śnieg na stertę, która miała już osiem stóp wysokości. Peterson sprawiał wrażenie odprężonego.

Reacher przypuszczał, że śnieg mu nie przeszkadza. Ogranicza dostęp do różnych miejsc, w tym także do domu Janet Salter. Intruzi czekają na lepszy moment. Trudno zakraść się niepostrzeżenie, brnąc przez sięgające do kolan zasy.

Reacher wziął kurtkę, ale zostawił rękawice i czapkę w samochodzie. Były zbyt osobiste.

Miał zamiar zastąpić je własnymi. W holu komisariatu na stołku za biurkiem siedział inny

starszy facet. Cywilny pracownik z dziennej zmiany. W tym samym wieku co dziadek poprzedniego wieczoru, w podobnych cywilnych ciuchach, ale inny. Peterson zaprowadził Reachera korytarzem do otwartej sali odpraw, w której pełno było hałaśliwych mężczyzn i kobiet w mundurach. Policjanci pili kawę ze styropianowych kubków, robili notatki, czytali biuletyny i szykowali się do wyjazdu w teren. Było ich około trzydziestu. Liczący sześćdziesiąt osób personel podzielono równo na dzienną i nocną zmianę. Część była młoda, część stara, część schludna, część niechlujna. Prawdziwa zbieranina. „Liczba funkcjonariuszy podwoiła się, powiedział Peterson. Trudno było zachować standardy”. Reacher miał przed sobą dowód prawdziwości tych słów. Łatwo było odróżnić nowy narybek od starych wyjadaczy i wyczuć panujące między jednymi

92

i drugimi napięcie. Rozbita została jedność grupy, diabli wzięli profesjonalizm. My i oni. Reacher zrozumiał, na czym polega problem Hollanda. Ma dwa komisariaty w jednym. I brakuje mu energii, żeby coś z tym zrobić. Dobrze by było, gdyby odszedł na emeryturę. A może powinien go wywalić burmistrz, zanim jeszcze wysechł atrament na umowie z więzieniem.

Ale wszyscy gliniarze, i ci nowi, i starzy, byli punktualni. O wpół do dziewiątej sala prawie opustoszała. Najwyraźniej do obsadzenia blokad drogowych potrzebowano wielu ludzi, a obfite opady śniegu przyczyniły się do wielu stłuczek. Zostało tylko dwóch gliniarzy, w mundurach. Na naszywce jednego widniało nazwisko Kapler. Na naszywce drugiego Lowell. Żaden nie założył pasa. Żaden nie miał broni, radiostacji, kajdanek. Obaj byli w połowie trzydziestki. Kapler był śniady, z resztkami opalenizny. Lowell miał blond włosy i rumianą twarz, jak inni miejscowi. Obaj sprawiali wrażenie sprawnych, silnych i aktywnych. Żaden nie wyglądał na zadowolonego. Kapler zaczął obchodzić salę zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a Lowell w odwrotnym kierunku. Opróżnili wszystkie koszyki na dokumenty wychodzące i wynieśli zebrane w ten sposób sterty papieru na zewnątrz.

— Co oni robią? — zdziwił się Reacher.

— To normalne czynności urzędowe.

— W sytuacji, kiedy tak bardzo brakuje wam ludzi? Nie wydaje mi się.

— A co ci się wydaje?

— Mają dyscyplinarkę. Zrobili coś złego i zostali uziemieni. Holland zabrał im broń.

— Nie mogę o tym mówić.

— Są nowi czy starzy?

— Lowell pracuje u nas od jakiegoś czasu. Jest stąd. Ze starej boltońskiej rodziny. Kapler jest nowy, ale nie tak bardzo. Przyjechał z Florydy przed dwoma laty.

— Po co? Bo spodobała mu się tutejsza pogoda? Myślałem, że ludzie przenoszą się raczej tam, nie tutaj.

93

— Potrzebował pracy.

— Bo? Co mu się tam przytrafiło?

— Dlaczego miało mu się coś przytrafić?

— Ponieważ z całym należnym szacunkiem, jeśli pracowało się wcześniej w policji na Florydzie, Dakota Południowa jest miejscem, do którego jedzie się, nie mając innego wyboru.

— Nie znam szczegółów. Zatrudnili go komendant Holland i burmistrz.

— A co złego zrobił Lowell, że przydzielono mu go jako partnera?

— Lowell to dziwak—odparł Peterson. — Samotnik. Czyta książki.

— Co zrobili obaj, że zostali uziemieni?

— Nie mogę o tym mówić. A ty masz swoją robotę. Wybierz sobie jakieś biurko.

•••

Reacher wybrał biurko stojące z tyłu, w samym rogu. Ze starego nawyku. Prosty laminowany blat, krzesło nadal ciepłe i dostosowane do niewielkiej osoby. Na biurku klawiatura, monitor i konsola telefoniczna. Monitor był wyłączony, na konsoli widniało sześć przycisków na sześć linii i dziesięć przycisków skróconego wybierania.

— Wciśnij dziewiątkę, żeby wyjść na miasto — instruował go Peterson.

„Przypuszczam, że ty też pamiętasz podobny numer. I że to nie jest centrala”.

Reacher wybrał dziewięć, a potem kierunkowy Wirginii i siedem kolejnych cyfr. Numer, który wciąż miał w głowie.

Usłyszał nagrany komunikat. Nie było to zgodne z tym, co zapamiętał.

Komunikat wygłaszał mężczyzna, który mówił powoli i z namaszczeniem, kładąc niepotrzebny akcent na pierwsze cztery słowa. „Tu Biuro Statystyki Pracy. Jeśli znasz numer wewnętrzny działu, z którym chcesz się połączyć, możesz go wybrać

94

w każdej chwili. W przeciwnym razie skorzystaj z niniejszego menu...”. W tym momencie głos przedstawiał długą listę: wciśnij jeden na to, wciśnij dwa na tamto, wciśnij trzy na jeszcze coś innego, rolnictwo, przemysł wytwórczy, przemysł nieżywnościowy.

Reacher się rozłączył.

— Znasz jakiś inny numer? — zapytał Peterson.

— Nie.

— Do kogo dzwoniłeś?

— Do jednostki specjalnej. Biura śledczego. To coś w rodzaju elity. Takie wojskowe FBI, tyle że mniejsze.

— I do kogo się dodzwoniłeś?

— Do jakiegoś rządowego biura zajmującego się statystyką pracy.

— Pewnie dużo się zmieniło.

— Pewnie tak — westchnął Reacher. — A może nie. Nie aż tak bardzo.

Wybrał ponownie ten sam numer. Usłyszał to samo nagranie. „Jeśli znasz numer wewnętrzny działu, z którym chcesz się połączyć, możesz go wybrać w każdej chwili”. Wybrał sto dziesięć. Usłyszał kliknięcie, terkot i nowy sygnał. Nowy głos, żywy, męski, zaledwie po jednym dzwonku.

— Tak? — zapytał. Facet miał akcent z Południa, dobiegał trzydziestki, prawie z całą pewnością był kapitanem, chyba że świat stanął na głowie i pozwolili, żeby przy telefonie dyżurował porucznik, podoficer lub, co gorsza, cywil.

— Chciałbym mówić z waszym dowódcą — powiedział Reacher.

— Czym dowódcą?

— Waszym.

— Do kogo dokładnie chciał się pan dodzwonić?

— Do dowództwa sto dziesiątej jednostki żandarmerii wojskowej w Rock Creek w Wirginii.

— Tak pan sądzi?

— Chyba że zmieniliście numer telefonu. Kiedyś odbierała

95

tu telefony żywa osoba. Trzeba było poprosić o połączenie z pokojem sto dziesięć.

— Z kim dokładnie rozmawiam?

— Pracowałem kiedyś w sto dziesiątej.

— W jakim charakterze?

— Byłem jej pierwszym dowódcą.

— Nazwisko?

— Reacher.

Na chwilę zapadła cisza.

- Czy ktoś daje się nabrać i wybiera jakiś numer z tego menu? — zapytał Reacher.
- Jeśli służył pan w sto dziesiątej, wie pan, że to aktywny i otwarty kanał awaryjny. Muszę pana poprosić, żeby natychmiast wyjaśnił pan, o co chodzi.
- Chcę mówić z waszym dowódcą.
- W sprawie?
- Przysługi, której potrzebuję. Proszę mu przekazać, żeby sprawdził moje akta osobowe i oddzwonił.

Reacher odczytał facetowi na głos numer umieszczony na konsoli.

Facet bez słowa się rozłączył.

Za pięć dziesiąta.

Zostały czterdzieści trzy godziny.

11

Aparat na pożyczonym biurku Reachera zaterkotał o wpół do dziesiątej, ale nie dzwoniło do niego. Przekazał słuchawkę Petersonowi. Peterson przedstawił się z nazwiska i stopnia, a potem prawie przez całą minutę słuchał. Poprosił tego, z kim rozmawiał, żeby był w kontakcie, po czym oddał słuchawkę Reacherowi, który odłożył ją na widełki.

— Informacja, którą masz uzyskać, jest nam bardzo pilnie potrzebna — zaznaczył Peterson.

Reacher wskazał stojącą przed nim konsolę.

- Wiesz, jaka jest dzisiejsza młodzież. Nigdy nie pisze i nigdy nie oddzwania.
- Mówię poważnie.
- Co się zmieniło?
- Dzwonili z DEA*. Z samej centrali w Waszyngtonie. Grzecznościowo. Okazuje się, że założyli podsłuch facetowi, który jest ich zdaniem rosyjskim dealerem narkotykowym. Działającym od niedawna, szukającym kontrahentów i próbującym wyrobić sobie nazwisko na Brooklynie w Nowym Jorku.

* DEA — Drug Enforcement Administration — amerykańska agencja rządowa zajmująca się m.in. walką z handlem narkotykami.

97

Mieszkający w Meksyku facet, niejaki Platon, zadzwonił do niego w sprawie sprzedaży nieruchomości położonej pięć mil na zachód od miasta Bolton w Dakocie Południowej.

- W sprawie sprzedaży nieruchomości?
- Takich użyli słów.
- Więc o co tu chodzi? O nieruchomości czy o transakcję narkotykową?
- Jeśli jest tam podziemne laboratorium, chyba o jedno i drugie... Więc to będzie następne pytanie DEA. To jasne. Będą chcieli uzupełnić dane i zapytają nas, co dokładnie mieści się w tym miejscu.
- Powiedz, żeby zwrócili się z tym do Departamentu Wojsk Lądowych. Będzie szybciej.
- Ale wyjdziemy wtedy na idiotów. Nie możemy przyznać, że od pięćdziesięciu lat stoi u nas obiekt, o którym nie mamy zielonego pojęcia.

Reacher wzruszył ramionami i wskazał telefon.

— Będziecie o tym wiedzieli w tym samym momencie co ja — powiedział. — A więc niewykluczone, że nigdy.

— Byłeś ich dowódcą? Elitarnej jednostki?

Reacher pokiwał głową.

— Przez chwilę. Platon to dziwne imię jak na Meksykanina, nie sądzisz? Wygląda mi bardziej na brazylijskie.

— Bardziej na jugosłowiańskie — powiedział Peterson. — Jak ten dawny dyktator.

— Tamten nazywał się Tito.

— Myślałem, że to ten południowoafrykański biskup.

- Nie, tamten nazywał się Tutu.
- Więc kim był Platon?
- Starożytnym greckim filozofem. Uczniem Sokratesa i nauczycielem Arystotelesa.
- A co ma z tym wszystkim wspólnego Brazylia?
- Nie pytaj — mruknął Reacher.

•••

98

Kapler i Lowell wrócili do sali odpraw i zaczęli rozkładać notatki służbowe w koszykach na dokumenty przychodzące. Następnie, powłócząc nogami, wyszli.

- Na dzisiaj zrobili mniej więcej wszystko — stwierdził Peterson. — Teraz będą mieli pięciogodzinną przerwę na lunch. Co za marnotrawstwo.
- Co takiego zrobili? — zapytał Reacher.
- Nie mogę o tym mówić.
- To takie straszne?
- Niekoniecznie.
- Więc co się stało?
- Nie mogę o tym mówić.
- Owszem, możesz.
- No dobrze, trzy dni temu przez godzinę nie mieliśmy z nimi kontaktu radiowego. Nie chcę powiedzieć, co robili. Nie możemy pozwolić na coś takiego. Z powodu zobowiązań, jakie mamy wobec więzienia.

•••

Telefon zadzwonił znowu za dwadzieścia dziesiąta. Reacher podniósł słuchawkę.

- Tak? — zapytał.
- Major Reacher? — zapytał kobiecy głos.
- Tak.
- Wie pan, kim jestem?
- Niech pani mówi dalej.
- W ostatnim roku służby prowadził pan u nas zajęcia.
- Naprawdę?
- Na temat integrowania śledztwa wojskowego i federalnego. Chodziłam na nie.

Poznaje mnie pan po głosie?

- Niech pani mówi dalej.
- Co mam mówić?

W tym momencie Reacher chciałby, żeby mówiła cokolwiek, ponieważ miała cudowny głos. Ciepły, lekko zachrypnięty, trochę zdyszany, trochę intymny. Podobało mu się to, jak

99

szeptala mu do ucha. Bardzo mu się podobało. Wyobraził sobie, że jest blondynką, gdzieś między trzydziestym i trzydziestym piątym rokiem życia. Chyba wysoką i chyba atrakcyjną. Miała niesamowity głos, to nie ulegało kwestii.

Ale nie był to głos, który by rozpoznawał, i od razu się do tego przyznał.

- Bardzo mnie pan rozczarował — powiedziała. — Może nawet uraził. Na pewno mnie pan nie pamięta?
- Chciałbym porozmawiać z waszym dowódcą.
- Będziemy musieli z tym poczekać. Nie mogę uwierzyć, że mnie pan nie pamięta.
- Mogę zgadywać?
- Proszę bardzo.
- Moim zdaniem jest pani filtrem, który ma odsiać mis-tyfikatorów. Wasz dowódca chce wiedzieć, czy to naprawdę ja. Jeśli powiem, że panią pamiętam, obleję test. Bo nie pamiętam. Nigdy się nie spotkaliśmy. Może tego żałuję, ale taka jest prawda.

- Ale ja chodziłam na pana zajęcia.
- Nie chodziła pani. Przeczytała pani po prostu moje akta. Tytuł kursu był tylko na użytek publiczny. Zajęcia dotyczyły tego, jak zrobić w konia federalnych, a nie jak z nimi współpracować. Gdyby chodziła pani na te zajęcia, na pewno bym to zapamiętał.
- Dobra robota — powiedziała jego rozmówczyni i Reacher domyślił się, że się uśmiecha. — Właśnie zdał pan test.
- Więc kim pani naprawdę jest?
- Panem.
- To znaczy?
- Jestem dowódcą sto dziesiątej specjalnej.
- Naprawdę?
- Naprawdę, poważnie.
- Wspaniale. Moje gratulacje. Jak to jest?
- Na pewno pan to wie. Siedzę teraz za pańskim starym biurkiem, metaforycznie i dosłownie. Pamięta je pan?

100

- Miałem dużo biurtek.
 - Tutaj, w Rock Creek.
- Reacher dość dobrze je pamiętał. Rządowe biurko w starym stylu, stalowe, pomalowane na zielono, z krawędziami, które były starte do gołego metalu, już kiedy je odziedziczył.
- Po prawej stronie jest duże wgniecenie. Ludzie mówią że zrobił je pan czyjąś głową.
 - Tak mówią?
 - To coś w rodzaju miejscowej legendy. Czy to prawda?
 - Moim zdaniem wgniecenie zrobili faceci od przeprowadzek.
 - Jest idealnie zaokrąglone.
 - Może ktoś upuścił na blat kulę do kręgli?
 - Wolę legendę.
 - Jak masz na imię? — zapytał Reacher.
 - Wymyśl dla mnie jakieś — odparła jego rozmówczyni.
 - Co?
 - Niech to pozostanie między nami. Nadaj mi jakiś kryptonim.
 - To prywatna rozmowa.
 - Niekoniecznie. Nasz system pokazuje, że dzwonicz z komisariatu policji. Mają tam na pewno centralę i urządzenia rejestrujące.
 - Dobrze, mów dalej. Spróbuję wymyślić kryptonim, który będzie do ciebie pasował.
 - Co chcesz, żebym mówiła?
 - Czytaj książkę telefoniczną. To mi wystarczy.

Kolejny uśmiech.

- Ludzie mówią że to wgniecenie zostało po głowie jakiegoś pułkownika. Mówią że dlatego wyrzucili cię ze sto dziesiątej.
- Nie wyrzucili mnie. Dostałem po prosta nowe rozkazy.
- Tylko dlatego, że nikt nie lubił tego konkretnego pułkownika. Ale ty definitywnie zostałeś wylany. Tak mówią ludzie.

101

- Amanda.
- Amanda? W porządku, mam na imię Amanda. Jeśli będziesz chciał ze mną znowu mówić, wybierz ten numer i poproś Amandę. A teraz co mogę dla ciebie zrobić?
- W Dakocie Południowej jest małe miasteczko, nazywa się Bolton. Mniej więcej w samym środku stanu, dwanaście albo trzynaście mil na północ od I-dziewięćdziesiąt.

- Wiem, gdzie to jest. Nasz system podaje twoje współrzędne. Patrzę na Bolton w tym momencie.
- W jaki sposób?
- Na laptopie. Na Google Earth.
- Wam to łatwo.
- Technologia to naprawdę wspaniała rzecz. Jak mogę ci pomóc?
- Pięć mil na zachód od miasta jest opuszczona baza wojskowa. Chcę wiedzieć, co tam było.
- Nie możesz sam tego ustalić?
- Nie byłem tam. I najwyraźniej nie ma tam nic do oglądania. Możliwe, że to nic specjalnego. Ale chcę, żebyś to dla mnie sprawdziła.
- To na pewno nie jest silos raketowy? W Dakotach mają ich sporo.
- Mówią że to nie silos. Z opisu wynika, że raczej nim nie jest.
- Dobrze, zaczekaj. Przybliżam i przesuвам obraz. Na najnowszych zdjęciach jedyny obiekt na zachód od miasta wygląda jak obóz karny. Piętnaście baraków i jeden starszy budynek, w dwóch rzędach po osiem. No i długa prosta droga. Ma może dwie mile długości.
- Czy ten starszy budynek wygląda jak dom mieszkalny?
- Z góry wygląda dokładnie jak dom.
- Doskonale, ale potrzebuję czegoś więcej.
- Chcesz, żebym poleciała do Dakoty Południowej i przyjrzała się tej bazie razem z tobą?
- Tak się składa, że utknąłem w środku śnieżycy i nie mam
- 102

nic innego do roboty. Dlatego byłoby mi bardzo miło. Ale wystarczy, jeśli zajrzysz do archiwum. Chcę znać cel, rozmiary i architekturę tego obiektu.

— Zadzwoń do mnie pod koniec dnia pracy — odparł głos, po czym rozległo się kliknięcie i w słuchawce zapadła cisza.

Za pięć dziesiąta.

Zostały czterdzieści dwie godziny.

12

Adwokat zostawił samochód na parkingu przed swoją kancelarią i założył śniegowce. Po wejściu do budynku zdjął je, umieścił w plastikowej torbie i ruszył z torbą i teczką do windy. Kiedy wszedł do gabinetu, sekretarka powiedziała mu „dzień dobry”. Nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, czy dzień będzie dobry, czy zły. Wyciągnął rękę po karteczki z informacjami. Było ich osiem.

Trzy dotyczyły wewnętrznych spraw kancelarii.

Cztery zwyczajnych kwestii prawnych.

Ostatnia była pilną prośbą o rozmowę tego samego dnia w południe z odsiadującym wyrok klientem w związku ze sprawą numer 517 713.

•••

Reacher posiedział przez chwilę sam, a potem wyszedł z sali odpraw i znalazł Petersona w sąsiednim pustym gabinecie. Stały tam cztery zestawione ze sobą biurka. Na ścianach zamocowano długie poziome listwy. Peterson przypinał do nich pineskami fotografie z miejsca dokonanego dzień wcześniej zabójstwa. Plan ogólny, zbliżenia. Ubrany na czarno nieboszczyk, śnieg na ziemi, zadana tępym narzędziem rana na prawej skroni. Brak krwi.

104

— Dostaliśmy właśnie raport z sekcji zwłok — powiedział. — Ofiarę przeniesiono z innego miejsca.

— Miał jakieś inne urazy? — zapytał Reacher.

- Kilka sińców powstałych w momencie śmierci.
- Macie tu jakieś zakazane dzielnice?
- Niektóre są gorsze od innych.
- Sprawdziliście bary?
- Na jaką okoliczność?
- Świeżo umyta podłoga, podejrzone plamy.
- Myślisz, że to była bójka w barze?
- Gdzieś w gorszej dzielnicy, ale nie w strefie frontowej.
- Dlaczego?
- Powiedz mi, co patolog mówił o narzędziu zbrodni.
- Okrągłe, dosyć gładkie, prawdopodobnie z obrobionego metalu lub drewna. Mógł to być słupek z ogrodzenia albo rynna.
- Ani jedno, ani drugie. Słupek i rynna mają równą średnicę. Są zbyt szerokie, żeby porządnie je złapać i zadać uderzenie z dostateczną siłą — wyjaśnił Reacher. — Moim zdaniem to był kij baseballowy. A w zimie kije nie tak łatwo znaleźć. Leżą w szafach, w garażach, w piwnicy albo na strychu. Tyle że czasami są schowane pod kontuarem, spod którego barman może je szybko wyjąć. Oczywiście nie w porządnej dzielnicy i nie w strefie frontowej. W strefie frontowej użyliby pewnie strzelby.
- Peterson nie odpowiedział.
- Gdzie chodzą pić więzienni strażnicy? — zapytał Reacher.
- Myślisz, że to któryś z nich?
- Do tanga trzeba dwojga. Więzienni strażnicy przywykli do awantur.
- Peterson milczał przez chwilę.
- Coś jeszcze? — zapytał.
- Reacher pokręcił głową.
- Wychodzę — oznajmił. — Wrócę później.

105

Nadal padał gęsty śnieg. Stojący na parkingu samochód Petersona zdążył się upodobnić do zasp. Reacher założył na głowę kaptur pożyczonej kurtki, dobrnął do chodnika i spojrzał najpierw w lewo, a potem w prawo. Śnieg wirował wszędzie dokoła, wpadał pod kaptur, osiadał na włosach i brwiach, zsuwał się po karku. Dokładnie naprzeciwko niego był placyk albo miejski skwer, a za nim kilka domów. Odległość była zbyt duża, a śnieg za gęsty, żeby mógł stwierdzić, co się w nich mieści, ale nad jednym z nich z otworu wentylacyjnego unosiła się smuga pary, co oznaczało, że mieści się tam pralnia chemiczna lub restauracja. A to z kolei oznaczało, że ma pięćdziesiąt procent szans na zjedzenie późnego śniadania. Brnąc przez sterty śniegu i ślizgając się po lodzie, skierował się w tamtą stronę. Skostniały mu uszy, nos i podbródek. Ręce trzymał w kieszeniach. W lokalu, nad którym unosiła się smuga pary, była kafejka. Wparował do środka, w gorące wilgotne powietrze. Kontuar i cztery stoliki. Przy jednym z nich siedział samotnie Jay Knox. Kierowca autobusu. Sądząc po tym, jak wyglądał jego stolik, zjadł wcześniej duży posiłek. Reacher stanął naprzeciwko niego i położył rękę na oparciu krzesła, gotów się przysiąść. Knox nie ucieszył się specjalnie ani nie zmartwił na jego widok. Był po prostu zamyślony i nieco przygnębiony.

Reacher przysiadł się tak czy owak.

- Wszystko w porządku? — zapytał.

Knox wzruszył ramionami.

- Umieścili mnie u jednych ludzi.
- I co?
- Są chyba dość mili.
- Ale przyszedłeś tu na długie niespieszne śniadanie.
- Nie chcę się narzucać.

— Nie poprosili, żebyś z nimi zjadł?

— Niezbyt ich polubiłem, jasne?

Reacher nic nie powiedział.

— A ty gdzieś przenocował? — zapytał Knox.

106

— U tego gliniarza, który pierwszy dojechał do autobusu.

— Więc dlaczego tu przyszedłeś? Gliniarz nie dał ci śniadania?

Tym razem to Reacher nie odpowiedział.

— Co nowego? — zapytał.

— Dziś rano dojechały tam ciężarówki pomocy drogowej i ściągnęły autobus z autostrady. Wynajęli zastępczy autobus w Minneapolis. Powinien tu dotrzeć, kiedy skończy się śnieżyca.

— To nieźle.

— Tyle że będzie miał własnego kierowcę. A to oznacza, że aż do Seattle będę pasażerem. A to oznacza, że zapłacą mi tylko do wczoraj, do szesnastej.

— To fatalnie.

— Powinni coś zrobić z tym cholernym mostem.

— Widziałeś się z którymś z pasażerów?

— Są rozrzuconi po całym mieście. Jedna z pasażerek ma rękę na temblaku, druga nadgarstek w gipsie. Ale generalnie raczej nie narzekają. Nie sądzę, żeby ktoś dzwonił już do adwokata. Właściwie niektórzy widzą w tym jasną stronę. Jakby cała ta historia była magiczną, tajemniczą podróżą.

— To nieźle — stwierdził znowu Reacher.

Knox nie odpowiedział. Po prostu nagle wstał, zdjął swoje rzeczy z pobliskiego wieszaka, wcisnął czapkę na głowę, zawiązał na szyi szalik i naciągnął ciężką kurtkę. Sądząc po rozmiarach i kolorach, wszystko było pożyczone. Skinął głową Reacherowi w geście nieco chmurnego pożegnania i wyszedł na dwór, na śnieg.

Do stolika podeszła kelnerka i Reacher zamówił największe śniadanie, jakie mieli w menu. Plus kawę.

Za pięć jedenasta.

Zostało czterdzieści jeden godzin.

107

Adwokat zostawił teczkę w gabinecie, ale zabrał ze sobą śniegowce w torbie na zakupy.

Założył je w holu budynku i ruszył po własnych śladach do stojącego na parkingu samochodu. Zapiął pasy, uruchomił silnik i włączył ogrzewanie fotela i wycieraczki.

Wiedział, że autostrada nadal jest zamknięta, ale znał innej trasy. Ciągące się aż po horyzont długie, proste drogi Dakoty Południowej.

Zdjął śniegowce, wcisnął skórzaną podeszwą pedał gazu i przerzucił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na pozycję DRIVE.

•••

Reacher był w połowie śniadania, kiedy do kafejki wszedł Peterson w pełnym zimowym rynsztunku. Było jasne, że Reacherowi powinna zaimponować łatwość, z jaką policjantowi udało się go znaleźć. Być może zaimponowałyby, gdyby wiedział, w ilu miejscach był wcześniej.

Peterson położył dłoń na oparciu krzesła, na którym wcześniej siedział Knox, a Reacher podniósł do ust widelec z jedzeniem, i zaprosił go gestem, by usiadł. Peterson usadowił się naprzeciwko niego.

— Przepraszam, że nie dostałeś śniadania w domu — powiedział.

Reacher przeżuł i połknął kęs.

— Nic nie szkodzi. I tak byliście bardzo gościnni.

— Kim czuje się po prostu samotna. Nie lubi, kiedy ja i chłopcy wychodzimy rano z domu. Zaszywa się wtedy w swoim pokoju.

Reacher się nie odezwał.

— Byłeś kiedyś samotny? — zapytał Peterson.

— Czasami — odparł Reacher.

— Kim nie bardzo by się z tym zgodziła. Jej zdaniem nie można wiedzieć, co to jest samotność, jeśli nie siedziało się dzień w dzień na werandzie w Dakocie Południowej i nie widziało niczego w promieniu stu mil.

108

— Nie jest stąd?

— Jest, ale fakt, że do czegoś przywykłeś, nie znaczy wcale, że musisz to polubić.

— Chyba nie.

— Sprawdziliśmy bary. Znaleźliśmy jeden z bardzo czystą podłogą.

— Gdzie?

— Na północy. Taki, w którym piją strażnicy.

— Są jacyś skłonni do współpracy świadkowie?

— Nie, barman zniknął. Wyjechał gdzieś wczoraj swoim pick-upem.

— W porządku — mruknął Reacher.

— Dziękuję — powiedział Peterson.

— Nie ma za co — odparł Reacher.

Nabrał na widelec pół ściętego żółtka i pół plasterka bekonu i zjadł.

— Przyszło ci do głowy coś jeszcze? — zapytał Peterson.

— Wiem, jak komunikuje się ten facet w więzieniu.

— Jak?

— Zaprzyjaźnił się z jakimś współwięźniem. Albo zmusił go do współpracy. Instruuje go, a ten instruuje swojego adwokata. Coś w rodzaju równoległego toru. Zamontowaliście podsłuch w niewłaściwej rozmównicy.

— Osadzonych codziennie odwiedza kilkunastu adwokatów.

— Więc musicie im się bliżej przyjrzeć.

Peterson przez chwilę się nie odzywał.

— Coś jeszcze? — zapytał w końcu.

Reacher pokiwał głową.

— Muszę znaleźć sklep z odzieżą. Przynależem to jakby twojej żonie. Coś taniego i niewyszukanego. Znasz takie miejsce?

•••

Polecony przez Petersona sklep mieścił się przecznicę dalej na zachód. Sprzedawano tam toporną odzież dla topornych

109

farmerów. Był dział letni oraz zimowy, które niewiele się od siebie różniły. Część ubrań była niemarkowa, inne, te markowe, miały widoczne defekty. Wybór kolorów ograniczony, ceny niskie, nawet na obuwiu. Reacher zaczął od dołu, zaopatrując się w czarne wodoodporne buty. Następnie przeszedł do ubrań. Generalnie, jeśli było to możliwe, wybierał kolor oliwkowozielony lub niebieski. Oliwkowozielony, ponieważ służył kiedyś w wojsku. Niebieski, ponieważ usłyszał raz od pewnej dziewczyny, że pasuje do jego oczu. Tym razem preferował jednak kolor oliwkowozielony, ponieważ harmonizował z jego pożyczoną brązową kurtką. Kupił spodnie z flanelową podszewką podkoszulek, flanelową koszulę i gruby sweter. Dorzucił do tego bieliznę, czarne rękawice i czapkę khaki. Łącznie kosztowało go to sto trzydzieści dolarów. Właściciel wziął sto dwadzieścia, bo płacił gotówką. Przy czterech dniach noszenia dawało to trzydzieści dolców dziennie. Czyli dziesięć tysięcy rocznie na samo ubranie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to wariactwo. Ale Reacherowi podobał się ten

układ. Wiedział, że większość ludzi nie wydaje dziesięciu tysięcy rocznie na ubranie. Mają niewielką ilość porządnych rzeczy, które trzymają w szafach i piorą w piwnicy. Ale szafy i piwnice trzeba obudować domami, a kupno, wynajęcie i utrzymanie domu kosztuje o wiele więcej niż dziesięć tysięcy rocznie.

Więc kto tu jest naprawdę niespełna rozumu?

Przebrał się w kabinie i wyrzucił stare ubranie do kosza przy ladzie. Założył czapkę, naciągnął ją na uszy i zakrył kapturem pożyczonej kurtki, po czym zapiął się pod szyję, założył rękawice i wyszedł na dwór.

I w dalszym ciągu było mu zimno.

Powietrze było lodowate niczym w chłodni. Czuł je na brzuchu, żebrach, nogach, tyłku, oczach, twarzy i w płucach. Podobnie jak podczas najgorszych mrozów w Korei, ale w Korei był młodszy, wykonywał rozkazy i dostawał żołd. Tu było inaczej. Śnieg tańczył i wirował wszędzie. Odświeżający wiatr popychał go do przodu. Zaczęło mu ciec z nosa. Łzy stanęły

110
w oczach. Idąc, przystawał w bramach. Dziesięciominutowy powrót do komisariatu zmienił się w jego wykonaniu w dwu-dziesięciominutową zimową odyseję.

Po przyjściu zastał tam niezłe zamieszanie.

Za pięć minut południe.

Zostało czterdzieści godzin.

•••

Wszędzie dzwoniły telefony. Dziadek w recepcji trzymał w ręku dwie słuchawki i mówił do obu jednocześnie. Peterson stał sam za biurkiem w sali odpraw, przytrzymując ramieniem słuchawkę, której przewód napinał się i kołysał.

Rozmawiając, gestykulował obiema rękoma, wykonując krótkie, ostre, zdecydowane ruchy, niczym kierujący oddziałami generał, tak jakby całe miasto Bolton leżało na blacie biurka, jakby ten blat był mapą.

Reacher patrzył i słuchał. Sytuacja szybko stała się jasna. Nie trzeba było studiować fizyki jądrowej, żeby to zgadnąć. Popełniono zbrodnię przeciwko życiu i Peterson wysyłał ludzi, by się tym zajęli, starając się jednocześnie nie naruszyć wcześniejszych zobowiązań. Zbrodnię popełniono, jak się zdaje, tuż przy prawej krawędzi biurka, czyli na wschodnich obrzeżach miasta. Wcześniejszych zobowiązań trzeba było dotrzymać na południowy zachód od Bolton, czyli tam, gdzie mieszka Janet Salter. Bezbronny świadek. Peterson wysyłał więcej ludzi do jej ochrony niż na miejsce przestępstwa, co świadczyło albo o należytej ostrożności, albo o tym, że ofierze nie sposób już pomóc.

Albo o jednym i drugim.

Minutę później Peterson przestał rozmawiać i się rozłączył. Miał zatroskaną minę. „Zna od podszewki swoje miasteczko, trochę się gubił, kiedy trzeba wypłynąć na szersze wody”.

— Facet został zastrzelony w samochodzie — oznajmił.

— Co to za jeden? — zapytał Reacher.

111

— Numery rejestracyjne należą do adwokata z sąsiedniego hrabstwa. Odbył pięć rozmów z klientem w naszym więzieniu. Wszystkie już po tym, jak przymknęliśmy motocyklistę. To był ich tor równoległy, dokładnie tak jak mówiłeś. A teraz mają gotowy plan. Robią porządki i przerywają łańcuch pośredników.

— Gorzej — mruknął Reacher. Peterson pokiwał głową.

— Wiem — powiedział. — Ich facet nie jest w drodze. Przegapiliśmy go. Jest już na miejscu.

13

Peterson dwukrotnie próbował wyjść z sali odpraw i za każdym razem musiał wracać, żeby odebrać telefon. W końcu zdołał wymknąć się na korytarz.

— Masz ochotę się ze mną przejechać? — zapytał, zerkając na Reachera.
— Chcesz, żebym rzucił okiem na miejsce przestępstwa?
— Jeśli możesz.
— Prawdę mówiąc, powinienem udać się gdzie indziej.
— Gdzie?
— Powinienem poznać bliżej panią Salter — odparł Reacher.
— Po co?
— Żeby lepiej poznać teren. Na wszelki wypadek.
— Pani Salter ma odpowiednią ochronę. Zadbalem o to. Niech cię o to głowa nie boli — odrzekł Peterson. — Co? Myślisz, że chcą ją dzisiaj załatwić? — zapytał po chwili. — Myślisz, że zabili tego adwokata, żeby odwrócić naszą uwagę?
— Nie, myślę, że zacierają za sobą ślady. Poza tym wygląda na to, że zostanę tu przez kilka dni. Z powodu śnieżycy. Jeśli w najbliższym czasie zawyje syrena, wtedy zostanę wam tylko ja. Powinienem poznać tę panią bliżej.
Peterson milczał przez chwilę.

113

— Chcę po prostu pomóc — dodał Reacher. — Odwdzińczyć się wam za gościnność. Peterson nadal się nie odzywał.
— Nie jestem waszym człowiekiem.
— Wiem o tym.
— Ale?
— Mógłbyś nam pomóc na miejscu zbrodni — podsunął Peterson.
— Poradzicie sobie. Wiesz, co trzeba robić. Zrób masę zdjęć i zwracaj uwagę na ślady opon i butów. Poszukaj łusek.
— Dobrze.
— Ale najpierw zadzwoń do swoich podwładnych w domu pani Salter. Nie chcę wywołać paniki, kiedy podejść do drzwi.
— Nie wiesz, gdzie jest jej dom.
— Znajdę go.

•••

W lecie odnalezienie domu pani Salter mogło zająć dziesięć minut. Podczas śnieżycy trwało prawie trzydzieści, ponieważ szło się powoli, a pole widzenia było ograniczone. Reacher brnął przez zasy i ślizgał się w koleinach, idąc trasą którą pokonał poprzedniego dnia więziennym autobusem. Nadal padał gęsty śnieg. Wielkie białe płatki sypały się na niego z góry i z dołu, smagały ze wszystkich stron. Znalazł główną drogę prowadzącą na południe. Wiedział, że musi minąć restaurację. Za nią stał zaparkowany radiowóz. Szedł dalej. Było mu bardzo zimno, lecz jakoś funkcjonował. Tyle mniej więcej zawdzięczał nowemu ubraniu. Na południe i północ jechały samochody z zapalonymi światłami i włączonymi wycieraczkami. Nie było ich zbyt wiele, ale nie mógł przez nie iść koleinami, co byłoby chyba łatwiejsze. Domyślał się, że przysypana śniegiem jezdnia jest szeroka, lecz w tym momencie ruch ograniczał się do dwóch wąskich pasów, które wyznaczały cztery koleiny. Każdy przejeżdżający pojazd potwierdzał słuszność kolektywnej decyzji, by

114

nigdzie nie skręcać. Każda opona pogłębiała koleiny i podwyższała ich boczne ścianki. Śnieg był suchy i twardy, koleiny gładkie i śliskie, poznaczone popękaną siateczką odcisków bieżnika i tu i ówdzie ubrudzone na brązowo.

Reacher minął restaurację. Trwała w najlepsze pora lunchu. Szyby były zaparowane. Szedł dalej. Po czterystu jardach zobaczył zaparkowany radiowóz, który wyskoczył z prowadzących na południe kolein, przebił się przez nie i zostawił po sobie własne, mniejsze, na kształt kolejowej zwrotnicy. Stał w poprzek ulicy, całkowicie ją blokując. Miał zgaszony silnik, ale

obracały się zamontowane na dachu światła. Siedzący za kierownicą gliniarz nie rozglądał się na boki. Wpatrywał się po prostu w przednią szybę, nie sprawiając wrażenia czujnego ani przejętego. Reacher zatoczył szeroki krąg i podszedł do niego od lewej przedniej strony. Nie chciał go zaskoczyć.

Policjant opuścił szybę.

— Nazywasz się Reacher?! — zawołał.

Reacher pokiwał głową. Miał zbyt zmarzniętą twarz, by coś mówić. Na naszywce gliniarza widniało nazwisko Montgomery. Był nieogolony, otyły i dobiegał trzydziestki. W wojsku skopano by mu tyłek setki razy.

— Dom Salter jest prosto po lewej stronie. Nie przegapisz go — powiedział.

Reacher ruszył dalej. Koleiny na bocznej ulicy nie były zbyt głębokie. Ograniczały się do dwóch pojedynczych śladów, jednego zostawionego przez samochód, który wjechał, i drugiego przez samochód, który wyjechał. Oba szlaki zdążył już przysypać świeży śnieg. Zmiana warty sprzed kilku godzin. Facet z nocnej zmiany pojechał do domu, ten z dziennej stanął się na posterunku. Facet z dziennej dodał gazu za zakrętem. Po śladach widać było, że trochę go zarzuciło i dopiero po chwili wyrównał.

Ulica lekko zakręcała. Po obu jej stronach stały na rozległych płaskich działkach duże stare domy. Były w stylu wiktoriańskim i mogły mieć ze sto lat. Kiedyś wszystkie, a niektóre i teraz

115

świadczyły o zamożności właścicieli. Najwyraźniej zbudowano je podczas wcześniejszego boomu. Wyprzedziły o całe stulecie więzienne prosperity. Ich architektoniczne detale przysypał śnieg, ale były dostojne, solidne i bogato zdobione. Peterson nazwał Janet Salter babcią z bajki i Reacher wyobraził sobie, że starsza pani mieszka w małym domku z kraciastymi zasłonami. Zwłaszcza że babcia z bajki była nauczycielką i bibliotekarką. Teraz jednak uznał, że Janet Salter jest chyba bohaterką innej bajki. Nie mógł się doczekać, kiedy ją pozna. Nie znał żadnej ze swoich babć. Oglądał kiedyś czarno-białą fotografię siebie jako dziecka. Siedział na niej na kolanie srogiej kobiety, która, jak mu powiedziano, była matką jego ojca. Matka jego matki zmarła, gdy miał cztery lata, zanim zdążyli ją odwiedzić.

Zobaczył przed sobą drugi radiowóz. Bez świateł. Stał przodem do niego. Siedzący w środku policjant uważnie mu się przyglądał. Reacher zatrzymał się dziesięć stóp przed maską. Gliniarz otworzył drzwiczki i wysiadł. Spod jego butów wzbił się w powietrze biały pył.

— Nazywasz się Reacher? — zapytał.

Reacher pokiwał głową.

— Muszę cię przeszukać.

— Kto ci kazał?

— Zastępca komendanta.

— Przeszukać na okoliczność czego?

— Broni.

— Ona ma ponad siedemdziesiąt lat. Nie potrzebowałbym żadnej broni.

— To prawda. Ale potrzebowałbyś broni, żeby poradzić sobie z dyżurującymi w domu policjantkami.

Ten gliniarz był w średnim wieku i wyglądał na ostrego zawodnika. Nieduży, muskularny i kompetentny. Lepsza i gorsza część miejscowego personelu. Nowicjusz przy końcu ulicy, stary wyga przed domem. Reacher rozstawił szeroko stopy, rozpiął kurtkę i podniósł wyżej rękę. Zimne powietrze wpadło

116

mu pod kurtkę. Gliniarz obmacał go i ścisnął obie boczne kieszenie.

— Ruszaj — powiedział. — Czekają na ciebie.

Podjazd był długi, dom stylowy. Wyglądał, jakby przetransportowano go drogą lotniczą prosto z Charlestonu albo San Francisco. Miał wszystko, co trzeba. Biegając dokoła werandę z bujanym fotelem, kilkanaście okien, zewnętrzne deskowanie, wieżyczki i więcej witraży niż w kościele. Reacher wszedł po schodkach na werandę i zatupał nogami, żeby strząsnąć śnieg z butów. Frontowe drzwi zrobiono z rzeźbionych drewnianych paneli. Żeliwny uchwyt dzwonka wisiał na drucie wchodzącym w ścianę przez mały otwór z brązu. Zamówiony prawdopodobnie drogą pocztową w firmie Sears Roebuck przed stu laty, dostarczony furgonem w drewnianej skrzyni wyłożonej słomą i zamontowany przez fachowca, który lepiej znał się na kołach od powozu i końskich podkowach. Reacher pociągnął go i sekundę później usłyszał w głębi domu dźwięk dzwonka, niski, grzeczny i donośny. Po kolejnej sekundzie drzwi otworzyła policjantka, drobna, śniada, młoda i w kompletnym umundurowaniu. Pistolet trzymała w kaburze, ale odpięła ją i robiła wrażenie całkowicie skoncentrowanej. „Poza tym policjantki w samym domu, powiedział Peterson, najlepsze, jakie mamy, minimum cztery o każdej porze, dwie dyżurujące, dwie odpoczywające”.

— Nazywasz się Reacher? — zapytała.

Reacher pokiwał głową.

— Wejdz.

Hol był mroczny, wyłożony boazerią i dość imponujący. Na ścianach wisiały olejne obrazy. Na wprost znajdowały się potężne schody, które ginęły w mroku. Wszędzie dokoła były pozamykane drzwi, chyba z orzecha, każde wypolerowane na wysoki połysk przez sto lat ciężkiej pracy. Na podłodze leżał perski dywan. Grube rury doprowadzały ciepło do staroświeckich kaloryferów. Na wieszaku na kapelusze wisiały cztery nowe policyjne kurtki. Reacher zdjął swoją i powiesił na

117

wolnym kołku. Wyglądała tak, jak czuł się on sam: stary sfatygowany produkt w otoczeniu nowszych modeli.

— Pani Salter jest w bibliotece — powiedziała policjantka. — Czekaj na pana.

— Które drzwi są do biblioteki? — zapytał.

— Proszę ze mną.

Policjantka ruszyła przodem niczym pokojówka. Reacher podszedł w ślad za nią do drzwi po lewej stronie. Policjantka zapukała i weszła do środka. Biblioteka mieściła się w dużym kwadratowym pokoju z kominkiem i oszklonymi drzwiami do ogrodu. Przy wszystkich ścianach stały półki z książkami, tysiącami książek. Druga policjantka zajęła miejsce przy oszklonych drzwiach i obserwowała ogród. Kiedy weszli, nie ruszyła się z miejsca. Zerknęła tylko w ich stronę i widząc, że koleżanka skinęła głową, wyjrzała na zewnątrz.

W fotelu siedziała starsza kobieta. Prawdopodobnie pani Salter. Emerytowana nauczycielka. Bibliotekarka. Świadek. Spojrzała na Reachera, grzecznie się uśmiechając.

— Miałam właśnie zjeść lunch — powiedziała. — Zje pan ze mną?

Dwunasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało trzydzieści dziewięć godzin.

14

Janet Salter sama przygotowała lunch. Reacher ją obserwował. Siedział w przestronnej kuchni, a ona krzątała się między lodówką, blatem, kuchenką i zlewozmywakiem.

Wyobrażenie, jakie wyrobił sobie na podstawie zdawkowego opisu Petersona, nie odpowiadało rzeczywistości. Pani Salter rzeczywiście miała ponad siedemdziesiąt lat, była siwa, nie za wysoka i nie za niska, nie za gruba i nie za chuda, a poza tym wydawała się bardzo miła i nie sprawiała wrażenia nieprzystępnej, ale nosiła się prosto i było w niej coś w nieokreślony sposób arystokratycznego. Wyglądała na osobę przywykłą do posłuchu i cieszącą się sporym autorytetem. I Reacher wątpił, by była babcią. Nie miała na palcu ślubnej

obrączki, a w domu od co najmniej pięćdziesięciu lat nie postawiło chyba stopy żadne dziecko.

— Jest pan jednym z tych pechowców z autobusu?

— Inni mieli chyba większego pecha niż ja — odparł Reacher.

— Zaproponowałam oczywiście, że przenocuję kilka osób. Mam dużo miejsca. Ale komendant Holland nie chciał o tym słyszeć. Ze względu na okoliczności.

— Moim zdaniem miał rację.

— Ponieważ dodatkowe osoby w domu skomplikowałyby działania policji?

119

— Nie, ponieważ dodatkowe osoby w domu mogłyby przypadkowo zginąć w razie ataku.

— No cóż, przynajmniej nie owija pan w bawełnę. Powiedzieli mi, że jest pan ekspertem.

Służył pan w wojsku. Był pan, zdaje się, dowódcą.

— Przez chwilę.

— Elitarnej jednostki.

— Tak o sobie mówiliśmy.

— Myśli pan, że robię mądrze czy głupio? — zapytała.

— Pod jakim względem, proszę pani?

— Godząc się zeznawać na tym procesie.

— To zależy od tego, co pani widziała.

— To znaczy?

— Jeśli zobaczyła pani wystarczająco dużo, żeby przy-skrzynić tego faceta, postępuje pani właściwie. Ale jeśli to, co pani zobaczyła, nie jest rozstrzygające, uważam, że podejmuje pani niepotrzebne ryzyko.

— Widziałam, co widziałam. Wszyscy zainteresowani zapewnili mnie, że to wystarczy, żeby wydać wyrok skazujący. Albo, jak pan to ujął, przyskrzynić tego faceta. Widziałam ich rozmowę. Widziałam inspekcję towaru i widziałam przeliczanie i transfer pieniędzy.

— Z jakiej odległości?

— Może dwudziestu jardów.

— Przez okno?

— Owszem, z wnętrza restauracji.

— Szyba była czysta? Czy zaparowana?

— Tak, czysta.

— Widziała ich pani w prostej linii przed sobą?

— Tak.

— Jaka była pogoda?

— Chłodna i bezchmurna.

— O jakiej to było porze dnia?

— Wczesnym wieczorem.

— Czy parking był oświetlony?

120

— Jasno.

— Ma pani dobry wzrok?

— Mam niewielką dalekowzroczność. Czasami zakładam okulary do czytania. Poza tym nigdy.

— Jak wyglądał towar?

— Blok białego proszku zapakowany szczelnie w woskowany papier. Papier był lekko pożółkły ze starości. Odbito na nim z szablonu znak w kształcie korony: opaskę z trzema szpicami, na których umieszczone były kule symbolizujące chyba klejnoty.

— Widziała to pani z odległości dwudziestu jardów?

— Taka jest korzyść z tego, że jest się dalekowidzem. I przedmiot był duży.

— Nie ma pani żadnych wątpliwości? Niczego pani sobie nie dopowiada, niczego nie zgaduje?

— Nie.

— Będzie pani chyba doskonałym świadkiem.

Pani Salter podała lunch: sałatkę w drewnianej misce, pociemniałej od oliwy i ze starości. Sałatka była z różnego rodzaju liści, warzyw, tuńczyka z puszki i ciepłych jeszcze jajek na twardo. Dłonie Janet Salter były drobne. Błada pergaminowa skóra, wypielegnowane paznokcie, żadnej biżuterii.

— Ile osób było wtedy w restauracji? — pytał dalej Reacher.

— Pięć plus kelnerka.

— Czy ktoś jeszcze widział, co się dzieje?

— Moim zdaniem wszyscy.

— Ale?

— Potem udawali, że nic nie widzieli. Ci, którzy mieszkają na zachód od miasta, są tu dobrze znani. Budzą lęk w mieszkańcach Bolton. Moim zdaniem po prostu dlatego, że tam są i że się od nas różnią. Są inni. Co samo w sobie jest niepokojące. Praktycznie nie robią nam nic złego. Panuje między nami chwiejny impas. Ale nie mogę zaprzeczyć, że wyczuwa się podskórne zagrożenie.

— Pamięta pani, jak budowali tam obóz wojskowy?

121

Janet Salter pokręciła głową.

— Komendant Holland i pan Peterson wciąż zadają mi to pytanie. Ale wiem to samo co oni. Kiedy go budowano, nie było mnie tutaj. Studiowałam.

— Ludzie mówią, że to trwało długie miesiące. Chyba dłużej niż jeden semestr. Nie obojętne się pani nic o uszy, kiedy wróciła pani do miasta?

— Studiowałam za granicą. Międzynarodowe podróże były wtedy drogie. Nie wracałam tu na wakacje. Prawdę mówiąc, wróciłam dopiero po trzydziestu latach.

— Gdzie studiowała pani za granicą?

— Na Uniwersytecie Oksfordzkim, w Anglii.

Reacher nie odpowiedział.

— Zdziwiło to pana? — zapytała Janet Salter.

Wzruszył ramionami.

— Peterson powiedział, że była pani nauczycielką i bibliotekarką. Wyobrażałem sobie chyba panią w miejscowej szkole.

— Pan Peterson ma typową dla mieszkańców Dakoty Południowej awersję do tego, co elitarne. I swoją drogą ma rację. Byłam nauczycielką i bibliotekarką. Wykładałam bibliotekoznawstwo w Oksfordzie, pomagałam prowadzić tamtejszą Bibliotekę Bodlejańską, po powrocie do Ameryki prowadziłam bibliotekę w Yale, a później przesłam na emeryturę i wróciłam do Bolton.

— Jaka jest pani ulubiona książka?

— Nie mam takiej. A pan?

— Ja też nie mam.

— Wiem o planie na wypadek ucieczki i zamieszek w więzieniu — powiedziała Janet Salter.

— Poinformowali mnie, że jeszcze nigdy nie został wcielony w życie.

— Ale jak ze wszystkim, można się spodziewać, że nadejdzie kiedyś ten pierwszy raz. Że nadejdzie prędzej czy później.

122

Platon nie zjadł lunchu, co nie było dla niego typowe. Zwykle lubił rytuał i ceremonię trzech posiłków dziennie. Jego personel przygotował coś do jedzenia, ale Platon się nie pojawił.

Zamiast tego przechadzał się ścieżką wijącą się w porastającym jego posiadłość buszu i rozmawiał w przepoconej koszuli przez komórkę. Jego człowiek w DEA sprawdził rutynowo zapisy z podsłuchu i zadzwonił z ostrzeżeniem. Platon nie lubił ostrzeżeń. Lubił rozwiązania, nie problemy. Przyskrzynienie nieszczęsnego Rosjanina jest nieuniknione, ale można je opóźnić do chwili, kiedy transakcja dojdzie do skutku, tak, żeby pieniądze rozpląły się we mgle, a Platon wyszedł z tego wzbogacony i czysty jak łąza. Wszystko to będzie go kosztować czteroletnie czesne. Kolega miał szesnastoletniego syna i puste konto w banku. Platon zapytał, ile kosztuje uniwersytet, i odpowiedź trochę go zaskoczyła. Za te pieniądze można kupić porządny samochód.

Miał teraz tylko jeden problem. Placówka w Dakocie Południowej była wielofunkcyjna. Większość towaru można sprzedać, ale nie wszystko. Część należało stamtąd wcześniej wyprowadzić. Tak jak to bywa przy sprzedaży domu. Zostawia się kuchenkę, zabiera sofę. Nie ufał nikomu. Dzięki temu na ogół zyskiwał. Ale czasami przysparzało mu to problemów. Tak jak teraz. Komu zlecić zapakowanie i wywiezienie towaru? Nie może zadzwonić do Allied Van Lines, Fedexu ani do UPS.

Wniosek jest tylko jeden: jeżeli chce coś porządnie załatwić, musi to zrobić sam.

•••

Janet Salter dała ręką znak, żeby Reacher nie ruszał się z miejsca, po czym sama sprzątnęła ze stołu.

— Co pan wie o metamfetaminie? — zapytała.

— Pewnie mniej od pani — odparł.

— Nie jestem tego rodzaju dziewczyną.

— Ale jest pani tego rodzaju bibliotekarką. Na pewno zasięgnęła pani informacji.

123

— Pan pierwszy.

— Służyłem w wojsku.

— Co z tego wynika?

— Pewne operacje i pewne sytuacje wymagają przez dłuższy okres tego, co w podręcznikach polowych określa się jako czujność, skupienie, wysoki poziom motywacji i jasność umysłu. Lekarze dysponowali wszelkiego rodzaju pobudzającymi tabletkami. Kiedy ja zaczynałem służbę, prosta metamfetamina wychodziła już z użycia, ale przedtem stosowano ją przez całe dziesięciolecie.

Janet Salter pokiwała głową.

— Występowała pod nazwą pervitin. Niemieckie udoskonalenie japońskiego wynalazku. Stosowano ją powszechnie w czasie drugiej wojny światowej. Wchodziła w skład batoników. Fliegerschokolade, czyli „czekolada lotników”, i Panzer-schokolade, czyli „czekolada czołgistów”. Alianci też ją stosowali. W takich samych, a może nawet większych ilościach. Nazywali ją desoxyn. Dziwne, że ktoś w ogóle wtedy sypiał.

— Żeby zasnąć, brali morfinę.

— Ale teraz specyfik jest pod kontrolą ponieważ powodował straszliwe skutki uboczne u tych, którzy go nadużywali. Trzeba go więc produkować nielegalnie. Co jest stosunkowo łatwe w małych domowych laboratoriach. Ale każda produkcja wymaga surowców. Żeby wyprodukować metamfetaminę, potrzebna jest efedryna albo pseudoefedryna. Można ją kupować hurtowo, jeśli zdoła się obejść przepisy. Można też ją ekstrahować z nabywanych bez recepty leków drażniących górne drogi oddechowe. Potrzebna jest do tego jodyna lub fosfor czerwony. Albo lit z pewnego typu baterii. To alternatywna metoda zwana redukcją Bircha.

— Można też uzyskać metamfetaminę bezpośrednio z drzew akacji w zachodnim

Teksasie — dodał Reacher. — Plus meskalinę i nikotynę. Ta akacja to wspaniałe drzewo.

— Ale nie jesteśmy w zachodnim Teksasie — zauważyła

Janet Salter. — Chodzi o to, że nie ma dymu bez ognia. Jeżeli wysyłają duże ilości gotowego produktu, muszą otrzymywać duże ilości surowca. Co dałoby się zauważyć. Mówię o transporcie ciężarówkami. Dlaczego komendant Holland nie może w ten sposób dobrać im się do skóry? Nie angażując w to mnie?

— Nie wiem.

— Moim zdaniem komendant Holland zrobił się leniwy.

— Peterson twierdzi, że dali pani wybór i mogła się pani wycofać.

— Nie widzi pan tego? Nie mam żadnego wyboru. Nie mogłabym tak dłużej żyć. To kwestia zasad.

— Peterson twierdzi, że zaproponowano pani federalny program ochrony.

— I może powinnam była się zgodzić. Ale o wiele bardziej wolałam zostać we własnym domu. Prawo powinno karać sprawców, nie świadków. To też jest kwestia zasad.

Reacher zerknął w stronę drzwi kuchennych. Policjantka w holu, policjantka przy drzwiach do ogrodu, dwie śpiące na górze, gotowe do nocnej zmiany, samochód przed domem, drugi na tyłach posesji, trzeci przy końcu ulicy. Plus czujni mieszkańcy miasta i dowództwo policji w stanie paranoi. I wszystko zasypane śniegiem.

I wszystko zapięte na ostami guzik, dopóki nie zawyje syrena.

— Jest pani babcią? — zapytał.

Janet Salter pokręciła głową.

— Nie mieliśmy dzieci. Czekaliśmy, a potem mój mąż umarł. Był Anglikiem, o wiele starszym ode mnie. Dlaczego pan pyta?

— Peterson mówił o pani wiarygodności jako świadka. Powiedział, że wygląda pani jak babcia z bajki.

— I wyglądam?

— Nie wiem. Chyba nigdy nie czytałem tych bajek.

— Gdzie pan dorastał?

— W bazach piechoty morskiej.

— Których?

— Miałem wrażenie, że we wszystkich.

— Ja dojrzewiałam tutaj, w Dakocie Południowej. Mój ojciec był ostatnim z długiej linii wyzyskiwaczy. Handlowaliśmy. Kupowaliśmy ziemię od tubylców po dwanaście centów za akr, kupowaliśmy państwowe udziały przez podstawionych ludzi, wydobywaliśmy złoto, inwestowaliśmy w linie kolejowe. Płacąc oczywiście preferencyjną cenę.

— Stąd ten dom — mruknął Reacher.

Janet Salter się uśmiechnęła.

— Nie, tutaj sprowadziliśmy się dopiero, kiedy zaczęły się dla nas ciężkie czasy.

W holu zabrzączał dzwonek, tylko raz, w cichy i cywilizowany sposób. Reacher podszedł do drzwi kuchennych. Pełniąca służbę policjantka, która siedziała na najniższym schodku, wstała, przeszła przez pogrążony w półmroku hol i otworzyła frontowe drzwi. Do środka wszedł w tumanie śniegu i chmurze zimnego powietrza komendant Holland. Zdjął parkę, a policjantka wzięła ją od niego i powiesiła na kurtce Reachera.

Holland przeciął hol, skinął głową Reacherowi i przycisnął się obok niego do kuchni.

Powiedział Janet Salter, że nie ma żadnych ważnych wiadomości i że wpadł, by złożyć jej uszanowanie. Poprosiła, żeby zaczekał w bibliotece. Powiedziała, że zrobi kawę i ją przyniesie. Reacher patrzył, jak napełnia wodą stary ekspres z grubego matowego aluminium, z kablem izolowanym tkaniną — praktycznie antyk. Niewykluczone, że jego korpus odlali z oddanego na złom po drugiej wojnie światowej liberatora B-24. Kiedy wstał, żeby pomóc pani Salter, odprawiła go gestem ręki.

— Niech pan poczeka razem z komendantem w bibliotece — rozkazała.
Reacher dołączył więc do Hollanda w wypełnionym książkami pokoju.

— Jak wygląda sytuacja? — zapytał.

— Z czym? — odparł Holland.

126

— Z samochodem na wschodnich obrzeżach miasta. Z trupem w środku.

— Nie wiemy, czy słuszna jest nasza pierwsza hipoteza o przerwaniu łańcucha pośredników. To mógł być zwykły napad rabunkowy, który źle się skończył.

— Jak to?

— Ofiara jest adwokatem, ale w samochodzie nie ma teczki. Widział pan kiedyś adwokata bez teczki? Może ktoś mu ją zabrał.

— Czy miał w kieszeni portfel?

— Tak.

— Zegarek na ręku?

— Tak.

— Czy spodziewano się go w więzieniu?

— Nie ma go na liście odwiedzających. Jego klient nie złożył takiej prośby. Ale w kancelarii twierdzą że został wezwany.

— W takim razie to nie był zwykły napad. Zwabiono go tam. Nie wziął teczki, bo nie miał zamiaru niczego notować. Jego zadanie polegało na czym innym.

— Możliwe. Nie zamykamy tej linii śledztwa.

— Kto zadzwonił do kancelarii?

— Jakiś mężczyzna. Ten sam, który dzwonił wcześniej pięć razy. Z komórki, której nie możemy namierzyć.

— Kim jest klient, którego odwiedzał w więzieniu?

— To prymitywny menel, z którego nigdy nic nie wyciągnęliśmy. Aresztowaliśmy go osiem tygodni temu za podpalenie domu. Nadal czekamy na opinię psychiatry. Nie odzywa się do nikogo, z kim nie ma ochoty gadać. Ani słowa.

— Wygląda na to, że wasz motocyklista dobrze wybrał.

W kuchni zaczął pyrkotać i parskać ekspres. Robił to dość głośno. Reacher słyszał go całkiem wyraźnie. Zapach parzonej kawy zakradł się do biblioteki. Kolumbijska, domyślił się Reacher, grubo mielona, dość świeża.

127

— Pani Salter i ja rozmawialiśmy o dostawach surowca do laboratorium, które waszym zdaniem tam założyli — powiedział.

— Uważa pan, że coś zaniedbaliśmy? Że narażalibyśmy ją na niebezpieczeństwo, gdybyśmy mieli realną alternatywę?

— Tego nie powiedziałem.

— Staraliśmy się, niech mi pan wierzy. Nic nie przejeżdża przez Bolton. Mamy co do tego pewność. Dlatego uważamy, że są zaopatrywani z zachodu. Za autostradę odpowiada drogówka. My nie mamy tam czego szukać. Kontrolujemy tylko drogę okręgową która biegnie na północ do obozu. Od czasu do czasu stawiamy tam radiowozy. Na chybił trafił. Dosłownie. Rzucam kośćmi na biurku.

— Widziałem je — mruknął Reacher.

— Robię to, ponieważ nie możemy pozwolić, żeby stało się to choć w najmniejszym stopniu przewidywalne — wyjaśnił Holland. — Na razie jednak nie mieliśmy szczęścia. Przypuszczam, że uważnie nas obserwują.

— Rozumiem.

— Sprawę rozwiąże proces. Albo zawarta dzień wcześniej ugoda. Na razie nic się nie da zrobić. Trzeba po prostu ten miesiąc przeczekać.

- Peterson powiedział, że nie można w żaden sposób obejść planu kryzysowego.
- Ma rację. Oczywiście oponowaliśmy, ale umowę podpisał burmistrz. W grę wchodziły duże sumy, były naciski. Departament Sprawiedliwości będzie nas monitorował po wsze czasy.
- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.
- Przysporzyliśmy sobie więcej kłopotów, niż to było warte — przyznał Holland. — Niestety, nie jestem właścicielem motelu.

•••

Otoczona murem posiadłość Platona miała sto akrów powierzchni. Ścieżka, którą spacerował w jej obrębie, mierzyła ponad

128

trzy mile. Następny pomysł przyszedł mu do głowy, gdy znajdował się w najdalszym punkcie od domu. Był jak zwykle zuchwały. DEA przyskrzyni Rosjanina. To pewne. Platon nie zamierza im przeszkadzać. Agenci muszą zobaczyć, że facet wszedł w posiadanie. Ale w posiadanie czego konkretnie? Wystarczającej ilości towaru, żeby można było postawić zarzuty. Niekoniecznie jednak całej ilości, za którą facet zamierza zapłacić. W tych okolicznościach przekazanie całości byłoby niepotrzebną przesadą. Można zatrzymać mały, a właściwie nawet duży margines. Być może nawet większą część uzgodnionej ilości. Bo co może, do diabła, zrobić Rosjanin? Wściekać się i żalić na niesprawiedliwość świata w jakiejś superstrzeżonej celi? I tak będzie się wściekał i żalił. Dlatego Platon może wziąć jego pieniądze, a potem sprzedać jeszcze raz towar komuś innemu. Jakby sprzedawał dom, tyle że tym razem zabierze kuchenkę, żarówki i szyby z okien.

Ten plan jeszcze bardziej skomplikuje jego problemy z transportem, ale powinien sobie z nimi poradzić. Był pewny, że znajdzie jakieś rozwiązanie. Wszystko ułoży się tak, jak trzeba. Nie bez kozery nazywa się Platon.

•••

Janet Salter przyniosła do biblioteki kawę na srebrnej tacy. Porcelanowy dzbanuszek, cukier, śmietanka, trzy małe filiżanki, trzy spodeczki, trzy łyżeczki. Policjantki najwyraźniej nie zostały uwzględnione. Być może już wcześniej odbyła się dyskusja na temat oddzielenia zawodowych i towarzyskich powinności. Być może policjantki były zadowolone z takiego jej wyniku. Reacher wiele razy był w podobnej sytuacji. Zawsze lepiej oddzielać to, co prywatne, od tego, co zawodowe, i skupić się na zadaniu.

Janet Salter naląła kawę. Filiżanka była zdecydowanie za mała dla Reachera, ale kawa dobra. Powąchał ją i upił łyk.

129

Nagle zadzwonił telefon Hollanda. Trzymając filiżankę w ręku, komendant wyciągnął komórkę z kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Następnie otworzył jedną ręką klapkę i odebrał. Przez osiem sekund słuchał rozmówcy, po czym rozłączył się i zadowolony uśmiechnął od ucha do ucha.

— Właśnie złapaliśmy faceta, który zabił adwokata — oznajmił.

Trzynasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało trzydzieści osiem godzin.

15

Reacher wrócił z Hollandem do komisariatu. Nieoznakowany crown vic wyjechał, buksując kołami, z bocznej uliczki, wpasował się w koleiny i pomknął gładko do celu. W sali odpraw czekał już na nich Peterson. Uśmiechał się tak samo szeroko i był tak samo zadowolony jak Holland. Reacher się nie uśmiechał. Miał poważne wątpliwości, które wynikały z gorzkich doświadczeń. Szybkie i łatwe rozwiązanie poważnego problemu jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Wszystko, co jest zbyt piękne, aby było prawdziwe, na ogół prawdziwe nie jest. Tak brzmi podstawowe prawo przyrody.

- Więc kto strzelał? — zapytał.
— Jay Knox — odparł Peterson. — Kierowca autobusu.

•••

Reacher poznał całą historię z drugiej ręki, stojąc z boku i słuchając, jak Peterson zdaje relację Hollandowi. Przed czterdziestoma minutami policjant z patrolu zobaczył pieszego, który brnął przez głęboki śnieg wiejską drogą milę od miasta. Peterson wymienił nazwisko gliniarza i określił go jako Jednego z naszych". Prawdopodobnie stary wyga. Z lepszej połowy komisariatu. Być może ktoś, kogo Holland dobrze znał. Gliniarz był uprzedzony o wysokim stopniu zagrożenia, lecz mimo to

131

w pierwszej chwili nie wziął faceta za mordercę, tylko za kogoś, komu popsuł się samochód. Zatrzymał się i zaproponował, że go podwiezie. Reakcja faceta była dziwna. Był niechętny i opryskliwy, odpowiadał wymijająco. W związku z tym gliniarz zakuł go w kajdanki i przeszukał.

I znalazł w jego kieszeni glocka 17 kalibru 9 milimetrów. Zapach prochu wskazywał, że niedawno z niego strzelano, a w magazynku brakowało jednego naboju.

Gliniarz aresztował mężczyznę i zawiózł go do komisariatu. W trakcie rejestracji rozpoznano w nim kierowcę autobusu. Sprawdzono jego dłonie i ubranie na obecność prochu strzelniczego. Test dał wynik pozytywny. W którymś momencie w ciągu ostatnich kilku godzin Jay Knox oddał strzał z pistoletu. Jego odciski palców były na całym glocku. Zapoznano go z przysługującymi mu prawami i zamknięto w celi. Nie poprosił o adwokata i w ogóle się nie odzywał.

•••

Holland wyszedł, żeby przyjrzeć się Knoxowi w jego celi. Reacher nieraz już zetknął się z taką reakcją. Coś w rodzaju pójścia do zoo. Po ujęciu ważnego bandziora ludzie chodzili, żeby po prostu na niego popatrzeć. Stawali po drugiej stronie krat i starali się objąć to wszystko rozumem. Później twierdzili, że w twarzy faceta było coś, co od początku im się nie podobało. Jeśli się na nim nie poznali, mówili o banalności zła. O tym, że nie było żadnych wyraźnych symptomów.

Peterson został w sali odpraw. Starał się poukładać sobie to wszystko w głowie. Kolejna reakcja, jaką Reacher oglądał już wcześniej. Niebezpieczna. Kiedy patrzy się wstecz, widzi się to, co chce się zobaczyć.

- Ile pocisków jest w ofierze? — zapytał Reacher.
— Jeden — odparł Peterson. — Strzał w głowę.
— Dziewięć milimetrów?
— Prawie na pewno.
— To popularny kaliber.

132

- Wiem.
— Czy geografia się zgadza?
— Knoxa zgarnięto mniej więcej cztery mile od miejsca zbrodni.
— Szedł na piechotę? To z pewnością za duża odległość.
— Musiał mieć do dyspozycji jakiś pojazd.
— Dlaczego? — zapytał Reacher.
— Zaczekaj, aż zobaczysz fotografie.

•••

Fotografie dostarczono trzydzieści minut później. Były w takiej samej teczce jak ta, którą Reacher widział poprzedniego wieczoru w gabinecie Hollanda. Fotografie też były podobne. Błyszczące odbitki w formacie osiem na dziesięć cali, z wydrukowanymi w dolnym rogu podpisami. Sporo odbitek. Kolorowych, ale przedstawiających przeważnie biel i szarość.

Śnieg na ziemi i śnieg w powietrzu. Aparat uwiecznił spadające płatki w postaci dziwnych ciemnych kształtów, które przypominały wulkaniczny pył, plamki i skazy.

Pierwsza fotografia zrobiona była z dużej odległości, z zachodu na wschód. Przedstawiała zaśnieżoną drogę z czterema koleinami pośrodku. W koleinach prowadzących na zachód stał samotny samochód. Miał włączone światła. Nie zjechał na bok ani nie skręcił. Po prostu stanął w koleinach niczym pociąg na torach.

Drugie zdjęcie zrobiono z odległości mniejszej o jakieś sto stóp. Widać było na nim trzy rzeczy. Po pierwsze, postać na miejscu kierowcy. Mężczyznę, którego w pionowej pozycji utrzymywały pasy bezpieczeństwa, z pochyloną do przodu głową. Po drugie, dużą różową plamę na tylnej bocznej szybie od strony pasażera. I po trzecie, fakt, że na drodze nie było niczego oprócz dziewiczego śniegu i przecinających go czterech kolein. Nic nie zakłócało bieli.

Potwierdzała to trzecia fotografia. Robiąc ją, autor zignorował samochód. Obiektów został skierowany z zachodu na wschód

133

wzdłuż osi drogi, dokładnie tam, gdzie pod śniegiem biegła żółta linia. Nie było na czym zatrzymać oka. Opony pojazdów wyżłobiły rowy. Ich dno zostało ubite, małe boczne ścianki urosły, z ich szczytów zsunęły się na zewnątrz małe lawiny, niewielkie osypiska przykryły świeży śnieg.

Nic więcej.

— Dobre zdjęcia — pochwalił Reacher.

— Staralem się, jak mogłem — odparł Peterson. — Dziękuję.

— Żadnych śladów stóp.

— Zgadza się — mruknął Peterson.

Czwarta fotografia przedstawiała z bliska dwie koleiny prowadzące na wschód. Tu też nie było na czym zatrzymać oka poza rozsypanymi i popękanymi śladami bieżnika, pokruszonymi śnieżnymi waflami, które Reacher widział wszędzie w mieście i które nie pozwalają na odtworzenie czegokolwiek w laboratorium.

Piąta fotografia przedstawiała samochód z przodu, od prawej strony. Mały elegancki sedan nieznanego Reacherowi marki.

— Infiniti — odpowiedział Peterson. — Japoński. Luksusowa odmiana nissana. Ten akurat model ma silnik w układzie V i stały napęd na cztery koła. Na wszystkie koła założono zimowe opony. Praktyczne auto, maksimum tego, czym może się popisać adwokat w Dakocie Południowej.

Samochód był w jasnosrebrzystym kolorze, w zasadzie czysty, trochę tylko przybrudzony podczas kilku niedawnych zimowych podróży. W tańczącym na lakierze, odbitym od śniegu świetle wydawał się upiorny i nierzeczywisty. Okno po stronie kierowcy było otwarte na oścież. Martwy facet siedział przypięty pasami i przysypany lekko śniegiem, z podbródkiem opartym o pierś. Gdyby nie dziura w głowie, można by go wziąć za pogrążonego we śnie. Samą dziurę przedstawiało zdjęcie numer sześć. Tkwiła pośrodku czoła niczym trzecie oko. Facet najwyraźniej obrócił się o czterdzieści pięć stopni i wyjrzał przez okno. Strzelono mu prosto w twarz, musiał patrzeć w lufę pistoletu. Krew

134

i mózg z rany wylotowej zachlapały znajdującą się za nim ukośnie szybę, a później głowa opadła i obróciła się do przodu.

Pozostałe fotografie przedstawiały ze wszystkich możliwych kątów samochód i jego wnętrze. „Zrób mnóstwo zdjęć”, powiedział Reacher i Peterson wykonał co do joty jego polecenie.

Przed fotelem pasażera stały równo ustawione gumowe śniegowce. Pośrodku tablicy rozdzielczej zamontowany był mały, wielofunkcyjny, chromowany młotek. Reacher widywał

reklamy takich młotków w samolotach. Można nimi wybić szybę, gdyby po wypadku w pojeździe zablokowały się drzwi. W ręczce schowane jest ostrze do przecinania pasów. Idealny sprzęt dla ostrożnych, skrupulatnych, dobrze zorganizowanych ludzi zainteresowanych motoryzacją. Reacher zastanawiał się, czy w całej historii transportu samochodowego choć raz nadarzyła się okazja, by go użyć. Podejrzywał, że nie. Dźwignia zmiany biegów infiniti była w pozycji parkowania, kluczyk w stacyjce przekreślony. Obrotomierz pokazywał osiemset obrotów na minutę. Na liczniku było mniej niż dziesięć tysięcy mil. Temperatura wewnątrz ustawiona na dwadzieścia stopni. Radio odbierało lokalną stację na falach długich, kreska pokrętła głośności znajdowała się na godzinie ósmej. Na samym dole. Wskaźnik paliwa pokazywał prawie pełny bak.

— Opowiedz, jak to wyglądało — poprosił Reacher.

— Dobrze. Knox siedzi za kierownicą. Jedzie na wschód. Adwokat jedzie na zachód.

Żaden się nie spieszy, bo warunki na drodze są złe. Knox widzi nadjeżdżającego adwokata.

Opuszcza szybę, wystawia rękę i daje mu znak, żeby się zatrzymał. Adwokat zwalnia i staje.

Opuszcza szybę. Może myśli, że Knox chce go ostrzec przed jakimś niebezpieczeństwem, tak jak to robią kierowcy, gdy warunki są trudne. Ale Knox strzela do niego i odjeżdża.

— Kto znalazł ciało?

135

— Inny facet jadący na wschód. Pięć, może dziesięć minut po tym, jak to się stało.

Zwolnił, przyjrzał się i zadzwonił do nas ze stacji benzynowej dwie mile dalej. Nie z komórki.

— Czy Knox jest praworęczny?

— Nie wiem. Ale większość ludzi jest.

— Znaleźliście łuskę?

— Nie.

— Jeśli Knox jest praworęczny, w takim razie strzelał na ukos z głębi samochodu. Musiał w tym celu wyciągnąć rękę. Lufa prawdopodobnie wystawała trochę na zewnątrz. W glocku wyrzutnica łuski jest po prawej stronie pistoletu. Musiał więc bardzo uważać. Wyrzutnica nie mogła się znaleźć poza samochodem. To go trochę ograniczało. Nie dało się porządnie wycelować. Mimo to trafił faceta prosto między oczy. To niełatwe. Czy Knox jest dobrym strzelcem?

— Nie wiem.

— Powinieneś spróbować to ustalić.

— Moim zdaniem łuska odbiła się pod kątem od ramy drzwi albo od przedniej szyby i jest gdzieś w aucie Knoxa — stwierdził Peterson.

— Więc opowiedz mi o aucie Knoxa.

— Przygotowano je dla niego wcześniej. Wczoraj przyjechał do miasta i dziś z kimś się spotkał. Może z którymś z motocyklistów, który przekazał mu najprawdopodobniej pick-upa. Knox zrobił to, co zrobił, oddał pojazd i kiedy wracał do domu, został aresztowany.

Reacher się nie odezwał.

— Ludzie, u których ulokowaliśmy go wczoraj wieczorem — ciągnął Peterson — powiedzieli, że przez cały dzień nie było go w domu i że nie był zbyt rozmowny. Jakby miał co innego na głowie.

— Spotkałem go dziś rano w kafejce.

— Ico?

— Faktycznie nie był zbyt rozmowny. Oświadczył, że zapłaca mu tylko do wczoraj.

Może martwił się, że straci pracę.

136

— Denerwował się przed wykonaniem zadania.

— Skąd wiedział, jakim samochodem będzie jechał adwokat?

— Poinformował go o tym facet, od którego dostał auto.
— Skąd wiedział, że adwokat będzie jechał dokładnie tą drogą, dokładnie w tym czasie?
— zastanawiał się Reacher.
— Prosta arytmetyka. Fałszywe wezwanie było na dwunastą. Dość łatwo to sobie wyliczyć, jeśli chodzi o czas. I dość łatwo ustalić miejsce, skoro wszyscy wiedzieli, że autostrada jest zamknięta.
— Przede wszystkim nie przekonuje mnie to, jak się tu dostał. To zdecydowanie zbyt skomplikowane. I powiedział, że samochód jechał prosto na niego. Nie mógł tego zaaranżować. Nie mógł tego zmyślić. Miał w autobusie dwudziestu jeden potencjalnych świadków.

— Żaden z nich nic nie widział — przypomniał Peterson.
— Nie mógł tego wiedzieć.
— Może naprawdę ten samochód na niego jechał. Może w ułamku sekundy podjął decyzję, że to wykorzysta, zamiast udawać, że zepsuł mu się autobus, bliżej skrzyżowania. Czy zareagował z opóźnieniem?

— Nie wiem — odparł Reacher. — Spałem.
Peterson milczał.

— Moim zdaniem zamknęliście nie tego faceta — stwierdził Reacher.
— Gliniarze nie lubią, kiedy ktoś tak mówi.
— Wiem. Sam byłem gliniarzem. Ale to nie znaczy, że ten ktoś nie ma czasem racji.
— Miał w kieszeni broń i z niej strzelał.
— Sprawa zamknięta? — zapytał Reacher.
— To poważna decyzja.
— Ale?
— W tym momencie tak. Moim zdaniem tak.
— Więc poprzyjcie słowa czynami. Zabierzcie te policjantki z domu Janet Salter.

137

— Ta decyzja nie należy do mnie — odparł po chwili Paterson.
— Co byś zrobił, gdybyś to ty miał ją podjąć?
— Nie wiem.
— Czy Holland ją podejmie?
— Poczekamy, zobaczymy. Czternasta pięćdziesiąt pięć. Zostało trzydzieści siedem godzin.

16

Holland nie podjął tej decyzji. Nie dlatego, jak twierdził, że nie wierzy w winę Knoxa, ale ponieważ stawka jest bardzo wysoka i przestępcy mogą się zdecydować na drugie i trzecie, a jeśli to konieczne, nawet czwarte i piąte podejście. Z tego względu ochrona Janet Salter ma pozostać u niej w domu aż do procesu.

A potem Knox puścił farbę i sytuacja zmieniła się po raz kolejny.

•••

Knox oświadczył, że zawsze nosi przy sobie pistolet. Był przygnębiony i sfrustrowany z powodu incydentu z autobusem i bał się, że pracodawcy zmniejszą mu wynagrodzenie. Nie podobały mu się szajbusy, u których nocował. Starał się jak najdłużej jeść śniadanie w kafejce, ale Reacher wytrącił go z równowagi, więc zdenerwowany wybrał się na długi spacer. Starał się rozładować złe emocje, ale kiedy doszedł do małego mostka nad skutym lodem potokiem i zobaczył tablicę z napisem: UWAGA GOŁOLEDŹ, wkurzył się, wyciągnął glocka i strzelił do tablicy. Gotów był za to przeprosić, dodał jednak, że prawie każdy cholerny znak drogowy, jaki widział w okolicy, podziurawiony był pociskami albo śrutem ze strzelby.

Pamiętał, gdzie był ten mostek. Pamiętał, gdzie stał. Opisał to miejsce dość dokładnie.

Potrafił z dużym prawdopodobieństwem zgadnąć, gdzie mogła upaść łuska.

Peterson też wiedział, gdzie jest mostek. Znajdował się niedaleko miejsca, gdzie aresztowano Knoxa, więc z geograficznego punktu widzenia opowieść była raczej prawdopodobna.

Peterson uznał, że jeśli Knox rzeczywiście tam był, ślady jego butów nadal będą widoczne w postaci płytkich zagłębień w świeżo spadłym śniegu. Z pewnością nikt inny tam nie chodził. Miejscowi mają więcej oleju w głowie. Wysłał patrol, żeby to sprawdzili. Policjanci wożą w bagażniku wykrywacz metalu. Standardowe wyposażenie w rejonach, gdzie pada śnieg i dochodzi do przestępstw z użyciem broni palnej.

•••

Dziesięć minut później policjant z patrolu zadzwonił sprzed mostu. Znalazł ślady butów. I łuskę. Leżała zakopana w śniegu przy końcu bruzdy nie dłuższej od palca. Powstała, ponieważ gorąca łuska stopiła po drodze trochę śniegu. Była przysypana świeżym śniegiem, ale wciąż widoczna, jeśli ktoś wiedział, czego szuka. Gliniarz potwierdził także, że w tablicy informacyjnej jest nowa dziura po pocisku, prawie na pewno kalibru 9 milimetrów, między literą G w słowie UWAGA i literą Ł w słowie GOŁOLEDŹ.

Peterson i Holland pokonferowali i zgodzili się, że człowiek, którego poszukują jest nadal niezidentyfikowany i grasuje po okolicy. I wykonał dopiero połowę zadania.

•••

Pięć minut później Knoxa wypuszczono z aresztu, informując jednocześnie, że jego glock pozostanie na wszelki wypadek w komisariacie do chwili, gdy będzie gotów opuścić miasto. Knox dość chętnie zaakceptował ten warunek. Reacher widział, jak wychodzi z holu na mróz, ułaskawiony, lecz nadal pokonany, uwolniony, lecz nadal sfrustrowany. Peterson i Holland znowu

140

pokonferowali i ogłosili w komisariacie stan pogotowia. Nawet Kapler i Lowell zostali przywrócenii do czynnej służby. Wszystkim funkcjonariuszom kazano wsiąść do radiowozów, patrolować ulice i wypatrywać podejrzanych twarzy, podejrzanych pojazdów, podejznanego zachowania, dając w ten sposób świadectwo pierwotnego lęku każdego organu ścigania przed grasującym w pobliżu sprawcą.

•••

Peterson przypiął zdjęcia z nowego miejsca zbrodni w pokoiku przy sali odpraw. Umieścił je na ścianie naprzeciwko zdjęć leżącego na śniegu martwego faceta w czarnym ubraniu. Tam zastał go Reacher.

— Zrobiliśmy z siebie głupków i straciliśmy mnóstwo czasu — stwierdził Peterson.

— Prawdę mówiąc, nie aż tak dużo. Poza tym, że to nie był Knox, przedstawiłeś moim zdaniem całkiem prawdopodobną wersję wydarzeń. Potwierdza to brak śladów stóp na śniegu. Dwa samochody zatrzymały się prawie równo obok siebie. Sprawca dał adwokatowi znak, żeby stanął. Adwokat to zrobił. Powstaje pytanie dlaczego?

— To chyba oczywiste zachowanie.

Reacher pokiwał głową.

— Zgadzam się, na takiej drodze jak ta. W lecie, przy normalnej szybkości w ogóle by do tego nie doszło. Ale podczas opadów śniegu jak najbardziej. Wleciesz się noga za nogą, dochodzisz do wniosku, że ten drugi facet potrzebuje pomocy albo ma jakieś ważne dla ciebie informacje, więc się zatrzymujesz. Jednak jeśli jesteś na tyle ostrożny, żeby zakładać na nogi śniegowce, montować awaryjny młotek na tablicy rozdzielczej, słuchać prognozy pogody na długich falach i zawsze jeździć z pełnym bakiem, w takim razie powinieneś uważać w tego

rodzaju sytuacjach. Powinieneś zostawić dźwignię biegów w pozycji DRIVE i trzymać nogę na hamulcu, żeby w razie czego móc szybko odjechać. Może uchyliłbyś trochę

141
szybę. Ale wasz adwokat tego nie zrobił. Przesunął dźwignię na parkowanie i opuścił szybę do końca.

— O czym to świadczy?

— Że był gotowy na dłuższą wymianę zdań. Rozmowę, dyskusję, co tylko chcesz. Przyciszył radio, żeby mu nie przeszkadzało. To oznacza, że mógł znać faceta, który go zatrzymał. Co jest bardzo prawdopodobne, zważywszy, w jakich obracał się kręgach.

— Więc co byś teraz zrobił?

— Prześwietliłbym całe jego życie.

— To nie jest takie łatwe. Facet mieszkał w sąsiednim hrabstwie. Poza naszą jurysdykcją.

— Musisz wziąć telefon do ręki i nawiązać współpracę.

— Tak jak ty współpracowałeś z federalnymi?

— Niezupełnie — odparł Reacher.

•••

Pod koniec popołudniowego spaceru Platon odwiedził swojego więźnia. Facet był przykuty łańcuchem za kostkę do stalowego słupa wbitego głęboko w ziemię. Był złodziejem. Zgubiła go chciwość. Transakcje zawierane przez Platona były oczywiście gotówkowe. Duże ilości banknotów musiały być magazynowane przez długie okresy w ziemi, w piwnicach, ukryte w najróżniejszych miejscach, gdzie szkody wyrządzane przez wilgoć i gryzonie sięgały nieraz dziesięciu procent aktywów. Sto tysięcy z każdego miliona po prostu gniło i obracało się w proch. Tyle że straty w sekcji tego faceta były bliższe dwunastu procent. Co stanowiło anomalię. I po inspekcji okazało się, że wynika to z tego, iż facet go okradał. Tu uszczknął ćwierć miliona, tam pół. Platon tolerował czasami błędy, ale nigdy nie darował nikomu nielojalności.

Dlatego facet był przykuty za kostkę do słupa.

W zimie, sto mil od Mexico City, nie było szczególnie gorąco. W powietrzu i w ziemi nie roiło się od gryzących owadów, węże spały, a małe nocne zwierzaki nie były zbyt

142
agresywne. W związku z tym facet powinien umrzeć albo z głodu, albo z pragnienia, w zależności od tego, czy będzie padać.

Chyba że podejmie inną decyzję.

W zasięgu ręki miał maczetę. Była ostra jak brzytwa, a goleń faceta niezbyt gruba. Jeszcze jej nie użył, lecz Platon spodziewał się, że raczej to zrobi. Szanse oceniał na pół na pół. O takim rozkładzie prawdopodobieństwa świadczyła równa liczba wdów i kuśtykających o kulach mężczyzn w najbliższej okolicy.

•••

W Dakocie Południowej zegar w sali odpraw pokazywał piętnastą pięćdziesiąt pięć. Zostało trzydzieści sześć godzin.

— Kiedy u nas jest za pięć czwarta, na Wschodnim Wybrzeżu dochodzi piąta — powiedział Peterson. — Kończy się dzień pracy. Pora zadzwonić do twojej dawnej jednostki. Nadal potrzebujemy tej informacji.

Reacher podszedł do biurka w rogu sali i usiadł. Nie wybrał numeru. Dzień pracy w Wirginii kończył się o piątej, nie za pięć piąta. Precyzja jest ważna. Ma znaczenie dla niego i nie wątpił, że ma znaczenie również dla jego następczyni.

— Co sądzisz o pani Salter? — zapytał Peterson.

— Jest chyba bardzo oczytana.

— A jako świadek?

— Doskonała.

- Trzyma się jakoś?
- Boi się.
- Trudno mieć do niej pretensję.
- Co z dostawami surowców do laboratorium? A skoro już o tym mowa, co z przejmowaniem produktu finalnego wysyłanego na zewnątrz?
- Staramy się. Ale żeby były jakieś efekty, musielibyśmy pilnować tej drogi dzień i noc, przez cały tydzień.
- I mieć odpowiednich ludzi — dodał Reacher. — Niektórzy z waszych podwładnych sprawiają wrażenie nieco ospa-

143
łych. Tak czy inaczej, musicie zapewnić panią Salter, że robicie wszystko, co w waszej mocy. W tym momencie ma wrażenie, że wszystko jest na jej barkach.

- Powiedzieliśmy jej, że nie musi tego robić.
- Pewne osoby traktują powinności w szczególny sposób — stwierdził Reacher i podniósł słuchawkę. Wcisnął dziesiątkę, żeby wyjść na miasto. Wybrał numer, który zapamiętał, i zaczekał na nagrany komunikat. „Jeśli znasz numer wewnętrzny działu, z którym chcesz się połączyć, możesz go wybrać w każdej chwili”. Wcisnął sto dziesięć. Usłyszał w słuchawce ten sam męski głos. Kapitan z Południa. Ta sama monosylaba na powitanie.

— Tak?

— Proszę z Amandą — rzucił Reacher.

Rozległo się kliknięcie, terkot, nowy sygnał i w słuchawce odezwał się głos. Ciepły, zachrypnięty, zdyszany i intymny.

- Upierdliwy z ciebie facet.
- Naprawdę? — zdziwił się Reacher.
- Jakbym nie miała dość własnej roboty.
- Na czym polega problem?
- Ten twój obiekt pięć mil na zachód od Bolton nie jest chyba niczym oczkiem w głowie. Nie ma go w żadnych rządowych rejestrach.
- Bo i nie powinno go być. Baza jest opuszczona. Może nigdy nie była użytkowana.
- Została sprzedana?
- Nie wiem. Może po prostu odstąpiona. Leży na terenie, który tutejsi gliniarze nazywają państwowym.
- Sprawdziłam księgi pięćdziesiąt lat wstecz i nie znalazłam żadnych transferów.
- Więc może obiekt nadal należy do nas?
- W takim wypadku coś by nas kosztował. Przeprowadzane co dwa lata inspekcje i samo utrzymanie terenu. Nie ma śladu żadnych wydatków.
- Musi coś być — upierał się Reacher. — Nawet wojsko nie buduje baz po to, żeby o nich później zapomnieć.

144

- Jest ogrodzona?
- Nie wiem. Jestem pięć mil dalej. Dlaczego pytasz?
- Ponieważ nawet wojsko nie buduje baz, żeby o nich później zapomnieć. Z tego względu brak danych może oznaczać, że obiekt jest na innej liście. To mogła być tajna baza.
- Wszystkie były tajne — zauważył Reacher.
- Niektóre bardziej tajne od innych.
- Tutejsi starzy ludzie pamiętają, że miejsce było oddzielone kordonem.
- Zawsze oddzielali je kordonem.
- Jak bardzo mogło być utajnione? Zakwaterowali tam robotników.

- Wtedy utajnione, teraz opuszczone. Może dlatego, że jego cel był dziwaczny. Co może być dla ciebie ważne. Ale jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, mogę trochę poszperać.
- Mogłabyś?
- Będzie cię to kosztowało.
- To znaczy?
- Chcę poznać historię tego wgłębienia na blacie biurka — oznajmił głos. Ciepły, zachrypnięty, zdyszany, intymny.
- Nie masz na to czasu. Masz dość własnej roboty.
- W tym momencie nic nie robię, czekam po prostu na telefon.
- Coś ciekawego?
- Chyba tak.
- Opowiedz mi o tym.
- Nie tak się umawialiśmy. To ty masz mi coś opowiedzieć.
- Nie chcę rozmawiać przez centralę.
- Nie masz się czym przejmować. To, co zrobiłeś z głową pułkownika, musiało być słuszne, w przeciwnym razie od razu by cię zdegradowali. A zarzut uszkodzenia własności rządowej już się przedawnił.
- Jak głęboko będziesz szperała?
- Tak głęboko, jak chcesz.
- Kiedy spodziewasz się tego telefonu?

145

- Mam nadzieję, że niedługo.
- W takim razie nie mamy czasu na tę historię. Przekaż mi do jutra informacje, których potrzebuję, to ci opowiem.
- Ostro się targujesz.
- Mam nadzieję, że dostanę coś za nic.
- Daj mi przynajmniej jakąś wskazówkę.
- No dobrze — zgodził się Reacher. — To nie był pułkownik. To był jednogwiazdkowy generał.

•••

Platon zdecydował się na wczesną kolację, ponieważ zrezygnował z lunchu i był głodny. W związku z tym zajrzał do kuchni. Lubił to czasem robić. Uważał, że solidaryzuje się w ten sposób z ludźmi, którzy dla niego pracują. Takie zachowanie było jego zdaniem egalitarne i demokratyczne. Zawsze było w nim jednak coś feudalnego. Jego pracownicy kłaniali mu się w pas, czerwienili się i przestępowali z nogi na nogę. Może dlatego, że się go bali. Choć przecież nie dał im żadnego powodu. Nigdy nie znęcał się nad ludźmi, którzy pracowali w domu. Żaden z nich nigdy nie ucierpiał. W każdym razie żaden z obecnego pokolenia. Dwaj ich poprzednicy zostali pochowani na terenie posiadłości, ale nikt z aktualnie zatrudnionych o tym nie wiedział.

Zamówił zimną i gorącą zakąskę, wziął piwo z lodówki i poszedł zaczekać w mniejszej jadalni na świeżym powietrzu. Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do odległej o sto mil otoczonej murem willi w mieście.

- Jak wygląda sytuacja w Dakocie Południowej? — zapytał.
- Adwokatem zajęto się przed sześcioma godzinami — odparł człowiek w willi.
- A świadkiem?
- Jeszcze nie.
- Więc kiedy?
- Niedługo.
- Jak niedługo?

146

— Bardzo niedługo.

Platon poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wyobraził sobie następne dwadzieścia cztery godziny. Lubił myśleć obrazami. Lubił oglądać interwały czasowe ułożone jeden za drugim niczym kreski na linijce. Przyglądał im się z bliska niczym ptak unoszący się nad morskimi falami i niektóre z nich wypełniał treścią, a inne zostawiał puste.

— Zadzwoń do faceta i powiedz mu, że nie możemy czekać ze świadkiem — mruknął.

— Zadzwonię — odparł człowiek w willi.

Platon rozłączył się i zadzwonił na lotnisko. Polecił, żeby jego samolot był w pogotowiu, zatankowany i gotowy do natychmiastowego startu. W planie lotu mają wpisać Kanadę, ale to zmyłka. W rzeczywistości samolot przeleci tysiąc siedemset mil tam i tysiąc siedemset mil z powrotem. Paliwo na lot powrotny będzie dostępne w punkcie docelowym.

Następnie wykonał trzeci telefon. Musi zabrać ze sobą sześciu ludzi. Dobrych, ale nie aż tak dobrych, by nie mógł się ich pozbyć. Jeśli zajdzie taka potrzeba.

Miał nadzieję, że zajdzie.

•••

Z holu dobiegły jakieś okrzyki i Reacher przestał dumać o kobiecie o zachrypniętym głosie. Okrzyki wydawała jedna osoba. Rozmawiająca przez telefon. Rozmowa zaczęła się oficjalnie i grzecznie, lecz potem zabrzmiał w niej defensywny ton oraz irytacja i zakończyła się krzykami. Chwilę później na korytarzu cztery razy rozległy się czyjeś kroki. Staruszek z recepcji przemaszerował do gabinetu Hollanda, następnie Peterson do gabinetu Hollanda, staruszek z powrotem do recepcji i Peterson z powrotem do sali odpraw.

— Problemy z motocyklistami — wyjaśnił. — Jeden z nich właśnie zadzwonił. Zaginęli trzej jego znajomi i dlatego nic w tej sprawie nie robimy?

— Co im powiedzieliście? — zapytał Reacher.

147

— Że zajmujemy się sprawą.

— I co?

— Odpowiedzieli, żebyśmy zajęli się skuteczniej, bo przyjadą do miasta i sami się tym zajmą. Uprzedzili, że dają nam czas do jutra.

Szesnasta pięćdziesiąt pięć. Zostało trzydzieści pięć godzin.

17

Peterson znowu wyszedł. Reacher siedział sam w pustej sali odpraw i wyglądał przez okno. Padał śnieg, płatki widać było w żółtym sodowym świetle latarni. Niebo pociemniało. Dzień dobiegał końca. Dwanaście tysięcy mieszkańców miasta siedziało w ciepłych domach, oglądając telewizję i szykując się do wieczornego posiłku. W więzieniu na północy wrzało. Na zachodzie motocykliści robili Bóg jeden wie co. Gdzieś w pobliżu nieznanego zabójca szykował się do drugiego strzału.

•••

Peterson wrócił do sali odpraw.

— Komendant Holland uważa, że blefują — oznajmił. — Jego zdaniem cała ich strategia polega na tym, żeby nie naruszać prawa i nie dać nam pretekstu do wysunięcia zarzutów.

Reacher nie odpowiedział.

— Co o tym sądzisz? — chciał wiedzieć Peterson.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

— Jaki?

— Rekonesans.

149

— Chcesz, żebyśmy tam pojechali?

— Nie, pojedę sam — odparł Reacher. — I tak muszę obejrzeć to miejsce. Żeby się dowiedzieć, co tam jest.

- Pracują nad tym moi ludzie.
- Nic nie zastąpi wizji lokalnej.
- Po prostu się tam zjawisz?
- Powiem, że jestem z sił lądowych. Że co dwa lata robimy inspekcję bazy.
- Sam jeden?
- Dlaczego nie?
- To się nie uda. Będą chcieli zobaczyć twoją legitymację.
- Bynajmniej. To nie są zwyczajni obywatele.
- Kiedy się tam wybierasz? — zapytał Peterson.
- Jak najszybciej. Po ciemku to nie ma sensu. Powiedzmy, że kiedy zrobi się jasno.

•••

Peterson poinformował, że policja ma jeden zapasowy nie-oznakowany samochód. Reacher może z niego skorzystać. Kiedy dokładnie zrobi się jasno, zależy od pogody, ale powinno to być gdzieś między siódmą i ósmą.

— Odwiozę cię do domu — dodał. — Powinieneś trochę odpocząć.

Reacher pokręcił głową.

— Zawieź mnie do Janet Salter — poprosił. — Ma sporo wolnych sypialni. Powiedziała mi, że zgłosiła je po wypadku autobusu. A potem powiedziała, że wie o planie kryzysowym w więzieniu. To było coś w rodzaju zaszyfowanej wiadomości. Chce, żeby ktoś z nią został, kiedy zawyje syrena. Pomyśl, jak się wtedy będzie czuła.

Peterson zastanawiał się przez sekundę i pokiwał głową. — Chciałem powiedzieć, że przywiozę ci bagaże, ale przecież ich nie masz — mruknął.

— Powiedz Kim, że mam nowe ubranie. Powiedz, że mnie w nim widziałeś. Moim zdaniem trochę się o mnie martwiła.

150

Powiedz, że będę dbał o kurtkę jej taty. I jeszcze raz podziękuj jej za gościnność.

•••

Nadal padał śnieg, ale ulice między komisariatem i domem Janet Salter były przejezdne. Tego dnia zostały odśnieżone przynajmniej raz. Lemieszce odgarnęły śnieg na boki i zostawione przez koła samochodów koleiny były teraz czterema małymi rowkami w jednym wielkim rowie. Zasyły tłumiły wszelkie dźwięki. Świat ogarnęła cisza. Płatki, niewidzialne, póki nie znalazły się w snopach reflektorów, sypały się i kładły przed jadącym powoli samochodem. Sposób, w jaki pługi zwęziły jezdnie, spowodował, że Peterson nie mógł skrócić w ulicę Janet Salter. Zaparkowany radiowóz całkowicie ją tarasował. Obracające się leniwie na jego dachu czerwone światła zabarwiały płatki śniegu na różowo, upodabniając je do granatów albo kropli krwi. Reacher wysiadł z samochodu Petersona, zapiał kurtkę i przecisnął się niezgrabnie między tyłem radiowozu i zaspą. Siedzący w samochodzie gliniarz zupełnie go ignorował. Reacher ruszył samotnie środkiem ulicy. Ślady opon po porannej zmianie warty dawno zniknęły, wygładzone i przysypane. Powietrze było lodowate. Po zimnym dniu nadchodziła nieludzko zimna noc.

Reacher wspiął się na werandę Janet Salter i pociągnął za dzwonek. Wyobraził sobie policjantkę podnoszącą się z najniższego schodka i idącą po perskim dywanie. Drzwi się otworzyły. Policjantki zmieniły pozycje. Wejścia pilnowała ta, która stała wcześniej w bibliotece. Wysoka, z jasnymi włosami związanymi w gruby kucyk. Rękę opierała na pistolecie. Była czujna, lecz nie spięta. Prezentowała zawodową ostrożność, a zarazem cieszyła się z drobnego odstępstwa od rutyny.

Reacher powiesił kurtkę na wieszaku i ruszył do biblioteki. Janet Salter siedziała w tym samym fotelu co poprzednio. Nie czytała. Po prostu siedziała. Stała za nią druga policjantka, ta,

151

która wcześniej dyżurowała w holu. Wyglądała przez okno. Zastony były rozsunięte.

— Musiał pan nagle wyjść i nie dopił pan kawy — odezwała się Janet Salter. — Zaparzyć panu następną?

— Nigdy nie odmawiam — odparł Reacher, po czym ruszył za nią do kuchni i patrzył, jak nalewa wodę do zabytkowego ekspresu.

Krany nad zlewem były równie stare jak ekspres, ale żadna rzecz w kuchni nie była zniszczona czy zapuszczona. Porządny sprzęt to porządny sprzęt bez względu na to, jak jest stary.

— Rozumiem, że będzie pan tu dziś nocował — powiedziała starsza pani.

— Tylko jeśli nie będzie to pani przeszkadzać.

— Źle się pan czuł w domu Petersona?

— Czuję się dobrze. Ale nie lubię się zbyt długo narzucać.

— Jedna noc to aż nadto?

— Mają dość własnych kłopotów.

— Podróżuje pan bez bagażu.

— Jestem, jaki jestem.

— Powiedział mi o tym pan Peterson.

— Powiedział pani czy panią ostrzegł?

— To fobia czy mania? A może świadoma egzystencjalna decyzja?

— Nie wiem, czy się nad tym tak głęboko zastanawiałem.

— Fobia oznaczałaby lęk, być może przed zaangażowaniem albo wplątaniem się w coś.

Mania oznaczałaby umiłowanie wolności albo możliwości wyboru. Choć formalnie rzecz biorąc, mania może oznaczać niepohamowaną skłonność, w pańskim przypadku skłonność do tajności. Musimy pytać ludzi, którzy latają poniżej zasięgu radaru, dlaczego to robią? Czy nie do przyjęcia jest sam radar, czy tak urzeka ich teren na dole?

— Może to ta trzecia rzecz — mruknął Reacher. — Egzystencjalna.

— Pańskie wyrzeczenie się rzeczy jest trochę ekstremalne. Historia mówi nam, że asceza jest bardzo pociągająca, lecz

152

mimo to większość ascetów miała przynajmniej ubranie. Mieli koszule, nawet jeśli utkane były z włosów.

— Robi pani sobie ze mnie żarty?

— Moim zdaniem mógłby pan nosić małą torbę. Nie zmieniłoby to tego, kim pan jest.

— Obawiam się, że by zmieniło. Chyba że byłaby pusta, ale wtedy jej noszenie nie miałoby sensu. Wypełnienie czymś małej torby wymaga selekcji, wyboru i oceny. Ten proces nigdy się nie kończy. Wkrótce miałbym większą torbę, a potem dwie albo trzy. Po miesiącu nie różniłbym się od reszty.

— I to pana przeraża?

— Nie, uważam, że upodobnienie się do reszty byłoby wygodne i krzepiące. Ale pewnych rzeczy po prostu nie da się zrobić. Urodziłem się inny.

— Taka jest pańska odpowiedź? Że urodził się pan inny?

— To chyba jasne, że nie urodziliśmy się wszyscy tacy sami.

Janet Salter naląła kawę, tym razem do wysokich porcelanowych kubków, jakby uznała, że srebrna taca i cały wcześniejszy rytuał były nietaktem wobec ascety. Jakby zauważyła, że źle sobie radził z maleńką filiżanką.

— Bez względu na to, jak można by pana zdiagnozować, cieszę się, że będę pana gościła — powiedziała. — Może pan zostać tak długo, jak pan chce.

Siedemnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostały trzydzieści dwie godziny.

•••

Kiedy wypili kawę, Janet Salter zabrała się do robienia kolacji. Reacher zaproponował, że zje coś na mieście, jednak ona odparła, że tak samo łatwo jest gotować dla sześciu, jak i dla pięciu osób. Domyślił się, że dwie śpiące na górze policjantki wstaną i większą część wieczoru spędzą razem. Co było krzepiące.

Czas, kiedy przygotowywała kolację, wykorzystał za jej pozwoleniem na inspekcję domu.

Nie interesowały go parter

153

i pierwsze piętro. Chciał obejrzeć piwnicę. Dakotę Południową nawiedzają tornada i był pewny, że każdy porządny budynek ma podziemny schron. Zszedł po schodkach, które prowadziły do piwnicy z małego korytarzyka przy kuchni, i zastał satysfakcjonującą sytuację. Warstwa ziemi była zbyt głęboka, żeby przy kopaniu fundamentów dotrzeć do litej skały, w związku z czym dużą sześciokątną piwnicę obudowano masywnymi balami wzmocnionymi żelaznymi opaskami. Ściany i posadzka były na tyle grube, by zapewnić stabilność, a strop, by wytrzymać zawalenie się całego domu po uderzeniu wichury. Podtrzymywały go rozmieszczone co sześć stóp słupy z oheb-lowanych pni. Cztery z nich połączono ściankami i urządzono kotłownię. Poplamiony zielony kocioł zasilany był cienką rurą, która biegła prawdopodobnie do zakopanego na podwórku zbiornika. Podłączono do niego pompę i skomplikowaną płataninę szerokich rur, które znikwały w suficie. Instalacja była stara. Może pierwsza taka w całym mieście. Ale spisywała się doskonale. Palnik huczał, pompa furczała, rury szumiały. Kocioł ogrzewał całą piwnicę.

Na końcu schodów prowadzących na górę były masywne drzwi, które otwierały się na zewnątrz. Od wewnątrz blokowało się je żelazną sztabą wsuwaną w żelazne obejmy. Piwnica doskonale chroniła przed tornadem i była całkiem niezłym schronem przeciwbombowym. Prawie na pewno zabezpieczała przed strzałami z broni krótkiej. Reacher znał karabiny maszynowe kalibru .50, które radziły sobie prawie ze wszystkimi przeszkodami, jednak stuletnie, grube na stopę sękatę drewno powinno wytrzymać do czasu, aż zagrzeją się i odkształcą ich lufy.

Pokrzepiony na duchu wrócił na górę i odkrył, że policjantki z nocnej zmiany wstały, zeszły na dół i siedzą w kuchni wraz ze swoimi dziennymi zmienniczkami. Janet Salter poruszała się wewnątrz tworzonych przez nie kordonu. Atmosfera była przyjazna i luźna. Nietypowi domownicy najwyraźniej do siebie przywykli. Włączony piekarnik dodatkowo ogrzewał kuchnię.

154

Szyba w oknie zaparowała. Reacher wszedł do biblioteki i sprawdził widok z tyłu domu. Nie zobaczył nic poza niknącą w mroźnej dali równiną. Śnieg nie padał już tak gęsto, zupełnie jakby płatki kuliły się z zimna. Odwróciwszy się od okna, zobaczył, że do pokoju weszła Janet Salter.

— Możemy porozmawiać? — zapytała.

— Jasne.

— Wiem oczywiście, jaki jest prawdziwy powód pańskiej obecności. Wiem, dlaczego sprawdził pan dom. Zgodził się pan mnie chronić, kiedy zawyje syrena, i zapoznaje się pan z terenem. Jestem panu za to bardzo wdzięczna, mimo że psychologiczne imperatywy, którymi się pan kieruje, mogą oznaczać, że nie zostanie pan tu zbyt długo. Proces może się odbyć dopiero za miesiąc. Ile nowych koszul to oznacza?

— Osiem — odparł Reacher.

Janet Salter nie odpowiedziała.

— To żaden wstyd, jeśli się pani wycofa — powiedział. — Nikt nie będzie pani winił. A tych facetów i tak wcześniej czy później się przyskrzyni.

— To byłby wielki wstyd. I na pewno tego nie zrobię.

— Więc niech mi pani nie mówi o psychologicznych imperatywach.

Janet Salter się uśmiechnęła.

— Ma pan broń? — zapytała.

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Czy emerytowani hydraulicy do końca życia noszą przy sobie klucz francuski?

— Jest tam książka, która może pana zainteresować. — Wskazała półkę. — Dzieło

historyczne. Duży wolumin w skórzanej oprawie.

Wielkie tomiszcze było wysokie na mniej więcej półtorej stopy i grube na cztery cale. Na oprawnym w skórę grzbiecie widniał tłoczony złotymi literami tytuł Dokładna ilustrowana historia broni ręcznej pana Smitha i pana Wessona, co trąciło

155

wiktoriańską stylistyką, ale było nie do końca przekonujące. Panowie Smith i Wesson wyprodukowali na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku sporo ręcznej broni, ale na pewno nie aż tyle, by poświęcona jej książka miała cztery cale grubości.

— Niech pan się jej przyjrzy — powiedziała Janet Salter.

Reacher wysunął księgę z półki. Była ciężka.

— Powinien ją pan dziś wieczorem przeczytać w łóżku — dodała.

Księga była ciężka, ponieważ nie była księgą. Reacher otworzył oprawną w skórę okładkę, spodziewając się zobaczyć wyblakłe półtonowe ryciny lub ręcznie kolorowane rysunki, być

może z przedzielnymi je bibułkami. Okładka okazała się jednak wiekiem skrzynki, w

której w dwóch wyłożonych brązowym aksamitem wgłębieniach leżały dwa identyczne

rewolwery Smith & Wesson, jeden odwrócony kolbą do lufy drugiego niczym dwa znaki

zapytania po obu stronach zdania. Mogły mieć pięćdziesiąt albo sto lat. Przeznaczony dla

żołnierzy i stróży prawa model Military and Police przystosowany był do amunicji .38

Special i miał czterocalową lufę, prosty stalowy mechanizm, uchwyt z drewna orzechowego i kółko na dole kolby.

— Należały do mojego dziadka — wyjaśniła Janet Salter.

— Służył w policji?

— Był honorowym komisarzem w czasach, kiedy w Bolton powstał pierwszy komisariat.

Dostał te rewolwery w prezencie. Sądzi pan, że nadal są sprawne?

Reacher pokiwał głową. Rewolwery na ogół nigdy się nie psują. Muszą być porządnie poobijane lub zardzewiałe, żeby przestały działać.

— Czy były kiedykolwiek używane? — zapytał.

— Nie sądzę.

— Ma pani jakiś olej?

— Do maszyny do szycia.

— Może być.

156

— Potrzebujemy jeszcze czegoś? — spytała Janet Salter.

— Przydałyby się naboje.

— Mam trochę.

— Od jak dawna?

— Mniej więcej od tygodnia.

— Dobrze się pani przygotowała.

— Uznałam, że nadeszła odpowiednia pora.

— Ile ich dokładnie jest?

— Sto nabojów w pudełku.

— Dobrze się pani spisała.

— Niech pan odstawi tę księgę — poradziła Janet Salter. — Policjantki nie muszą o niej wiedzieć. Wiem z doświadczenia, że zawodowcy niezbyt przychylnym okiem patrzą na plany amatorów.

Po kolacji zadzwonił telefon. To był Peterson, z komisariatu. Poinformował Janet Salter, że telefonowali ze sto dziesiątej jednostki żandarmerii. Kobieta nie chciała z nim gadać. Prosiła, żeby Reacher do niej oddzwonił.

Telefon Janet Salter znajdował się w holu. Był nowszy od domu, lecz zainstalowano go dość dawno. Miał przyciski zamiast tarczy, ale był przewodowy, wielkości przenośnej maszyny do pisania. Stał na małym stoliczku, do którego dostawiono krzesło, tak jak to się działo w czasach, kiedy jeden aparat wystarczał na cały dom i używanie go stanowiło rodzaj ceremonii.

Reacher wybrał numer, który zapamiętał, poczekał na nagrany komunikat i wystukał sto dziesięć.

— Tak?

— Z Amandą proszę.

Rozległo się kliknięcie. A potem głos. Bez sygnału. Musiała trzymać słuchawkę w ręku.

— Albo zwariowałaś, albo świat stanął na głowie — powiedziała.

157

— Albo jedno i drugie.

— Tak czy inaczej, mam ochotę dać sobie z tobą spokój.

— Dlaczego?

— Bo miejsce, o które wierzysz mi dziurę w brzuchu, nie istnieje.

Osiemnaście pięćdziesiąt pięć. Zostały trzydzieści trzy godziny.

18

Reacher poruszył się na krześle.

— To miejsce istnieje. Na pewno. Relacje naocznych świadków są dla mnie ważniejsze niż to, co można znaleźć w wojskowych papierach.

— Ale ty sam nie jesteś naocznym świadkiem.

— Jeszcze nie. Po co ktoś miałby wymyślać taką historię?

— W takim razie ten obiekt musi być niesamowicie tajny. Zbudowano go, ale nigdzie nie zostawiono o nim najmniejszej wzmianki.

— A potem pozwolili, żeby urządzono tam obóz dla robotników? Jak to w ogóle możliwe?

— Wszystko się zmieniło, dlatego to możliwe. Pięćdziesiąt lat temu obiekt był ściśle tajny, a pięć lat temu zupełnie o nim zapomniano. Typowy scenariusz zimnej wojny.

Prawdopodobnie odtajniono go na początku lat dziewięćdziesiątych.

— Nie obchodzi mnie, kiedy został odtajniony. Chcę po prostu wiedzieć, co to jest.

— Mogłabym wsiąść do samolotu. Ale ty masz bliżej.

— Co z twoją sprawą? — zainteresował się Reacher.

— Nadal czekam. Co wcale mi się nie podoba. Do rana pewnie wszystko diabli wezmą.

— Pracujesz całą noc?

159

— Wiesz, jak to jest.

— Więc wykorzystaj wolny czas. Sprawdź fundusze przyznane przez Kongres. Cel ocenzurują, ale wymieniona będzie kwota. Zawsze jest. Możemy zacząć od tego.

— Wiesz, jak duży był budżet obrony pięćdziesiąt lat temu? Wiesz, ile liczył wtedy pozycji?

— Masz całą noc. Poszukaj inwestycji w Dakocie Południowej. Nie dostrzegam tu niczego o znaczeniu strategicznym, więc mógł to być projekt wspierający lokalną społeczność.

- Sprawdzenie tych danych zajmie mnóstwo czasu.
- A czego się spodziewałaś? Że będziesz siedziała z założonymi rękoma? Trzeba było pójść do marynarki.
- Zawarliśmy umowę, Reacher. Pamiętasz? Opowiedz mi o jednogwiazdkowym generale.
- Tracisz tylko czas.
- Mam sporo czasu. Wygląda na to, że ty go nie masz.
- To długa historia.
- Najlepsze historie zawsze są długie. Możesz się streszczać, ale postaraj się nie pominąć tego, co najważniejsze.
- Dzwonię z czyjś telefon. Nie chcę nabijać komuś rachunków.
- Poczekaj. — Rozległo się kliknięcie, na sekundę w słuchawce zapadła głucha cisza, a potem głos wrócił. — Teraz to my płacimy za połączenie.
- Mogłabyś w tym czasie zarobić dla mnie pieniądze.
- Właśnie to robię. Już trzydzieści pięć minut temu posłałam człowieka, żeby sprawdził te fundusze. Zachowujemy tu wysokie standardy, wierz mi. Choćbyś był nie wiem jak dobry, ja jestem lepsza.
- Mam szczerą nadzieję, że tak jest.
- Więc co się wydarzyło dawno, dawno temu?
- Jakiś czas po upadku komunizmu poleciałem do Rosji — zaczął Reacher po krótkiej chwili. — Zaproсили nas na inspekcję więzień wojskowych. Nikt nie miał zielonego pojęcia po co. Uznaliśmy jednak, że trzeba jechać. Wylądowaliśmy w Mosk-

160

wie i pojechaliśmy na wschód pociągiem. To był długi pociąg w radzieckim stylu, z kuszetkami i wagonem restauracyjnym. Jechaliśmy nim kilka dni. Jedzenie było okropne. Ale okropne w jakiś znajomy sposób. Któregoś dnia przeszedłem się wzdłuż pociągu i zajrzałem do kuchni. Podawali nam amerykańskie racje żywnościowe. Nasze własne żarcie, gotowe do spożycia.

- Amerykańskie racje żywnościowe? W radzieckim pociągu?
- Formalnie rzecz biorąc, wtedy już rosyjskim. W wagonie kuchennym mieli opalane węglem piecyki. Samowary i wszystko. Gotowali wodę w garnkach, rozrywali pudełka z racjami i mieszali je razem. Mieli ich całe kartony.
- Czy próbowali je przed tobą schować?
- Kucharze nie wiedzieli, co to jest. Nie umieli czytać po angielsku. Pewnie w ogóle nie umieli czytać.
- Więc jak trafiły do nich nasze racje?
- O tym opowiem ci jutro. Musisz wracać do pracy.
- Nic nie robię, czekam tylko na telefon.
- Skąd?
- Nie mogę powiedzieć.
- Ale masz ochotę to zrobić.
- Z Fort Hood.
- W jakiej sprawie?
- Kapitan piechoty zabił swoją żonę. Co się zdarza. Ale to nie była pierwsza lepsza żona. Pracowała w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Możliwe, że facet miał powiązania z zagranicą. Możliwe, że kradł jej dokumenty i zabił ją, żeby to zatuszować.
- Jakie dokładnie powiązania?
- Z tak zwanymi podmiotami pozarządowymi.
- Terrorystami?
- Organizacjami terrorystycznymi.

- Nieźle. Możesz dostać za to Brązową Gwiazdę.
- Jeśli go dorwę. W tej chwili może być wszędzie.

161

- Daj mi znać, jeśli wybierze się do Dakoty Południowej.

Amanda się roześmiała.

- Swoją drogą w jakim jesteś wieku? — zapytała.

- Jestem młodszy od twojego biurka.

•••

Pięć mil dalej w więziennej stołówce posprzątano już po wieczornym posiłku. Ale ponad pięćdziesięciu mężczyzn nadal siedziało na długich ławach. Część z nich była biała, część czarna, część brązowa. Wszyscy mieli na sobie pomarańczowe więzienne uniformy. Siedzieli w trzech grupach, daleko od siebie, niczym trzy wyspiarskie narody na morzu linoleum. Do chwili, gdy jeden z białych wstał, przeszedł przez salę i zwrócił się do jednego z czarnych. Biały mężczyzna był biały tylko z nazwy. Jego skóra była w przeważającej części niebieska i pokryta tatuażami. Zbudowany jak dom, miał włosy do pasa i brodę do piersi. Czarny mężczyzna był nieco niższy, ale chyba cięższy. Miał bicepsy wielkości futbolówek i czaszkę ogoloną tak gładko, że aż lśniła.

- Meksykańcy wiszą nam dwa kartony szlugów — oznajmił biały mężczyzna.

Czarny mężczyzna w ogóle na to nie zareagował. Dlaczego miałby to robić? Biali i brązowi w ogóle go nie obchodzili.

- Meksykańcy mówią że wisicie im dwa kartony szlugów — dodał biały mężczyzna. Zero reakcji.

- Więc odbierzemy je bezpośrednio od was. Długi trzeba spłacać.

Co z formalnego punktu widzenia można było zaakceptować. Więzienie to organizm gospodarczy. Papierosy są walutą. Podobnie jak dolary, które dostaje się za sprzedany w Nowym Jorku samochód i można za nie kupić telewizor w Los Angeles. Ale współpraca ekonomiczna wymaga praw, traktatów i odprężenia, a wszystkiego tego brakuje w stosunkach między czarnymi i białymi.

162

- Odbierzemy je w formie dupy — dodał biały mężczyzna. — Delikatnej dupci.

Najmłodszej i najśłodszej, jaką macie.

Po dwóch nocach dostaniecie ją z powrotem.

•••

W domu Janet Salter cztery policjantki przekazywały sobie obowiązki. Dzienna zmiana kończyła służbę i obejmowała ją nocna. Jedna z policjantek z nocnej zajęła pozycję w holu, druga poszła do biblioteki. Policjantki z dziennej udały się na górę. Janet Salter oznajmiła, że idzie do salonu. Reacher domyślił się, że chce pobyć chwilę sama. Pozostawanie pod ochroną przez dwadzieścia cztery godzinę na dobę jest psychicznie wyczerpujące dla wszystkich zainteresowanych. Ale pani Salter zaprosiła tam również Reachera.

Salon nie różnił się w żaden istotny sposób od biblioteki. Podobne meble, podobny wystrój, podobne półki, kolejne tysiące książek. Z okna widać było werandę i ulicę przed domem. Śnieg prawie przestał padać. Gliniarz siedzący w radiowozie od czasu do czasu wysiadał, żeby odśnieżyć szyby. Na dachu, masce i bagażniku były wysokie czapy śniegu, ale okna były czyste. Gliniarz nadal zachowywał czujność i koncentrację. Reacher widział, jak kręci głową. Sprawdzał, co dzieje się z przodu i w tylnym lusterku, a potem z lewej i prawej. Nieźle, jak na dwunastą godzinę trwającego dwanaście godzin dyżuru. Lepsza połowa miejscowego komisariatu tworzy zgrany zespół.

Janet Salter włożyła rozpinany sweter, długi i z wypchanymi kieszeniami. Wypchanymi, jak się okazało, przez małą puszkę z oliwą i szmatkę. Wyjęła je i położyła na stoliku. Szmatka była biała, puszka zielona, z wydrukowanym napisem „Singer”.

— Niech pan przyniesie tę książkę, którą panu pokazałam — poleciła. Policjantka z nocnej zmiany odwróciła się, kiedy Reacher wszedł do biblioteki. Drobną i schludną, miała zaokrąglone ramiona i pas z ekwipunkiem, w którym wydawała się grubsza, niż była. Podniosła wzrok i uznawszy, że Reacher nie stanowi

163
zagrożenia, odwróciła się do okna. Reacher wziął „książkę” z półki, włożył ją pod pachę i zaniósł do salonu. Janet Salter zamknęła za nim drzwi. Reacher położył skórzaną skrzynkę na podłodze i wyjął z niej pierwszy rewolwer.

Model Military and Police rewolweru Smith & Wesson wypuszczono na rynek w roku 1899 i zmodyfikowano po raz ostami trzy lata później, w 1902 roku. W tamtych czasach przeciętny mężczyzna w Stanach Zjednoczonych miał pięć stóp i siedem cali wzrostu i odpowiedni do tego rozmiar dłoni. Reacher miał sześć stóp i pięć cali wzrostu i dłonie wielkości kurczaków z hipermarketu, w związku z czym rewolwer był dla niego za mały. Ale jego palec wskazujący mieścił się w kabłąku spustu, i to było najważniejsze. Wcisnął przycisk i wyjął cylinder. Pusty. Włożył go na miejsce i pociągnął za spust. Wszystko działało, lecz poczuł opór stali, którą naoliwiono po raz ostami przed kilkudziesięciu laty w fabryce i nigdy potem nie dotykano. Zabrał się zatem do pracy, używając szmatki i oliwiarki. Spróbował jeszcze raz po pięciu minutach i był o wiele bardziej zadowolony z rezultatu. Zajął się w ten sam sposób drugim rewolwerem, po czym zakorkował puszkę z oliwą i złożył szmatkę.

— Gdzie jest amunicja? — zapytał.

— Na górze, w mojej szafce na leki — odparła Janet Salter.

— Niezbyt logiczne miejsce, zważywszy, że rewolwery są w bibliotece.

— Myślałam, że kiedy przyjdzie co do czego, będę miała chwilę.

— Sporo nieboszczyków tak myślało.

— Pan nie żartuje, prawda?

— Nie.

Janet Salter nie odpowiedziała. Po prostu wstała i wyszła z salonu. Reacher usłyszał skrzypienie schodów. Przyniosła nowiuteńkie pudełko mieszczące sto naboju Federal Special kaliber .38. Pociski sportowe z ostrym rantem i płaskim czubkiem. Ktoś jej dobrze doradził. Ładunek sto pięćdziesiąt osiem

164

granów nie był może najmocniejszy na świecie, ale znakomicie rekompensował to płaski czubek naboju.

Reacher załadował sześć kul do pierwszego rewolweru. Drugi zostawił niezaladowany.

— Niech pani odwróci wzrok, a potem spojrzysz przed siebie i wyceluje palcem prosto we mnie — poprosił.

— Co takiego? — zdziwiła się Janet Salter.

— Po prostu niech to pani zrobi. Jakbym gadał podczas lekcji.

— Nie byłam tego rodzaju nauczycielką.

— Niech pani udaje, że nią była.

Zrobiła to. Udało jej się całkiem nieźle. Może studenci Oksfordu nie są dokładnie tacy, jak wyobrażają sobie ludzie. Jej palec wskazywał punkt znajdujący się dokładnie między jego oczyma.

— Doskonale — pochwalił. — Teraz niech pani to zrobi jeszcze raz, ale wyceluje w moją pierś.

Posłuchała go. Tym razem jej palec wskazał dokładnie jego środek ciężkości.

— Doskonale. Tak właśnie się strzela. Lufa pistolem jest pani palcem. Niech pani nie próbuje celować. Proszę nawet o tym nie myśleć. Po prostu niech pani to zrobi, instynktownie. Niech pani mierzy w pierś, bo to największy cel. Nawet jeśli nie zabije pani napastnika, na pewno zepsuje mu pani dzień.

Janet Salter milczała. Reacher podał jej niezaladowany rewolwer.

— Niech pani spróbuje pociągnąć za spust.

Zrobiła to. Kurek podniósł się, cylinder obrócił, kurek opadł. Łatwo i przyjemnie.

— Przypuszczam, że odczuję siłę odrzutu — powiedziała.

Reacher pokiwał głową.

— Chyba że z dnia na dzień zmieniają się prawa fizyki.

— Czy to będzie przykre?

Reacher pokręcił głową.

165

— Pocisk kalibru trzydzieści osiem Special jest stosunkowo przyjazny. Oczywiście dla strzelającego. Niezbyt głośny huk, niezbyt silny odrzut.

Janet Salter znów pociągnęła za spust. Kurek podniósł się, cylinder obrócił, kurek opadł.

— Proszę to zrobić kilka razy — poprosił Reacher.

Zrobiła to. Cztery, pięć, sześć razy.

— To męczące — stwierdziła.

— Kiedy przyjdzie co do czego, to nie będzie męczące. I to właśnie musi pani zrobić.

Władować w niego sześć pocisków. Nie przerywać, dopóki magazynek nie będzie pusty.

— To okropne.

— Kiedy przyjdzie co do czego, to nie będzie okropne. Albo on, albo pani. Zdziwi się pani, jak szybko zmieni się pani punkt widzenia.

Janet Salter podała mu rewolwer.

— Gdzie będzie go pani trzymała? — zapytał.

— Chyba w tej kieszce.

— Zła odpowiedź. Będzie go pani trzymała w kieszeni. A w nocy pod poduszką. —

Zaladował sześć pocisków, wsunął na miejsce cylinder i oddał kobiecie broń. — Niech pani nie dotyka spustu, jeśli nie będzie pani gotowa zabić tego faceta — powiedział.

— Nie będę do tego zdolna.

— Moim zdaniem będzie pani.

— Zatrzyma pan ten drugi?

Reacher pokiwał głową.

— Przed wyjazdem na pewno go pani oddam — obiecał.

Dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostały trzydzieści dwie godziny.

W więzieniu zaczęła wyc syrena.

19

Syrena wyła pięć mil dalej na północ, lecz jej dźwięk niósł się bardzo wyraźnie w mroźnym nocnym powietrzu. Był jednocześnie głośny i odległy, żalony i nagły, znajomy i obcy. Wznosił się i opadał, chrząkał i zawodził, raz bardziej podobny do krzyku, raz do szeptu. Przetaczał się po równinie i cichych zaśnieżonych uliczkach, krusząc krystaliczne powietrze. Reakcja policjantek w domu była natychmiastowa. Przećwiczyły to wcześniej, być może praktycznie, a z całą pewnością w teorii. Były przygotowane na trudny wybór. Policjantka w holu zajrzała do salonu. Na jej twarzy malowała się rozterka. Na górze słyhać było kroki. To dzienna zmiana zerwała się z łóżek. Policjantka z biblioteki pobiegła po wiszącą na wieszaku kurtkę. Stojący koło domu radiowóz zawracał już o sto osiemdziesiąt stopni. Z jego dachu, bagażnika i maski osuwał się śnieg. Radiowóz stojący u wylotu ulicy szybko się cofał. Policjantki z dziennej zmiany zbiegały po schodach.

— Przykro mi — powiedziała kobieta w holu i już jej nie było. Złapała kurtkę i jako ostatnia opuściła dom. Policyjne samochody miały otwarte drzwi. Reacher słyszał gorączkowe, prowadzone przez radio rozmowy. Policjantki wsiadły do radiowozów, które z chrzęstem opon odjechały ulicą. Reacher patrzył, jak się oddalają, a potem cofnął się do holu i zamknął

za sobą drzwi. W całym tym zamieszaniu jego kurtka spadła na podłogę. Syrena nadal wyła.

Tylko w domu zapanowała głucha cisza.

•••

Cisza trwała niecałą minutę. Przez dźwięk syreny przebił się chrzęst śniegowych łańcuchów i jazgot silnika pracującego na wysokich obrotach i niskim biegu. Reacher wyjrzał przez okno w salonie. Jasne światła. Crown vic. Nieoznakowany. Czarny lub granatowy. Trudno to było poznać w świetle księżyca. Zatrzymał się z chrzęstem przy końcu podjazdu i wysiadł z niego komendant Holland. W kurtce, czapce i wysokich butach. Reacher włożył rewolwer za pasek na plecach, przykrył swetrem i wyszedł do holu. Kiedy otworzył frontowe drzwi, Holland wchodził właśnie na werandę.

Na jego widok zrobił zdziwioną minę.

— Nie wiedziałem, że pan tu jest.

— To bardziej logiczne — wyjaśnił Reacher. — Są tu wolne łóżka, a Kim Peterson nie potrzebuje ochrony.

— Czy to był pomysł Andrew czy pański?

— Mój.

— U pani Salter wszystko w porządku?

— Jak najbardziej.

— Chciałbym się z nią zobaczyć.

Reacher cofnął się w głąb holu, a Holland wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Janet Salter wyszła z salonu.

— Wszystko u pani w porządku? — zapytał Holland.

— Jak najbardziej. I jestem bardzo wdzięczna, że pan przyjechał. Bardzo to doceniam. Jednak naprawdę powinien pan być już w drodze do więzienia.

Holland pokiwał głową.

— Jechałem tam. Ale nie chciałem, żeby została pani sama.

— Trzeba przestrzegać zasad.

— A jednak...

168

— Nic mi nie będzie. Jestem pewna, że pan Reacher doskonale się mną zaopiekuje.

Holland znów zerknął na Reachera. Na jego twarzy malowała się rozterka, podobnie jak na twarzy policjantki w holu.

— Co się tam dzieje? — zapytał Reacher.

— Biali przeciwko czarnym. Regularne więzienne zamieszki.

— Wasze pierwsze?

— Zgadza się.

— Trafili na odpowiedni moment.

— Nie musi mi pan mówić.

— Najważniejsza sprawa: co się stanie, jeśli pan się tam nie stawi?

— Nasza policja okryje się hańbą a ja zostanę wylany. A co potem, tego nikt tak naprawdę nie wie.

— Więc niech pan jedzie.

— Nie chcę.

Proste stwierdzenie. Ton, jakim Holland to powiedział, i to, jak stał, nasunęły Reacherowi myśl, że nie chodzi tylko i wyłącznie o bezpieczeństwo pani Salter. Holland chce pozostać w ciepłym, przytulnym, wygodnym wnętrzu, gdzie czuje się bezpiecznie.

Po prostu się boi.

— Pracował pan kiedyś w więzieniu? — zapytał Reacher.

— Nie — odparł Holland.

— To nic wielkiego. Obsadzicie mur i wieże. Jeśli ktoś będzie próbował się przez nie przedostać, zastrzelicie go. Zwyczajnie. Więźniowie znają zasady. A poza tym nie będą tego próbowali. Nie tak nagle i nie przy tej pogodzie. Zostaną w środku i będą walczyli. W końcu się wyprztykają. Zawsze tak jest. Zmarznie pan i pewnie się wynudzi, ale na tym koniec.

— Służył pan wcześniej w więzieniu?

— Robiłem wszystko. Łącznie z osobistą ochroną. I z całym

169

należnym szacunkiem potrafię to robić nie gorzej od pana. Więc niech mi pan pozwoli się tym zająć. Dzięki temu wszyscy będą cali i zdrowi.

— No nie wiem...

— Potrafię zapanować nad sytuacją, a pan może pokierować swoimi ludźmi na północy.

— To może potrwać kilka godzin. Albo dni.

— Właściwie może potrwać kilka tygodni. Ale jeśli do tego dojdzie, będziecie mogli się przegrupować.

— Tak pan myśli?

Reacher pokiwał głową.

— Nie możecie pracować przez kilka dni po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie wszyscy. Nikt tego od was nie oczekuje. Kiedy minie pierwszy szok, będziecie się mogli w jakiś sposób dostosować.

Holland nie odpowiedział. Syrena nagle ucichła. Jej wycie urwało się w pół tonu i znów zapadła cisza. Całkowity brak dźwięków, jakby zamarzło powietrze.

— To chyba oznacza, że powinniście już być wszyscy na miejscu — powiedział Reacher. Holland kiwnął głową raz, a potem drugi, powoli i bez przekonania.

— Powinna pani przynajmniej pójść ze mną do samochodu — powiedział do Janet Salter.

— Muszę wiedzieć, że jest pani bezpieczna.

— Nie wolno panu tego robić, komendancie — odparła. — Musi pan przestrzegać przepisów. Ale niech się pan nie martwi. Będę bezpieczna tutaj, z panem Reacherem.

Holland stał jeszcze przez chwilę, a potem kiwnął głową po raz trzeci, bardziej zdecydowanie. Podjąwszy decyzję, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Silnik jego samochodu przez cały czas pracował. Holland wsiadł, zawrócił na trzy razy i odjechał. Nad koleinami zawisła biała mgiełka, a potem się rozwiła. Wkrótce ucichł cichy grzechot łańcuchów na ubitym śniegu.

170

Reacher zamknął drzwi.

W domu znowu było cicho.

•••

Taktycznie rzecz biorąc, najlepiej byłoby zamknąć Janet Salter w piwnicy, ale nie chciała tam zejść. Stała po prostu w holu z ręką na kolbie tkwiącego w jej kieszeni rewolweru, rozglądając się, jakby nagle zdała sobie sprawę, że mające ją chronić cztery ściany są w rzeczywistości czterema różnymi wejściami. Wszędzie były drzwi i okna. Każde z nich mogło zostać w ułamku sekundy sforsowane bądź wyważone.

Drugim dobrym wyjściem byłoby zamknięcie jej w sypialni. Włamania na piętro są znacznie rzadsze niż włamania na parter. Jednak tam też nie chciała się schować. Jak twierdziła, nie mogłaby pozbyć się wrażenia, że nie ma dokąd uciec.

— Nie będzie pani uciekała — tłumaczył Reacher. — Będzie pani strzelała.

— Chyba nie w chwili, kiedy pan tu będzie.

— Lepiej zrobić w facecie dwanaście dziur niż sześć.

Milczała przez chwilę, patrząc na niego, jakby był kosmitą.

— Czy nie powinien pan patrolować terenu na zewnątrz? — zapytała nagle.

- Nie.
- Dlaczego?
- Zbyt dużo czasu zajęłoby mi przejście od frontu na tyły domu, gdyby zaszła taka potrzeba. Poza tym mój palec w rękawiczce nie zmieści się w kabłąku spustu. A jest za zimno, żeby wychodzić bez rękawiczek.
- Więc będziemy po prostu czekali w środku?
- Reacher pokiwał głową.
- Zgadza się. Zaczekamy tutaj.

•••

Czekali w salonie. Reacher uznał, że to najlepsze wyjście. Okna wychodziły na ulicę, a ze względu na zalegający na ziemi

171

śnieg podejście od tej strony było najbardziej prawdopodobne. Salon był także najlepszym miejscem w razie, gdyby sprawca nie zamierzał w ogóle wejść do domu. Niski okap i obecność werandy oznaczały, że aby celnie strzelić, potencjalny snajper musiałby stanąć na wprost okna. Zauważyliby go z odległości dwudziesta kroków, zanim zdążyłby podnieść karabin do oka.

Było wiele innych możliwych zagrożeń, z atakiem bombowym i bombami zapalającymi na czele. Ale jeśli grozi im coś takiego, nie ma większego znaczenia, w jakim są pomieszczeniu.

•••

Zegar pokazał dwudziestą pierwszą: minęła godzina, odkąd zostali sami. Ulica była pusta. Reacher dokładnie sprawdził wszystkie wejścia. Frontowe drzwi zamknięte. Okna na parterze wszystkie zamknięte. Przeszklone drzwi w bibliotece zamknięte. Tylne drzwi zamknięte. Okna na pierwszym piętrze bezpieczne. Do większości nie sposób dostać się bez drabiny. Jedynym wyjątkiem było okno sypialni od frontu, pod którego parapetem znajdował się dach werandy, ale leżało tam sporo śniegu. Dach był śliski i zdradziecki. Nie powinno im z tej strony nic grozić.

Pogoda się zmieniała. Zaczął wiać lekki wiatr. Nocne niebo pojaśniało. Widać było księżyc i gwiazdy. Temperatura chyba spadła. Powietrze pulsowało zimnem za każdym sprawdzonym przez Reachera oknem. Sytuację pogarszał wiatr, który odnajdywał niewidoczne szpary i wysysał ciepło z całego domu.

Wiatr nie sprzyjał im również ze względów bezpieczeństwa. Był źródłem dziwnych szmerów, trzasków i zgrzytów, szorstkiego chrzęstu zmarzniętych liści, głuchego chrobotania i stukotania gałęzi, cichego zawodzenia osobliwie wyglądających przewodów elektrycznych. W skali absolutnej wszystkie te dźwięki były ciche, ale Reacher mógłby się bez nich śmiało obejść. Nasłuchiwał miękkich odgłosów ślizgających się po śniegu stóp, a szanse, że je usłyszy, stale się zmniejszały. Co jakiś czas odzywała się również Janet Salter. Utrudniało to

172

dodatkowo nasłuchiwanie, ale nie chciał jej uciszać. Była, co zrozumiałe, zdenerwowana, i rozmowa chyba jej pomagała.

- Ile razy był pan w podobnej sytuacji? — zapytała, kiedy wrócił z obchodu domu.
- Raz albo dwa razy — odparł, nie odrywając wzroku od okna.
- I najwyraźniej pan przeżył.

Reacher pokiwał głową.

- Jak dotąd tak.
- Jaka jest pańska tajemnica sukcesu?
- Nie lubię przegrywać. Lepiej dla wszystkich zainteresowanych, żeby po prostu do tego nie doszło.
- To ciężkie brzemię z psychologicznego punktu widzenia. Mam na myśli tę palącą potrzebę dominacji.

- Czy są ludzie, którzy lubią przegrywać?
- To nie jest takie czarno-białe. Nie musi pan tego lubić. Ale mógłby pan zaakceptować wszystko, co się panu przytrafia. Rozumie pan: czasami wygrywać, a czasami przegrywać.
- To nie działa w ten sposób. Nie w mojej profesji. Wygrywa się kilka razy, a potem raz przegrywa i gra skończona.
- Nadal jest pan w wojsku, tak?
- Nie. Odszedłem przed wielu laty.
- Mam na myśli, że jest pan w głębi duszy.
- Niekoniecznie.
- Nie tęskni pan za nim?
- Niekoniecznie.
- Słyszałam, jak rozmawiał pan przez telefon z tą kobietą z Wirginii. Wyraźnie się pan ożywił.
- Powodem była ona, nie wojsko. Ma cudowny głos.
- Jest pan samotny.
- A pani nie?

Nie odpowiedziała. Zegar tykał. Nikt nie zbliżał się do domu.

173

Półtorej godziny później Reacher miał za sobą cztery inspekcje domu i czuł, że zna go całkiem nieźle. Zbudowano go dla poprzedniego pokolenia, które było pod pewnymi względami twardsze, a pod innymi łagodniejsze. Okna miały zasuwki, a drzwi zamki, wszystkie mosiężne i solidne, niedające się jednak porównać z zabezpieczeniami, które sprzedaje się dzisiaj w każdym sklepie z artykułami żelaznymi. Co oznaczało, że do środka można się dostać na czterdzieści trzy różne sposoby, z których piętnaście jest praktycznie realnych. Osiem z nich mógł przewidzieć pojedynczy przeciwnik obdarzony przeciętną inteligencją. Szaść z nich można łatwo obronić. Pozostałe dwa były trudne, lecz możliwe do obrony, którą utrudniał jednak fakt, że Janet Salter bez przerwy się przemieszczała. Linie strzału zawsze były skomplikowane. Reacherowi znów przyszło do głowy, żeby namówić ją by schroniła się w piwnicy, lecz ona chyba się tego domyśliła i znowu zaczęła mówić, jakby chciała zbić go z tropu. Stał w tym momencie przy oknie w salonie, wykręcając szyję w prawo i w lewo.

- Czy w piechocie morskiej służyła pańska matka, czy ojciec? — zapytała.
- Słucham?
- Powiedział pan, że dorastał w bazach piechoty morskiej. Zastanawiałam się, za przyczyną którego z pańskich rodziców tak się działo. Choć przypuszczam, że mogli służyć oboje. Czy to było dozwolone? Żeby mąż i żona służyli w tej samej jednostce?
- Nie sędzę.
- Więc które z nich służyło?
- Ojciec.
- Niech pan mi o nim opowie.
- Nie ma dużo do opowiadania. Miły facet, ale stale zajęty.
- Nieprzystępny?
- To chyba mnie za takiego uważał. W każdej bazie było około setki dzieciaków.

Szwendaliśmy się przez cały dzień. Żyliśmy we własnym świecie.

174

- Ojciec żyje?
- Zmarł dawno temu. Matka też.
- Ze mną było tak samo — powiedziała Janet Salter. — Stałam się nieprzystępna. Bez przerwy czytałam.

Reacher nie odpowiedział i Janet Salter znów umilkła. Obserwował ulicę. Nic się nie działo. Przeszedł do biblioteki i sprawdził podwórko. Nic. Wiatr przegonił ostatnie chmury i księżyc świecił coraz jaśniej. Świat na zewnątrz był błękitny, chłodny i pusty.

Tyle że tak naprawdę pusty nie był.

Ale nikt się nie pojawiał.

•••

Zabawa w chowanego. Być może najstarsza zabawa na świecie. Z powodu pierwotnych emocji i lęków tkwiących głęboko w każdym ludzkim mózgu. Drapieżca i ofiara.

Niepowstrzymany dreszcz rozkoszy, gdy kuląc się w mroku, słyszymy mijające nas kroki.

Upajająca satysfakcja, kiedy zawracamy, otwieramy drzwi szafy i odkrywamy ofiarę.

Natychmiastowa przemiana atawistycznej grozy we współczesny śmiech.

Tu było inaczej.

Tu nie będzie śmiechu. Będą krótkie sekundy szaleńczej strzelaniny, później zapach dymu i krwi, a jeszcze później nagła ogłuszająca cisza, kiedy wydaje się, że świat stanął w miejscu i człowiek upewnia się, że żyje. Po chwili sprawdza swoich ludzi. Dopiero potem zaczynają się dreszcze, nerwowe przełykanie śliny i mdłości.

Ale nie śmiech.

I w gruncie rzeczy nie była to zabawa w chowanego. Nikt tu się nie chował i nikt nikogo nie szukał. Ktokolwiek czaił się tam, na zewnątrz, wiedział dobrze, gdzie przebywa Janet Salter. Dostarczono mu jej dokładny adres. Być może ze wskazówkami, jak dojechać, być może ze współrzędnymi z GPS-u. A ona siedzi tu i na niego czeka. Nie ma w tym żadnego kunsztu i wyrafinowania. Wyłącznie brutalność. Co

175

sprawiło Reacherowi pewien zawód. Lubił zabawę w chowanego. W wersji dla dorosłych, nie tej dziecinnej. Był dobry w chowaniu się, jeszcze lepszy w szukaniu. Umiał polować na ludzi. Na ogół na zbiegów. Przekonał się, że kluczem jest empatia. Powinno się rozumieć ich motywy, okoliczności działania, ich cele, obawy i potrzeby. Powinno się myśleć tak jak oni. Widzieć to, co oni widzą. Być nimi. Doszedł do tego, że po godzinie zapoznawania się z aktami sprawy, godzinie analizowania faktów i godzinie wertowania map i książek telefonicznych mógł wskazać z dużą dokładnością dom, w którym będzie się ukrywał zbieg. Sprawdził widok od frontu.

Nikogo.

Tylko pusty biały świat, który wydawał się skutą lodem.

— Chcę, żeby obserwowała pani teren od ulicy — powiedział, zerkając na Janet Salter.

— Dobrze.

— Ja przeniosę się na chwilę do holu. Jeśli ktoś wejdzie od kuchni albo biblioteki, dorwę go na korytarzu.

— Dobrze.

— Niech pani się schowa w cieniu, ale oczy ma szeroko otwarte.

— Dobrze.

— Jeśli pani cokolwiek zobaczy, proszę mnie zawołać, głośno i wyraźnie, podając konkretne informacje. Liczby, miejsce, kierunek i opis.

— Dobrze.

— I proszę czuwać na stojąco.

— Dlaczego?

— Żebym usłyszał, jak pani upada, jeśli zaśnie pani w trakcie wykonywania zadania.

Janet Salter zajęła dobrą pozycję w głębi pokoju, niewidoczna z zewnątrz, lecz z dobrym widokiem na okna. Rękę nadal trzymała na rękojeści rewolweru. Reacher wyszedł do holu i postawił krzesło po drugiej stronie stolika, żeby mieć na oku

176

tyły domu. Położył rewolwer na kolanach i podniósł słuchawkę. Wystukał numer.

— Tak?

— Proszę z Amandą.

Pauza. Kliknięcie. Głos.

— Chyba robisz sobie jaja — usłyszał Reacher. — Dwie godziny temu dałeś mi roboty na dwa tygodnie i już teraz dzwonisz po wyniki?

— Nie, nie po to teraz dzwonię. Ale i tak nie mogę dać ci dwóch tygodni. Potrzebuję czegoś najpóźniej do jutra.

— Chyba ci odbiło...

— Powiedziałaś, że jesteś lepsza ode mnie, a ja poradziłbym sobie z tym w jeden dzień. Więc ty dasz radę w ciągu jednej nocy.

— Co to za psychologiczne zagrywki? Chodziłeś na kurs motywacji w West Point?

Reacher trzymał rękę na rewolwerze i nie spuszczał wzroku z kuchennych drzwi.

— Złapaliście już tego faceta? — zapytał.

— Nie. To chyba jasne.

— Gdzie go szukacie?

— Na wszystkich lotniskach i na statkach w Zatoce Meksykańskiej, między Corpus Christi i Nowym Orleanem.

— Jest w motelu trochę na północ od Austin. Prawie na pewno w Georgetown. Prawie na pewno w drugim motelu na północ od dworca autobusowego.

— Czy masz na kostce magiczną bransoletkę, o której nic nie wiem?

— Bynajmniej. Facet jest wystraszony i samotny. Potrzebuje pomocy. Może ją otrzymać tylko od tych ludzi z zagranicy, którzy go dymają. Jednak nie zadzwoni do nich od razu.

Pomogą mu, jeśli jest czysty, ale wystawią do wiatru, jeśli został zdemaskowany. Może nawet go zabiją. Facet o tym wie. To, że jest poszukiwany za zabójstwo, zbytnio mu nie przeszkadza. To, że jest poszukiwany za zdradę, bardziej. Tamci ludzie nie

177

chcą, żeby namierzono go, kiedy będzie wiał do domu, gdziekolwiek to jest. Więc facet musi wiedzieć, co mówią media. W jaki sposób relacjonują to, co się wydarzyło w Fort Hood. Jeśli będą mówić, że to było zwykłe domowe zabójstwo, zadzwoni. Jeśli inaczej, wsadzi sobie do ust lufę pistoletu.

— Na razie nie ujawniliśmy tła tego zabójstwa.

— W takim razie poczeka dzień albo dwa i wtedy do nich zadzwoni.

— Ale mógł przecież pojechać dokądkolwiek. Do Waco, Dallas, nawet Abilene.

— Nie, facet starannie wybrał. Abilene jest za daleko i jest za małe. Waco i Dallas są zbyt patriotyczne. Boi się, że tamtejsza telewizja i radio będą podkreślały wątek szpiegowski. Z jakiej jest jednostki? Z czwartej dywizji piechoty? Ludzie w Waco i Dallas nie chcą słyszeć, że kapitan z czwartej dywizji zszedł na złą drogę. Facet o tym wie. Austin to o wiele bardziej liberalne miasto i stolica stanu, więc media tak nie przeginają. Facet chce, żeby ograniczyli się do gołych faktów, i wie, że w Austin tak to będzie wyglądać.

— Mówiłeś coś o Georgetown.

— Samo Georgetown budzi w nim lęk. Za dużo gliniarzy, za dużo się dzieje. Nie pojechał samochodem, prawda? Za bardzo bał się gliniarzy na autostradzie. Zostawił wóz w bazie, tak?

— Zgadza się.

— Więc pojechał autobusem z Fort Hood i szybko z niego wysiadł. Georgetown jest niezbyt daleko od Austin, ale i niezbyt blisko. Jadąc, przez cały czas wyglądał przez okno. Jeden motel za drugim. Zapamiętał ich lokalizację. Wysiadł na dworcu autobusowym i ruszył pieszo z powrotem. Nie chciał znaleźć się na nieznanym terenie. I nie chciał za daleko chodzić. Za bardzo by się narażał. Mimo to nie spodobał mu się motel położony najbliżej

dworca. Zbyt oczywisty. Dlatego wybrał drugi. Siedzi tam w tej chwili zamknięty w swoim pokoju i ogląda lokalne kanały.

178

Amanda milczała.

— Poczekaj chwilę — rzucił Reacher, po czym położył delikatnie słuchawkę na stoliku i wstał. Sprawdził kuchnię, sprawdził bibliotekę. Nic się nie działo. Sprawdził salon. Janet Salter nadal stała w cieniu, nieruchoma jak skała.

Nic nie działo się na ulicy.

Nikt nie nadchodził.

Reacher wrócił do holu, usiadł na krześle i podniósł słuchawkę.

— Coś jeszcze? — zapytała Amanda.

— Zasadniczo to nie ma znaczenia, ale w autobusie siedział w pierwszym, drugim albo trzecim rzędzie.

— Chrzanisz.

— To był rodzaj kamuflażu. Nie chciał, żeby ktoś wziął go za uciekiniera. Uważa, że z tyłu siadają ludzie, którzy mają coś na sumieniu. Jest kapitanem czwartej dywizji. Najprawdopodobniej prostolinijnym facetem. Pamięta swój szkolny autobus. Z tyłu siedziały łobuzy, nie on.

Bez odpowiedzi.

— Georgetown — powtórzył Reacher. — Drugi motel na północ od dworca autobusowego. Sprawdź to.

Bez odpowiedzi.

— Gdzie masz najbliżej ludzi? — zapytał.

— W Fort Hood.

— Więc ich tam poślij. To tylko pięćdziesiąt mil. Co cię to kosztuje?

Bez odpowiedzi.

— I nie zapomnij, że potrzebuję informacji na jutro. — Reacher się rozłączył. Odstawił krzesło tam, gdzie powinno stać, i przeszedł do salonu. Sprawdził okno.

Nic się nie działo.

Nikt nie nadchodził.

Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt pięć.

Jeszcze trzydzieści godzin.

20

Zegar tykał. Każda upływająca minuta była dla Reachera małym zwycięstwem. Zamieszki w więzieniu nie mogą trwać wiecznie. Wstępna faza powinna być stosunkowo krótka. Po wzięciu zakładników i opanowaniu terytorium nastąpi impas. Dokonane zostaną zmiany taktyczne. Strażnicy się przegrupują. Gliniarze zostaną zwolnieni z uczestnictwa w akcji.

Reacher o tym wiedział.

Z tego względu facet też o tym wie.

Reacher nie rozumiał, dlaczego nie przyszedł. Jego celem była stara kobieta w domu. Na co czekał?

•••

O wpół do jedenastej Janet Salter zaproponowała, że zrobi kawę. Reacher jej nie pozwolił. Może na to właśnie czeka facet. Ekspres potrzebuje wody. Wodę nalewa się z kranu. Kran jest nad zlewem. Zlew pod oknem. Pochylona siwa głowa, którą tylko dwie stopy dzielą od szyby, może stanowić kuszący cel. W związku z tym sam nastawił kawę po ostrożnej inspekcji terenu. Jak się okazało, niepotrzebnej. Wyszedł na dwór tylnymi drzwiami bez kurtki, rękawiczek i czapki. Mróz uderzył go w twarz jak pięść. Był siarczysty. Przenikał na wskroś. Ogłuszał.

180

Grubo poniżej dwudziestu stopni. Zbyt zimno, by odgadnąć dokładne wskazanie termometru. Cofnął się do środka. Nikt nie czekał na dworze na łatwą sposobność. To niemożliwe. Po minucie dygotałby tak, że nie tylko nie zdołałby strzelić, ale nic by nie zobaczył. Po godzinie zapadłby w śpiączkę. Po dwóch byłby martwy.

Co wyjaśnia pewne sprawy. Nikt nie zakradnie się cichaczem po śniegu. Niebezpieczeństwo grozi od ulicy. Facet będzie musiał podjechać, wyskoczyć z samochodu i szybko przebiec do domu. Dlatego kiedy ekspres przestał pyrkotać i syczeć, Reacher nalał kawę do dwóch kubków i zaniósł je do salonu, gdzie poinformował Janet Salter, że przez następną godzinę będą na zmianę czuwali przy oknie. Dziesięć minut on, dziesięć minut ona.

•••

Następna godzina minęła powoli. Nikt nie zbliżył się do domu. Świat na zewnątrz był martwy. Głęboko zamrożony. Nie poruszało się nic poza wiatrem, który wiał z zachodu, układając śnieg w karłowate zasy i odsłaniając krawędzie lodu połyskujące sino w świetle księżycy. Widmowa pierwotna scena. Janet Salter zrobiła coś z pokrętłem w ścianie i kaloryfery zaczęły grzać mocniej. Zdaniem Reachera nie było to najlepsze posunięcie. Ciepło sprawia, że ludzie robią się senni. Nie chciał jednak zamarznąć. Czytał o starszych osobach, które zmarły we własnych domach wskutek wyziębienia.

— Był pan tu kiedykolwiek wcześniej w zimie? — zapytała Janet Salter.

— Nie byłem tu nigdy o żadnej porze roku.

— To może w Dakocie Północnej?

— Byłem w Dakota Building w Nowym Jorku.

— Który został nazwany na cześć tego miejsca. Kiedy go wznoszono, Nowy Jork kończył się w zasadzie przy Trzydziestej Czwartej Ulicy. Budowanie luksusowych apartamentowców przy Siedemdziesiątej Drugiej i w dodatku na West Side

181

wydawało się szaleństwem. Równie dobrze moglibyście postawić ten budynek na terytorium Dakoty, mówili ludzie. Nazwa przyłgnęła. Do faceta, który go zbudował, należała częściowo fabryka maszyn do szycia Singera, co po zatoczeniu pełnego kręgu sprowadza nas z powrotem do naszej puszeki z olejem.

Mówiła, żeby po prostu coś mówić. Reacher jej nie przerywał. Przez cały czas obserwował ulicę i puszczał mimo uszu większość tego, o czym opowiadała. Wdała się w długi wywód o historii stanu. O odkrywca i kupcach, Lewisie i Clarku, Siuksach, Fort Pierre, farmerach i pionierach, gorączce złota, Szalonym Koniem, Siedzącym Byku, Custerze, Black Hills, Wounded Knee, Dust Bowl i jakimś facecie

o nazwisku Brokaw, który pracował według niej w sieciowej telewizji.

Dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć.

Zostało dwadzieścia dziewięć godzin.

•••

Reacher po raz ósmy sprawdził wszystkie drzwi i okna. Przez żadne okno nie zobaczył niczego, co mogłoby go zaniepokoić. Niczego poza zamrożoną, skapaną w świetle księżycy pustką. Nie usłyszał niczego poza szumem wody w rurach

o cichego skrzypienia coraz zimniej szego lodu skuwającego ziemię. Pomyślał o farmerach i pionierach, o których mówiła Janet Salter. Po kiego diabła tu zostali?

— Ktoś idzie! — zawołała, kiedy schodził po schodach.

Mówiła głośno i wyraźnie, ale nie podała poza tym żadnych informacji. Żadnych liczb, miejsca, kierunku i opisu. Reacher wszedł do salonu i stanął obok niej przy oknie. Zobaczył zbliżającego się z lewej strony środkiem ulicy faceta, niedużego, opatulonego w olbrzymią kurtkę z kapturem. Na twarzy miał kominiarkę. Plus gruby szal, plus rękawice, plus wysokie buty. Miał puste ręce. Rozłożył je trochę na boki dla zachowania równowagi i niczego w nich nie trzymał.

Szedł powoli i ostrożnie, starając się nie pośliznąć. Zatrzymał się dokładnie u wylotu podjazdu Janet Salter i nie ruszał się z miejsca.

— Wie pani, kto to jest? — zapytał Reacher.

— Niech pan zaczeka — odparła.

Facet odwrócił się sztywno i nieporadnie i spojrzął w drugą stronę. Podbiegł do niego pies.

Wielkie białe zwierzę z gęstą sierścią. Facet się odwrócił i razem z psem ruszył dalej.

— To nie mężczyzna, ale kobieta—wyjaśniła Janet Salter. — Sąsiadka, pani Lowell.

Trudno było ją poznać, tak grubo się ubrała.

Reacher wypuścił powietrze z płuc.

— Nie jest przypadkiem żoną gliniarza? — zapytał.

— Była żoną. Lowell wyprowadził się rok temu. Doszło między nimi do nieporozumień.

— Jakiego rodzaju?

— Nie wiem.

— Widziałem dziś Lowella. Peterson nazwał go dziwakiem. Powiedział, że czyta książki.

— Zgadza się. Od czasu do czasu przychodzi jakąś pożyczyc. Nasze rodziny znają się od dawna.

— Zna pani policjanta, który jest partnerem Lowella?

— Kaplera? Owszem, poznałam go.

— I?

— Przyjechał tu z Florydy. Co wydało mi się dziwne.

— Mnie też — odparł Reacher.

Stojąc przy oknie, patrzył, jak pani Lowell i jej pies skręcają za róg i znikają z pola widzenia.

•••

Przez kolejne trzydzieści minut znowu się do siebie nie odzywali. Wskazówki zegara w głowie Reachera zbliżały się do północy.

— Nie jest pani zmęczona? — zapytał.

— Tak naprawdę w ogóle się nad tym nie zastanawiałam — odparła Janet Salter.

— Jeśli pani chce, proszę iść spać. Poradzę sobie tu na dole.

— Czy mógłby pan to robić na stojąco? Żebym usłyszała, jak pada pan na podłogę, kiedy pan zaśnie?

Reacher się uśmiechnął.

— Nie zasnę.

— A ja nie pójdę spać. To wszystko przeze mnie. Nie powinnam pana w ogóle w to mieszać.

— Problem, którym się z kimś dzielimy, jest w połowie rozwiązany.

— Może pan zginąć.

— Mało prawdopodobne.

— Jest pan żonaty?

— Nie — odparł, nie odrywając wzroku od okna.

— A kiedykolwiek pan był?

— Nie.

— Był pan jedynym dzieckiem?

— Miałem brata. Był ode mnie dwa lata starszy. Pracował w Departamencie Skarbu.

Zginął na służbie.

— Przykro mi.

— To nie była pani wina.

— Zawsze reaguje pan tak na wyrazy współczucia?

- Na ogół.
- Zatem jest pan ostami z rodu.
- Chyba tak. Chociaż nie był to jakiś szczególnie słynny ród.
- To tak jak u mnie. Sami dranie.
- Gdzie były wasze kopalnie złota?
- W Black Hills. Dlaczego pan pyta?
- Peterson uważa, że ten wojskowy obiekt na północy mieści się głównie pod ziemią. Zastanawiałem się, czy są tam jakieś stare podziemne korytarze.
- Nie ma tam żadnych kopalni. Tylko preria, a pod spodem skała.
- Czy pani rodzice żyli, kiedy wyjechała pani na studia?
- Dlaczego pan pyta?

184

- Bo jeśli żyli, pisali pani pewnie, co się tutaj dzieje. Być może przekazywali jakieś lokalne plotki i nowiny. Musieli o tym wspomnieć. Może nie na tyle konkretnie, żeby pani naukowy umysł uznał to za fakt, ale musiała pani coś słyszeć.
- Nic, co warto byłoby powtarzać.
- Niech mnie pani sprawdzi.
- Wiem tylko, że ten obiekt zbudowano i nigdy go nie użytkowano. Najwyraźniej dlatego, że jego cel był zbyt odrażający. Wybuchł w związku z tym niewielki skandal.
- Co to był za cel?
- Nie wiem. Nikt mi o tym nie mówił.

Za pięć minut północ.

Zostało dwadzieścia osiem godzin.

Nikt nie nadchodził.

•••

Tysiąc mil na południe, w Teksasie, dwa szybkie samochody pokonały pięćdziesiąt mil z Fort Hood w niespełna czterdzieści minut. W samochodach siedziało sześciu mężczyzn. Wszyscy służyli w sto dziesiątej jednostce specjalnej, wszyscy byli chorążymi, wszyscy marzyli, żeby zostać starszymi chorążymi, i wszyscy zdawali sobie sprawę, że tego rodzaju misja może znacznie przybliżyć awans. Zboczyli z głównej drogi, przejechali przez centrum Georgetown i znaleźli dworzec autobusowy. Był środek nocy. Po pustych peronach walały się śmiecie i śmierdziało rozlaną ropą. Żadnych przyjazdów, żadnych odjazdów. Mężczyźni zaparkowali samochody przecnicę dalej, przy lombardach i biurach poręczycieli sądowych, i ruszyli piechotą tą samą trasą którą przyjechali. Po drodze liczyli motele. Pierwszy mieścił się w ceglany budynku i miał parking z popękany asfaltem. Drugi, drewniany, stał tuż obok pierwszego tyłem do ulicy i miał dwanaście pokoi. Szydł na słupie reklamował darmową kablówkę oraz darmowe śniadania i informował o braku wolnych miejsc.

185

Biuro, pierwsze drzwi po lewej.

Przysypiający recepcjonista.

Klucz magnetyczny w szufladzie biurka.

Sześciu chorążych się rozdzieliło. Trzech zajęło pozycje z tyłu, trzech podeszło do motelu od frontu. Jeden z nich stanął na czatach, gotowy na każdą ewentualność, a pozostali dwaj wchodzili po kolei do każdego pokoju, bez żadnych zahamowań, z wyciągniętą bronią i oświetlali z bliska latarkami twarze zmorzonych snem gości.

Sprawdzili wszystkie dwanaście pokoi.

Ich człowieka tam nie było.

•••

Reacher po raz kolejny obszedł dom Janet Salter. Zdążył dobrze poznać wszystkie jego odgłosy. Skrzypienie parkietu, skrzypienie schodów, syczące głośniejsze niż gdzie indziej pra-

woskrętne kolanko przy rurze centralnego ogrzewania, stukot poruszanej wiatrem opuszczanej ramy okna. Zmieniały się zapachy. Powietrzne prądy wyciągały je z dywanów i zasłon. Nie były niemiłe, po prostu stare. Zapachy farbowanej wełny, zakurzonego aksamitu, kulek naftaliny, woskowej pasty do mebli, cygarowego dymu i fajkowego tytoniu. Starodawne głębokie wonie — zapachowy obraz dostatku, w którym żyły rodziny z pogranicza. Nakładał się na nie świeży mineralny zapach oleju emanujący z noszonego przez niego rewolweru.

Po jakimś czasie wrócił do salonu. Rewolwer Janet nadal tkwił w jej kieszeni, dłoni spoczywała na rękojeści.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Doszłam do wniosku, że jestem uprzywilejowana — powiedziała, siadając z namaszczeniem w fotelu.

— W jakim sensie?

— Mam szansę dochować wierności swoim zasadom. Wierzę, że normalni obywatele muszą stawiać czoło złu. Ale wierzę również w prawo do sądu. Wierzę w prawo oskarżonego do

186

uczciwego procesu i wierzę, że ma prawo spojrzeć w oczy zeznającym przeciwko niemu świadkom. No tak, ale bardzo łatwo jest o tym mówić, jednak nie każdy ma szansę wcielić swoje przekonania w życie, prawda? Ja mam teraz taką szansę.

— Doskonale pani idzie — przyznał Reacher.

Stanął obok niej przy oknie i nagle zobaczył w oddali podskakujące energicznie światła.

Zbliżał się do nich szybko jakiś samochód.

21

To był Peterson prowadzący konwój, w którym jechała chyba cała miejscowa policja. Sześć, siedem, osiem radiowozów. Po chwili dziewiąty. Blokując się wzajemnie, stanęły z chrzęstem łańcuchów pośrodku ulicy. Wskoczyło z nich dwunastu, potem trzynastu, czternastu i piętnastu gliniarzy. Wyciągnęli broń i sformowali szyk, przygotowując się do szybkiego, a zarazem ostrożnego wejścia. Ponieważ nie mieli pojęcia, co zastaną w domu.

Spokój i ciszę czy dwie ofiary zabójstwa.

Reacher wyszedł do holu, stanął przy zawiasach frontowych drzwi i otworzył je, sam pozostając niewidoczny. Nie chciał, żeby go przypadkowo postrzelili. Trudno przewidzieć, do czego jest zdolnych piętnastu zdenerwowanych gliniarzy.

— Peterson?! — zawołał. — To ja, Reacher. U nas wszystko w porządku!

Bez odpowiedzi.

— Peterson?! — zawołał jeszcze raz.

Do holu wpadło lodowate powietrze, a razem z nim głos Petersona:

— Reacher?!

— Tutaj wszystko w porządku! — odkrzyknął Reacher. — Schowajcie broń i wchodźcie.

188

Wpadli do środka biegiem, cała piętnastka. Pierwszy Peterson, za nim cztery policjantki, potem trzech facetów z radiowozów i siedmiu funkcjonariuszy, których Reacher nie znał. Wszyscy mieli zaczerwienione, spierzchnięte twarze. Uderzeni falą ciepłego powietrza zaczęły rozpinąć kurtki i ściągać rękawice z dłoni i czapki z głów.

•••

Cztery kobiety otoczyły Janet Salter i wyprowadziły ją do kuchni. Peterson rozkazał, żeby trzy radiowozy z nocnej zmiany zajęły swoje pozycje i odesłał pozostałych siedmiu policjantów do komisariatu. Stojąc przy oknie w salonie, Reacher patrzył, jak sytuacja wraca do normy. Po pięciu minutach wszystko wyglądało tak jak pięć godzin wcześniej.

— Cotu się wydarzyło? — zapytał Peterson.

- Nic — odparł Reacher. — A co tam się wydarzyło?
- Zamieszki. Choć właściwie niczego nie widzieliśmy. Bardzo szybko je stłumili.
- Bo były pozorowane. Służyły odwróceniu uwagi.

Peterson pokiwał głową.

- Ale ich facet w ogóle się nie pojawił — mruknął.
- I podstawowe pytanie brzmi: dlaczego tego, do diabła, nie zrobił?
- Bo cię zobaczył.
- Ja go nie widziałem. Co nasuwa kolejne ważne pytanie. Jeśli jest tak dobry, że zobaczył mnie, sam będąc niewidocznym, dlaczego nie zaryzykował?
- Nie mam pojęcia.
- Widziałem kobietę z wielkim białym psem.
- Kiedy?
- Zaraz po jedenastej.
- Pani Lowell. Sąsiadka. Wieczorem wyprowadza psa.
- Szkoda, że mi o tym nie powiedziałaś. Mogłem ją postrzelić.
- Przepraszam. — Peterson ścisnął palcami nos. Musiał

189

go boleć. W ciągu czterdziestu sekund jego skóra zmieniła temperaturę o czterdzieści stopni. Po chwili przecesał palcami włosy. — Wiem, że nie powinienem tego mówić, ale trochę żałuję, że facet się nie pojawił. Nie wiem, czy wytrzymamy jeszcze jeden taki miesiąc.

- Nie wydaje mi się, żebyście musieli. Nie mają już żadnych asów w rękawie.
- Mogą w każdej chwili wywołać kolejne zamieszki.
- Nie mogą. Zamieszki w więzieniu wymagają osiągnięcia masy krytycznej. Jedna trzecia więźniów, gdyby dano im szansę, wznęcałaby bunt codziennie. Kolejna jedna trzecia nigdy by tego nie robiła. Liczy się ta środkowa grupa. Niezdecydowani. Jak podczas wyborów. A w tym momencie są wyprztykani. Nie mają w sobie ognia. Minie rok, zanim wrócą do gry.

Peterson milczał.

— A wasz znajomy motocyklista nie zdoła zorganizować tak szybko ucieczki — dodał Reacher. — Więc możecie odetchnąć. Jesteście bezpieczni.

- Tak sądzisz? — zapytał Peterson.
- Może już nigdy nie usłyszycie tej syreny.

Za pięć pierwsza.

Zostało dwadzieścia siedem godzin.

•••

O pierwszej piętnaście zadzwonił telefon w holu. Janet Salter wyszła z kuchni, żeby odebrać. Podała słuchawkę Petersonowi. Peterson słuchał przez chwilę, po czym poszedł poszukać Reachera w salonie.

— To ta kobieta ze sto dziesiątej jednostki żandarmerii — powiedział. — Skąd zna ten numer?

— Ma system identyfikacji dzwoniącego — odparł Reacher. — Ze współrzędnymi geograficznymi. W tej chwili ogląda pewnie ten dom na Google Earth.

- Przecież jest ciemno.
- Nie pytaj mnie, jak to działa.

190

Reacher wyszedł do holu, usiadł na krześle i wziął do ręki słuchawkę.

- Masz odpowiedzi na moje pytania? — zapytał.
- Jeszcze nie — odparł głos.
- Więc po co dzwoniisz tak późno? Mogłem smacznie spać.
- Chciałam ci tylko powiedzieć, że przyskrzyniliśmy naszego faceta.

- Miałem rację?
- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie. Nie zamierzam dawać ci tej satysfakcji.
- Więc miałem rację.
- Niezupełnie. Był w trzecim motelu od dworca autobusowego.
- Bo dwa pierwsze były za blisko siebie? Musiał pójść do trzeciego, żeby nabrać dystansu?
- Jesteś dobry.
- Zarabiałem w ten sposób na życie.
- Jestem pod wrażeniem.
- W jakim był stanie?
- To ty mi powiedz.
- Nie spał. Miał załadowaną broń i buty na nogach. Spakował walizkę i powiesił kurtkę na oparciu krzesła. Walczył tylko przez dziesięć sekund, a potem się poddał.
- Jesteś bardzo dobry.
- Nie aż tak dobry, żeby przetrwać po tej historii z głową generała.
- Nadal chcę ją usłyszeć.
- Najpierw odpowiedz na moje pytania. To uczciwa wymiana.
- Jesteśmy blisko. Widzimy, że pieniądze wychodzą z Kongresu, ale nie wpływają do Departamentu Wojsk Lądowych. Znikają gdzieś po drodze. Zawężamy pole poszukiwań. Niedługo coś znajdziemy.
- Kiedy?
- Daj mi czas do rana. Zadzwoń o ósmej.

191

- Ty też jesteś dobra.
 - Staram się.
 - Miejscowi mówili o jakimś skandalu. Uliczna plotka głosi, że baza nigdy nie była użytkowana, bo jej cel był zbyt odrażający.
 - Uliczna plotka?
 - Zastyszana w salonie pewnej starszej pani.
 - W porządku. Ale w starszych paniach łatwo wzbudzić odrazę.
 - Chyba tak.
 - Coś jeszcze?
 - Możesz czegoś poszukać w tym waszym Google?
 - Do tego służy.
 - Sprawdź dla mnie gliniarza o nazwisku Kapler. Dwa lata temu wyjechał z Florydy. Chcę wiedzieć dlaczego.
 - Do czego ci to potrzebne?
 - Lubię wszystko wiedzieć. Facet przeniósł się z Florydy do Dakoty Południowej. Kto robi coś podobnego?
 - Imię?
 - Nie znam.
 - Szkoda.
 - Ilu może być na Florydzie gliniarzy o nazwisku Kapler?
 - Prawdopodobnie więcej niż dziesięciu i mniej niż stu.
 - Z problemami z zatrudnieniem przed dwoma laty?
 - Coś jeszcze?
 - Co masz na sobie? — zapytał Reacher.
 - Co to ma być, sekstelefon?
- Reacher się uśmiechnął.

— Nie, chcę po prostu wyobrazić sobie całą scenierię. Żeby powspominać dawne czasy. O biurku już wiem. Ten sam gabinet?

— Chyba tak. Na piętrze, trzeci po lewej.

— Ten sam. — Reacher zobaczył go oczyma wyobraźni. Kamienne schody, metalowa balustrada, wyłożony linoleum wąski korytarz, po lewej i prawej drzwi ze żłobkowanymi

192
szybkami, za każdymi z nich czyjś gabinet, każdy wyposażony zgodnie ze skomplikowanymi wymogami Departamentu Obrony. U niego było metalowe biurko, dwa aparaty telefoniczne na trzy linie, winylowy fotel na kółkach, szafki na akta i dwa krzesła dla gości ze sprężystymi nóżkami z giętych metalowych rurek. Plus szklana plafoniera w kształcie miski, zawieszona na trzech metalowych łańcuszkach. Plus wisząca na ścianie nieaktualna mapa Stanów Zjednoczonych, wydana po tym, jak do Unii wstąpiły Hawaje i Alaska, ale zanim zakończono budowę międzystanowej sieci autostrad.

Wydana mniej więcej wtedy, kiedy niedaleko Bolton w Dakocie Południowej zbudowano dziwny wojskowy obiekt.

— Mam na sobie mundur typu ACU i podkoszulek — usłyszał w słuchawce. — Włożyłam kurtkę, bo dziś w nocy jest zimno.

— Siedzisz w Wirginii. Nie wiesz, co to jest zimno — stwierdził Reacher.

— Przestań marudzić. Macie tam zaledwie dwadzieścia stopni. Minus dwadzieścia, ale co tam. Na radarze widać jednak zimniejsze powietrze napływające z zachodu.

— Jak może być jeszcze zimniej?

— Będziecie mieli to samo, co było wczoraj w Wyoming.

— Rozmawiasz z synoptykami?

— Nie, oglądam Weather Channel.

— Co było wczoraj w Wyoming?

— Temperatura wyniosła minus trzydzieści cztery stopnie.

— Znakomicie.

— Wytrzymasz. Jesteś dużym facetem. Sądząc po wyglądzie, pochodzisz chyba ze Skandynawii.

— Czy na Google Earth prześwietlają już dachy?

— Nie, w aktach mają twoją fotografię.

— A ty?

— Owszem, mają tam również moje zdjęcie.

— Nie to miałem na myśli, mądralo. Nie mam twoich akt.

— Jestem jednooką pięćdziesięcioletnią garbuską.

193

— Tak mi się wydawało, kiedy usłyszałem twój głos.

— Dupek.

— Wyobrażam sobie, że masz pięć stóp i sześć albo siedem cali wzrostu. Chuda. Cały głos idzie z gardła.

— Chcesz powiedzieć, że jestem płaska?

— Rozmiar najwyżej trzydzieści cztery A.

— Cholera.

— Blond włosy, prawdopodobnie krótkie. Niebieskie oczy. Z północnej Kalifornii.

— Wiek?

Reacher miał trzydzieści dwa lata, kiedy zasiadł za tamtym poobijanym biurkiem. Był jednocześnie trochę za młody i trochę za stary na to stanowisko. Za młody, ponieważ już wcześniej był kimś w rodzaju gwiazdora, za stary, ponieważ trafił tam nieco później, niż powinien trafić gwiazdor, gdyż nie należał do układu i nie można mu było do końca zaufać.

— Trzydzieści albo trzydzieści jeden lat — odparł, wiedząc, że jeśli chodzi o wiek kobiety, lepiej powiedzieć za mało.

— Pochlebstwem możesz zdziałać wszystko — powiedziała. — Muszę kończyć. Zadzwoń później.

•••

W domu wszystko wróciło do normy. Peterson odjechał, a dwie policjantki z dziennej zmiany poszły spać. Janet Salter zaprowadziła Reachera do sypialni na piętrze, tej z oknem nad werandą. Teoretycznie najbardziej zagrożonej, ale raczej się tym nie przejmował. Czysta wściekłość powinna powetować wszelkie taktyczne niedogodności. Nienawidził być budzony w nocy. Każdy intruz, który spróbuje wejść przez to okno, natychmiast przez nie wyleci. Za pięć drugą.

Zostało dwadzieścia sześć godzin.

22

Reacher zamierzał spać do ósmej, ale został obudzony o wpół do siódmej. Przez Petersona. Facet wszedł do sypialni i jakiś atawistyczny instynkt kazał mu stanąć z boku, kopnąć ramę łóżka, a potem sprytnie odskoczyć. Uznał widać, że tak jest najbezpieczniej. Przeczował, że gdyby pochylił się i potrząsnął delikatnie ramieniem Reachera, mogłoby to się dla niego skończyć złamaniem ręki.

Niewykluczone, że miał rację.

— Co jest? — zapytał Reacher.

— Za niespełna godzinę będzie świtać — powiedział Peterson.

— I co z tego?

— Musisz jechać.

— Dokąd?

— Do obozu motocyklistów. Pamiętasz? Sam się zgłosiłeś.

•••

Kiedy Reacher zszedł na dół, Janet Salter była już w kuchni, ubrana jak do wyjścia. Parzyła kawę. Stary ekspres pyrkotał i dygotał.

— Muszę jechać — powiedział.

— Pan Peterson mi powiedział — odparła, kiwając głową. — Da pan sobie radę?

195

— Mam nadzieję.

— Nie bardzo wiem jak. Jest tam ze stu ludzi, a pan ma tylko jeden sześciopalcowy rewolwer.

— Potrzebujemy informacji.

— Mimo to nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

— Chroni mnie Czwarta Poprawka. I nic więcej. Jeśli zostanę uszkodzony albo nie wrócę, gliniarze będą mieli przekonujący powód, żeby zrobić tam rewizję. A motocykliści tego nie chcą. Wszystko odbędzie się w aksamitnych rękawiczkach.

— Trudno to sobie wyobrazić.

— Poradzi tu sobie pani?

— Mam nadzieję.

— Gdyby gliniarze znów odjechali, proszę wziąć rewolwer i zamknąć się w piwnicy. I nie otwierać drzwi nikomu oprócz mnie.

— Czy nie powinniśmy mieć jakiegoś hasła?

— Może mnie pani spytać o ulubioną książkę.

— Nie ma pan takiej. Powiedział mi pan.

— Wiem. Więc taka będzie prawidłowa odpowiedź.

Ekspres przestał pyrkotać i Reacher nalał sobie kawy do jednego z sześciu stojących na blacie kubków.

- Czy policja znów stąd odjedzie? — zapytała Janet Salter.
- Chyba nie.
- W więzieniu znowu mogą wybuchnąć zamieszki.
- To mało prawdopodobne. Zamieszki nie wybuchają w więzieniach zbyt często. Podobnie jak rewolucje w dziejach narodów. Trzeba poczekać na odpowiedni moment.
- W takim razie to będzie ucieczka.
- Jeszcze mniej prawdopodobne. Ucieczki są rzadkie. Strażnicy o to zadbali.
- Chce pan powiedzieć, że moje problemy się skończyły?
- Niewykluczone.
- Więc wróci pan tu czy nie?
- Autostrada jest chyba nadal zamknięta.
- Dokąd pan pojedzie, jeśli ją otworzą?

196

- Nie wiem.
 - Moim zdaniem pojedzie pan do Wirginii — stwierdziła Janet Salter.
 - Ona może być mężatką.
 - Powinien pan ją o to zapytać.
- Reacher się uśmiechnął.
- Może to zrobić.

•••

Peterson poinstruował go w holu. Powiedział, że przed domem czeka nieoznakowany policyjny samochód, ogrzany, na chodzie i niezawodny. Niedawno serwisowany, z pełnym bakiem, łańcuchami z tyłu i zimowymi oponami z przodu. Do obozu nie jedzie się bezpośrednio z miasta. Reacher musi skierować się na południe w stronę autostrady i milę przed wielopoziomowym skrzyżowaniem skrócić w równoległą do niej starą szosę.

- Tę samą na której zabito adwokata — zauważył.
- To było bardziej na wschód — sprostował Peterson — ale chyba rzeczywiście nie powinieneś się zatrzymywać, jeśli ktoś będzie dawał ci znaki.

— Nie zatrzymam się — zapewnił Reacher. — Możesz być tego pewny.

Po pięciu milach jazdy starą szosą miał skrócić w prawo w krętą drogę okręgową i po ośmiu kolejnych milach dotrzeć do prostego jak strzała odcinka, który wojskowi zbudowali przed pięćdziesięciu laty. Odcinek miał dwie mile długości i dochodził do samego obozu składającego się ze stojących w dwóch rzędach piętnastu drewnianych baraków oraz jednego murowanego budynku.

— Murowany budynek jest w tylnym lewym rogu — poinformował go Peterson.

Za pięć siódma.

Zostało dwadzieścia jeden godzin.

197

Tysiąc siedemset mil na południe była za pięć ósma. Platon zjadł śniadanie i miał właśnie złamać zasadę, której przestrzegał przez całe życie: zamierzał, nie korzystając z usług pośrednika w ogrodzonej murem willi w mieście, zadzwonić bezpośrednio do swojego człowieka w Stanach.

Wybrał numer.

Jego człowiek odebrał.

— Czy świadek jest już martwy? — zapytał Platon.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

— Wiesz, że między jednym i drugim musi być zawsze poślizg czasowy.

— Jak długo ten poślizg trwa?

Jego człowiek wiedział, co odpowiedzieć.

— Zbyt długo — mruknął.

— Zgadza się — powiedział Platon. — Wczoraj wieczorem zaaranżowałem zamieszki w więzieniu.

— Wiem.

— Najwyraźniej z nich nie skorzystałeś.

— W domu był jakiś mężczyzna.

— I co?

— Nie miałem instrukcji.

— Tak brzmi twoja odpowiedź? Potrzebowałeś instrukcji?

— Pomyślałem, że być może doszło do komplikacji, których nie przewidziałem.

Platon wypuścił powietrze z płuc.

— Jak mogę cię skrzywdzić? — zapytał.

Jego człowiek wiedział, co odpowiedzieć.

— W sposób, w jaki nie chcę zostać skrzywdzony.

— Zgadza się. Ale chcę, żebyś określił to dokładniej. Chcę, żebyś skupił się na tym, jaka jest stawka w tej grze.

— Możesz mnie skrzywdzić, zabijając najbliższą i najdroższą mi osobę — powiedział facet.

— I zrobię to. Ale z poślizgiem czasowym, którego koncept najwyraźniej tak cenisz. Okaleczę ją i pozwolę jej żyć jeszcze przez rok. Potem ją zabiję. Rozumiesz?

198

— Tak, rozumiem.

— Więc dla własnego dobra zrób, co trzeba. Nie obchodzą mnie osoby postronne. Jeśli będziesz musiał, zetrzyj z powierzchni ziemi całe miasteczko. Nawet cały stan. Swoją drogą, ilu ludzi mieszka w Dakocie Południowej?

— Około ośmiuset tysięcy.

— W porządku. To twoja górna granica strat ubocznych. Po prostu to załatw.

— Załatwię to, obiecuję.

Platon rozłączył się i nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

•••

Nieoznakowanym samochodem okazał się kolejny ford crown victoria. Wewnątrz czuć było zapach kurzu i zmęczenia. Ogrzewanie było nastawione na plus dwadzieścia jeden stopni i wiatraczek kręcił się jak szalony w desperackiej próbie osiągnięcia tej temperatury. Pogoda radykalnie się pogorszyła. Temperatura szybko spadała. Ziemia stwardniała na kość, powietrze wypełniały niesione przez wiatr mikroskopijne płatki śniegu, zmrożone i skurczone do rozmiaru ostrych drzazg, które uderzały w przednią szybę, zostawiając na niej skomplikowane wzory. Wycieraczki nie chciały ich zgarnąć. Pióra po prostu po nich szorowały. Reacher puścił dmuchawę na szybę i zaczął do chwili, kiedy ciepłe powietrze utworzy na niej przejrzyste owalne obszary.

Dopiero wtedy ruszył.

Najpierw musiał zawrócić na trzy razy na ulicy Janet Salter. Opony forda podskakiwały na zamrożonych wybojach. Radiowóz przy końcu ulicy cofnął się, żeby go przepuścić. Reacher skręcił w prawo i wyjechał z miasta. Miękkie poprzedniego dnia koleiny teraz były twarde jak beton. Miał wrażenie, że jedzie po szynach. Nie musiał w ogóle kręcić kierownicą. Łańcuchy na tylnych kołach wgryzały się w lód, a przednie opony odbijały od boków kolein, utrzymując forda na mniej więcej prostym kursie. Świat na zewnątrz był zupełnie biały.

199

Na jasnym bladym niebie nie widać było słońca. W powietrzu wirował lód. Przypominał pył. Albo mgłę. Wiatr wiał z lewej strony. Przy słupkach ogrodzeń i słupach elektrycznych utworzyły się i zastygły niewielkie opływowe zasy. Dziwne śnieżne narośle na przewodach pochylały się na wschód, jakby przekrzywił się cały świat.

Milę przed wielopoziomowym skrzyżowaniem zobaczył skręt. Wskoczenie z zamrzniętych kolein było trudne. Musiał zwolnić do prędkości pieszego, przekręcić ostro kierownicę i wyrwać z nich koło po kole. Następnie znalazł koleiny prowadzące na zachód i jechał nimi jak na autopilocie do chwili, gdy pięć mil dalej musiał wyskoczyć także z nich i skręcić na północ w kierunku obozu. Nowa droga była inna. Nie jeździło nią dużo pojazdów.

Pozbawiona kolein, była po prostu wąską wstęgą zmrożonego śniegu. Przednie koła trochę się ślizgały. Siekące z lewej strony drobiny lodu uderzały w szybę od strony kierowcy. Droga bez żadnych widocznych powodów wznosiła się, opadała i skręcała w lewo i w prawo. Jezdnia nachylała się raz w jedną raz w drugą stronę. Drogowcy zbytnio się nie popisali. Reacher nieco zwolnił i skupił się na prowadzeniu. Wylądowanie w rowie może mieć opłakane skutki. Prędzej zamarznie, niż doczeka się pomocy. Nawet złapanie gumy może się okazać katastrofą. Śruby mocujące koła na pewno przymarzły do obręczy.

Pięć, potem sześć i siedem mil powolnej, ostrożnej jazdy. Nagle horyzont się zmienił. Droga poszerzyła się, wyprostowała i spłaszczyła. Dramatycznie. Radykalnie. W mrocznej oddali wydawała się szeroka i płaska jak autostrada. Może nawet jeszcze szersza i bardziej płaska. Wyglądała, jakby miała po osiem pasów ruchu w każdą stronę. Wspaniały, nierzeczywisty odcinek drogi, która biegła nieco powyżej otaczającego terenu, idealnie płaska i idealnie prosta na długości całych dwóch mil.

I na całej tej długości odśnieżona.

Nie było na niej nawet odrobiny śniegu. Wyłącznie gładki

200

szary beton, oczyszczony, zamieciony i posypany solą. Śnieg odgarnięto na boki, wyrównano i przyklepano, dzięki czemu wiejąca z zasp po zachodniej stronie biała kurzawa lądowała dopiero za zaspami po wschodniej. Drobne igiełki lodu przelatywały pięć stóp nad ziemią. Sama jezdnia była czysta i sucha jak w środku lata.

Reacher zwolnił i wjechał na szeroką drogę. Łańcuchy załomotały i zagrzechotały na betonie. Przednie opony złapały przyczepność. Jechał, nie przekraczając trzydziestki i patrząc przed siebie. Na horyzoncie widział jasne smugi: stojące w rzędzie, oddalone o dwie mile drewniane baraki. Samochód trząsał się i dygotał. Łańcuchy nie radziły sobie zbyt dobrze na suchej nawierzchni.

Reacher nie zdejmował nogi z gazu.

Z odległości pół mili zauważył jakiś ruch, a z odległości stu jardów zobaczył dokładnie, co się dzieje. Po całym terenie jeździły w tę i z powrotem pick-upy z zamontowanymi lemieszami pługów. Było ich sporo, trzydzieści albo czterdzieści. Za nimi szła tyraliera machających łopatom, ubranych na czarno pękatych postaci. Inne pękate postacie posuwały się tyłem, sypiąc zamaszystymi ruchami coś, co trzymali w złączonych dłoniach, niczym farmerzy karmiący siewką kurczaki. Prawdopodobnie sól. Ewentualnie żwir lub piasek albo inne rozpuszczające lód chemikalia. A może wszystko razem. Odśnieżali cały obóz. Chcieli, żeby porządnie wyglądał. Tak samo jak droga.

Baraki były z pobielonych i wyblakłych nieheblowanych desek. Nie nowe, ale też niezbyt stare. Za pierwszym rzędem Reacher dostrzegł po lewej stronie dach murowanego budynku: wysoki, spadzisty, kryty łupkiem. Miał dwa ozdobne kominy z grubymi na stopę czapami śniegu. Baraki były kryte papą i sterczały nad nimi rury od piecyków. Między ich bocznymi ścianami biegły przewody elektryczne, a między drzwiami betonowe alejki. Wszystkie były odśnieżone. Śnieg, którego nie dało się całkowicie usunąć, leżał elegancko odgarnięty po

201

lewej i prawej stronie. Przed barakami stały niczym kostki domina przykryte czarną plandeką kształty. Najprawdopodobniej motocykle. Duże, około trzydziestu. Najprawdopodobniej harleye odstawione na zimę.

Reacher zwolnił i zatrzymał się pięćdziesiąt jardów od obozu. Ludzie przestali pracować i gapili się na jego samochód. Ręce w rękawicach oparli o styliska łopat, a podbródki na dłoniach. Siewcy soli przerwali swoje zajęcie. Jeden po drugim stanęły pick-upy. Wiatr niósł zapach spalin.

Reacher zdjął nogę z hamulca i ruszył dalej. Nikt nawet nie drgnął. Samochód toczył się dziesięć, dwadzieścia jardów. Reacher znowu się zatrzymał. Był wystarczająco blisko. Nie zgasił silnika. Termometr na tablicy rozdzielczej wskazywał, że na zewnątrz jest minus dwadzieścia cztery stopnie. Gdyby wyłączył silnik, mógłby go już nie uruchomić. Czytał kiedyś książkę o życiu pod kołem podbiegunowym. Blok silnika trzeba tam było ogrzewać lampami lutowniczymi.

Nasunął czapkę na uszy, naciągnął kaptur, zapiał kurtkę pod samą szyję i założył rękawice, najpierw lewą a potem prawą.

Wysiadł z samochodu.

Oddalony o dwadzieścia jardów tłum zgęstniał. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Może ze sto osób. Tyle, ile Reacher powinien się spodziewać. Ich oddechy zmieniały się w jeden duży obłok, który przez chwilę wisiał nieruchomo nad głowami, a potem unosił się wyżej i ulatywał z wiatrem. Mróz był ogłuszający. Wydawało się, że atakuje od środka. Reacher trząśniętym krokiem poszedł pięć sekund od wyjścia z samochodu. Twarz skostniała mu po dziesięciu. Przeszedł kilka kroków i stanął. Oliwkowo-zielone spodnie, brązowa kurtka, stojący za nim policyjny samochód z rejestracją z Dakoty Południowej. Nie był ani trochę przekonujący.

Dwadzieścia jardów przed nim przez zbity tłum przeciskał się mężczyzna. Robił krok w lewo, przepychał się ramieniem i robił krok w prawo. Czarna kurtka, czarna czapka, czarne rękawice. Język jego ciała był typowy dla człowieka pracy,

202

któremu przerwano robotę. Wyrażał irytację, lecz również ciekawość. Otarł czoło rękawem kurtki, zatrzymał się, przez chwilę namyślał, a potem ruszył dalej. Wystąpił z tłumu na jard i stanął.

— Kim, do diabła, jesteście? — zapytał Reacher.

— Odwał się — warknął facet.

Reacher zrobił trzy kroki do przodu.

— Nie jest pan zbyt grzeczny — zauważył.

— Gdzie jest napisane, że mam być?

— Kręcicie się po moim terenie.

— Jak to?

— Reprezentuję wojska lądowe. Mam obejrzeć tę nieruchomość. Co dwa lata robimy tu inspekcję. Sprawdzamy, czy nie marnują się pieniądze podatników.

— To jakaś kpina.

— Tak czy owak, muszę się rozejrzeć — stwierdził Reacher.

— Powiedziałem, żebyś się odwalił.

— Wiem. Ale jakie są szanse, żebym potraktował cię poważnie?

— Nie pokonasz setki ludzi.

— Nie muszę. Wygląda na to, że dwie trzecie z was to kobiety i dzieci. To daje mniej więcej trzydziesta facetów. Najwyżej czterdziesta. Ale połowa z nich jest za gruba, żeby się szybko ruszać. Jeśli spróbują to zrobić, dostaną zawału. Inni, może połowa z nich, to cioty. Od razu zwieją. To zostawia nam może ośmiu, maksymalnie dziesięciu facetów. A ja jeden z łatwością dam radę ośmiu albo dziesięciu takim jak wy.

Bez odpowiedzi.

— Poza tym jestem z armii. Zadrzesz ze mną, to następny facet przyjedzie ta czołgiem.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko wycie wiatru i grzechot szorujących o drewno drobinek lodu. Facet, który wystąpił do przodu, popatrzył na Reachera, na jego ubranie i samochód i podjął coś w rodzaju decyzji.

— Co musisz zobaczyć? — zapytał.

— Murowany budynek — odparł.

203

— Nie jest nasz.

— Żaden nie jest wasz.

— Miałem na myśli, że go nie używamy.

— Nie powinniście używać niczego.

— Jesteśmy dzikimi lokatorami. To porzucony obiekt. Znamy prawo.

Reacher nie odpowiedział. Skręcił po prostu w lewo i obszedł tłum. Nikt nie ruszył się z miejsca i nie zastąpił mu drogi. Decyzja polityczna. Zerknął na narożny barak, prostą, utylitarną konstrukcję o długości może pięćdziesięciu stóp. We frontowej ścianie były tylko dwa kwadratowe okienka, w bocznej zaś drzwi. Wszędzie dokoła skrupulatnie uprzątnięto śnieg. Bezpośrednio za barakiem stał murowany budynek. Wokół niego też nie było śniegu. Wyłącznie odsnieżone ścieżki.

Reacher się odwrócił.

— Skoro z niego nie korzystacie, po co odgarnęliście śnieg? — zapytał.

Z tłumy znowu wystąpił ten sam facet.

— Żeby mieć satysfakcję z dobrze wykonanej pracy — powiedział.

Murowany budynek był nieduży i dziwny. Można by pomyśleć, że skopiowano go z planów małego, lecz bogato zdobionego podmiejskiego domu. Niczym gotycki pałacyk, który jakiś bogacz postawił w ogrodzie dla gości, miał najróżniejsze gzymsy i wykusze, dwuspadowy dach, rynny oraz okapy, ale też różnił się od niego w kilku zasadniczych punktach.

Tam, gdzie w pałacyku powinny być okna, tutaj były wyłącznie przeznaczone na nie nisze.

Właściwych rozmiarów i kształtów, ale wypełnione nie szkłem, tylko murem, takimi samymi połączonymi zaprawą bloczkami jak pozostałe ściany. Był tam portyk z frontowymi drzwiami, które jednak niczego nie udawały. Były zwykłą, grubą, stalową płytą opatrzoną zawiasami i otwierały się na zewnątrz, nie do wewnątrz. Jak drzwi schronu. Ciśnienie z zewnątrz nie mogło ich wyważyć. Miały dziurkę od klucza i klamkę. Reacher ją nacisnął. Nie poruszyła

204

się. Dziurka od klucza była duża. Mniejsza od dziurki na klucz kościelny, większa od dziurki na klucz do domu. Otaczająca ją stal była pokryta szronem. Reacher stał go rękawicą i nie zobaczył na metalu żadnych rys ani zadrapań. Zamek nie był regularnie używany. Nikt nie wkładał i nie wyjmował klucza.

— Wiecie, co to za miejsce? — zapytał.

— Pan nie wie? — zapytał facet, który podszedł za nim do drzwi.

— Oczywiście, że wiem. Muszę tylko wiedzieć, jak dobrze są strzeżone nasze sekrety.

— Słyszeliśmy różne rzeczy — mruknął facet.

— Od kogo?

— Od robotników, którzy tu wcześniej mieszkali.

— Jakie rzeczy?

— O bombach atomowych.

— Mówili, że jest tu broń nuklearna?

— Nie. Powiedzieli, że była tu klinika.

— Jaka klinika?

— Powiedzieli, że gdybyśmy zostali zaatakowani w zimie, w mieście takim jak Nowy Jork, ludzie byliby w płaszczach i rękawiczkach, więc spaliłyby się im tylko twarze. Rozumie

pan, kilka mil od epicentrum. Blżej wszyscy by wyparowali. Ale gdyby komuś udało się przeżyć, mógł tu przyjechać i dostać nową twarz.

— Robiliby im operacje plastyczne?

— Nie, wszczepialiby protezy. Coś w rodzaju masek. Mówili, że to właśnie ta trzymają dziesiątki tysięcy plastikowych twarzy.

•••

Reacher obszedł dokoła dziwny mały budynek. Był taki sam ze wszystkich czterech stron. Kamienne ściany, fałszywe okna, zdobienia, gzymsy. Dziwaczna parodia. Zabawna, ale niezbyt pouczająca, jeśli nie weszło się do środka. Co w tym momencie było niemożliwe.
205

Odszedł na bok i pod wpływem nagłego impulsu zatrzymał się przy najbliższym baraku. Pierwszym w drugim rzędzie, dokładnie naprzeciwko drugiego w pierwszym rzędzie. Sznur idących za nim ludzi ciągnął się i zakręcał niczym wąski znak zapytania, sięgając miejsca, z którego wystartował. Wisiał nad nimi obłok pary. Najbliżej siebie miał faceta, który trzymał gadkę. Dzielilo go od niego najwyżej sześć stóp.

Pchnął drzwi baru, które otworzyły się do połowy.

— Ten barak nie należy do was — zastrzegł facet.

— Wystarczy mi, że stoi na wojskowym betonie — odparł Reacher.

— Nie ma pan nakazu.

Reacher nie odpowiedział. Miał dosyć gadania. Było za zimno. Skostniała mu twarz i rozboleły zęby. Otworzył po prostu drzwi na oścież i zajrzał do środka.

W baraku było ciemno i ciepło. Włączony był piecyk na naftę. Reacher czuł jej słodki zapach. W środku stało dwanaście łóżek, po sześć z każdej strony, a także zamknięte pomieszczenie w drugim końcu, w którym prawdopodobnie mieściła się łazienka. Na przykrytych prostymi szarymi kocami łóżkach stały kartony z poskładanym ubraniem. W małych kwadratowych oknach wisiały płócienne zasłony.

Na ostatnim łóżku z prawej strony siedziała młoda kobieta. Bez kurtki, bo było ciepło. Bez czapki. Mogła mieć osiemnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Wydawała się nieco przygnębiona i smutna. Była ładna — długie jasne włosy, wyraziste rysy twarzy. Wysoka i smukła. Przez sekundę Reacherowi wydawało się, że już ją kiedyś widział. Ale mylił się. Była po prostu typową mieszkanką Dakoty Południowej. Jak Kim Peterson. Skądkolwiek pochodzili motocykliści, udało im się zwerbować również miejscowych.

Reacher wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

— Może mi pan pokazać pozostałe baraki? — powiedział do faceta stojącego sześć stóp dalej.

206

— Jak pan chce.

Żadnego oporu. Opatulony szczelnie facet wprawił po prostu w ruch kończyny, powlókł się ścieżką i zaczął otwierać kolejne drzwi. Czternaście z piętnastu baraków było takich samych. Ustawione w rzędach prycze, proste zasłony, piecyki naftowe, szare koce, kartony, poskładane ubrania. Żadnych ławek, roboczych stołów, szklanych naczyń, gazowych palników, żadnego sprzętu laboratoryjnego. I żadnych ludzi. Dziewczyna w pierwszym baraku była jedyną osobą, która nie pracowała na dworze. Może była chora?

W ostatnim baraku w drugim rzędzie mieściła się kuchnia. Były tam zestawione razem dwie domowe kuchenki, dosunięte do ścian proste stoły z miękkiego drewna i zbite z surowych desek półki z talerzami, miskami i kubkami oraz resztkami skąpych zapasów: prawie pustymi słojami na mąkę, cukier i kawę, a także pojedynczymi pudełkami płatków i makaronu stojącymi w miejscach, gdzie mogło ich się zmieścić kilkadziesiąt.

Żadnego sprzętu laboratoryjnego.

Reacher opatulił się szczelniej kurtką i wyszedł pomiędzy dwóch baraków. Samochód stał tam, gdzie go zostawił, z pracującym posłusznie silnikiem. Za nim nikła w oddali odśnieżona droga, szeroka, piękna i płaska jak stół. Przez pięćdziesiąt wiosen i pięćdziesiąt zim nawierzchnia w ani jednym miejscu nie wybrzuszyła się ani nie popekała. „Wiesz, jak duży był budżet obrony pięćdziesiąt lat temu?” — zapytała kobieta w Wirginii. Wylali może ze czterysta tysięcy jardów betonu, a potem o wszystkim zapomnieli.

— Życzę miłego dnia — powiedział i ruszył w stronę samochodu.

Za pięć dziewiąta.

Zostało dziewiętnaście godzin.

23

Jazda z powrotem nie różniła się od jazdy w tamtą stronę z wyjątkiem dziwnej, rozgrywającej się jakby w zwolnionym tempie, niedosłej do skutku kolizji przy pierwszym skręcie.

Reacher pokonał szybko szeroki odśnieżony odcinek i powoli osiem mil wąskiej zaśnieżonej drogi. Starał się właśnie wyrwać z jej kolein, żeby skręcić w biegnącą na wschód szosę równoległą do autostrady, kiedy zobaczył nadjeżdżającą z naprzeciwka cysternę z paliwem, próbującą zrobić coś dokładnie odwrotnego. Cysterna była kanciastym pojazdem z wypisaną z boku nazwą firmy. Być może wiozła naftę do piecyków, być może benzynę do pick-upów. A może ropę do generatora. Skręciła dość wcześnie i znalazła się na jego torze jazdy. Reacher ostro zahamował, mając nadzieję, że złapią przyczepność łańcuchy na tylnych kołach, ale pokładowa elektronika crown vica nie pozwalała zablokować się przednim. Samochód toczył się z łomotem i stukiem tłoczków hamulcowych. Cysterna nie zwalniała. Reacher szarpnął kierownicą. Przednie opony straciły przyczepność i wpadły w poślizg. Przedni lewy błotnik crown vica minął o cal toczącą się z prędkością pieszego cysternę, której kierowca, niczego nieświadomy, dodał gazu i odjechał. Reacher widział w lusterku, jak się oddala. Stał w poprzek starej drogi, z przednimi kołami w koleinie prowadzącej na

208

wschód i tylnymi w koleinie prowadzącej na zachód. Musiał rozbujać samochód, wrzucając na zmianę wsteczny i przedni bieg i dodając ostro gazu, żeby się w końcu wyswobodzić.

Za to później jechało mu się jak po sznurku.

•••

W radiowozie przy końcu ulicy dyżurował Kapler. Lepszy od Montgomery'ego, który siedział tam poprzedniego dnia. Przyjrzał się bardzo uważnie Reacherowi i cofnął samochód, żeby go przepuścić. Reacher zaparkował zderzak w zderzak przy drugim radiowozie i wbiegł na werandę. Policjantka z dziennej zmiany wpuściła go do środka.

— Cisza, spokój? — zapytał.

— Na razie — mruknęła.

— Z panią Salter wszystko w porządku?

— W porządku.

— Chciałbym się z nią zobaczyć — oświadczył tak samo, jak zrobił to dzień wcześniej Holland, i tak samo jak on niepotrzebnie. Gdyby coś się wydarzyło, policjantki nie siedziałyby tu tak beczynnie.

— Jest w bibliotece.

Reacher zastał panią Salter w tym samym co zwykle fotelu. Tym razem czytała starą książkę bez obwoluty, z tytułem wydrukowanym zbyt małymi literami, by zdołał go z daleka odczytać. Rewolwer nadal trzymała w kieszeni. Rozpoznał jego kształt.

— W aksamitnych rękawiczkach? — zapytała, podnosząc wzrok.

— Lateksowych. Nie tak eleganckich jak aksamitne. Ale nie ma się co skarżyć.

— Dowiedział się pan czegoś?

— Wielu rzeczy.

•••

Po przyjeździe do komisariatu odnalazł Petersona w sali odpraw.

209

— Holland miał rację — powiedział. — W ogóle się tu nie wybierali. Blefowali. Albo ktoś blefował w ich imieniu. Być może nawet sam zabójca, próbując zyskać na czasie i skierować was w złą stronę.

— Ktokolwiek to był, nie udało mu się. A teraz ich wszystkich zgarniemy.

— W takim razie lepiej się pospieszcie. Mają zamiar się stamtąd wynieść.

— Tak ci powiedzieli?

— Pomyśl o tym telefonie z DEA. Sprzedawałeś kiedyś dom?

— Raz.

— Wysprzątałeś go, prawda? Postarałeś się, żeby naprawdę dobrze wyglądał?

— Odmalowałem siding.

— Motocykliści odśnieżyli cały obóz. Wszystko aż lśni. Załadowali swoje rzeczy w kartony. Zużyli wszystkie zapasy żywności. Ten, do kogo należy to miejsce, sprzedaje je.

— Kiedy wyjeżdżają?

— Wkrótce.

— Sprawiali ci jakieś problemy?

— Niespecjalnie.

— Uwierzyli, że jesteś z armii?

— Ani przez chwilę. Ale kazano im się grzecznie zachowywać. To miejsce nie może być przedmiotem żadnych kontrowersji. Właściciel terenu nie chce narazić na szwank transakcji, więc zbytnio mi nie dokuczali.

— Ten teren nie ma prywatnego właściciela. Należy do państwa.

— Ktoś czerpie z niego zyski, dlatego uważa, że jest właścicielem. Motocykliści po prostu dla niego pracują. Są pszczołami robotnicami. A teraz dostali rozkaz wymarszu. Będą realizowali kolejny projekt.

— Zatrudnia ich Meksykanin Platon — powiedział Peterson.

— Obojętnie kto.

210

— Znalazłeś laboratorium?

— Chciałbym zobaczyć produkt, który zgarnęliście na parkingu przed restauracją.

— Po co?

— Bo tak pracuje mój umysł. Wszystko po kolei.

Peterson wzruszył ramionami i zaprowadził go korytarzem

do magazynu dowodów rzeczowych. Za biurkiem przy drzwiach nikt nie siedział. Peterson obszedł je, wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi.

— Zaczekaj tutaj — rzucił i mniej więcej po dziesięciu sekundach wrócił z przezroczystą plastikową torbą na dowody. Była duża. Na przypiętym do niej formularzu wypożyczeń były cztery daty i podpisy, a w środku opisana przez Janet Salter paczka. Twardy i gładki blok białego proszku owinięty w woskowany papier z odbitym z szablonu obrazkiem korony: opaska na głowę, trzy szpice, trzy kule symbolizujące klejnoty.

— Przebadaliście to? — zapytał Reacher.

— Oczywiście. To metamfetamina. Nie ma co do tego wątpliwości. Trochę mniej niż kilo, bardzo wysokiej, prawie laboratoryjnej jakości. Dobry towar, jeśli pociągają cię tego rodzaju rzeczy.

— Tylko ten jeden kawałek jest wart dwieście patoli.

— Milion na ulicach Chicago, jeśli go poporcjują i puszcza w detal.

— Kojarzy się wam z czymś ten obrazek?

— Nie. Zawsze umieszczają na towarze jakieś logo. To jest rynek, na którym liczy się marka.

- Macie tu również pieniądze, które zapłacił ten facet z Chicago?
- Oczywiście.
- Mogę je zobaczyć?
- Nie wierzysz mi?
- Lubię po prostu oglądać tego rodzaju rzeczy.

Peterson wszedł więc z powrotem do magazynu i wrócił z kolejną torbą na dowody. Tych samych rozmiarów. Z takim
211

samym przypiętym formularzem. W środku pełno było opasanych banderolami paczek z banknotami.

- W porządku? — zapytał Peterson.
- Ile musiałbyś pracować, żeby tyle zarobić?
- Po opodatkowaniu? Nie chcę o tym myśleć.
- Czy narkotyki rzeczywiście zapakowane są w woskowany papier?
- Nie, to jakiś celofan albo papier silikonowany. Pożółkł, bo jest ze starych zapasów. Ale nadaje się jak najbardziej do pakowania farmaceutyków. Produkcja na wysokim poziomie.
- Dobrze.
- Więc jak? Znalazłeś ich laboratorium?
- Nie.
- Widziałeś ten murowany budynek?
- Tylko z zewnątrz.
- Wiesz, czym jest?
- Nie, ale wiem, czym nie jest.

•••

Reacher wrócił do sali odpraw i do biurka w rogu. Podniósł słuchawkę, wcisnął dziewiątkę, żeby wyjść na miasto, i wybrał numer.

- Tak?
- Proszę z Amandą.

Kliknięcie. Terkot. I głos. Wydawał się zmęczony. Lekko sfrustrowany.

- Mogłabym być teraz w Afganistanie. Właściwie, jeśli nie przestaniesz do mnie wydzwaniać, mogę poprosić o przeniesienie.
- Jedzenie może być lepsze. Nic nie pobije koźlich oczu w jogurcie — odparł Reacher.
- Byłeś tam kiedyś?
- Nie, ale znałem kogoś, kto był.
- Nie mam dla ciebie żadnych informacji.

212

- Wiem. Nie mogłaś odnaleźć pieniędzy, które trafiły do Departamentu Wojsk Lądowych.
- Próbowałam i nie udało mi się.
- Nie udało ci się, ponieważ te pieniądze nigdy tam nie dotarły.
- Dlaczego nie?
- Śmiecie na wejściu, śmiecie na wyjściu.
- Co to znaczy?
- Wyszliśmy z fałszywego założenia. Powiedzieli mi, że to baza wojsk lądowych. Mały budynek z długą na dwie mile drogą. Pojechałem tam. To nie droga. To pas startowy. Ten obiekt nie należał do wojsk lądowych, ale do sił powietrznych.

24

- To trochę zmienia sytuację — stwierdziła kobieta z Wirginii.
- Krąży tu również plotka o twarzach do przeszczepów — dodał Reacher.

— Tak, widziałam notatkę na ten temat. Do Pentagonu dzwonili najwyraźniej ludzie z Dakoty Południowej. Z władz okręgu i stanu. Ale to bajki. Kliniki z plastikowymi twarzami były zawsze bliżej obszarów miejskich. Po co umieszczać je na odludziu?

— Po co w ogóle przeszczepiać twarze? Dlaczego ktoś miałby się przejmować wyglądem, skoro wszyscy będą tak samo poparzeni?

Amanda nie odpowiedziała.

— Znasz kogoś w siłach powietrznych? — zapytał Reacher.

— Nie na tyle, żeby zwierzył mi się ze swoich sekretów.

— Może to żaden sekret? Może to rutynowa sprawa. Jeśli chodzi o hipotezy, znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

— Dobrze, wykonam parę telefonów. Ale najpierw muszę się zdrzemnąć.

— Zdrzemiesz się po śmierci. To pilne. Pas startowy jest odśnieżony. Na długości całych dwóch mil. Nikt nie robi tego dla jaj. Ktoś się tu wkrótce pojawi. I widziałem cysternę

z paliwem. Być może na lot powrotny. Ktoś planuje chyba jakąś dużą akcję.

W słuchawce na chwilę zapadło milczenie.

— Coś jeszcze?

— Jesteś mężatką? — zapytał.

— A ty jesteś żonaty?

— Nie.

— Byłeś kiedykolwiek?

— Nie.

— Dlaczego mnie to nie dziwi? — westchnęła Amanda i się rozłączyła.

Za pięć dziesiąta.

Jeszcze osiemnaście godzin.

•••

Peterson siedział dwa biurka dalej i on też skończył właśnie rozmawiać przez telefon.

— DEA odpuszcza. Ich facet nie jest zainteresowany.

— Dlaczego nie? — zapytał Reacher.

— Twierdzi, że nie ma tam laboratorium.

— Skąd wie?

— Mają satelity i kamery termiczne. Sprawdzili dane i nie odkryli żadnego źródła ciepła.

Z tego względu to dla nich wyłącznie transakcja sprzedaży nieruchomości. Chyba że okaże się inaczej.

— Laboratorium jest pod ziemią.

— DEA twierdzi, że nie. Ich kamery mogą zajrzeć do podziemi. Mówią, że nic tam nie ma.

— Mylą się — odparł Reacher.

— Nie widziałeś laboratorium.

— Skoro mają metamfetaminę, muszą mieć laboratorium.

— Nie mamy stuprocentowej pewności, czy w ogóle coś tam jest pod ziemią.

— Mamy pewność. Nikt nie buduje bez powodu dwumilo-wego pasa startowego. Jest na tyle długi, że wylądować tam

215

każdy samolot. Każdy rodzaj bombowca, każdy rodzaj samolotu transportowego. A nikt nie będzie wysyłał bombowca ani samolotu transportowego do budynku, który jest mniejszy od domu jednorodzinnego. Miałeś rację. Ta budowla to szczyt klatki schodowej. Z czego wynika, że coś pod nią jest. Coś bardzo dużego i głęboko położonego.

— Ale co dokładnie?

— Dowiesz się, kiedy tylko ja będę wiedział — odparł

Reacher, wskazując telefon.

•••

Pół godziny później zadzwoniono do Petersona z informacją, że otwarto autostradę. Radar pokazywał, iż z zachodu napływa wyłącznie superzimne powietrze. Wszędzie na terenie stanu pługi śnieżne i solarki skończyły pracę, drogówka naradziła się z wydziałem komunikacji i ruch został wznowiony. A potem zadzwonił Jay Knox, żeby powiedzieć, że zastępczy autobus jest trzy godziny jazdy od Bolton. W związku z tym Peterson złapał za telefon i zarządził zbiórkę pasażerów w holu komisariatu o czternastej. Całej dwudziestki. Panie ze złamaniami mogą podróżować. Wyjeżdżająca o czternastej grupa powinna dotrzeć do Mount Rushmore z niespełna dwudniowym opóźnieniem. Nie najgorzej, jak na zimę w Dakocie Południowej.

- Jedziesz z nimi? — zapytał, spoglądając na Reachera.
- Zapłaciłem za przejazd.
- To znaczy, że jedziesz?
- Nie potrafię długo usiedzieć w miejscu.
- Tak czy nie?
- To pewnie zależy od tego, co wydarzy się przed czternastą.

Przed czternastą Janet Salter postanowiła wybrać się na spacer.

216

Peterson odebrał telefon od jednej z dyżurujących w domu policjantek. Pani Salter zaczyna świrować. Ma klaustrofobię. Czuje się uwięziona. Przywykła do spacerów do sklepu, do apteki, do restauracji, czasami po prostu dla przyjemności. Tymczasem od prawie tygodnia jest więźniem we własnym domu. Traktowała poważnie swoje obywatelskie obowiązki, ale obowiązkom towarzyszą prawa, a jednym z nich jest przysługujące każdemu wolnemu człowiekowi prawo do wyjścia z domu.

- Zwariowała — mruknął Reacher. — Na dworze jest siarczysty mróz.
- Jest miejscowa — przypomniał Peterson. — To dla niej betka.
- Musi być ze trzydzieści stopni poniżej zera.

Peterson się uśmiechnął — stary bywalec w obecności laika.

— Najniższą odnotowaną tu kiedykolwiek temperaturę mieliśmy w lutym tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Minus pięćdziesiąt stopni — powiedział. — A niespełna pięć miesięcy później, w lipcu, mieliśmy najgorętszy dzień w historii. Dokładnie czterdzieści dziewięć stopni.

- Tak czy owak, pani Salter zwariowała.
- Chcesz spróbować jej to wyperswadować?

Reacher spróbował. Pojechał do niej razem z Petersonem. Janet Salter siedziała w kuchni z dwiema policjantkami. Na blacie pyrkotał ekspres. Reacher poczuł zapach świeżej kawy i gorącego aluminium. Pani Salter nalała mu kawę do kubka.

- Panie mówią, że poinformował pan Petersona, iż motocykliści szykują się do odjazdu — zagadnęła.

Reacher pokiwał głową.

- Takie odniosłem wrażenie.
- Dlatego nie będzie mi chyba nic groziło, jeśli wybiorę się na spacer.
- Facet ze spluwą nie jest motocyklistą. Nigdy nim nie był.
- Kimkolwiek jest, nie czeka na dworze. Sam pan to powiedział wczoraj w nocy. Jest za zimno.

217

- Za zimno jest także na spacer.
- Nonsens. Jeśli będziemy szli szybkim krokiem, na pewno będzie przyjemnie.
- Będziemy?
- Mam nadzieję, że zechce mi pan towarzyszyć.

Za pięć jedenasta.

Jeszcze siedemnaście godzin.

•••

Peterson opracował plan, który w wielu punktach przypominał to, co robi Secret Service przed każdym spacerem prezydenta. Wysłał trzy radiowozy na południowe, wschodnie i zachodnie obrzeża miasta i kazał im być w pogotowiu, żeby w razie potrzeby zorganizować blokady. On sam z dwiema policjantkami z dziennej zmiany miał patrolować teren pieszo, osłaniając panią Salter z odpowiedniej taktycznej odległości. Reacher miał jej towarzyszyć i zawsze znajdować się między nią i jakimkolwiek przejeżdżającym samochodem, tworząc coś w rodzaju ludzkiej tarczy, choć Peterson nie ujął tego w ten sposób.

Wszyscy włożyli wszystko, co mieli, i wyszli na dwór. Wiał wiatr z zachodu. Z Wyoming. Był lodowaty. Reacher odwiedził kiedyś w zimie Wyoming i przeżył. Zakarbował sobie w pamięci, by nigdy już nie podejmować takiego ryzyka. Peterson szedł przodem. Jedna z policjantek z dziennej zmiany zamykała pochód, druga kroczyła przeciwległym chodnikiem. Reacher dotrzymywał kroku Janet Salter, która owinęła szalikiem dolną połowę twarzy. Reacher nie miał szalika. Dopóki wiatr wiał mu w plecy, było to do zaakceptowania, jednak kiedy skręcili i skierowali się na północ, w stronę miasta, zeszywniały mu policzki i podbródek, a do oczu napłynęły łzy. Naciągnął głębiej kaptur, starając się w miarę możliwości osłaniać twarz. Czuł, że powinien rozglądać się na boki. Chodnik był nierówny i pokryty zmarzniętym śniegiem. Trudno było po nim stąpać.

— O czym pan myśli? — zapytała go Janet Salter.

218

Jej głos był stłumiony, dosłownie. Padające z jej ust grube, miękkie słowa szybko zamarzały i porywał je wiatr.

— Myślę o lutym tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku — odparł Reacher. — Minus pięćdziesiąt stopni, szczyt Wielkiego Kryzysu, burze pyłowe, susze, śnieżyce. Dlaczego, do diabła, nie przenieśliście się wszyscy do Kalifornii?

— Sporo ludzi to zrobiło. Inni nie mieli wyboru, musieli zostać. A poza tym w tamtym roku było ciepłe lato.

— Peterson mi powiedział. Różnica temperatur wyniosła dziewięćdziesiąt dziewięć stopni.

— Opowiedział panu o chinooku?

— Nie.

— Chinook to gorący wiatr wiejący z Black Hills. Pewnego dnia w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku było minus dwadzieścia stopni, a dosłownie dwie minuty później plus siedem. W sto dwadzieścia sekund temperatura skoczyła dwadzieścia siedem stopni w górę. To najbardziej dramatyczna zmiana odnotowana kiedykolwiek w Ameryce. Wskutek skoku termicznego popękały szyby we wszystkich oknach.

— To było w czasie wojny — powiedział Reacher.

— Właśnie wtedy odwrócił się jej los — stwierdziła Janet Salter. — Tego samego dnia daleko stąd Niemcy stracili kontrolę nad lotniskami w Stalingradzie. To był dla nich początek końca. Może wiatr wiedział?

Brnęli dalej. Peterson szedł w sporej odległości z przodu, jedna z policjantek została sporo z tyłu, druga szła dokładnie naprzeciwko nich drugą stroną ulicy. Mijali właśnie parking przy restauracji. Kręciło się tam dużo ludzi. Większość była nieodpowiednio ubrana i wszyscy mieli nietęgę miny.

— To ludzie, którzy przyjechali na widzenie — wyjaśniła Janet Salter. — W całym stanie chyba tylko Mount Rushmore ma więcej odwiedzających.

Reacher przypomniał sobie o zastępczym autobusie z Min-neapolis, który ma opuścić miasto o czternastej. Monumentalne

rzeźby nie budziły jego zainteresowania, ale wiedział, że z Mount Rushmore prowadzi droga na południe. A na południu jest Nebraska, a dalej Kansas, Oklahoma i Teksas, gdzie jest ciepło. W Kansas można też skręcić w lewo, przeciąć Missouri, południowy koniuszek Illinois, Kentucky i wylądować w Wirginii.

— Myśli pan o niej, prawda? — zapytała Janet Salter.

— Nie — mruknął Reacher.

Odwrócił się w lewo i prawo i rozejrzał. Przed sobą widział ludzi — od dłuższego czasu nie oglądał aż tylu. I tylu samochodów. Posapując, wlokły się zamarzniętymi ulicami. Wielkie tafle lodu skrzypiały i łamały się pod ich ciężarem. Każdy z pojazdów mógł stanowić zagrożenie, jednak wszystkie wskutek pogody musiały znacznie zwolnić. I były wśród nich samochody policyjne. Co dziesiąty lub co dwunasty pojazd był radiowozem patrolującym powoli i ostrożnie wybrane losowo ulice.

— Dokąd idziemy? — zapytał Reacher.

— Dokąd chciałby pan pójść? — odparła Janet Salter.

— To pani wycieczka.

— Bolton jest stosunkowo nudnym miastem. Nie mamy tu ekscytujących miejsc.

— Moglibyśmy wybrać się na lunch.

— Za wcześnie.

— To może na brunch?

— Brunch jest połączeniem śniadania i lunchu, a ja jadłam już śniadanie. Z tego względu dzisiaj brunch odpada.

— To może na kawę?

— Wszędzie jest pełno ludzi. W dni odwiedzin jest tłok. Nigdzie nie znajdziemy stolika na pięć osób.

— W takim razie wracajmy.

— Tak szybko?

Reacher nie odpowiedział. Przez chwilę mogło się wydawać, że pani Salter będzie szła dalej, być może nigdy się nie zatrzyma, lecz ona stanęła i pokiwała głową. Reacher próbował

220
gwizdnąć na Petersona, ale miał zbyt zmarznięte i popękane wargi, by wydobył się z nich jakiś dźwięk. Stojąc ramię w ramię, zaczekali zatem, aż Peterson się odwróci, żeby skontrolować sytuację. Reacher pomachał mu, wszyscy zrobili w tył zwrot i niewielki pochód ruszył z powrotem, tym razem z policjantką na czele i Petersonem zabezpieczającym tyły. Za pięć minut południe.

Zostało szesnaście godzin.

•••

Tysiąc siedemset mil na południe była pora lunchu. Platon nie zjadł go drugi dzień z rzędu. I po raz drugi z rzędu złamał zasadę, której przestrzegał przez całe życie: zadzwonił do swojego człowieka w Dakocie Południowej. A jego człowiek odebrał. Co porządnie wkurzyło Platona, ponieważ oznaczało, że jego człowiek ma włączony telefon i w tym momencie nie zajmuje się zabijaniem cholernego świadka.

— Nie było jej w domu — wyjaśnił.

— Znajdź ją — warknął Platon.

•••

Zmiana kierunku marszu oznaczała, że zachodni wiatr owiewał teraz drugi policzek Reachera, co jeśli chodzi o komfort, wychodziło na jedno. Poza tym powrót do domu w porównaniu z drogą w tamtą stronę był jednocześnie lepszy i gorszy. Lepszy, ponieważ oddalali się od gęściej zaludnionych rejonów, a mniej ludzi oznacza mniej zagrożeń. Gorszy, ponieważ wszelkie zagrożenia znajdowały się teraz za plecami Reachera. Nie było mu łatwo obejrzeć

się przez ramię. Jego tors poruszał się wewnątrz wielkiej kurtki. Zerkając do tyłu, spoglądał po prostu w głąb kaptura. Musiał więc polegać na czujności idącego z tyłu Petersona. Każdy krok do przodu wydawał mu się kolejnym małym zwycięstwem.

— Przepraszam — powiedziała Janet Salter.

— Za co?

221

— Byłam nierozsądna. Naraziłam was wszystkich na kłopoty.

— Wszystko to są rutynowe czynności. Nie ma powodu, żeby od czasu do czasu nie wyszła pani na spacer.

Człapali dalej, co jakiś czas ślizgając się, potykając i idąc gęsiego tam, gdzie szlak dla pieszych zwężał się przy przeszkodach. Od strony jezdni Reacher miał wysoką stertę odgarniętego śniegu, w związku z czym musiał stawiać lewą stopę na pochyłości.

Przypominało to utykanie. Obserwował nadjeżdżające pojazdy. Nie było ich zbyt wiele. Kilka pick-upów, kilka starszych modeli terenówek, kilka oblepionych solą samochodów osobowych. Nic, co mogłoby stanowić powód do obaw. W pewnym momencie podjechał radiowozem Lowell, zwolnił zaskoczony i pomachał im. Janet Salter też mu pomachała i Lowell dodał gazu. Przez kilka chwil ulica była pusta, a potem pojawił się duży ciemny sedan jadący na północ w ich stronę. Ford crown victoria. Granatowy. W jasnym świetle dnia kolor i marka były łatwe do rozpoznania. Samochód komendanta Hollanda. Który zatrzymał się na przeciwległym pasie i opuścił szybę. Ignorując Reachera, przyjrzał się Janet Salter i na jego twarzy odmalowało się coś w rodzaju troski. Pani Salter zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

— Wyszłam na spacer — powiedziała. — Po prostu. Nie ma się czym przejmować. Pan Peterson znakomicie się spisuje.

— Wraca już pani do domu? — zapytał Holland.

— Jesteśmy w drodze.

— Może panią podwieźć?

— Dziękuję, ale wolę się przejść. Głównym celem całej tej imprezy jest zaczerpnięcie świeżego powietrza i rozprostowanie kości.

— Dobrze.

— Ale może pan wpaść do nas na kawę, jeśli ma pan ochotę.

— Dobrze — powtórzył Holland.

Zerknął w oba tylne lusterka i zawrócił na całej szerokości ulicy. Zamarznięte koleiny kruszyły się pod jego kołami.

222

Znalazłszy się na pasie prowadzącym na południe, nie popędził do przodu, ale zwolnił do prędkości pieszego i jechał równo z nimi tak, że siedząc z lewej strony za kierownicą był w jednej linii z pustym fotelem pasażera, stertą odgarniętego śniegu, Reacherem i na koniec z Janet Salter. Na przednich kołach miał chrzęszczące i skrzypiące zimowe opony, na tylnych łańcuchy, których każde ogniwo, układając się na śniegu, wydawało własny wyraźny dźwięk. Żeby ostrzec jadących za nim kierowców, włączył migające światła, które miał umieszczone na tylnej półce i z przodu, za kratką chłodnicy. Reacher uznał, że powinny spełnić swoje zadanie. Z większej odległości nieoznakowany ford crown victoria wyglądał jak prawdziwy radiowóz.

— To śmieszne — mruknęła Janet Salter.

— Facet robi po prostu, co do niego należy — odparł Reacher.

— Nie lubię zwracać na siebie uwagi.

— Jest pani dla niego ważna.

— Tylko dlatego, że może mnie wykorzystać.

— Jest pani wybitną obywatelką. Osobą o którą troszczy się szef policji.

— Jedynymi wybitnymi obywatelami w tym mieście są więzienni strażnicy. Może mi pan wierzyć. Tak to teraz wygląda.

Szli dalej w asyście toczącego się powoli samochodu. Kiedy po prawej stronie skończyły się budynki, powiał silniejszy, ostrzejszy wiatr. Masy zmrożonego powietrza sunęły nieubłaganie po równinie, nie napotykając na swojej drodze niczego, co wprawiłoby je w wir. Szybujące poziomo igiełki lodu uderzały Reachera w bok kaptura. Mogły tak lecieć setki mil, niewykluczone, że od samych Gór Skalistych.

— Zimno panu? — zapytała Janet Salter.

Reacher uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalała mu skostniała twarz.

— Wiem — odparła. — To betka.

223

Dotarli do domu, ściągnęli warstwy ubrań i zaczęło się bolesne tajanie. Reachera piekły uszy i nos, podbródek szczypał i swędział. Peterson i dwie policjantki musieli się czuć tak samo, ale nie dawali tego po sobie poznać. Wynikało to prawdopodobnie z miejscowej dumy.

Komendant Holland czuł się doskonale. Jechał ogrzewanym samochodem, nienarażony na podmuchy wiatru. Mimo to zaraz po wejściu do holu teatralnie się wzdrygnął. Zdaniem Reachera odczuł ulgę, że wycieczka Janet Salter dobiegła końca i nic jej się nie stało.

Dwie kobiety zajęły ustalone pozycje. Janet Salter parzyła kawę. Reacher, Peterson i Holland obserwowali ją z holu. Nagle zadzwonił telefon. Janet Salter poprosiła, żeby ktoś odebrał.

Zrobił to Peterson. Przez chwilę słuchał i podał słuchawkę Reacherowi.

— Do ciebie — powiedział. — Ta kobieta ze sto dziesiątej jednostki żandarmerii.

Reacher wziął od niego słuchawkę. Peterson i Holland wycofali się do kuchni. Z wrodzonej grzeczności. Reacher przyłożył słuchawkę do ucha.

— Zatelefonowałam do faceta z sił powietrznych — oznajmiła kobieta z Wirginii.

— I co?

— Dochodzimy do prawdy. Powoli, ale nie dlatego, że to tajemnica. Wprost przeciwnie. Baza została porzucona i zapomniana przed wielu laty. Skreślono ją z listy, kiedy pies Pana Boga był jeszcze szczeniakiem. Nikt niczego nie pamięta na jej temat.

— Nie pamiętają nawet, co tam było?

— Wszystkie detale trafiły do archiwów. Mój facet widział na razie raport o tym, jak trudno było to wybudować. Projekt kilkakrotnie zmieniano w trakcie budowy z powodu rodzaju terenu, jaki napotkali. Jakies łupki. Wiesz, co to jest?

— Chyba skalne podłoże. Pewnie twarde, skoro napotkali trudności.

— To by świadczyło o tym, że ryli pod ziemią.

224

— To nie ulega kwestii. Niezłe rezultaty jak na dwie godziny pracy.

— Na jedną godzinę. Najpierw się zdrzemnęłam.

— Jesteś niegrzeczna.

— Kiedy ostatnio sprawdzałam, nie byłeś jeszcze moim szefem.

— Coś jeszcze?

— Mam informacje na temat gliniarza z Florydy o nazwisku Kapler. Urodził się w Miami przed trzydziestoma sześcioma laty, wstąpił do tamtejszej policji i odszedł bez jakiegoś wyraźnego powodu. Nie miał problemów zdrowotnych, nie wpadł w długi. Dowiem się więcej, kiedy przekopię archiwa policji z Miami.

— Można do nich dotrzeć przez Google?

— Nie, korzystam z innych źródeł. Dam ci znać.

— Dzięki — odparł Reacher. — Coś jeszcze?

— Mój facet nabrał wody w usta — usłyszał po chwili.

— Z Fort Hood?

— Nie powiedział ani słowa.

- Gdzie jest w tej chwili?
- W bazie, w areszcie.
- Mieszkał w samej bazie czy poza nią?
- Poza nią.
- Więc albo będzie odpowiadał za zabójstwo na mocy prawa teksaskiego, albo za zdradę na mocy wojskowego kodeksu karnego. Znalazł się między młotem a kowadłem. Tak czy owak, dostanie czapę. Nie ma interesu, żeby puścić farbę.
- Co byś zrobił na moim miejscu?
- Co cię interesuje?
- Organizacje pozarządowe. Z kim rozmawiał, jak i dlaczego?
- Odpowiedź na pytanie „dlaczego?” jest łatwa. Służył pewnie w Iraku lub Afganistanie, dał się nabrać na humanitarną gadkę i zaprzyjaźnił z nieodpowiednimi ludźmi, którzy go

225

omotali. Odpowiedź na pytanie „jak?” brzmi: „przez komórkę, e-mail lub za pośrednictwem zaszyfrowanej strony internetowej”. Zgadzam się, że odpowiedź na pytanie „z kim?” może być bardzo ciekawa.

- Więc jak mam go skłonić, żeby zaczął zeznawać?
- Każ mu zeznawać. Przewyższasz go rangą. Nauczono go wykonywać rozkazy.
- To nie wystarczy. Nigdy nie wystarcza.
- Czy jego rodzice nadal żyją?
- Tak.
- Rodzeństwo?
- Młodszy brat szkoli się w formacji SEALs.
- To dobrze. Właściwie sytuacja jest prawie idealna. Musisz kazać przewieźć swojego faceta na północ, pogadać z nim i zaproponować ugodę.
- Nie mogę tego zrobić.
- Możesz, w kwestii nagłośnienia tego, co zrobił. Powiedz mu, że i tak dostanie czapę, ale może wybrać za co. Przemoc domowa w wykonaniu wracającego ze służby oficera jest na porządku dziennym. Nikt tego nie pochwała, ale ludzie jakby rozumieją. Więc powiedz, że jeśli pójdzie na współpracę, świat nie dowie się o nim niczego więcej. Natomiast jeśli odmówi, ujawnicie fakt, że zdradził. Jego rodzice będą się za niego wstydzić i cierpieć, brat będzie musiał odejść z SEALs, wyprą się go znajomi ze szkoły.
- Myślisz, że to coś da?
- Jedyne, co mu zostało, to nazwisko. Jest z Czwartej Dywizji. Takie sprawy mają tam znaczenie.

226

Bez odpowiedzi.
wiedzieć, co wybudowały tam siły powietrzne. Rozmiary, cel, architektura, to samo co zawsze. Jak najszybciej.

- Coś jeszcze?
- Jesteś mężatką?

Rozłączyła się bez odpowiedzi.

•••

Wszyscy, którzy akurat nie spali i byli obecni w domu, dali się zaprosić na kawę. Janet Salter, Holland, Peterson, Reacher oraz dwie policjantki. Być może zrobili to, żeby się rozgrzać.

Wszyscy byli w połowie pierwszej filiżanki, kiedy zadzwoniła komórka Hollanda. Trzymając kubek w jednej ręce, drugą otworzył klapkę i słuchał przez minutę. Następnie rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

— Dzwonili z drogówki. Motocykliści wyjeżdżają. W tym momencie. Na autostradę wjechało właśnie trzydzieści sześć pick-upów.

Dwunasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało piętnaście godzin.

25

Reacher wrócił do komisariatu z Hollandem i wysłuchał po drodze szczegółów. Wszystkie patrole drogówki wyjechały na autostradę, żeby sprawdzić, czy są jakieś problemy z pogodą. Jeden z policjantów zaparkował na wschodnim poboczu. Obserwując jadące w obu kierunkach samochody, zobaczył kątem oka długi konwój pędzący zaśnieżoną szosą prowadzącą z obozu. Widok był nielichy. Od trzydziestu do czterdziestu jadących jeden za drugim pick-upów, każdy z trzema osobami w siofierce oraz przykrytym brezentem motorem i stertami kartonów na pace. Zwolnili, skręcili, a potem płynnie wjechali na autostradę i popędzili na zachód. Jak pociąg, opowiadał policjant. Jak ekspres Northern Pacific. Konwój mógł mieć ze ćwierć mili długości i dwadzieścia sekund trwało, nim minął dowolny punkt na trasie.

Sierżant dyżurny potwierdził te informacje. Także kolejne patrole drogówki potwierdzały przejazd konwoju, który był teraz dziesięć mil na zachód od Bolton i szybko się przemieszczał. Nie tak szybko jednak, by można było komuś wlepić mandat. Nikt nie przekraczał sześćdziesiątki. Jechali grzecznie i zgodnie z przepisami, w dalszym ciągu się nie wychylając.

228

Skorzystali z gabinetu, w którym wisały zdjęcia z miejsca przestępstwa. Stały tam też cztery zestawione ze sobą biurka i cztery krzesła. Holland i Peterson usiedli obok siebie, Reacher naprzeciwko nich. Za plecami miał zdjęcia ubranego na czarno nieboszczyka.

— I pozwolił im pan tak po prostu odjechać? — zapytał.

— Dlaczego miałbym im nie pozwolić?

— Sprzedawali metamfetaminę.

— To małe miasto — odparł Holland. — A w małych miastach mamy swoje zasady. Jeśli problem przestaje istnieć sam z siebie, to tak, jakbym go rozwiązał.

— Sprawa zamknięta — dodał Peterson.

— Niekoniecznie — stwierdził Reacher.—Posprzątałem i wynieśli się stąd, bo nieruchomość ma zostać sprzedana. Nie może mieć żadnych obciążeń. Janet Salter jest ostatnią skazaną, jaka na niej została. Jest teraz w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek. Przez niąjednaktoś nie może zgarnąć kupy szmalu.

— Meksykanin Platon.

— Nieważne kto.

— Robimy wszystko, co możemy — zapewnił Holland. — Oddelegowałem tam siedmioro funkcjonariuszy i na razie ich nie wycofuję. Poradzimy sobie.

— Chyba że znowu odezwie się syrena.

— Powiedział pan, że do tego nie dojdzie.

— Domysł oparty na rzetelnej podstawie nadal jest tylko domysłem — zauważył Reacher. — Pamiętajcie po prostu, że to moment, w którym powinniście zacząć, a nie przestać się przejmować.

— Jeśli pokpię sprawę, pozwalam panu niniejszym skopać mi tyłek — oświadczył Holland. — Może i mamy swoje problemy, może nie wszystko funkcjonuje u nas jak w wojsku, ale jak na razie nieźle nam idzie. Powinien pan o tym pamiętać.

Reacher pokiwał głową.

— Wiem. Przepraszam. To nie wasza wina. To wina burmistrza. Kto zgodziłby się na taki układ?

229

— Każdy by to zrobił. Tych stanowisk pracy nikt nie przeniesie za ocean. A o to toczy się w tej chwili gra.

W pokoju zapadła na chwilę cisza.

— Wszystkie motele mają komplet gości — zaznaczył Peterson.

— Wiem o tym — mruknął Reacher.

— Więc gdzie nocuje nasz sprawca?

— W samochodzie. Albo w sąsiednim okręgu.

— Gdzie jada?

— Taka sama odpowiedź.

— Czy nie powinniśmy więc ustawić blokad? Do miasta prowadzą tylko trzy drogi.

— Nie — powiedział Holland. — To fałszywa przesłanka. Będziemy ustawiali blokady, a on może już być po drugiej stronie. Musimy pozostać mobilni — dodał, po czym umilkł, jakby sprawdzał w myślach, czy powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Najwyraźniej doszedł do wniosku, że tak, ponieważ nagle wstał i wyszedł bez słowa z pokoju. Reacher usłyszał stukanie jego obcasów o linoleum, a potem trzaśnięcie drzwi.

Najprawdopodobniej jego gabinetu. Robota do zrobienia.

— Powinniśmy zjeść lunch — odezwał się Peterson. — Mógłbyś wrócić do mnie do domu. Dotrzymać towarzystwa Kim. Na pewno by się ucieszyła.

— Bo jest samotna?

— Tak.

— W takim razie ty i ja nie powinniśmy być jedynymi istotami ludzkimi, które widzi przez cały dzień. Pojedź po nią i zjemy wszyscy troje lunch na mieście.

— Ciężko zdobyć stolik.

— Poczekam w kolejce, kiedy ty będziesz w drodze.

— Gdzie?

— W kafejce, w której znalazłeś mnie wczoraj. Po drugiej stronie placu.

— Ale... — zaczął Peterson, lecz się rozmyślił.

230

— Wiem — mruknął Reacher. — Widać stamtąd komisariat.

Zobaczę, kiedy autobus będzie gotowy do odjazdu.

•••

Droga przez plac do kafejki była krótka, ale szło się pod wiatr. Ukłucia igiełek lodu bolały przez kilka pierwszych chwil, a potem Reacherowi stężała twarz i przestał odczuwać cokolwiek. Kolejka do stolików wychodziła na zewnątrz. Reacher stanął za kobietą i dzieckiem owiniętym w kołdry wzięte prawdopodobnie z ich motelowych łóżek. Facet popełnia federalne przestępstwo na Florydzie albo w Arizonie, ląduje w więzieniu w Dakocie Południowej i rodzina musi do niego jeździć. Przynajmniej przez pierwszy rok albo dwa. Potem już nie. Dużo do stracenia.

Kolejka przesuwawała się powoli, ale miarowo. Reacher stanął przy zaparowanym oknie. Wewnątrz widział przesuwające się postacie. Dwie kelnerki. Na stałej pensji, chyba w niewielkim stopniu uzupełnianej napiwkami. Rodziny więźniów nie mają dużo forsy. Gdyby miały, nie byłyby rodzinami więźniów. W najgorszym razie ich facet garowałby w zakładzie o lekkim reżimie, rzeźbiąc przez rok w drewnie albo czytając książki.

Matka i dziecko wcisnęły się ze swoimi kołdrami przez drzwi. Reacher przywarł do ściany, schował się przed wiatrem i czekał na swoją kolej na chodniku. A potem z kafejki wyszła kobieta z trójką dzieci i wskoczył do środka. Zaczekał przy kasie i kiedy kelnerka na niego spojrzała, wymówił bezgłośnie słowa „trzy osoby” i podniósł trzy palce. Kelnerka kiwnęła

głową, przetarła szmatką blat stołu i dała mu znak, żeby podszedł. Reacher powiesił kurtkę na oparciu krzesła i zdjął rękawice oraz czapkę. Siadając, zobaczył przez zaparowaną szybę czarną plamę podjeżdżającego do krawężnika samochodu Petersona. Policjant wysiadł i przeciął chodnik. Nie przywiózł żony. Podszedł do czoła kolejki i wszedł do środka. Nikt nie protestował. Był w mundurze.

231

Reacher nie wstał, kiedy Peterson zdjął kurtkę i usiadł. Niezręczne milczenie przerwała dopiero kelnerka, która pojawiła się z bloczkiem zamówień w ręku. Nie był to lokal, w którym można przez kilka minut studiować menu. Peterson zamówił hamburgera, a Reacher poprosił o grillowany ser i kawę. Reacher siedział twarzą do okna. Peterson odwrócił się, spojrzał na szybę i uśmiechnął się zadowolony.

— Wiem — mruknął Reacher. — Jest cała zaparowana. Ale autobus to całkiem duża rzecz, na pewno go zobaczę.

— Nie wyjedziesz stąd.

— Nie podjąłem jeszcze decyzji.

— Kim nie chciała przyjechać. Nie lubi samotności i nie lubi tłumu.

— Tłumu w ogóle czy akurat tego tłumu?

— Jednego i drugiego.

Siedzieli we dwóch przy stoliku dla czterech osób, ale nikt nie chciał się do nich przysiąść. Ludzie podchodzili, zerkali, czasami robili pół kroku, a potem zatrzymywali się i odwracali wzrok. Świat dzieli się na tych, którzy lubią, i na tych, którzy nie lubią policjantów. Z wojskowymi jest dokładnie tak samo. Reacher często jadał przy pustych stolikach.

— Co byś zrobił na moim miejscu? — zapytał Peterson.

— Z czym?

— Z miejscową policją.

— Nie ty nią dowodzisz.

— Jestem następny w kolejności.

— Zacząbym od porządnego szkolenia. Renegocjowałbym umowę z więzieniem. Ich plan kryzysowy jest zupełnie bez sensu.

— Wczoraj w nocy sprawdził się całkiem dobrze z wyjątkiem sytuacji z panią Salter.

— W tym rzecz. To tak, jakbyś powiedział, że sprawdził się całkiem dobrze, tyle że się nie sprawdził. Musicie przewidywać różne sytuacje.

— Marny ze mnie polityk.

232

— Powiedz przynajmniej, że w umowie przewidziano oceny okresowe.

— Owszem. Ale oni powiedzą, że rzadko kiedy potrzebowali naszej pomocy. I jeśli przeżyjemy jakoś ten miesiąc z panią Salter, nie będziemy mieli żadnych kontrargumentów. Na tym skończyła się ich rozmowa. Peterson umilkł, a Reacher nie miał nic więcej do powiedzenia. Bez Kim pomysł z lunchem okazał się kląpą. Ale jedzenie było w porządku, a kawa świeża. Przy takiej liczbie klientów nie mogło być inaczej. Za ladą stały trzy termosy i wszystkie były bez przerwy napełniane i opróżniane. Grzanka była dobrze wypieczona, a Reacher spragniony kalorii. Miał wrażenie, że wrzuca węgiel do pieca. Marznięcie to najlepszy rodzaj diety. Zrozumiał, dlaczego wszyscy tubylcy wyglądają w zasadzie tak samo: szczupli i jasnowłosi. Jasnowłosi z powodu genów, szczupli, ponieważ przez pół roku odmrażają sobie tyłki.

Najpierw Reacher, a potem Peterson skończyli jeść i natychmiast poczuli ponagląjące spojrzenia ludzi czekających na stoliki. Reacher zapłacił więc, zostawiając spory napiwek, na który kelnerka zareagowała znużonym uśmiechem. A potem on i Peterson wyszli na dwór i zobaczyli wjeżdżający na parking przed komisariatem żółty autobus.

Trzynasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało czternaście godzin.

•••

Autobus był takiej samej wielkości, kształtu i klasy jak pojazd, który wpadł do rowu dwa dni wcześniej. Miał takie same udogodnienia. Zaciemnione szyby z tyłu, gdzie była łazienka. Taką samą liczbę miejsc. Takie same drzwi, które znajdowały się po przeciwnej stronie niż komisariat, ponieważ wjechał na parking od północy. Reacher razem z Petersonem stanęli na placyku, odwrócenii plecami do wiatru, i patrzyli, jak opatuleni starszuskowie wychodzą gęsiego na dwór i okrążają autobus. Trwały serdeczne pożegnania z miejscowymi: uściski

233

dłoni, objęcia, wymiana telefonów i adresów. Starszuszka ze złamanym obojczykiem szła w płaszczu z jednym pustym rękawem. Starszuszka z gipsem na nadgarstku trzymała się za rękę, a ktoś inny niósł jej torbę. Większość pozostałych miała już pozdejmowane plastry. Ich skaleczenia się zagoiły. Nowy kierowca kuczał przy luku bagażowym i ustawiał walizki. Starszuskowie omijali go, łapali się ostrożnie poręczy i wspinali powoli po schodkach. Reacher widział ich przez okna: białe waciane głowy przesuwające się wzdłuż przejścia, zatrzymujące się, wybierające miejsca, siadające.

Ostami do autobusu wsiadł Jay Knox, do niedawna kierowca, teraz zwykły pasażer. Przeszedł na tył i usiadł trzy rzędy za ostatnim z emerytów. Na miejscu Reachera. Blisko tylnej osi, gdzie najmocniej czuć wyboje. Nie ma sensu podróżować, jeśli się ich nie czuje. Nowy kierowca zamknął luk bagażowy i wskoczył do środka. Sekundę później z sykiem zamknęły się za nim drzwi. Zawarczał silnik. Reacher usłyszał twardy grzechot diesla, syk spuszcanych hamulców i szczęk skrzyni biegów. Silnik zaryczał i autobus ruszył z miejsca, po czym wyjechał z parkingu na ulicę, kierując się na południe, w stronę autostrady. Reacher patrzył za nim do chwili, aż zniknął mu z oczu.

Peterson poklepał go po ramieniu.

— Dogodny środek transportu wyjechał właśnie beze mnie z miasta — westchnął Reacher. — Złamałem jedną z życiowych zasad.

•••

Platon po raz kolejny zatelefonował do swojego człowieka. Bezpośrednio. Było to ryzykowne, ale Platon miał analityczny umysł i wiedział, że trzeba czasami porzucić ostrożność. Wiedział, że nie można pokonać chronologii. Wiedział, że trzeba utrafić w odpowiedni moment. Zegar tyka bez względu na to, kim się jest. Nawet jeśli jest się Platonem.

Jego człowiek odebrał.

234

— Masz dla mnie wiadomość? — zapytał Platon.

— Jeszcze nie. Przykro mi.

— Można odnieść wrażenie — stwierdził po krótkiej chwili Platon — że łatwiej byłoby po prostu to zrobić, niż szukać pretekstów, żeby opóźnić wykonanie zadania.

— Nie o to chodzi.

— Można odnieść wrażenie, że bardzo się starasz, żeby ocalić niewłaściwe życie.

— Nie staram się.

— Skup się na życiu, które naprawdę chcesz ocalić.

— Skupię się. Jestem skupiony.

— Masz nieprzekraczalny termin. Nie zawieź mnie, proszę.

•••

Reacher wrócił do komisariatu piechotą, Peterson samochodem. Spotkali się w pustym holu i stali tam przez sekundę. Nie mieli nic do roboty i obaj o tym wiedzieli. Nagle zobaczyli Hollanda, który wyszedł ze swojego gabinetu.

— Powinniśmy pojechać do obozu — powiedział. — Żeby się rozejrzeć teraz, kiedy jest pusty. Jeszcze za dnia.

26

Pojechali samochodem Hollanda, który bardziej niż radiowóz Petersona nadawał się dla trzech osób, bo nie miał kratki między przednimi i tylnymi siedzeniami. Reacher rozsiadł się wygodnie z tyłu i oglądał ulice, którymi jechał tego ranka. Warunki na drogach nadal były złe. Wiał silny wiatr. Zmarznięty śnieg był tak twardy, że wydawał się częścią ziemi. Pod bladym słońcem było oślepiająco biało. Jak w epoce lodowcowej.

Skręcili w starą szosę równoległą do autostrady, a potem w krętą drogę prowadzącą do obozu. Pierwszych osiem mil było tak samo fatalnych jak poprzednio. Lodowe góry i doliny, niewłaściwie wyprofilowane łuki, jeden zakręt za drugim. A potem, podobnie jak wcześniej, horyzont się zmienił. Zobaczyli przed sobą czysty szary beton, niesamowicie szeroki i nieskończenie długi, opływowe kształty zasp owiewane niemal namacalnym wiatrem. Holland zwolnił, wjechał na wyższy poziom, zatrzymał się i przez chwilę nie zdejmował nogi z hamulca, niczym czekający na start pilot samolotu.

— Człowiek widzi to, co chce widzieć, prawda? — powiedział. — Byłem tutaj kilkanaście razy i zawsze myślałem, że to zwykła droga. Trochę dziwna, ale uznałem pewnie, że tak właśnie budują drogi wojskowi.

236

— Kiedyś była węższa — dodał Peterson. — Dlatego trudno było się zorientować. Wiatr naniósł na nią ziemię. Jechało się zawsze samym środkiem. Ci faceci oczyścili ją po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat. Nie tylko ze śniegu, ale i z warstwy ziemi.

— Ktoś odwalił tu nielichy kawał roboty — stwierdził Holland. — To pewne.

— To pewne jak jasna cholera — przytaknął Reacher. — Beton musi mieć jard grubości. Jeśli chodzi o kubaturę, to prawdopodobnie największy wzniesiony przez człowieka obiekt w Dakocie Południowej.

Przyglądali się drodze jeszcze przez minutę, po czym Holland zdjął nogę z hamulca i samochód potoczył się z chrzęstem łańcuchów. Całe dwie mile. W oddali majaczyły brązowe plamy baraków i przykryty czapą śniegu dach stojącego za nimi murowanego budynku. Holland zaparkował mniej więcej w tym samym miejscu co wcześniej Reacher. Sceneria się zmieniła. Nie było ludzi. Nie było ciężarówek. Nie było motocykli. Wyłącznie pusta odśnieżona przestrzeń i porzucone, zapomniane baraki.

Wysiedli z samochodu. Włożyli czapki, rękawice, zapięli się pod szyję. Temperatura nadal spadała. Grubo poniżej zera, a wiatr sprawiał, że wydawała się jeszcze niższa. Reacher czuł zimno przez podeszwy butów. Twarz skostniała mu już po kilku sekundach. Holland i Peterson udawali, że to dla nich normalka, ale Reacher widział, że też nie jest im lekko. Mrugali energicznie i lekko pokasływali, a na ich twarzach pojawiły się czerwone i białe cętki.

Ruszyli wszyscy prosto w stronę murowanego budynku. Robił takie same wrażenie jak rano. Częściowo złowrogie, częściowo po prostu dziwne. Peterson nacisnął klamkę. Nie poruszyła się. Stał świeży szron z dziurki od klucza w podobny sposób, w jaki zrobił to wcześniej Reacher.

— Nie ma tu żadnych zadrapań — stwierdził. — Zamek nie był regularnie używany.

237

— Nie musiał — odpowiedział Reacher. — Otworzyli go rok temu i zamknęli dziś rano.

— Więc gdzie jest klucz?

— Dobre pytanie.

— Zabrali go ze sobą — mruknął Holland.

— Nie sądzę, żeby to zrobili — odparł Reacher.

— Dlaczego nie mieliby go zabrać?

— Ponieważ to miejsce ma zostać sprzedane. Nie sądzicie, że kazano im zostawić klucz nowemu właścicielowi?

— Więc gdzie jest?

— Prawdopodobnie pod wycieraczką.

— Nie ma tu żadnej wycieraczki.

— Więc pod doniczką z kwiatami.

— Jaką doniczką?

— To figura retoryczna — wyjaśnił Reacher. — Ludzie zostawiają klucze w umówionych miejscach.

Wszyscy trzej odwrócili się i omietli wzrokiem wszystko, co było widać. Nie było tego dużo; śnieg, beton, baraki, murowany budynek.

— Jak może wyglądać? — zastanawiał się Peterson. — Jak zwyczajny klucz?

— Jest duży — odparł Reacher. — To drzwi do schronu, więc zamek będzie skomplikowany. Dużo części mechanicznych. Ciężko się obraca. Więc klucz będzie duży i potężny. Pewnie w kształcie litery T, podobnie jak klucz do nakręcania zegarów, zrobiony z jakiegoś wymyślnego stopu. Sam jeden kosztował Pentagon z tysiąc dolców.

— Może zakopali go w śniegu? Mamy w samochodzie wykrywacz metalu.

— Ale Rosjanin z Brooklynu chyba go nie ma. A to znaczy, że nie leży w zaspie. Nie tak powinny się kształtować stosunki między klientami. Nie można wymagać od faceta, żeby przez godzinę rył w śniegu.

— Więc gdzie jest?

Na całym budynku były gzymсы, rzeźbione listwy i gotyckie

238

ozdoby. Te na wysokości wzroku i niżej Reacher uznał za zbyt oczywiste. Obszedł dom, sprawdzając dłońmi każde miejsce do wysokości ośmiu stóp. Niczego tam nie znalazł.

Wszystko, co znajdowało się wyżej, było niedostępne, chyba że Rosjanin przywiózłby ze sobą składaną drabinę.

Reacher stanął i znów się rozejrzał.

— Musi być w jakimś określonym miejscu — stwierdził. — Na przykład pod trzecią rzeczą z lewej strony albo pod czwartą rzeczą z prawej strony.

— Jaką rzeczą? — zapytał Peterson.

— Barakiem, łóżkiem, obojętnie.

— Nie możemy po prostu wyważyć drzwi łyżką do opon?

— To drzwi do schronu. Zaprojektowane tak, by wytrzymały silną falę ciśnieniową.

— Będziemy je ciągnęli do siebie, a nie pchali do środka.

— Za falą ciśnieniową powstaje próżnia. Kompresja, a potem tak samo potężna dekompresja. Tak czy owak, drzwi są mocne.

— Więc lepiej zacznijmy szukać tego klucza — mruknął Peterson.

— Jaka jest twoja szczęśliwa liczba?

— Trójka.

— Więc zacznij od trzeciego materaca w trzecim baraku.

— Licząc od której strony?

Reacher milczał przez chwilę.

— To kolejne dobre pytanie. W pierwszym rzędzie, licząc chyba od lewej. Ale generalnie każdy system liczenia może być uznany za subiektywny. I z tego względu potencjalnie mylący. Jedynym obiektywnym sposobem będzie określenie, co leży najdalej, a co najbliżej.

— Najbliżej i najdalej skąd?

— Stąd. Najbliżej i najdalej zamkniętych drzwi.

— Zakładając, że w ogóle schowali klucz w jakimś baraku.

— Nie ma go w śniegu i nie może być w samym budynku. Co tu mamy poza tym?

Peterson ruszył w stronę najbliższego baraku. Pierwszego
239

w drugim rzędzie, naprzeciwko drugiego w pierwszym rzędzie. Pierwszego, który Reacher sprawdził tego ranka. Drzwi nie były zamknięte. Peterson pchnął je i wszedł do środka. Reacher i Holland podążyli za nim. W oknach nadal wisały płócienne zasłony. Wszystkie ruchomości zniknęły. Na dwunastu żelaznych łózkach zostały tylko pasiaste niebieskie sienniki. Wnętrze baraku było smutne, opuszczone i puste. Ale było w nim ciepło.

Wyłączony naftowy piecyk nadal wydzieliał sporo ciepła. To było coś wspaniałego. Reacher ściągnął rękawice i przysunął do niego ręce. Proste prawa fizyki powodowały, że piecyk musiał przez cały czas stygnąć. Za trzy godziny będzie zaledwie letni, a po kolejnych trzech zimny jak lód, ale w tym momencie grzał, jak się patrzy. Właściwie był zbyt gorący, by można go było dotknąć.

— Idźcie szukać gdzie indziej. Ja tu zostaję — powiedział Reacher.

— Przy odrobinie szczęścia wszędzie będzie tak samo — odparł Peterson.

I było. Wszyscy trzej ruszyli do najdalszego baraku, żeby go sprawdzić, i zastali taką samą sytuację. Puste pomieszczenie, sienniki na łózkach, ciepły piecyk. Zaczęli poważne poszukiwania od tego miejsca. Ciepło sprawiło, że byli cierpliwi i dokładni. Sprawdzili wszystkie sienniki, wszystkie prycze i wszystkie zakamarki. Sprawdzili zbiornik w toalecie. Sprawdzili, czy nie ma obluzowanych listew, opukali ściany i otworzyli wszystkie oprawy lamp.

Niczego nie znaleźli.

Czternasta pięćdziesiąt pięć.

Jeszcze trzynaście godzin.

•••

Następnie przeszukali kuchnię. Reacher uznał, że prawdopodobieństwo znalezienia klucza jest tam bardzo duże. Kuchni nie da się pomylić z niczym innym. Jest tylko jedna.

240

Jeszcze bardziej jednoznaczna niż pierwszy czy ostatni barak. Ale klucza w niej nie było. Na półkach nadal stały słoje z mąką, cukrem i kawą, jednak zostało ich tak mało, że trudno byłoby tam ukryć metalowy przedmiot. Nie schowano go na żadnej z półek, nie był przymocowany taśmą pod stołem, nie leżał niczym prezent niespodzianka w pudełku z płatkami kukurydzianymi, nie tkwił między talerzami.

Po inspekcji kuchni ruszyli z powrotem w stronę murowanego budynku, sprawdzając po kolei wszystkie baraki. Szło im coraz szybciej i lepiej, bo zdążyli nabrać wprawy, a wszystkie baraki były jednakowe. Po pewnym czasie mogliby to robić z opaskami na oczach albo przez sen. Mimo to rezultaty wszędzie były takie same. Negatywne.

W końcu wrócili tam, skąd zaczęli, do baraku, który stał najbliżej murowanego budynku. Nie mieli ochoty go przeszukiwać. Zdawali sobie sprawę, że może ich spotkać kolejne rozczarowanie i że będzie w tym coś nieodwracalnego.

Reacher zatrzymał się przy piecyku, a potem podszedł do ostatniego łóżka po prawej stronie.

— Dziś rano siedziała tu dziewczyna — przypomniał sobie.

Holland stanął obok niego.

— Jaka dziewczyna? — zapytał.

— Jedna z motocyklistek. Miała dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Była jedyną osobą, którą zobaczyłem w środku. Cała reszta pracowała przy odśnieżaniu.

— Była chora?

— Sprawiała wrażenie zdrowej.

— Zamknęli ją tu?

— Nie, drzwi były otwarte.

- Może pilnowała klucza? Może należało to do jej obowiązków?
- Może. Ale gdzie go zostawiła?
- Jak wyglądała?
- Wysoka, chuda, jasnowłosa. Jak wy wszyscy.

241

- Myśli pan, że była stąd?
 - Metamfetamina jest popularna na wsi — odparł Reacher. Wysoka, chuda, jasnowłosa, pomyślał. — Czy komórki mają tu zasięg? — zapytał.
 - Jasne — odparł Holland. — Wszędzie dokoła jest płasko. Wiatr, pył i fale radiowe nie napotykają żadnych przeszkód.
 - Chciałbym skorzystać z pańskiego telefonu.
- Holland podał mu komórkę i Reacher wybrał numer.

— Tak?

— Proszę z Amandą.

Kliknięcie. Terkot. Głos.

- Gdzie się, do diabła, podziewasz?
- A co? Będziesz mi teraz matkowała? — odciął się.
- Próbowałam się z tobą skontaktować.
- Jestem w tej bazie sił powietrznych. Próbuję wejść do środka. Szukam klucza. Wymień dwadzieścia najczęstszych miejsc, w których znajdowaliście małe schowane przedmioty.

— Otwór do wsadzania kasety w magnetowidzie, czajnik, but, wewnątrz telewizora, przegródka na baterie w radiu tranzystorowym, wydrążona książka, miejsce wycięte w piance samochodowego fotela, kostka mydła, tubka z topionym serem.

— Wymieniłaś tylko dziewięć. Jesteś beznadziejna.

— Daj mi chwilę.

— Nie ma tu żadnej z tych rzeczy.

— A co jest?

Reacher obszedł dokoła pomieszczenie i wymienił wszystkie przedmioty, które widzi.

— Zbiornik w toalecie — powiedziała Amanda.

— Sprawdziłem wszystkie.

— Jest tam jakiś podarty siennik?

— Nie.

— Obluzowane klepki?

242

— Nie.

— Więc spalcie całe miejsce i przesiejcie popiół. Klucz sił powietrznych jest pewnie zrobiony z tego samego materiału co głowice nuklearne. Przetrwa.

— Dlaczego chciałaś się ze mną skontaktować? — chciał wiedzieć Reacher.

— Bo wiem już, do czego miało służyć to miejsce.

27

Peterson i Holland usłyszeli metaliczne brzęczenie w słuchawce i podeszli bliżej. Reacher usiadł na łóżku, na którym siedziała wcześniej dziewczyna.

— To miejsce miało służyć jako sierociniec — powiedziała Amanda.

— Podziemny?

— To działo się przed pięćdziesięciu laty. W szczytowym momencie zimnej wojny.

Wszyscy świrowali. Mój człowiek przesłał mi faks. Prognozy dotyczące strat były horrendalne. Oceniano, że Rosjanie mają setki zapasowych rakiet. Przy frontalnym uderzeniu mogło zabraknąć im celów. Opracowywaliśmy scenariusze ataku i wszystko sprowadzało się do tego, którego to się wydarzy dnia tygodnia i o jakiej porze roku. W sobotę i w niedzielę

albo podczas wakacji wszyscy mieli ucierpieć w równym stopniu. Ale w dni robocze, podczas zajęć szkolnych, przewidywano znaczne zróżnicowanie populacji dorosłych i dzieci, w sensie fizycznej lokalizacji. Rodzice mogli znaleźć się w jednym miejscu, dzieci w innym, być może w schronie pod szkołą.

— Albo pod ławkami — mruknął Reacher.

— Gdziekolwiek. Rzecz w tym, że w liczbie ocalałych dwa tygodnie po ataku przewidywano więcej dzieci niż dorosłych.

244

Jakiś facet z parlamentarnej komisji do spraw wydatków dostał na tym punkcie obsesji. Chciał, żeby powstały miejsca, do których te dzieci mogłyby się udać. Oceniał, że mogłyby dotrzeć do jakichś regionalnych niezniszczonych lotnisk i zostać stamtąd przewiezione w odległe rejony. Chciał, żeby zbudowano obiekty łączące w sobie funkcję internatu i schronu przeciwatomowego. Pogadał z siłami powietrznymi. On poszedł im na rękę, oni jemu. Był z Dakoty Południowej, więc tutaj to się zaczęło.

— Miejscowi wspominają o jakimś skandalu — powiedział Reacher. — Nie ma nic skandalicznego w budowie sierocińca.

— Nie rozumiesz. Zakładano, że nie ocaleją zadni dorośli. Być może jeden lub dwóch napromieniowanych i umierających pilotów, nikt więcej. Jakiś udręczony biurokrata z teczką. Pomysł był taki, żeby wyładować te dzieciaki z samolotów i zostawić. Miały zamknąć się pod ziemią i radzić sobie same. Niczym dzikie zwierzęta. Nie była to zbyt miła perspektywa. Ze sporządzonych przez psychologów raportów wynikało, że dojdzie do zachowań plemiennych, walk, zabójstw, może nawet kanibalizmu. Średni wiek ocalałych miał wynosić siedem lat. Ale potem psychologowie porozmawiali z dorosłymi i okazało się, że rodzice najbardziej boją się tego, że umrą i że ich dzieci będą musiały radzić sobie bez nich. Chcieli usłyszeć, że wszystko będzie w porządku, że będą lekarze, pielęgniarki i czysta pościel na łóżkach. Nie chcieli, żeby opowiadano im, jak naprawdę będzie to wyglądać. Zrobiło się więc dużo szumu i pomysł zarzucono, żeby nie osłabiać morale cywilów.

— Więc to miejsce jest puste od pięćdziesięciu lat?

— Pewne rozwiązania konstrukcyjne sprawiły, że obiekt nie nadaje się do niczego innego.

— Wiemy, na czym polegały te rozwiązania?

— Nie. Plany zaginęły.

— Więc nic tu nie ma?

— Przywieźli tam jakieś badziewie, które trzeba było gdzieś przechować, i o wszystkim zapomnieli.

— Czy to badziewie nadal tam jest?

245

— Zakładam, że tak.

— Co to takiego?

— Jeszcze nie wiem. Ta informacja jest w innych aktach. Ale to nie może być nic ekscytującego. Już przed pięćdziesięciu laty było tego więcej niż trzeba.

— Dowiesz się tego?

— Mój facet zażądał tych akt.

— Co z pogodą?

— Wyrzyj na dwór.

— Mam na myśli, co mnie czeka w najbliższych dniach?

— Jutro znowu będzie padał śnieg. A potem zimno i bezchmurnie.

— Gdzie mogłaby schować klucz banda motocyklistów?

— Nie wiem. Nie mogę ci pomóc.

Piętnasta pięćdziesiąt pięć.

Jeszcze dwanaście godzin.

•••

Reacher oddał komórkę Hollandowi. Za oknem było coraz ciemniej. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, murowany budynek rzucał długi cień. Zaczęli przeszukiwać ostatni barak. Ich ostatnia szansa. Wszystkie materace, wszystkie ramy łóżek, zbiornik w toalecie, deski podłogi, ściany, oprawy oświetleniowe. Robili to powoli i dokładnie, coraz wolniej i dokładniej w miarę, jak zbliżali się do końca i zaczynało im brakować pomysłów. Niczego nie znaleźli.

- Moglibyśmy wezwać ślusarza — podsunął Peterson. — Na przykład z Pierre.
- Lepszy byłby włamywacz — odparł Reacher. — Kasiarz specjalizujący się w bankowych sejfach. Może mają jakiegoś w więzieniu.
- Nie mogę uwierzyć, że nigdy nie użytkowali tego miejsca. Musiało kosztować fortunę.
- Wojskowy budżet był wtedy praktycznie nieograniczony.

246

- To niemożliwe, że nie mogli znaleźć dla niego innego zastosowania.
- Projekt został w jakiś szczególny sposób dostosowany.
- Mimo to. Ktoś mógłby mieć z niego pożytek.
- Dla marynarki obiekt był zbyt śródlądowy. Jesteśmy blisko geograficznego środka Stanów Zjednoczonych. Tak w każdym razie mówili uczestnikom wycieczki.
- Piechota morska mogłaby go wykorzystać na zimowe szkolenia.
- Nie w stanie, który ma w nazwie przymiotnik „południowy”. Za mało odważne. Piechota morska wolałaby ćwiczyć w Dakocie Północnej. Albo na biegunie północnym.
- Może nie chcieli spać pod ziemią?
- Piechota morska śpi, gdzie jej każą. I kiedy każą.
- Właściwie słyszałem, że urządzają zimowe szkolenia koło San Diego.
- Służyłem w wojskach lądowych — przypomniał Reacher. — Nie mam pojęcia, na czym może polegać szkolenie piechoty morskiej.

•••

Znowu stawili czoło zimnu i po raz ostami przyjrzeni się murowanemu budynkowi i jego nieprzystępnym drzwiom. Następnie wrócili do samochodu i odjechali. Dwie mile po pasie startowym, gdzie ze zdezelowanych samolotów miały wsiąść obdarte dzieci. Potem osiem mil drogą okręgową którą na ratunek nie miał przybyć żaden dorosły. Zimna wojna. Niedobry okres. W retrospekcji pewnie mniej niebezpieczny, niż wyobrażali sobie ludzie. Część radzieckich rakiet istniała tylko na papierze, część była pomalowanymi pniami drzew, a część zepsuta. A Rosjanie też mieli swoich psychologów, którzy pisali cyrylicą własne raporty o siedmiolatkach, zachowaniach plemiennych, walkach, zabójstwach i kanibalizmie. W tamtym czasie wszystko to wydawało się bardzo realne. Podczas kubańskiego kryzysu raketowego Reacher miał dwa

247

lata. Był wtedy z rodzicami w bazie na Pacyfiku. O niczym nie wiedział. Ale później matka opowiadała mu, jak razem z ojcem obliczali, po jakim czasie dotrze do nich z południowym wiatrem radioaktywna chmura. Wyszło im, że po dwóch tygodniach. W domu była broń. A w bazie służby medyczne z tabletkami.

- Jak dokładne są wasze prognozy pogody? — chciał wiedzieć Reacher.
- Na ogół dość dokładne.
- Mówią że jutro znowu będzie padać śnieg.
- Wydaje się to prawdopodobne.
- W takim razie ktoś się tu wkrótce pojawi. Nie odśnieżaliby tego pasa bez potrzeby.

•••

Daleko na południowym wschodzie samolot lądował na innym pasie startowym, w bazie sił powietrznych Andrews w stanie Maryland. Niewielki odrzutowiec wydzierżawiony przez armię i przeznaczony do transportu więźniów. Na pokładzie było sześć osób. Dwaj piloci, trzej żandarmi eskortujący więźnia oraz sam więzień. Kapitan Czwartej Dywizji Piechoty z Fort Hood. Miał na sobie cywilne ubranie i skuto go w standardowy sposób połączonymi łańcuchami zapiętymi na nadgarstkach i kostkach nóg. Samolot podkołował, spuszczone schodki i zaprowadzono więźnia do samochodu zaparkowanego na płycie lotniska. Posadzono go na tylnym siedzeniu. Czekąca tam na niego funkcjonariuszka żandarmerii w stopniu majora, trochę więcej niż średniego wzrostu, szczupła, opalona, ze związanymi w kucyk ciemnymi włosami i piwnymi oczyma. Na jej twarzy malowała się jednocześnie inteligencja, silny charakter i figlarność. Nosiła baretki Srebrnej Gwiazdy i dwóch Purpurowych Serc. W samochodzie nie było kierowcy.

— Dzień dobry, kapitanie — powiedziała kobieta. — Jestem major Susan Turner.

Dowodzę sto dziesiątą jednostką żandar-

248

merii i prowadzę pańską sprawę. Porozmawiamy teraz przez chwilę, a potem wróci pan do samolotu i albo polecą pan z powrotem do Teksasu, albo prosto do Fort Leavenworth. W jedno albo drugie miejsce. Rozumie pan?

Miała ciepły głos, lekko zachrypnięty, trochę zdyszany, trochę intymny. Rodzaj głosu, który cały idzie z gardła. Rodzaj głosu, który budzi zaufanie.

Kapitan piechoty o tym wiedział.

— Chcę adwokata — odparł.

Susan Turner pokiwała głową.

— Dostanie go pan — zapewniła. — Dostanie ich pan całą masę. Niech mi pan wierzy, niedługo nie będzie pan mógł się od nich opędzić. Zupełnie jakby wszedł pan na obrady zrzeczenia prawników z zawieszonym na szyi studolarowym banknotem.

— Nie wolno pani ze mną rozmawiać bez adwokata.

— To nie do końca prawda. Nie musi mi pan nic mówić bez adwokata. Ja mogę panu mówić, co mi się podoba. Dostrzega pan różnicę?

Facet milczał.

— Mam dla pana złe wiadomości — podjęła Susan Turner. — Zostanie pan skazany na śmierć. Wie pan o tym, prawda? Wkopał się pan po samą szyję. Nikt nigdy nie wkopał się tak dokumentnie jak pan. Nikt nie może panu w żaden sposób pomóc. Dokładnie to samo usłyszysz pan od prawników. Bez względu na to, ilu pan wynajmie, wszyscy powiedzą panu to samo. Że zostanie pan stracony i że stanie się to chyba bardzo szybko. Nie będę pana karmiła fałszywą nadzieją. Jest pan żywym trupem.

Facet milczał.

— Żywym trupem, który siedzi w samochodzie i słucha tego, co mówię. I powinien pan słuchać uważnie, ponieważ musi pan podjąć dwie ważne decyzje. Druga z nich dotyczy tego, co zamówi pan na ostami posiłek. Najczęściej wybierane są stek i lody. Nie wiem dlaczego.

Choć w gruncie rzeczy nie

249

obchodzą mnie kwestie dietetyczne. Interesuje mnie pańska pierwsza decyzja. Chce pan zgadnąć, czego dotyczy?

Facet milczał.

— Pańska pierwsza decyzja dotyczy tego, za co zostanie pan skazany. W Teksasie skazają pana za zabójstwo żony, w Fort Leavenworth za to, że zdradził pan swój kraj. Będę z panem szczerą: żaden z tych czynów nie przynosi panu chluby. Jednak tę historię w Teksasie ludzie będą mogli w jakimś stopniu zrozumieć. Stres pola walki, długa służba, tego rodzaju rzeczy.

Cały ten syndrom posttraumatyczny. Niektórzy mogą nawet uznać, że jest pan swego rodzaju ofiarą.

Facet milczał.

— Ale zdrada to co innego — ciągnęła Susan Turner. — Tego nic nie usprawiedliwia. Pańscy rodzice będą musieli sprzedać dom i się wyprowadzić. Może zmienią nazwisko. Może nie uda im się go sprzedać i powieszą się w piwnicy.

Facet milczał.

— W piwnicy sufit jest niski — stwierdziła Susan Turner. — To będzie trwało powoli. Coś w rodzaju przyduszania. Może będą się trzymali za ręce.

Facet milczał.

Turner poruszyła się na siedzeniu. Miała długie nogi w cienkich rajstopach.

— Niech pan pomyśli o swoim młodszym bracie — dodała. — O tych wszystkich latach, kiedy starał się panu dorównać. Wszystko na mame. Będzie musiał odejść z marynarki. Kto w drużynie mu teraz zaufa? Bram zdrajcy? Dla niego to też będzie wyrok. Skończy jako robotnik budowlany. Rozpije się. Będzie pana przeklinał do końca życia. Może on też się zabije. Z pistoletu. Wkładając lufę w usta albo przystawiając ją do skroni.

Facet milczał.

— Umowa jest prosta — tłumaczyła Turner. — Porozmawia pan ze mną, odpowie na wszystkie moje pytania, ujawni dokładnie to, co pan wie, wszystkie szczegóły, a my nie będziemy wywlekali na światło dzienne pańskiej zdrady.

250

Facet milczał.

— Ale jeśli nie będzie pan chciał ze mną rozmawiać, śledztwo potoczy się na oczach wszystkich. Powiemy CNN, gdzie mieszkają pańscy rodzice i zadzwonimy do marynarki z informacją o pańskim bracie. Nie do jego zwierzchników. Najpierw zadzwonimy do jego kumpli.

Turner umilkła.

— Dobrze — mruknął w końcu facet.

— Co dobrze?

— Dobrze, porozmawiam.

— Porozmawia pan z kim?

— Dobrze, porozmawiam z panią, pani major.

Turner opuściła szybę.

— Powiedźcie pilotowi, że może iść na obiad! — krzyknęła.

•••

Platon odłożył telefon. Jego pilot zadzwonił, żeby poinformować, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin pogoda na północy zmieni się na gorsze. Znowu zaczną sypać śnieg. O czym Platon wiedział. Miał telewizję satelitarną. Tuż przy domu zamontowano wielką antenę z siatki przyśrubowaną do betonowego bloku. Antena była podłączona do pudełka, a pudełko do olbrzymiego ciekłokrystalicznego telewizora marki Sony zawieszzonego w salonie i nastawionego na Weather Channel.

Telewizor nie był jedyną rzeczą, która wisiała na tej ścianie. Obok niego upchniętych było osiemnaście olejnych obrazów. Kolejne czterdzieści trzy malowidła zdobiły dwie długie ściany, dwadzieścia przeciwległą. Razem było tam osiemdziesiąt jeden dzieł sztuki. W większości drugorzędne prace czwartorzędnych malarzy. Albo trzeciorzędne prace trzeciorzędnych malarzy. Albo czwartorzędne prace drugorzędnych malarzy. Jeden z obrazów był podobno pędzla Moneta, ale Platon wiedział, że musi być fałszywy. Monet był bardzo płodnym artystą. Często sprzedawanym, często kopiowanym. Ktoś powiedział kiedyś,

251

że na dwa tysiące obrazów, które namalował Monet, sześć tysięcy znajduje się w samych Stanach Zjednoczonych. Platon nie był głupcem. Wiedział, co ma. I wiedział, dlaczego to ma. Nie pasjonował się sztuką. To nie jego branża. Każde płótno stanowiło po prostu pamiątkę czyjegoś zrujnowanego życia.

W miejsca między obrazami powbijał setki cienkich mosiężnych gwoździków, które układały się w kształt małych odwróconych podkówek. Były ich dziesiątki, może nawet setki. Od dawna ich nie liczył. Na każdej z podkówek powiesił ile tylko się dało naszyjników i bransoletek. Miał tam brylanty, szmaragdy, rubiny i szafiry. Złote, srebrne i platynowe łańcuszki. Miał kolczyki i pierścionki zawieszane na pojedynczych gwoździkach. Obrączki ślubne, pierścionki zaręczynowe, duże pierścienie z brylantem.

Setki.

Może nawet tysiące.

Wszystko jest kwestią czasu.

To była dziedzina, która go interesowała. Miał do niej podejście klasowe. Jak długo może wytrwać człowiek, któremu skończyła się gotówka, zanim sprzeda swoje ciało? Ile jest etapów między klęską i poddaniem się, między pojawieniem się problemu i ruiną? U biednych ludzi nie ma żadnych etapów pośrednich. Potrzebują jego produktu, więc kiedy tylko kończą im się pieniądze, co dzieje się na ogół już w dniu wypłaty, zaczynają walczyć, kraść i oszukiwać, a potem idą na ulicę i robią wszystko, co trzeba zrobić. Dostają od nich tylko pieniądze.

Z bogatymi jest inaczej. Ich zarobki są większe i starczą na dłużej, ale przecież nie na zawsze. Potem zaczyna się powolne sięganie po oszczędności, wyprzedawanie akcji, obligacji, likwidowanie wszelkiego rodzaju inwestycji. Zdesperowane ręce sięgają do szuflad i szkatułek z biżuterią. Najpierw idą rzeczy zapomniane, nielubiane, odziedziczone. Trafiają do niego po długiej podróży z porządnych przedmieść Chicago, Minneapolis, Milwaukee, Des Moines i Indianapolis. W ślad

252

za nimi zdjęte ze ścian obrazy, ściągnięte z palców pierścionki, zerwane z szyi naszyjniki. W drugiej kolejności ograbiani są rodzice, w trzeciej dziadkowie. Kiedy nie zostanie już nic, bogaci ludzie też się poddają, być może najpierw w hotelach, oszukując się, lecz w końcu zawsze na ulicy, na zimnie, klękając w brudnych zaułkach, robiąc wszystko, co trzeba zrobić. Wszystko jest kwestią czasu.

• • •

Holland zaparkował przed komisariatem i poszedł do swojego gabinetu. Peterson i Reacher udali się do sali odpraw. Jak zwykle była pusta. Żadnych wiadomości na stojącym w rogu biurku, nic w poczcie głosowej. Reacher podniósł słuchawkę, po czym odłożył ją na widełki. Wcisnął spację na klawiaturze komputera. Ekran rozjaśnił się i ukazał się na nim obrazek policyjnej odznaki. Był duży i trochę nierówny. Trochę cyfrowy. Stojący jard dalej serwer szumiał, ćwierkał i terkotał. Twardy dysk szykował się do pracy.

— Macie tu jakieś bazy danych? — zapytał Reacher.

— Dlaczego pytasz? — odparł Peterson.

— Moglibyśmy sprawdzić tego Platona. Kimkolwiek jest, wydaje się, że to główny gracz.

Peterson usiadł przy sąsiednim biurku i postukał w klawiaturę. Kliknął tu, kliknął tam, wpisał hasło. Na ekranie musiało się pojawić jakieś okno dialogowe, ponieważ Reacher zobaczył, że Peterson wciska lewym palcem wskazującym klawisz SHIFT, prawym palcem wskazującym literę „P”, a potem małe „1”,

n" t" rS* i n"

»d » , „O i „n .

Platon.

— Nic — stwierdził po chwili. — Tylko link do Google, w którym piszą, że to grecki filozof.

— Masz listę jego znanych aliasów?

Peterson znowu postukał w klawiaturę. Wcisnął klawisze trzynaście razy. „Alias”, potem spacja i „Platon”.

— Latynos. Obywatelstwo nieznane. Prawdziwe nazwisko

253

nieznane. Wiek nieznany. Podobno mieszka w Meksyku. Podobno ma własne lombardy w pięciu miastach w Stanach Zjednoczonych. Podejrzewany o handel narkotykami i sutenerstwo.

— Miły facet.

— Nigdy nie został aresztowany. W Meksyku też nie.

— To wszystko?

— W federalnych bazach danych jest więcej. Ale nie mam do nich dostępu.

Reacher znowu podniósł słuchawkę i znowu ją odłożył. W Rock Creek mają chyba dość własnych problemów. Zastanawiał się, czy nie zaczyna im się naprzykrzać. I zanudzać. Czy nie jest kimś w rodzaju zdemobilizowanego sierżanta, który nadal mieszka nieopodal bazy i przesiaduje całe noce w wojskowych barach, pierdząc w stołek, mądrząc się i opowiadając o rzeczach, o których nikt już nie pamięta. Albo kimś w rodzaju emerytowanego miejskiego gliniarza, który nie zaoszczędził dość szmalu, żeby przenieść się na południe, i wciąż odwiedza te same speluny i wtrąca się do każdej rozmowy.

— Moglibyśmy podjechać do więzienia — powiedział Peterson. — Są podłączeni do federalnych komputerów. Znam tam paru facetów.

Szesnasta pięćdziesiąt pięć.

Jeszcze jedenaście godzin.

28

Więzienie leżało pięć mil na północ, przy końcu drogi, która łączyła miasto z biegnącą na południu autostradą. Droga wiodła prosto, jakby planista przyłożył linijkę do mapy. Jezdnia była odśnieżona, posypana solą i w miarę gładka, bo ruch był duży. Dzień odwiedzin.

Autobusy kursowały w tę i z powrotem.

Przejechanie pięciu mil zajęło im osiem minut. Przez pierwszych siedem Reacher nie widział nic prócz mrocznego nieba i igiełek lodu w powietrzu. Potem zobaczył więzienie. Na horyzoncie ukazała się wielka łuna, która podzieliła się wkrótce na setki mniejszych sinobiałych łun płonących wysoko nad lśniącym drutem kolczastym. Ogrodzenie było długie i miało mniej więcej dwanaście stóp wysokości i dwanaście stóp szerokości. Składało się z wewnętrznej i zewnętrznej siatki, między którymi był pas ziemi niczyjej wypełniony zwojami drutu. Kolejne zwoje umocowano na górze. Wszystkie kołysały się i poruszały na wietrze, skrząc się i migocząc w świetle, które padało z potężnych stadionowych lamp zamocowanych na stojących co trzydzieści stóp wysokich słupach. Co sto stóp stały wieżyczki strażnicze, wysokie konstrukcje na szeroko rozstawionych nogach z jasnymi przeszklonymi budkami i otaczającym je ze wszystkich stron pomostem. Jaskrawe światło reflektorów odbijało się ze zdwojoną siłą od nieskazitelnie

255

białego śniegu. Za ogrodzeniem ciągnął się przez trzysta jardów oświetlony, zaśnieżony dziedziniec, a dalej, pośrodku wielkiego prostokąta stał kompleks nowych betonowych budynków, które zajmowały powierzchnię dużej wioski. Albo małego miasteczka. Wszystkie były jasno oświetlone wewnątrz i zewnątrz. W ciężkich nieciekawych fasadach osadzone były małe paskudne okienka podobne do iluminatorów w kadłubie statku. Wszystkie dachy pokrywała gruba pierzyna śniegu.

— Darowany koń — westchnął Peterson. — Kura znosząca złote jaja.

— Imponujące — mruknął Reacher.

I rzeczywiście więzienie było olbrzymie i imponujące. Zajmowało setki akrów. Skąpane w jaskrawym świetle lamp przypominało obcy statek kosmiczny, który zawisł, nie wiedząc, czy wylądować, czy pomknąć w bardziej gościnne miejsce.

Tuż przed bramą droga rozszerzała się, tworząc szeroki kwadratowy plac, na którego obrzeżach stały ławki i kosze na śmieci. Peterson minął go i podjechał do bramy, która była właściwie tunelem z siatki, na tyle wysokim, że mógł nim przejechać autobus, i na tyle szerokim, by zmieściły się dwa pasy ruchu, wjazd i wyjazd. Na każdym pasie były trzy osobne bramy tworzące dwie zagrody. Peterson wjechał do pierwszej i brama za nimi natychmiast się zamknęła. Strażnik w zimowym ubraniu wyszedł z wartowni, przyjrzał im się, wszedł z powrotem i otworzył bramę z przodu. Peterson podjechał trzydzieści stóp i cała procedura została powtórzona. Następnie otworzyła się ostatnia brama i podjechali do budynków główną drogą która była poryta koleinami i śladami stóp. Najwyraźniej pasażerowie wysiadali z autobusów wewnątrz kompleksu. Reacher wyobraził sobie brnące przez śnieg, okutane w pożyczone kołdry kobietę i dziecko, które widział przed kafejką. Peterson zaparkował jak najbliżej wejścia dla odwiedzających. Za drzwiami był pusty hol, smętny i nijaki, z mokrym

256

linoleum na podłodze, bladozielonymi ścianami i jarzeniówkami pod sufitem. Pusty taśmociąg z urządzeniem prześwietlającym, bramka wykrywacza metalu i trzech niemających nic do roboty strażników. Peterson znał ich. Oni znali jego. Minutę później zostali wprowadzeni przez boczne drzwi do przygotowanego pokoju. Choć kompleks oddano do użytku całkiem niedawno, przegrzane pomieszczenie było już zaśmiecone i zapuszczone. Śmierdziało w nim nieświeżą kawą świeżym potem, mokrymi wełnianymi płaszczami i tanimi mundurami z poliestru. Stało tam kilka foteli i biurko z komputerem. Strażnik odpałił go, wpisał hasło i wyszedł z pokoju.

— Federalne więzienie, federalne bazy danych — powiedział Peterson.

Nie miał z nimi chyba zbyt często do czynienia, bo zanim cokolwiek znalazł, musiał długo jeździć kursorem po ekranie, klikać i stukać w klawisze. Wiele razy wydymał wargi, wypuszczał z płuc powietrze i gwałtownie je wciągał. W końcu jednak odsunął palce od klawiatury i odchylił się do tyłu.

— To samo co wcześniej — stwierdził. — Latynos, dokładne pochodzenie nieznane, prawdziwa tożsamość nieznana, wiek podobno około czterdziestu lat, mieszka podobno w Meksyku, lombardy w Chicago, Minneapolis, Milwaukee, Des Moines i Indianapolis. Podejrzewany o handel narkotykami i sutenerstwo w tych samych pięciu miastach.

— Coś nowego? — zapytał Reacher.

— Wcześniej nie wymieniono konkretnie tych miast.

— Poza tym?

— Niczego mu nie udowodniono. Jest standardowe ostrzeżenie, że facet jest wyjątkowo bezwzględny. Wspiął się na sam szczyt, a nie docierają tam ci, którzy śpiewają w kościelnym chórze. Uważa się, że musiał zabić setki ludzi. Żeby wejść w tę branżę, trzeba mieć chyba parę osób na sumieniu. Des Moines nikomu nie imponuje, ale Chicago raczej tak. Facet nie jest amatorem.

257

Peterson znowu przez chwilę klikał i przewijał. Wydymał wargi i wzdychał.

— Ma nawet własny samolot — oznajmił.

— Dużo osób ma.

— To boeing siedemset trzydzieści siedem. Normalny pasażerski odrzutowiec przerobiony na prywatny użytek. Kupił go od zrujnowanych meksykańskich linii lotniczych. Reacher tego nie skomentował.

Peterson nadal klikał i przewijał.

- Jest bardzo mały — oznajmił nagle. — Cztery stopy i jedenaście cali wzrostu.
- Naprawdę?
- Ile ty masz?
- Sześć stóp i pięć cali.
- Osiemnaście cali więcej od niego. Póltorej stopy.
- To praktycznie karzeł — stwierdził Reacher.
- Ktoś nazwał go kiedyś karłem i obudził się w szpitalu z odciętymi nogami.

•••

Po długiej podróży Susan Turner wróciła w godzinie szczytu do swojego biura w Rock Creek. Zaparkowała samochód na zarezerwowanym miejscu, weszła do budynku i wspięła się na górę po kamiennych schodkach. Nadal miały metalową poręcz. Korytarz na pierwszym piętrze nadal był wąski, podłoga nadal wyłożona linoleum. Drzwi po lewej i prawej wciąż miały wąskie szybki, za każdymi był czyjś gabinet. Od czasów Reachera niewiele się tu zmieniło, pomyślała. Odmalowano tylko ściany, ale nie dokonano gruntownej modernizacji. Każdy gabinet wyposażono zgodnie z aktualnymi wymogami Departamentu Obrony. U niej było słynne biurko, trzy aparaty telefoniczne na trzydzieści linii, ergonomiczny fotel, szafka na akta, dwa krzesła dla gości ze sprężystymi nóżkami z giętych metalowych rurek i plafoniera w kształcie miski zwisająca z sufitu na trzech metalowych łańcuszkach. Światło dawała

258

energooszczędna żarówka. Turner miała stacjonarny komputer z szybkim i bezpiecznym rządowym połączeniem intranetowym oraz laptopy podłączone bezprzewodowo do innej sieci. Na ścianie wisiała aktualna mapa świata.

Usiadła za biurkiem. Żadnych wiadomości. Nic z sił powietrznych. Reacher nie zadzwonił. Podłączyła cyfrowy rejestrator głosu do gniazdka USB i zapisała na twardym dysku rozmowę z więźniem. Wiedziała, że program rozpoznawania głosu przetworzy teraz plik dźwiękowy na dokument i oba pliki trafią pod właściwy adres. Dojdzie do aresztowań w Teksasie, na Florydzie i w Nowym Jorku. W ślad za tym pójdzie pochwała dla jednostki i wniosek o odznaczenie jej Brązową Gwiazdą.

Dawno temu Reacher też dostał Brązową Gwiazdę. Wiedziała o tym, bo miała na biurku jego akta osobowe. Grubą starą teczkę, której zawartość ledwo mieściła się w tekturowych okładkach. Przeglądała ją wiele razy. Jack (bez drugiego imienia) Reacher, urodzony dwudziestego dziewiątego października. W wojskowej rodzinie, ale niekontynuujący wojskowej tradycji, ponieważ jego ojciec służył w piechocie morskiej. Matka była Francuzką. Ukończył West Point. Służył trzynaście lat. Od samego początku w żandarmerii, co przynajmniej z punktu widzenia Susan stawiało go po stronie aniołów. Mimo to przez cały czas były z nim kłopoty. Mówił to, co trzeba było powiedzieć, i nie dbał o to, komu to mówi. Robił to, co trzeba było zrobić, i nie dbał o to, komu to robi. Chodził na skróty i wycinał tych, którzy mu podpadli. Zdegradowano go do stopnia kapitana za złamanie nogi cywilowi. Degradacja stanowi zawsze zakodowaną wiadomość: „Czas ruszać dalej, chłopie”. Ale on został w wojsku i znowu awansował na majora. Co musiało być chyba największym triumfalnym comebackiem w historii. Potem poprowadził sto dziesiątą. Był jej pierwszym dowódcą. W gruncie rzeczy jej twórcą.

Poprzednikiem Susan, lecz w żadnym wypadku wzorem do naśladowania.

259

W ciągu tych trzynastu lat został odznaczony Srebrną Gwiazdą, medalem „Za Wybitną Służbę Departamentu Obrony”, Legią Zasługi, Medalem Żołnierza, Purpurowym Sercem i Brązową Gwiazdą. Był ponadprzeciętnie utalentowany. Co oznaczało, że gdyby miał bardziej

korporacyjne podejście, ojca w wojskach lądowych i matkę Amerykankę, mógł być teraz szefem sztabu.

Dziwna kariera.

Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce dostał za Bejrut. Był tam oficerem łącznikowym i kiedy doszło do ataku bombowego, stacjonował w koszarach piechoty morskiej. Podczas zamachu został ciężko ranny, a potem dokonał bohaterskich czynów. Wszystkie inne uzasadnienia odznaczeń były ocenzurowane, co oznaczało, że zdobył je za tajne misje.

Hospitalizowano go w Bejrucie, a potem przetransportowano drogą lotniczą do Niemiec, gdzie przeszedł rekonwalescencję. Jego karta zdrowia znajdowała się w aktach. Był zdrowym mężczyzną. Rana zagoiła się szybko i całkowicie. W żargonie wojskowym określano ją mianem blizny deformującej, co oznaczało naprawdę ciężki uraz. Miał sześć stóp i pięć cali wzrostu i w czasie rekonwalescencji w Niemczech ważył dwieście czterdzieści funtów. Nie wykryto u niego żadnych chorób wewnętrznych. Wzrok oceniano jako doskonały.

Miał wiele formalnie zatwierdzonych sprawności. Uznano go za eksperta we wszystkich rodzajach broni krótkiej. Wygrał z rekordowym wynikiem ogólnowojskowe zawody w strzelaniu z karabinu na odległość tysiąca jardów. Wspomniano, że znakomicie radzi sobie w terenie, płynnie mówi po angielsku i francusku, a także niezle po hiszpańsku, doskonale posługuje się wszelkiego rodzaju przenośną bronią i jest bardziej niż doskonały w walce wręcz. Susan wiedziała, co znaczy ta ostatnia ocena. To tak, jakby ciśnięto w kogoś pracującą piłę łańcuchową.

Facet twardy, ale inteligentny.

Do wewnętrznej okładki akt przypięta była jego kolorowa fotografia, która z upływem lat lekko wyblakła. Miał krótkie

260

niesforne włosy, jasnoniebieskie oczy z lekko opadającymi powiekami, bezpośrednie twarde spojrzenie i dwie wyraźne blizny. Jedną w kąciku lewego oka, drugą na górnej wardze. Jego twarz wyglądała, jakby wyciosał ją z jednego bloku skały jakiś zdolny, lecz mający mało czasu rzeźbiarz. Same twarde płaskie płaszczyzny. Głowę miał osadzoną na grubym karku, to jasne, ale bez grama tłuszczu. Poza tym szerokie bary, długie ręce i wielkie dłonie.

Na jego ustach widniał krzywy uśmiezek, jednocześnie cierpliwy i poirytowany, jakby wiedział, że muszą mu zrobić zdjęcie, ale powiedział właśnie fotografowi, że jeśli nie upora się z tym w ciągu następnych trzech sekund, wciśnie mu aparat do gardła.

Jack (bez drugiego imienia) Reacher.

Susan czuła, że to ktoś, kogo warto poznać, z kim być może warto się zaprzyjaźnić i w kim z całą pewnością lepiej nie mieć wroga.

Wzięła słuchawkę i zadzwoniła do faceta z sił powietrznych. Zapytała, czy ma dla niej jakieś nowe wiadomości. Nie miał. Zapytała, kiedy będzie miał. Facet zapewnił, że wkrótce.

Odparła, że wkrótce to dla niej za długo.

— Chcesz komuś zaimponować? — zapytał.

— Nie. — Rozłączyła się.

Na ostatniej stronie akt Reachera był standardowy indeks dokumentów dotyczących jego osoby i znajdujących się w innych aktach. Liczył siedemdziesiąt trzy pozycje. Wszystkie były tajne, co nie powinno dziwić. Prawie wszystkie wojskowe dokumenty są tajne. Pierwsze siedemdziesiąt dwa pochodziły z różnych okresów jego trzynastoletniej służby i ich stopień tajności sprawiał, że dość trudno byłoby do nich zajrzeć. Siedemdziesiąty trzeci odnośnik miał niższy stopień tajności, lecz pochodził z zamierzchłych czasów. Tak dawnych, że Jack (bez drugiego imienia) Reacher miał wtedy zaledwie sześć lat. Był małym chłopcem. Co wydawało się dziwne. Raport na temat spraw rodzinnych nie znajdował się w ar-

261

chiwach wojsk lądowych, ale piechoty morskiej, bo służył tam jego ojciec.

Dlaczego wojsko trzyma papiery dotyczące sześciolatniego chłopca?

Susan wysłała e-mail do dowództwa zasobów ludzkich z prośbą o jednorazowe hasło, które umożliwiłoby jej tymczasowy dostęp do archiwów.

•••

Procedura przy wyjeździe z więzienia wyglądała podobnie jak przy wjeździe, tyle że obejmowała również dokładne przeszukanie samochodu. Peterson zatrzymał się w pierwszej zamkniętej klatce i dwaj strażnicy wyszli do nich z latarkami. Jeden sprawdził bagażnik, drugi tylne siedzenia. Następnie zamienili się zadaniem i zrobili to jeszcze raz. Środkowa brama otworzyła się i Peterson wjechał do drugiej klatki. Trzeci strażnik sprawdził ich tożsamość i pozwolił wyjechać.

— I co powiesz? — zapytał Peterson.

— O czym?

— O ich środkach bezpieczeństwa.

— Są odpowiednie — ocenił Reacher.

— Tylko tyle?

— Takie właśnie powinny być.

— Moim zdaniem są bardzo dobre.

— W końcu górę weźmie ludzka natura. Stosują tę procedurę dopiero od roku.

Wystarczy, że dwóch strażników nie dopełni jednocześnie swoich obowiązków. To zdarzy się wcześniej czy później. Zawsze się zdarza.

— Pesymista.

— Nie, realista.

Peterson uśmiechnął się i ich samochód potoczył się po śniegu w stronę miasta.

262

Tysiąc siedemset mil na południe do posiadłości Platona zbliżał się niewielki konwój trzech czarnych rangę roverów. Wszystkie kupiono przed niespełna miesiącem, wszystkie miały przyciemnione szyby i wszystkie były tego samego modelu Sport, co oznaczało, że są tak naprawdę land roverami LR3 ze zmienioną karoserią i superdoładowanym silnikiem Jaguara pod maską. Doskonałe pojazdy na wyboiste, lecz niestawiające dużych wymagań drogi, czyli takie, jakie można najczęściej spotkać w tej części stanu Michoacan, w której mieszkał Platon. W każdym siedziało dwóch mężczyzn. Wszyscy mieszkali w okolicy, mieli po trzydzieści kilka lat i mniej więcej dwudziestoletnie doświadczenie, i wszyscy byli ubrani w ciemne garnitury i uzbrojeni po zęby.

Wszyscy pracowali dla Platona już wcześniej

Co oznaczało, że wszyscy trochę się go bali.

Trzy samochody minęły ostami zakręt i pokonały w tumanach kurzu ostatnią milę dzielącą ich od bramy. Trzej kierowcy wiedzieli, że są obserwowani przez lornetki. Dotarli do punktu, z którego nie ma powrotu. Nie przekraczając pięćdziesiątki, pojazdy sformowały ciasny szyk i jeszcze bardziej zwolniły, żeby nie stwarzać atmosfery zagrożenia. Opowiadano, że ludzie Platona przy bramie mają rakiety przeciwczołgowe lub granatniki raketowe. Jak również rakiety ziemia—powietrze do strącania rządowych helikopterów. Może to prawda, może nie, jednak nikt nie miał ochoty tego sprawdzać.

Trzy pojazdy zatrzymały się w stosownej odległości od bramy. Sześciu mężczyzn wyłoniło się zza przyciemnionych szyb i stanęło nieruchomo w skwarze późnego popołudnia. Nikt do nich nie podszedł. Wiedzieli, że są identyfikowani z daleka. Poza tym nie powinni być szczegółowo sprawdzani. Wiedzieli, że gwarancją ich dobrego zachowania jest to, że wszyscy mają siostry, matki, babki i kuzynki, do których łatwo dotrzeć. Oglądanie, jak z twarzy krewnej ściągana jest skóra, nie należy do przyjemności. Jeszcze gorsze jest mieszkanie z nią później pod jednym dachem.

263

Zawarczał benzynowy silnik i brama powoli się otworzyła, a potem, kiedy ostatni rangę rover znalazł się na terenie posiadłości, z powrotem zamknęła.

•••

Peterson wysadził Reachera przy domu Janet Salter. Teraz tutaj mieściła się w dzień i w nocy jego baza. Chrzęszcząc butami na śniegu, przeszedł podjazdem i policjantka z holu wpuściła go do środka. Janet Salter siedziała w bibliotece, w swoim ulubionym fotelu przy lampie, i czytała. Druga policjantka stała przy oknie odwrócona plecami do pokoju. Wszystko w normie. Cisza i spokój.

— Czytam Sherlocka Holmesa — powiedziała Janet Salter, podnosząc książkę.

— O psie, który nie zaszczekał w nocy?

— Dokładnie.

— Już o tym myślałem. Pani sąsiadka mieszka po zawietrznej. To, że jej pies nie złapał tropu, wcale nie oznacza, że nikogo tu nie było.

— W salonie jest drugi tom, który powinien pan zobaczyć. — Janet Salter odłożyła książkę i wstała z fotela.

Reacher wszedł za nią do salonu. Janet Salter zamknęła drzwi, ale nie pokazała mu żadnej książki.

— Czy motocykliści naprawdę wyjechali? — spytała zamiast tego.

— Tak — odparł Reacher.

— Czy tu wrócą?

— Nie sądzę.

— Więc jestem teraz bezpieczna?

— Niekoniecznie.

— Dlaczego komendant Holland pozwolił im odjechać?

— W małych miasteczkach obowiązują inne zasady.

— A zatem jeśli nie zmienię zdania i będę zeznawała zgodnie z planem, to zostanie, jak to określicie, przyskrzyniony tylko jeden facet.

264

— To prawda.

— To radykalnie zmienia zasady umowy. Chodziło o to, żeby przyskrzynić ich wszystkich. Teraz staną się problemem jakiegoś innego miasteczka.

— A potem następnego i jeszcze następnego.

— To nie jest w porządku.

— Tak to na ogół wygląda.

— Nie w porządku jest to, że wystawiono mnie na takie niebezpieczeństwo, żeby tak mało zyskać.

— Chce się pani wycofać?

— Tak, chyba to zrobię.

Siedemnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało dziesięć godzin.

29

Janet Salter usiadła w fotelu w salonie. Reacher wyjrzał przez okno. Nie zobaczył niczego niepokojącego. Wyłącznie samochód z gliniarzem, tym dobrym, który obracał głowę w prawo, obracał głowę w lewo i zerkał we wsteczne lustro.

— Chyba jest już za późno, żeby to miało jakieś praktyczne znaczenie — powiedział.

— Dlaczego?

— Może pani już teraz porozmawiać z Hollandem, ale on nie porozmawia z prokuratorem wcześniej niż jutro, a prokurator złoży papiery dopiero pojutrze i może potrwać

nawet jeden dzień, zanim ludzie się o tym dowiedzą. A przestępcom się śpieszy. To miejsce ma na nich zarabiać. Nie mogą pozwolić sobie na zwłokę.

— Więc jestem w to wplątana i nie mogę się wycofać? — zapytała Janet Salter.

— Odwagi. Nic się pani nie stanie.

— Gdyby nie pan, nie wiem, czy zeszłej nocy coś by mi się nie stało. A pan nie będzie tu wiecznie siedział.

— Nie ma takiej potrzeby. Przestępcy nie będą długo czekali.

•••

Jane Salter poszła zrobić kolację. Oświadczyła, że przyrządzanie posiłków ją odpręża.

Policjantki z nocnej zmiany

266

obudziły się i zeszły na dół. Dom sprawiał wrażenie bezpiecznego. Ciemny i zimny na zewnątrz, jasny i ciepły w środku. Od gotowania zaparowały szyby w kuchni i Reacher krążył między biblioteką salonem i holem. Za oknami nie widział nic oprócz śniegu, lodu i ruchomych cieni. Nadal wiał wiatr. Warunki do obserwacji pozostawiały sporo do życzenia, ale jego zdaniem sytuacja była do zaakceptowania. Siedmiu funkcjonariuszy na straży, on sam w charakterze wsparcia. Nie powinno im nic grozić.

Nagle zadzwonił telefon.

Reacher był wtedy w holu i Janet Salter zawołała z kuchni, prosząc go, żeby odebrał.

Telefonował Peterson.

— Mam coś, co chciałbym ci pokazać — powiedział.

— Gdzie?

— W komputerze, w komisariacie.

— Nie możesz tego przywieźć?

— Nie.

— Nie mogę stąd wyjść.

— Powiedziałeś, że chyba już nigdy nie usłyszymy tej syreny. Koniec z uciezkami, koniec z zamieszkami.

— Domysł oparty na rzetelnej podstawie nadal jest tylko domysłem.

— Zabiorę cię i zaraz odwiozę z powrotem.

— Nie możesz tego obiecać. Co będzie, jeśli podczas mojej nieobecności zawyje syrena?

— Nawet wtedy cię odwiozę. Przysięgam na życie moich dzieci.

— Będziesz miał kłopoty.

— Stawię im czoło. I wygram.

— Powinieneś tu zostać komendantem, wiesz? — stwierdził

Reacher. — Im szybciej, tym lepiej.

•••

Peterson pojawił się po pięciu minutach. Pogadał ze swoimi ludźmi, a potem odszukał Janet Salter i powiedział jej, że

267

wypożycza Reachera na piętnaście minut. Patrząc jej prosto w oczy, obiecał, że żadna z policjantek nie opuści domu do jego powrotu. Janet Salter była spięta, ale chyba mu uwierzyła. Reacher włożył kurtkę, wsiadł do samochodu Petersona i pięć minut później znalazł się w sali odpraw.

Peterson usiadł za biurkiem i zaczął jeździć myszką po blacie, klikać, wydymać wargi i wzdychać. Na ekranie komputera pojawił się szary kwadrat ze wstawioną w środek strzałką, która symbolizowała odtwarzanie.

— To film wideo z pokoju przesłuchań — wyjaśnił. — Nagranie cyfrowe. Przesłali je nam e-mailem.

— Rozumiem.

— Mamy tu motocyklistę i jego adwokata. Z dzisiejszego popołudnia. Nie przestaliśmy ich nagrywać. Wiesz dlaczego?

— Dlaczego?

— Przez zapomnienie.

Peterson kliknął strzałkę i szary kwadrat zmienił się w ziarnisty kolorowy obraz filmowanego z góry pokoju przesłuchań. Kamera była chyba zamontowana w oprawie lampy, w tej części pokoju, gdzie znajdował się adwokat. Na ekranie widać było mężczyznę w popielatym garniturze, pochylonego do przodu na krześle, z łokciami opartymi o betonowy blat i twarzą blisko szyby. Po drugiej stronie siedział facet w dresie, wysoki, z długimi czarnymi włosami i siwiejącą brodą. Przyjął identyczną konspiracyjną pozę jak adwokat. Łokcie na blacie, twarz tuż przy szybie.

— Posłuchaj teraz — powiedział Peterson.

Adwokat coś wyszeptał. Reacher go nie dosłyszał.

— Gdzie jest mikrofon? — zapytał.

— W oprawce lampy razem z kamerą.

Peterson wcisnął odpowiedni klawisz, nastawiając maksymalną głośność. Następnie przesunął nieco do tyłu czerwoną kropkę i fragment został odtworzony ponownie. Reacher pochylił się w stronę ekranu. Jakość dźwięku była słaba, lecz tym razem słowa adwokata dało się zrozumieć.

268

— Starożytni Grecy mówią, że sześciogodzinne oczekiwanie rozwiąże wszystkie nasze problemy — powiedział.

Peterson zatrzymał odtwarzanie.

— Starożytni Grecy, rozumiesz? — mruknął. — Na przykład starożytni greccy filozofowie. Mówiłeś, że Platon był starożytnym greckim filozofem. To szyfr.

Reacher pokiwał głową.

— Kiedy odbyła się ta rozmowa? — zapytał.

— Dziś o czternastej. A zatem sześciogodzinne oczekiwanie kończy się o dwudziestej. Teraz mamy osiemnastą. Co daje im jeszcze dwie godziny. Zmarnowali już dwie trzecie swojego czasu.

Reacher wbił oczy w ekran.

— Puść to jeszcze raz — poprosił.

Peterson przesunął czerwoną kropkę do tyłu. Kliknął odtwarzanie. Głowa adwokata przesunęła się do przodu. Usłyszeli jego skrzypiący szept. „Starożytni Grecy mówią, że sześciogodzinne oczekiwanie rozwiąże wszystkie nasze problemy”.

— Nie interpretuję tego w ten sposób — powiedział Reacher. — On nie mówi, że mamy sześć godzin, podczas których w jakimś dowolnym momencie mogą zostać rozwiązane nasze problemy. Moim zdaniem mówi, że za sześć godzin od teraz wydarzy się coś konkretnego, co pomoże je rozwiązać.

— Tak uważasz?

— Tak mi się wydaje.

— Co takiego może się wydarzyć?

— Zawyje syrena. Tylko w ten sposób mogą się dostać do pani Salter.

— Jak adwokat może spowodować ogłoszenie alarmu?

— Sam nie może. Ale niewykluczone, że mogą razem.

— Jak?

— Co się tam dzieje o dwudziestej? Jedzą kolację? Pora karmienia w zoo jest zawsze dobra na wszczęcie awantury.

269

— Jedzą wcześniej.

- Oglądają telewizję? Jakaś kłótnia na temat tego, co pokazują w CBS albo NBC?
- Mówiłeś, że na razie nie dojdzie do kolejnych zamieszek.
- Coś musi się wydarzyć. Ten adwokat mówi o tym z dużą pewnością.

Peterson nagle pobladł.

- Jezu — jęknął. — O ósmej sprawdzają obecność. Zamykają ich w celach na noc i przeliczają. Przypuśćmy, że facet zwiął dziś po południu, a oni jeszcze o tym nie wiedzą. Będzie o jednego mniej. Minutę po ósmej ogłoszą alarm.

•••

Wrócili do domu Janet Salter. Kolacja była prawie gotowa. Miała ją podać za dziesięć minut. Spaghetti z sosem i serem plus sałatka w starej drewnianej misce. Janet Salter zaproponowała, że położy dodatkowe nakrycie dla Petersona. Peterson się zgodził. I na tym koniec. Przyjął zaproszenie, a następnie, nie biorąc udziału w tym, co dzieje się w kuchni, wziął Reachera pod łokiec i zaciągnął go do salonu.

- Zostanę tutaj, kiedy zawyje syrena — oznajmił.
- Dobrze.
- Co dwie głowy to nie jedna.
- Zawsze.
- Jesteś uzbrojony?
- Tak. Podobnie jak pani Salter.
- Którędy przybędzie tu ich facet?
- Od frontu, samochodem. Za zimno, żeby próbował innego podejścia.
- Czy jest coś, co możemy zrobić wcześniej?
- Nie.
- Moglibyśmy ostrzec więzienie — podsunął Peterson. — Jeśli teraz ogłoszą alarm, ich człowiek nie zdąży zająć pozycji.

- Nie chcemy, żeby nie zdążył zająć pozycji — przypo-

270

mniał Reacher. — Chcemy, żeby podszedł alejką do domu dwie minuty po ósmej. Dokładnie wtedy i tam, gdzie się go spodziewamy. Sam to mówiłeś: chcemy to mieć za sobą.

•••

Tysiąc siedemset mil na południe Platon wyszedł z domu i zobaczył trzy rangę rovery stojące zderzak przy zderzaku z pracującymi silnikami. Sześciu mężczyzn, którzy nimi przyjechali, stało dwójkami i zadzierało głowy. Wszyscy mieli ciemne okulary i ręce splecione na plecach. Platon uważnie im się przyjrzał. Znał ich. Korzystał wcześniej z ich usług. Solidni, lecz niezbyt lotni. Kompetentni, lecz niezbyt rożgarnięci. Z pewnością nie najlepsi na świecie. Drugorzędni, zadowolający, odpowiedni. Można było ich opisać na wiele różnych sposobów. Przyjrzał się SUV-om. Było ich trzy, wszystkie identyczne. Brytyjskie. Każdy kosztował tyle co studia w college'u. Może nie w Harvardzie. Platon policzył je od początku: pierwszy, drugi, trzeci. Potem od końca: trzeci, drugi, pierwszy. Musi wybrać jeden z nich. Nigdy nie wybierał dwa razy z rzędu tego samego pojazdu w konwoju. To byłoby zbyt przewidywalne. Zbyt niebezpieczne. Chciał mieć sześćdziesiąt sześć procent szans na przeżycie pierwszego strzału. Przewidywał, że drugi strzał będzie niecelny. Superdoładowane silniki miały niesamowite przyspieszenie. Lepsze od turbodoładowanych. Zero opóźnienia.

Wybrał samochód numer trzy. Był to swego rodzaju podwójny bluff. Trochę sprzeczny z tym, co podpowiadała mu intuicja. Jeśli trafiony zostanie samochód numer jeden albo numer dwa, numer trzeci może wjechać na płonący wrak. Oczekiwano, że Platon zdaje sobie z tego sprawę. Z tego względu oczekiwano również, że będzie podróżował samochodem numer jeden. Zwiększało to nieco jego wynoszące sześćdziesiąt sześć procent szanse. Dysponujący

zębatkową przekładnią kierowniczą oraz szybkim refleksem kierowca samochodu numer trzy będzie miał sporo czasu, by wykonać gwałtowny manewr.

271

Platon wskazał głową trzeci samochód. Jeden z mężczyzn zrobił krok do przodu i otworzył tylne drzwi. Pod nimi był stopień, niezbędny ze względu na posturę szefa. Platon rozsiadł się na tylnym siedzeniu. Kanapa była obita kremową skórą z czarnymi obwódkami. Jeden podłokietnik w drzwiach po prawej stronie, drugi wysunięty pośrodku kanapy. Klimatyzację nastawiono na niską temperaturę. Pełen komfort.

Dwaj mężczyźni usiedli z przodu. Drzwi się zatrzasnęły, kierowca wrzucił bieg. Konwój ruszył. Brama otworzyła się, kiedy do niej podjechali. Zwolnili, minęli ją dodali gazu i pokonali w tumanach kurzu pierwszą milę.

Platon przyjrzał się siedzącym przed nim facetom.

Można ich było opisać na wiele różnych sposobów.

Najtrafniejsze były jednak słowa „do zastąpienia”.

•••

Siedem osób z trudem mieściło się w kuchni Janet Salter. Peterson i cztery policjantki mieli broń przy pasach, co ich poszerzało. Reacher i bez tego nie był wąski od łokcia do łokcia. Może dlatego atmosfera zrobiła się przytulna. Janet Salter była z początku spięta, podobnie jak z innych powodów Reacher i Peterson. Policjantki radośnie trajkotały. A potem Janet Salter zaczęła się odprężyć, a Reacher i Peterson podjęli bez słów wspólną decyzję, żeby na razie sobie odpuścić, i przyłączyli się do rozmowy. Wszyscy opowiadali jakieś historie. Janet Salter dawno temu chodziła do miejscowej podstawówki. Chłopców z farmerskich rodzin już w listopadzie zaszywano w zimową bieliznę, której mogli się pozbyć dopiero w marcu. W styczniu smród był okropny. W lutym nie do zniesienia.

Peterson miał inne wspomnienia. Był dwa razy młodszy od Janet Salter. Jego szkoła nie różniła się od tych, które oglądał we wszystkich telewizyjnych serialach. Czuł się częścią Ameryki, póki nie spojrzał na mapę. Siedemset mil do najbliższej drużyny Major League. Setki mil dokądkolwiek. Coś mu

272

podpowiadało, że nigdy stąd nie wyjedzie. Przyznawał to całkiem otwarcie.

Dwie policjantki pochodziły z Dakoty Północnej. Przyjechały na południe w poszukiwaniu pracy. I cieplejszego klimatu, dodała jedna z uśmiechem. Chodziły do podobnych szkół co Peterson. Reacher niewiele się odzywał, ale wiedział, o czym mówią. Szafki, sala gimnastyczna, gabinet dyrektora. Uczył się w siedmiu podstawówkach, które prowadzono w zagranicznych bazach i importowano wprost ze Stanów niczym standaryzowane zestawy części. Na zewnątrz była parna i upalna Manila albo Leyte, względnie chłodne i wilgotne Niemcy lub Belgia, ale za murami było tak samo jak w Dakocie Południowej i Północnej, w Maine lub na Florydzie. Zdarzało się, że miał dwanaście tysięcy mil do najbliższej drużyny Major League. Jakaś część jego natury mówiła mu, że nigdzie nie osiadzie na stałe.

Po deserze i kawie sprzątnęli ze stołu i pozmywali, wszyscy razem, częściowo po koleżeńsku, częściowo w ramach obowiązków zawodowych. Policjantki z dziennej zmiany skończyły dyżur i poszły na górę. Policjantki z nocnej zajęły stanowiska w holu i w bibliotece. Janet Salter wzięła książkę. Reacher i Peteron poszli zaczekać w salonie.

Osiemnasta pięćdziesiąt pięć.

Jeszcze dziewięć godzin.

30

Peterson co chwila zerkał na zegarek. Reacher odmierzał czas w głowie. Siódma. Pięć po siódmej. Dziesięć po siódmej. Na ulicy nic się nie działo. Widok za poręczą werandy był taki sam jak wcześniej. Śnieg, lód, wiatr, zaparkowany samochód Petersona, policyjny radiowóz, czujny kierowca. Peterson wyjął glocka, sprawdził go i z powrotem umieścił w kaburze.

Reacher trzymał rewolwer w kieszeni spodni. Nie musiał sprawdzać, czy tam jest. Czuł jego ciężar.

Peterson stał przy oknie. Reacher usiadł w fotelu Janet Salter. Rozmyślał o pasie startowym, starym murowanym budynku i drewnianych barakach.

Szczególnie o tym pierwszym.

— Czy Kim ma siostrę? — zapytał.

— Nie — odparł Peterson.

— Siostrzenicę albo kuzynkę?

— Żadnej siostrzenicy. Kilka kuzynek. Dlaczego pytasz?

— Myślę o dziewczynie, którą zobaczyłem w baraku, tej, która siedziała na łóżku.

Wydała mi się znajoma. Z początku pomyślałem, że widziałem ją już wcześniej. Ale to chyba niemożliwe. Więc teraz próbuję ją umiejscowić. Albo reprezentuje miejscowy typ urody, albo przypomina z wyglądu kogoś, kogo widziałem.

274

— Tak naprawdę nie mamy tu miejscowego typu urody.

— Tak uważasz? Ty i komendant Holland wyglądacie tak samo.

— Jest ode mnie starszy.

— Abstrahując od tego.

— Może trochę. Ale nie ma czegoś takiego jak miejscowy typ urody — upierał się policjant.

— W takim razie tamta dziewczyna wyglądała jak ktoś, kogo tu widziałem. Chyba pierwszej nocy. A jedyną kobietą którą widziałem tutaj pierwszej nocy, była Kim.

— I starsze panie w autobusie.

— Zupełnie niepodobne.

— Kelnerka w restauracji?

— Nie, to nie ona.

— Kim nie ma siostr. Ani siostrzenic. A wszyscy jej kuzyni to chyba chłopcy.

— Rozumiem — mruknął Reacher.

— Może widziałeś jakiegoś faceta? Bracia i siostry mogą być do siebie podobni. Lowell ma siostrę, która wygląda dokładnie tak jak on. Pamiętasz go? Ten policjant, którego spotkaliśmy?

— Współczuję jej — westchnął Reacher.

— Swoją drogą jak wyglądała tamta tajemnicza dziewczyna?

— Wysoka, chuda, jasnowłosa.

— Wszyscy jesteśmy wysocy, chudzi i jasnowłosi.

— O to mi właśnie chodzi.

— Ale potrafisz nas odróżnić.

— Kiedy się skupię — odparł Reacher.

Peterson uśmiechnął się lekko i odwrócił do okna. Reacher stanął obok niego. Dziewiętnasta dwadzieścia. Cisza i spokój.

•••

Daleko na południowym wschodzie Susan Turner znowu wybrała numer. Jej znajomy w siłach powietrznych odebrał po

275

pierwszym dzwonku. Powiedział, że właśnie podnosił słuchawkę, żeby do niej zadzwonić. Bo ma dla niej wiadomość. Przed chwilą otrzymał akta, o które prosiła.

— Więc co tam jest pod ziemią? — zapytała Susan.

Znajomy powiedział.

— To niezbyt konkretna informacja — stwierdziła. — Czy mógłbyś to w jakiś sposób uściślić?

- Powiedziałaś, że to sprawa prywatna i nieoficjalna.
- Bo to prawda.
- Można odnieść wrażenie, że od tego zależy twój następny awans.
- Próbuję po prostu komuś pomóc. Nie uda mi się to, jeśli nie będę znała konkretów.
- Komu próbujesz pomóc?
- Przyjacielowi — odparła po chwili Susan Tumer.
- Jak bliskiemu przyjacielowi?
- Jeszcze nie wiem.
- Jak blisko chciałabyś się z nim zaprzyjaźnić?
- Dość blisko, by warto było jeszcze trochę poszperać.
- W porządku. Jeszcze trochę poszperam. Odezwę się.

•••

O dziewiętnastej trzydzieści Janet Salter zaczęła kręcić się po domu. Reacher usłyszał ją w holu. Policjantka na najniższym schodku powiedziała, że kolacja była pyszna, a Janet Salter coś grzecznie odpowiedziała. Po chwili weszła do salonu. Reacher chciał ją wysłać do piwnicy, ale postanowił zaczekać, aż zawyje syrena. Wydawało mu się, że Janet Salter będzie bardziej skłonna go posłuchać, kiedy znowu usłyszy to nieziemskie wycie.

- Co się dzieje? — zapytała.
- Dlaczego pani sądzi, że coś się dzieje? — odparł Peterson.
- Bo siedzi pan tutaj, zamiast wracać do domu, do pani Peterson i dzieci. I ponieważ pan Reacher jest jeszcze bardziej małomówny niż zwykle.

276

- Nic się nie dzieje — zapewnił Peterson.
- O ósmej w więzieniu sprawdzają obecność — wyjaśnił Reacher. — Mamy powody sądzić, że będzie o jednego więźnia mniej. Ogłoszą alarm.
- O ósmej?
- Może minutę po.
- Ucieczka?
- Sądzimy, że już do niej doszło — powiedział Peterson. — Odkryją ją przy sprawdzaniu obecności.
- Rozumiem.
- Nie odjadę stąd — oświadczył Peterson.
- Jestem panu wdzięczna za troskę, ale powinnam pana stąd wygonić. Będzie pan naszym następnym szefem policji. Dla dobra miasta nic nie powinno stanąć temu na przeszkodzie.
- To szaleństwo.
- Nie, właśnie w ten sposób podejmuje się właściwe decyzje. Ktoś musi przestać myśleć tylko o sobie.
- Nie mogę tego zrobić.
- Umowa to umowa, nawet jeśli komendant Holland jej nie dotrzymał.
- Nie odjadę stąd.
- Odjedzie pan.

•••

Dowództwo Służby Bezpieczeństwa Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych mieści się w bazie lotniczej Lackland w Teksasie. W jej strukturze nie ma dokładnego odpowiednika funkcjonującej w wojskach lądowych sto dziesiątej specjalnej jednostki żandarmerii. Za najbliższą jej formację można uznać program Phoenix Raven, który składa się z kilku wyspecjalizowanych zespołów. Jednym z nich kierował facet, który po zakończeniu rozmowy z Susan Turner zadzwonił do stacjonującego tysiąc mil dalej archiwisty.

- Przekazałem panu wszystko, co mam, majorze — zapewnił archiwista.

277

- Informacja jest mało konkretna.
- Nic na to nie poradzę.
- Musi być coś więcej.
- Nie ma.
- Jak dokładnie sprawdzałeś?
- Wpatrując się w pustą kartkę, nie spowoduję, że pojawią się na niej słowa.
- Skąd pochodziła dostawa?
- Chce pan, żebym odtworzył trasę jednego konkretnego lotu sprzed pięćdziesięciu lat?
- Możesz to zrobić?
- Przykro mi, majorze, ale to niewykonalne. Mówimy tutaj o zamierzchłych czasach. Równie dobrze mógłby mnie pan spytać, co jadł na lunch neandertalczyk milion lat temu, licząc od ostatniego czwartku.

•••

O dziewiętnastej pięćdziesiąt w domu Janet Salter zapadła cisza. Przebywające w nim osoby przeszedł dreszcz grozy. Policjantka w holu zeszła ze schodka i stanęła tuż przy drzwiach. Policjantka w bibliotece podeszła bliżej do okna. Peterson obserwował ulicę. Janet Salter była w salonie i wyrównywała książki na półkach. Ustawiała ich grzbiety w jednej linii drobnymi, nerwowymi ruchami prawej ręki.

Reacher siedział rozwalony w fotelu z zamkniętymi oczyma. Nic nie może się zdarzyć przed włączeniem syreny.

Zegar tykał.

Dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało osiem godzin.

31

Zegar w głowie Reachera wybił dwudziestą. Nic się nie wydarzyło. Na dworze nadal panował mroźny bezruch. Słysząc było tylko szum wiatru, chrobot i szelest zmrożonych iglaków, skrzypienie pni drzew i pierwotny tektoniczny dygot stygnącej ziemi.

Minuta po dwudziestej.

Nic się nie wydarzyło.

Dwie po dwudziestej.

Nic się nie wydarzyło.

Żadnego dźwięku.

Żadnej syreny.

Nikt nie nadchodził.

Peterson spojrział na Reachera, a ten wzruszył ramionami. Janet Salter wyjrzała przez okno.

Na ulicy nic się nie działo. Policjantka w holu poruszyła się. Reacher usłyszał skrzypnięcie deski pod jej stopami.

Trzy po dwudziestej.

Nic się nie wydarzyło.

Cztery minuty.

Pięć. Sześć.

279

Siedem.

Nic się nie wydarzyło.

Żadnego dźwięku, żadnej syreny.

Nic.

•••

Kwadrans po dwudziestej dali sobie spokój i przestali się zamartwiać. Peterson był przekonany, że nie można opóźnić sprawdzania obecności. W więzieniu rygorystycznie przestrzega się przepisów. Gdyby cele nie zostały zamknięte dokładnie

0 dwudziestej, trzeba by to zapisać w dzienniku zdarzeń, wypełnić w trzech egzemplarzach odpowiednie formularze

1 strażnicy musieliby się gęsto tłumaczyć. Przysporzyłoby to wszystkim zbyt wielu kłopotów, aby zaniedbać to z jakiegokolwiek innego powodu z wyjątkiem więziennych zamieszek. A te, gdyby wybuchły, i tak spowodowałyby uruchomienie syreny. Z tego względu zagrywka się nie udała. Albo adwokat blefował.

Wszystko jasne.

— Jesteś pewny? — zapytał Reacher.

— Na sto procent — potwierdził Peterson.

— Więc udowodnij to. Pokaż, że naprawdę tak myślisz.

— Jak?

— Wracaj do domu — odparł Reacher.

Peterson nie dał się prosić. Zaczekał do dwudziestej dwadzieścia, po czym włożył kurtkę, wsiadł do samochodu i odjechał. Janet Salter przestała wyrównywać książki i zabrała się do lektury. Policjantka w holu wróciła na najniższy schodek. Policjantka w bibliotece odsunęła się od okna. Reacher usiadł w kuchni i zastanawiał się, czy zawracać głowę Janet Salter i prosić o pozwolenie, czy też samemu zaparzyć sobie więcej kawy. Wiedział, jak obsługiwać taki ekspres. Jego matka miała podobny, mimo że była Francuzką. W końcu włączył go bez pytania. Przez jakiś czas słuchał, jak bulgocze i syczy, a kiedy się uspokoił, nalał sobie kawy do kubka.

280

Podnosząc go, oddał drwiący salut swojemu odbiciu w szybie i upił łyk.

•••

O dwudziestej trzydzięci w holu zadzwonił telefon. Policjantka wstała z najniższego schodka, podeszła do stolika i odebrała. Telefon był do Reachera. Dzwoniła kobieta z Wirginii. Policjantka przyłożyła skrzyżowane palce do oczu i spojrzała na drzwi. „Popilnuj wejścia, to nie będę ci stała nad głową”. Reacher kiwnął głową, usiadł i wziął do ręki słuchawkę.

— Czterdzieści ton przeznaczonych dla lotników nadwyżek, które zostały z drugiej wojny światowej — powiedziała kobieta z Wirginii.

— To mało konkretne.

— Nie musisz mi tego mówić. Mój facet starał się, jak mógł, ale to wszystko, czego się dowiedział.

— Jakiego rodzaju nadwyżki mogli mieć po drugiej wojnie światowej?

— Chyba żartujesz. Wszelkiego rodzaju. Bomba atomowa wszystko zmieniała. Zamiast mnóstwa samolotów przewożących małe bomby potrzebowali teraz niewielu samolotów przewożących wielkie bomby. Mogli mieć czterdzieści ton samej bielizny dla pilotów. No i przesiedli się z maszyn o napędzie śmigłowym na odrzutowce. Dostali hełmy. To może być choćby czterdzieści ton tych staroświeckich skórzanych czapek.

— Chciałbym mieć teraz jedną z nich.

— Przestań marudzić.

— Jaka jest u ciebie temperatura?

— Minus dwadzieścia sześć stopni.

— Mam wrażenie, że jest niższa.

— Będzie niższa. Na Weather Channel nie wygląda to ciekawie.

— Dzięki za dobre słowo — mruknął Reacher.

— Sam pytałeś.

— Czapki i bielizna?

281

— To musiało mieć coś wspólnego z pokoleniową wymianą sprzętu albo redukowaniem liczby załóg. Albo z jednym i drugim.

— Masz coś na temat rozmiarów i planów samego obiektu?

— Cała dokumentacja przepadła dawno temu.

— W porządku — odparł Reacher. — Dziękuję.

— Mój facet puścił farbę. Ten z Fort Hood. Zgodnie z tym, co przewidywałeś.

— Cieszę się.

— Jestem ci zobowiązana.

— Nie, jesteście kwita.

— Niekoniecznie. To mój pierwszy duży sukces.

— Naprawdę? — zdziwił się Reacher. — Od jak dawna jesteś na tym stanowisku?

— Od dwóch tygodni.

— Nie miałem pojęcia. Po głosie można by sądzić, że jesteś tam całe wieki.

— Nie wiem, czy to miał być komplement.

— Z mojej strony na pewno. Powinnaś teraz świętować gdzieś na mieście.

— Wysłałam moich ludzi, żeby świętowali.

— Dobre posunięcie. Przypisz im wszystkie zasługi. Docenią to, a szefostwo i tak będzie wiedziało, kto odwalił całą robotę. Wygrasz na obu frontach.

— Ty też tak robiłeś?

— Zawsze. Twierdziłem, że nie zrobiłem nic specjalnego. W wielu przypadkach była to oczywiście prawda.

— Z twoich akt wynika coś innego.

— Nadal zaglądasz do tych staroci? Nasze stosunki są bardzo asymetryczne, jeśli chodzi o informacje.

— Życie jest podłe, koleś.

— Jak mnie nazwałaś?

— Chciałam, żeby to zabrzmiało w stylu kalifornijskiej blondynki.

— Rozumiem.

282

— Naprawdę?

— Nie jesteś blondynką i nie pochodzisz z Kalifornii.

— To ci chyba nie przeszkadza?

— Brunetki też mi pasują. Brązowe oczy?

— Zgadłeś.

— Długie włosy, tak?

— Dłuższe, niż powinny.

— Doskonale.

— Interesuje cię również rozmiar miseczki?

— Będę szczery. W twoim głosie nie słyhać dużego biustu. Kobieta z Wirginii się roześmiała.

— Dobrze, przyznaję się. Masz rację.

— Wzrost?

— Pięć stóp i siedem cali.

— Jasna czy ciemna karnacja?

— Gdzieś pośrodku. Ale szybko się opalam.

— Chcesz odwiedzić w zimie Dakotę Południową? Kobieta z Wirginii znowu się roześmiała.

— Wolę plażę.

- Ja też. Skąd pochodzisz?
- Z Montany. Z małego miasteczka, o którym nigdy nie słyszałeś.
- Sprawdź mnie. Byłem kiedyś w Montanie.
- Hungry Horse?
- Faktycznie nie słyszałem.
- Mówiłam. Leży niedaleko Whitefish.
- Lubisz wojsko?
- A ty?
- Masz moje akta osobowe — przypomniał Reacher.
- I ciągle zadaję sobie to samo pytanie, człowieku. Skoro tak bardzo nienawidziłeś wojska, dlaczego nie odszedłeś, kiedy był dobry czas, żeby odejść?
- Nie nienawidziłem wojska. Chciałem tylko naprawić to, co było w nim złe.
- To nie twój przedział płacowy.

283

- W końcu to do mnie dotarło. — Reacher rozejrzał się po holu. Zamknięte drzwi, ciemna boazeria, olejne obrazy, perski dywan. Zdobył wszystkie informacje, jakie kiedykolwiek był w stanie uzyskać od jednostki sto dziesiątej. Nie ma powodu, by przeciągać tę rozmowę.
- Co w ogóle robisz w Dakocie Południowej? — chciała wiedzieć kobieta z Wirginii.
- Jechałem autobusem, który wpadł do rowu. Ugrzęzłem tutaj.
- Życie to gra.
- Ale karty są znaczone. Żaden autobus, którym kiedykolwiek jechałem, nie rozbił się tam, gdzie jest ciepło.
- Grzecznie się zachowujesz?
- Dlaczego miałoby być inaczej?
- W aktach zaznaczany jest każdy przypadek, kiedy o informacje na temat delikwenta prosi jakaś zewnętrzna agencja. FBI, lokalne siły policyjne czy ktoś podobny. W ciągu minionych dwunastu lat pytano o ciebie mnóstwo razy.
- A w ciągu ostatnich dwóch dni?
- Wyciąg z twoich akt przesłano Thomasowi Hollandowi z policji w Bolton.
- Jest tu komendantem. To chyba rutynowe działanie. Chciał wiedzieć, czy jestem odpowiednio wyszkolony, bo potrzebował mojej pomocy. Wtedy, kiedy wydawało mu się, że ten murowany budynek należy do wojsk lądowych. Czy był jakiś ciąg dalszy?
- Nie.
- To dlatego, że grzecznie się zachowuję.

Długa pauza.

Czas kończyć.

- Jak masz na imię? — zapytał.
- Czy to ważne?
- Mógłbym to sam ustalić. Wojsko jest w tej chwili tak urządzone, że pewnie można cię znaleźć na jakiejś stronie internetowej.

284

- Chyba żartujesz? Sto dziesiąta? Nie ma mowy. W ogóle nie istniejemy.
- Więc jak masz na imię?
- Susan.
- Ładne imię.
- Ja też tak uważam.

Kolejna długa pauza.

Czas kończyć.

- Czy twój znajomy z sił powietrznych stacjonuje w Lack-land? — zapytał.

- Tak. Kontaktuje się z ich archiwum w Kolorado.
- Poproś go, żeby spróbował raz jeszcze. Te rzeczy najwyraźniej przybyły tu drogą powietrzną. Musiał być jakiś list przewozowy.
- Spróbuję.
- Oddzwonisz?
- Żebyś wiedział.

•••

Reacher wrócił do kuchni i nalał sobie kolejny kubek kawy. W domu panowała cisza. Z zewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki. Ze środka domu także, z wyjątkiem podprogowych wibracji wysyłanych przez ludzi, którzy koncentrują się na wykonywanym zadaniu. Rodzaj ciszy, którą Reacher słyszał setki razy. Zaniósł kubek do salonu i zastał tam czytającą Janet Salter.

- Pije pan kawę — zauważyła, podnosząc wzrok znad książki.
- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.
- Skądże. Ale czy kawa pana zbytnio nie pobudzi?

Reacher pokiwał głową.

- Do momentu, kiedy będę chciał zasnąć.
- Co u niej?
- U kogo?
- U tej kobiety z Wirginii.

285

— Wszystko w porządku. — Reacher podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Śnieg, lód, zaparkowany radiowóz, poruszające się sztywno na wietrze zmrożone liście. Błede światło księżyca, wysokie chmury, odległa pomarańczowa poświata sodowych latarni na północy i wschodzie. — Cisza, spokój — powiedział.

— Myśli pan, że w więzieniu federalnym i stanowym sprawdza się obecność o tej samej porze co w okręgowym? — zapytała Janet Salter.

- Tak mi się wydaje.
- Więc na razie jesteśmy bezpieczni. Więźniowie zostali policzeni i do rana nie powinno dojść do żadnych awantur.

- W zasadzie.
- Ale?
- Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze.
- To pańska dewiza?
- Jedna z wielu.
- Jakie są inne?

— Nigdy nie wybaczej, nigdy nie zapominaj. Zrób to raz i zrób to porządnie. Kto sieje wiatr, zbiera burzę. Kiedy pada pierwszy strzał, wszystkie plany diabli biorą. Chroń i służ. Nigdy nie schodź z posterunku.

- Jest pan tak samo wymagający wobec siebie jak wobec innych.
- To okrutne, ale uczciwe.
- Nie wytrzymam dłużej tego napięcia.
- Mam nadzieję, że nie będzie pani musiała.
- Po raz pierwszy w życiu się boję. To coś bardzo elementarnego, prawda?
- To po prostu kwestia wyboru — odparł Reacher.
- Chyba wszyscy boją się śmierci.
- To kolejna dewiza. Ja nie boję się śmierci. To śmierć boi się mnie.
- Mam wrażenie, jakby starał się pan sam siebie przekonać.
- Staram się. Przez cały czas. Może mi pani wierzyć.

286

— Więc boi się pan śmierci.

— Kiedyś wszyscy musimy odejść. Zależy chyba, jaką to przybiera formę.

Janet Salter milczała przez chwilę.

— Dwa lata temu spotkałam w Yale moją następczynię — odezwała się w końcu. — Na konferencji bibliotekarzy. To było ciekawe doświadczenie. Rozumiem, że pan czuje się podobnie, rozmawiając z tą kobietą z Wirginii.

— Nie jest moją następczynią. Nie bezpośrednio. Tę funkcję sprawowało między nami pewnie sześć albo siedem osób. Może więcej. To dalekie powinowactwo. Prawie archeologiczne.

— Czy jest od pana lepsza?

— Pewnie tak.

— Ja też doszłam do takiego wniosku. Z początku mnie to przygnębiło. A potem zdałam sobie sprawę, że powinno mnie to podnieść na duchu. Bo świadczy o postępie. Świat nadal idzie do przodu.

— Od jak dawna jest pani na emeryturze? — zapytał Reacher.

— Od przeszło dziesięciu lat.

— Więc wróciła pani tutaj, zanim zbudowano więzienie?

— Kilka lat wcześniej. Miasto było wtedy inne. Ale chyba nie aż tak bardzo. Prawdziwe zmiany dopiero nas czekają. Nadal jesteśmy w fazie przejściowej. Prawdziwa zmiana nastąpi, kiedy do tego przywykniemy. Na razie jesteśmy miastem, w którym zbudowano więzienie. Wkrótce staniemy się miastem więziennym.

— Więc jakie było wtedy Bolton?

— Spokojne. Ciche. O połowę mniejsze. Komendant Holland był młodym człowiekiem z rodziną. Tak jak teraz Andrew Peterson. Nie wiem dlaczego, ale to właśnie jest dla mnie symbolem zmiany, jaka tu zaszła. Byliśmy weseli, młodzi i beztroscy. Nie starzy, znużeni i zgorzkniali jak teraz.

— Co się stało z żoną Hollanda?

287

— Rak. Na szczęście nie trwało to długo. Ich córka Liz miała wtedy piętnaście lat. Co mogło się okazać kłopotliwe, ale ona zniosła to chyba dość dobrze. Dostała imię po matce. Do matki mówili Betty, do niej Liz. Były do siebie pod każdym względem bardzo podobne. Co mogło się okazać kłopotliwe również dla komendanta, ale jakoś przez to przebrnął. Zaangażował się wtedy w budowę więzienia. Umysł miał zajęty czym innym.

— Dlaczego Lowellowie się rozwiedli?

— Mówiłam już panu, że nie wiem. Ale fakt, że nikt o tym nie mówi, rodzi pewne spekulacje, prawda?

— Rozwód był z jego czy jej winy?

— Och, chyba jego.

— Peterson powiedział, że Lowell ma siostrę, która wygląda dokładnie tak jak on.

— Na swój sposób. Jest od niego znacznie młodsza. Wygląda bardziej na siostrzenicę.

— Zostanie pani tutaj, nawet kiedy Bolton stanie się miastem więziennym?

— Ja? Jestem za stara, żeby zaczynać gdzieś nowe życie. A pan?

— Nie mógłbym tu zostać. Jest zbyt zimno.

— W końcu będzie pan musiał gdzieś osiąść.

— Na razie mi to nie grozi.

— Zobaczymy, co pan powie za trzydzieści lat.

— To daleka perspektywa.

— Zbliży się szybciej, niż pan się spodziewa.

Reacher postawił pusty kubek na niskim stoliku. Nie był pewny, czy ma zostać, czy pozwolić pani Salter czytać. Nie wiedział, co by wolała.

— Niech pan siada — powiedziała. — Będę miała mnóstwo czasu na czytanie, kiedy skończy się cała ta afera.

Reacher usiadł.

— Nie jest panu zimno? — zapytała.

— Nie, ciepło mi — odparł. I rzeczywiście było mu ciepło.

288

Staroświecki kaloryfer pod oknem solidnie ogrzewał pomieszczenie. Gorąca woda w rurach bezustannie obiegała cały dom. Słyszał ją. Słyszał zarośnięte kamieniem kolanko u szczytu schodów, które syczało trochę głośniejsze niż inne. Wyobraził sobie huczący piec i pracującą ostro pompę w piwnicy. Nieograniczone ciepło, dostępne przez całą dobę. To o wiele lepsze od tego, z czym zetknął się na farmie Andrew Petersona, od starego żeliwnego piecyka na drewno, wygaszanego na noc i stygnącego aż do rana.

Przez chwilę wpatrywał się w ścianę.

— Głupek — mruknął nagle.

— Kto, jeśli wolno spytać? — zapytała Janet Salter.

— Ja. Muszę zadzwonić — powiedział, po czym wstał i wyszedł z salonu. — Potrzebny mi jest domowy numer Andrew Petersona — powiedział do siedzącej na najniższym schodku policjantki.

— Nie wiem, czy wolno mi go panu dać.

— Więc niech go pani sama wybierze. Nie będę patrzył.

Policjantka wybrała numer. Zaczekała, aż w słuchawce

odezwie się sygnał, i oddała ją Reacherowi. Odebrała Kim Peterson. Reacher się przedstawił.

— Bardzo przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę mówić z Andrew.

— Właśnie wrócił do domu.

— Wiem. Przepraszam. Ale to ważne.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Może Kim musiała wyciągać Petersona z jego gabinetu.

— Jakiś problem? — usłyszał w końcu w słuchawce jego głos.

— Wprost przeciwnie. Wiem, gdzie jest klucz do murowanego budynku.

Dwudziesta pięćdziesiąt pięć.

Jeszcze siedem godzin.

32

Reacher słuchał przez minutę Petersona, który zastanawiał się na głos, co robić.

— Więzienie zamknięto przed godziną — powiedział — więc syrena nie zawyje. Nie może zawyc, prawda? Nie ma takiej możliwości. Zabójca może oczywiście zaatakować, nie czekając na alarm w więzieniu, ale w takiej sytuacji mamy wystarczająco dużo ludzi, żeby mu przeszkodzić. Cztery funkcjonariuszki w domu, trzech funkcjonariuszy na ulicy. Wszyscy są dobrzy. Dopilnowałem tego. Więc nie jest chyba teraz ważne, czy tam jesteś, czy cię nie ma. Nie jesteś potrzebny. W tym momencie. Nic się nie stanie, jeśli opuścisz dom. Nie jesteś potrzebny. Zgadzasz się?

— Nic się nie stanie — odrzekł Reacher.

— Podjadę po ciebie za dziesięć minut.

•••

Reacher wrócił do salonu. Janet Salter spojrzała na niego. Powiedział jej, dokąd się wybiera i dlaczego.

— Co pani robi, jeśli gliniarze będą musieli odjechać? — zapytał.

— Zamknę się w piwnicy — odparła.

— Z czym?

290

— Z rewolwerem.

- Kiedy?
- Chyba od razu.
- Tak jest — zgodził się Reacher. — Od razu, natychmiast, bez zbędnej zwłoki, zanim jeszcze policjantki przekroczą próg domu. Zamknij się pani i będzie czekała, aż wrócę.
- I poda hasło.
- Tak jest. Nawet jeśli policjantki nie odjadą zejdzie pani na dół, jeśli wyczuje pani, że coś jest nie w porządku. Wyczuje jakiś niepokój, zdenerwowanie, złą atmosferę.
- Sądzi pan, że zabójca może się zjawić, nawet jeśli w domu będzie policja?
- Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze. Jeśli policjantki zaczną coś podejrzewać, nie powiedzą pani od razu. Nie będą chciały się skompromitować, jeśli później okaże się, że nie było powodów do niepokoju. Więc musi je pani wyczuć. Proszę zaufać intuicji. Jeśli nabierze pani jakichkolwiek podejrzeń, niech pani szybko schodzi na dół. Równie dobrze może pani paść ofiarą zabłąkanej kuli, jak i tej wycelowanej.
- Jak długo pana nie będzie?
- Jakieś dwie godziny.
- Nic mi się nie stanie.
- Nic się pani nie stanie, jeśli zrobi pani to, co każe.
- Zejdę na dół, obiecuję. Zejdę na dół, zamknę drzwi i poczekam na hasło.

Reacher pokiwał głową i nic nie powiedział.

Nic się nie stanie.

•••

Przed wyjściem z domu wbił się w swoją gigantyczną kurtkę. Sprawdził, czy ma w kieszeniach czapkę, rękawice i rewolwer. Zadzwoił telefon. Dyżurująca w holu policjantka odebrała go i podała mu bez słowa słuchawkę.

- Tak? — zapytał, spodziewając się, że to Peterson.

To była kobieta z Wirginii.

291

- Mamy dane z listu przewozowego — oznajmiła.
- Ico?
- Chyba do końca życia będę ci się odwdzięczała za tamtą drobną przysługę. Wiesz, jak trudno było to znaleźć? Skrawek papieru sprzed pięćdziesięciu lat?
- Mają swoich archiwistów tak samo jak my. Co innego mają do roboty?
- Twierdzą, że mnóstwo.
- Nie wierz im. Co jest w liście przewozowym?
- Czterdzieści ton nadwyżek wojennych przewożonych drogą powietrzną z dawnych baz Ósmej Armii Lotniczej w Zjednoczonym Królestwie. Z lotnisk we wschodniej Anglii, gdzie podczas drugiej wojny stacjonowały nasze bombowce. Zamknęli je w połowie lat pięćdziesiątych. Pasy startowe nie były już wystarczająco długie.
- Czy piszą, co to były za nadwyżki?
- Tak i nie. Ogólnie mowa jest o artykułach przeznaczonych dla załóg lotniczych. Konkretnie podana jest nazwa producenta, którego nikt nie pamięta, i kod towaru, którego nikt nie potrafi rozszyfrować.
- Nawet ludzie z Lackland?
- Nawet oni. To stare dzieje.
- Jeśli dobrze pamiętam stare dzieje, nie sprowadzaliśmy nadwyżek wojennych z Europy. Wyrzucaliśmy je albo sprzedawaliśmy na miejscu. Za uzyskane w ten sposób w miejscowej walucie pieniądze fundowaliśmy stypendia Fullbrighta. Piekliśmy w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu. Pozbywaliśmy się śmieci i jednocześnie propagowaliśmy pokój, braterstwo i wzajemne zrozumienie. Poprzez wymianę edukacyjną.
- To były czasy.

- Co to za kod?
- N zero sześć BA zero trzy.
- Nic mi to nie mówi.
- Nikomu nic nie mówi. To mogła być bielizna. Albo czapki.

292

- Nie przewozilibyśmy czterdziestu ton gaci albo czapek z Europy do Stanów. To nie miałoby sensu. Taniej byłoby je rozdać albo spalić.
- Więc może to było coś, czego nie mogliśmy rozdać. Ani sprzedać. Ani spalić. Ze względów bezpieczeństwa. Na przykład broń krótka. Piloci nosili ją podczas drugiej wojny światowej, na wypadek gdyby zestrzelono ich nad wrogim terytorium.
- Jak się nazywał producent?
- Jakaś firma o nazwie Crown Laboratories.
- Możesz powtórzyć?
- Crown Laboratories.
- Cholera jasna — zaklął pod nosem Reacher.
- Co?
- Czterdzieści ton? Robicie sobie chyba ze mnie jaja.
- Co jest, Reacher?
- Muszę kończyć.

•••

Widząc na ulicy światła samochodu Petersona, Reacher wyszedł na dwór i zbiegł z werandy. Mróz uderzył go w twarz jak obuch. Opony auta Petersona chrzęściły, tocząc się po zamrożonym śniegu. Samochód podjechał bliżej i Reacher wsiadł. Nie zdjął czapki ani rękawic. Z otworów wentylacyjnych dmuchało letnie powietrze. Peterson, podskakując na wybojach, wykręcił na trzy razy, podjechał do głównej ulicy, skręcił w prawo i ruszył na południe. Wolniej, niż pojechałby latem, szybciej, niż pojechałby w godzinie szczytu. Na drodze nie było żadnych innych pojazdów. Minęła dopiero dwudziesta pierwsza, lecz cały stan najwyraźniej szykował się do snu. Wszyscy schronili się w domach. Samochód Petersona był jedynym ruchomym elementem krajobrazu.

Dziesięć mil dalej skręcili w szosę równoległą do autostrady. Na niebie było niewiele chmur i jasno świecił księżyc. Zachodni wiatr nadal niósł drobne igiełki lodu, które osiadały na przedniej szybie i tworzyły na niej szorstką warstwę przypominającą

293

diamentowy pył. Wycieraczki nie mogły jej zebrać. Peterson ustawił dmuchawę na rozmrażanie i pochylony do przodu wpatrywał się w szybę przez ogrzane kręgi, które z każdą milą robiły się coraz mniejsze.

Znowu skręcili w prawo w krętą drogę. Teraz wiatr wiał z lewej strony i szyba już tak nie zamarzała. W końcu zamajaczył przed nimi pas startowy, szary i masywny w mroku nocy. Wjechali na beton i łańcuchy na oponach głośno zagrzechotały.

Szybko pokonali ostatnie dwie mile.

Przed sobą zobaczyli tylne czerwone lampy zaparkowanego samochodu. Za jego ciemnym konturem widać było jasną plamę światła, które padało z przednich reflektorów. Z rury wydechowej wylatywały spaliny, gromadząc się przy ziemi, wirując i ulatując z wiatrem.

Peterson zwolnił i włączył długie światła. Zaparkowany samochód był pusty. Nieoznakowany ford crown victoria. Granatowy albo czarny. Trudno było to określić, patrząc pod światło.

— To wóz komendanta Hollanda — stwierdził Peterson.

Zaparkowali obok, wyszli na siarczysty mróz i znaleźli

Hollanda przy drzwiach pierwszego baraku. Poruszał się sztywno i niezgrabnie, ubrany w futrzaną czapę, grube rękawice i ciężkie buty. Nad jego głową unosiła się chmurka oddechu.

Nie ucieszył się na ich widok.

— Co tu, do diabła, robicie? — zapytał.

W jego głosie brzmiał gniew.

— Reacher wpadł na to, gdzie jest klucz — wyjaśnił Peterson.

— Nie obchodzi mnie, kto na co wpadł. Nie powinniście tu przyjeżdżać. Żaden z was. To skrajna nieodpowiedzialność. Co będzie, jeśli zawyje syrena?

— Nie zawyje.

— Tak sądzisz?

— Nie może. Prawda? Cele są zamknięte, więźniowie policzeni.

294

— Wierzysz w ich procedury?

— Oczywiście.

— Dureń z ciebie, Andrew. Musisz przestać popijać ten cholerny kool-aid. To więzienie to burdel. Zwłaszcza okręgowe, które w tej chwili najbardziej nas interesuje. Jeśli wierzysz, że co wieczór liczą porządnie więźniów, mogę ci sprzedać nadmorską działkę. Pięćdziesiąt doliców za akr, milę stąd.

— Wszystko jest tam nowe jak spod igły.

— Nowy jest metal i beton. Służbę pełnią te same łachudry co gdzie indziej.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że sprawdzanie obecności to pic?

— Chcę przez to powiedzieć, że nie było żadnego sprawdzania obecności. Chcę powiedzieć, że za pięć ósma włączają sygnał dźwiękowy i oczekują, że wszyscy wrócą do cel. A potem dokładnie o ósmej zamykają elektronicznie drzwi.

— Nawet jeśli to prawda, nic nam nie grozi aż do rana.

— W nocy wychodzą na patrole, synu. W planie mają ich dziesięć, co godzina. Dam głowę, że dziewięć sobie odpuszczają. Ale w którymś momencie obchodzą cele z latarkami i sprawdzają prycze, robiąc to, co powinni byli zrobić o ósmej.

— Mówisz poważnie?

— Taka jest ludzka natura, Andrew. Pogódź się z tym.

— To znaczy, że mamy wracać?

Holland milczał przez chwilę.

— Nie, i tak będziemy musieli jechać tą drogą. W najgorszym razie pani Salter będzie sama przez pięć minut. Może przez dziesięć. To ryzyko, które musimy podjąć. Ale żałuję, że w ogóle tu przyjechaliście.

— A pan po co tu przyjechał? — zainteresował się Reacher.

Holland spojrział na niego.

— Przyjechałem, bo wpadłem na to, gdzie jest klucz — odparł.

— Brawo.

295

— Niekoniecznie. W taką noc jak ta mógł na to wpaść każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie.

— Gdzie on jest? — zapytał Peterson.

•••

Klucz był w naftowym piecyku, w pierwszym baraku. Doskonała kryjówka z opóźnionym czasowo dostępem. Grzejnik, zbyt gorący, by zajrzeć do niego wcześniej, teraz był zimny. Niczym piecyk w domu Petersona. „Spalacie całe miejsce i przesiejcie popiół. Klucz sił powietrznych jest pewnie zrobiony z tego samego materiału co głowice nuklearne. Przetrwa”, powiedziała kobieta z Wirginii i miała rację. Klucz przetrwał. Był w doskonałym stanie. Rzucono go prosto na palnik i rozgrzał się, a potem ostygł bez żadnych negatywnych konsekwencji. Duży, w kształcie litery T, miał trzy cale szerokości, skomplikowane zęby,

matowy połysk rzadkiego metalu. Być może tytanu. Z dawnych czasów, kiedy paranoja nie pozwalała na żadne sceptyczne pytania o koszty.

Reacher wyjął go z piecyka i podał Hollandowi, który zaniósł go do drzwi murowanego budynku, włożył do zamka i przekręcił. Rygiel odskoczył.

33

Reacher nacisnął klamkę, która obróciła się sześćdziesiąt stopni w dół, zdecydowanie i jednocześnie precyzyjnie. Niczym w staroświeckim sejfie bankowym. Drzwi były bardzo ciężkie, jakby ważyły tonę. Na zewnątrz tworzyła je dwucalowa stalowa płyta, od wewnątrz, dwa cale od krawędzi, znajdowała się gruba na dziesięć cali prostokątna wypukłość, która wchodziła gładko w próg i futrynę i przypominała przyspawane stalowe pudło.

Prawdopodobnie wypełnione ceramiką. Zamknięte drzwi przylegały równo do ściany.

Zawiasy były potężne, jednak ostatnio ich nie oliwiono. Skrzypiały, zgrzytały i protestowały. Ale drzwi udało się otworzyć. Reacher odciągnął je na szerokość dwóch stóp, po czym wślizgnął się do środka, stanął z drugiej strony, zapał się i odsunął je do końca. Miał wrażenie, że pcha zepsutą ciężarówkę. W środku budynku panowała ciemność. — Latarki — mruknął Holland.

Peterson pobiegł do samochodów i wrócił z trzema latarkami. Zapalili je i w snopach światła ukazał się betonowy bunkier

0 długości może trzydziestu i szerokości dwudziestu stóp. Wysoki na dwa piętra. Tynk i ozdoby na zewnątrz służyły wyłącznie zachowaniu pozorów. Wewnątrz budynek był prosty

1 konkretny aż do bólu. Pośrodku znajdował się pionowy szyb,

297

a w nim prowadzące w dół spiralne schody. Wydobywające się z szybu powietrze było suche i stęchłe, jak w grobie. Jak w komorze faraona w samym środku starożytnej piramidy. Otwór na schody był idealnie okrągły. Podłogę odlano z grubego na dwie stopy betonu. Zespawane z prostych stalowych profili stopnie znikwały w mrocznej otchłani.

— Nie ma windy — zauważył Peterson.

— Zużywa za dużo energii — wyjaśnił Reacher. Starał się ignorować wewnętrzny głos, który wskazywał pedantycznie, że spirala jest figurą płaską. Dwuwymiarową. Z tego względu określenie „spiralne schody” jest bez sensu. To schody helikalne. Helisa jest figurą trójwymiarową. Nic jednak na ten temat nie powiedział. Nauczył się tego nie robić.

Zrozumiałaby go może Susan w Wirginii. A może nie.

— Wyobrażacie sobie? — powiedział Holland, przerywając milczenie. — Macie po siedem lat, szykujecie się, żeby zejść tam na dół i wiecie, że nie wyjdziecie stamtąd, aż będziecie dorośli?

— Zakładając, że w ogóle byśmy to dotarli — odparł Reacher. — Co nie mogło się zdarzyć. Cały ten pomysł był poroniony. Zbudowali po prostu najdroższy na świecie magazyn.

Obok szybu klatki schodowej z podłogi wystawały dwie szerokie metalowe rury wentylacyjne. Każda z nich miała może dwie stopy średnicy. Wystawały mniej więcej na jard i urywały się jak dwa szerokie kominy. Dokładnie nad nimi w betonowym stropie znajdowały się dwa okrągłe otwory. Pierwszy z szybów, zaprojektowany jako kanał nawietrzający, miał być pewnie podłączony do jednego z fałszywych kominów budynku i zaopatrzony w wentylatory i oczyszczające skażone powietrze filtry i skrubery. Drugi miał być kanałem odpowietrzającym podłączonym do drugiego fałszywego komina. Instalacja nie była kompletna. Nigdy jej nie ukończono. Fałszywe kominy były zapewne zamknięte od środka w prowizoryczny sposób, który przetrwał pięćdziesiąt lat. W bunkrze nie było śladów opadów deszczu ani śniegu.

298

Reacher podszedł do jednej z rur i poświecił latarką prosto w dół. Miał wrażenie, że zagłębia w głąb studni. Nie zobaczył dna. Rurę wyłożono w środku nierdzewną stalą. Gładką i lśniącą. Skuteczny przepływ powietrza. Żadnych turbulencji, osadów i gromadzenia się brudu. Nie przewidywano regularnego czyszczenia. Nie ocalałby nikt, kto mógł to robić.

Następnie cofnął się, pochylił nad poręczą i zaświecił latarką w głąb szybu. Nie zobaczył niczego poza schodami, które kręciły się bez końca wokół prostej stalowej rury. Żadnej poręczy od zewnętrznej strony. Za mało miejsca.

— Ten szyb jest bardzo głęboki — stwierdził.

Własny głos wrócił do niego echem.

— Pewnie musiał taki być — odrzekł Holland.

Stopnie pomalowano kiedyś na czarno, ale liczne obcasy starły ich krawędzie do gołego metalu. Poręcz wokół otworu była porysowana i brudna.

— Ja pójde przodem — powiedział Peterson.

Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt pięć.

Zostało sześć godzin.

•••

Reacher zszedł, aż głowa Petersona znajdzie się siedem stóp niżej, i ruszył za nim. Schody biegły idealnie okrągłym pionowym szybem o ścianach z gładkiego betonu. Miejsca było niewiele. Podczas budowy napotkano trudności. „Projekt zmieniano kilkakrotnie w trakcie budowy z powodu rodzaju podłoża, jakie napotkali”, powiedziała kobieta z Wirginii, czytając załączony do akt faks. To podłoże sprawiło, że średnica wywierconego otworu nie przekraczała niezbędnego minimum. Ramiona Reachera ocierały się z jednej strony o beton, z drugiej o rurę. Największy problem miał jednak ze stopami. Były za duże. Helikalne schodki zwięzały się od zewnątrz do wewnątrz. Reacher przez cały czas szedł na piętach. Wiedział, że wchodząc, będzie musiał stąpać na palcach.

Schodzili i schodzili, Peterson pierwszy, Reacher drugi,

299

Holland trzeci. Pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć, potem sto stóp. I jeszcze niżej, bez przerwy kręcąc się w kółko. Światło ich latarek rozjaśniało mrok. Stal pod stopami dudniła i dzwoniła. Powietrze było nieruchome i suche. I ciepłe. Niczym w kopalni odizolowanej od panujących na powierzchni ekstremalnych warunków.

— Widzisz coś?! — krzyknął Reacher.

— Nie! — odkrzyknął Peterson.

Schodzili coraz niżej, kręcąc się w kółko i oświetlając zgodnie z ruchem wskazówek zegara gładkie ściany. Po drodze mijali dziwne akustyczne strefy, gdzie cały szyb rezonował niczym korpus oboju, a odgłosy ich kroków tworzyły osobliwe harmoniczne akordy, zupełnie jakby przygrywało im samo jądro ziemi.

Dwieście stóp.

I jeszcze niżej.

— Chyba jestem na dole! — krzyknął w końcu Peterson.

Reacher ruszył, stukając obcasami, za nim.

Zatoczył dwa kolejne pełne kręgi i stanął jak wryty głęboko pod ziemią.

Usiadł na przedostatnim schodku.

Zaświecił latarką w lewo i w prawo, w górę i w dół.

Niedobrze.

Przypomniał sobie, co mówiła kobieta z Wirginii. „Pewne rozwiązania konstrukcyjne sprawiły, że obiekt nie nadaje się do niczego innego”.

Nie było co do tego wątpliwości.

Schody kończyły się w podziemnym betonowym pomieszczeniu o średnicy mniej więcej dwudziestu stóp. Idealnie okrągłym. Jak piasta. Wielkości salonu. Okrągłego salonu, jak na

filmie science fiction. Odchodziło od niego osiem przypominających rowerowe szprychy korytarzy, do których wejścia znajdowały się w ośmiu punktach kompasu. W korytarzach było ciemno. Podłoga twarda, płaska, sucha i gładka. Ściany twarde, płaskie, suche i gładkie. Sufit twardy, płaski, suchy

300

i gładki. Generalnie całe miejsce było majstersztykiem sztuki budowlanej. Dobrze zaprojektowanym, dobrze skonstruowanym, dobrze wykonanym. Idealnie spełniającym swoje zadanie.

Idealnie nadającym się do tego, by urządzić w nim sierociniec.

Dla dzieci.

I nienadającym się do niczego innego, ponieważ sufit znajdował się pięć stóp i sześć cali nad podłogą. Ani cala wyżej. Złe podłoże. Okrągłe pomieszczenie i rozchodzące się gwiazdźście korytarze wryto w wąskiej przestrzeni między dwiema warstwami litej skały. Niski sufit był rozwiązaniem kompromisowym. I zapewne, z profesjonalnego punktu widzenia, niezadowolającym. Ale teoretycznie możliwym do zaakceptowania dla gromady pozbawionych opieki wygłodzonych i wymizerowanych dzieciaków. Reacher wyobraził sobie inżynierów napotyających nieoczekiwany problem, przeglądających sprawozdania geologów, pochylających się nad tabelami średniego wzrostu w różnym wieku, wzruszających ramionami, modyfikujących swoje plany, godzących się z tym, co nieuniknione. Technicznie możliwe, stwierdzili, co było jedynym standardem, który rozumieli wojskowi inżynierowie.

W rezultacie miejsce nie nadawało się do niczego innego, technicznie i pod jakimkolwiek innym względem. Nie nadawało się, by urządzić tu ośrodek szkoleniowy piechoty morskiej i do żadnego innego wojskowego celu. Było nie do użytku dla dorosłych normalnego wzrostu. Peterson przeszedł może dziesięć stóp na ugiętych nogach i z pochyloną głową. Dreptał z trudem, z ramionami tuż pod sufitem, groteskowo zgarbiony niczym Rosjanin wykonujący ludowy taniec.

A był o trzy cale niższy od Reachera.

Reacher się wyprostował. Stał na najniższym schodku, dziewięć cali nad podłogą okrągłego pomieszczenia. Sufit miał na wysokości pasa. Cały jego tułów znajdował się w szybie.

Niedobrze.

Holland zszedł na dół i stanął tuż za nim.

301

— Nie usłyszemy tutaj syreny — zauważył.

— Czy pańska komórka działa?

— Wykluczone.

— W takim razie musimy się pospieszyć.

— Pan pierwszy — powiedział Holland. — Niech pan uważa na głowę.

Reacher miał do wyboru dwie możliwości: mógł chodzić na kolanach albo ślizgać się na tyłku. Wybrał to drugie. Sposób był powolny i śmieszny, ale mniej bolesny. Zsunął się z ostatniego schodka i ostrożnie przesunął na piętach, pośladkach i kłykciach dłohi niczym dziecko udające, że jest krabem. Wychodzące nad jego głowę z niskiego sufitu dwie rury wentylacyjne kończyły się na stopę nad betonem. Trzy oddzielne, równoległe odwierty, jeden szeroki na schody, dwa wąskie na rury, wszystkie kończące się na ustalonej głębokości pod ziemią, w poziomej szczelinie między skalnymi płytami.

— Byłem wyższy już jako sześciolatek — stwierdził.

Jego głos powrócił do niego huczącym echem. Dziwna

akustyka. Beton, na którym siedział, nie był ani ciepły, ani zimny. W pomieszczeniu unosił się niewyraźny zapach nafty. I był lekki przeciąg. Powietrze spływało schodami w dół i uciekało w górę szybami wentylacyjnymi. Efekt Venturiego. Drzwi murowanego budynku

dwieście stóp nad nimi były otwarte i wiatr zasysał powietrze z bunkra w podobny sposób, w jaki aerograf zasysa farbę z puszki albo gaźnik benzynę z przewodu paliwowego. Jednak natura nie znosi próżni, w związku z czym jakaś warstwa cyrkulacyjna dostarczała tak samo szybko powietrze z powrotem.

— Idziemy — mruknął Holland.

Reacher przesunął się jard dalej. Holland pochylił się, zszedł z ostatniego schodka i ruszył za nim, stąpając, podobnie jak Peterson, na ugiętych nogach, obracając się powoli i omiatając światłem latarki całe pomieszczenie.

— Osiem wejść — powiedział. — Osiem możliwości. Które prowadzi do laboratorium?
302

— Nie ma żadnego laboratorium — stwierdził Reacher.

— Musi być. Tam, gdzie jest metamfetamina, tam musi być laboratorium.

— Było laboratorium — odparł Reacher. — Dawno temu. Ale nie tutaj. Była duża wytwórnia w New Jersey albo Kalifornii.

— O czym pan mówi?

Reacher oświetlił latarką podłogę. Zaczął od najniższego schodka i wodząc światłem wzdłuż niewyraźnych śladów brudu i zadrapań, wskazał korytarz znajdujący się po przeciwnej stronie. Na północy, jeśli był na południu, i na południu, jeśli był na północy. Po drodze tyle razy się obrócił, że stracił orientację.

— Chodźcie za mną — powiedział, szurając tyłkiem po podłodze. Odkrył, że szybciej będzie przemieszczać się tyłem. Odpychał się stopami, unosił na rękach, siadał, po czym powtarzał całą operację od nowa. I jeszcze raz. I jeszcze. Kiedy z wysiłku zrobiło mu się ciepło, zdjął rękawiczki i czapkę i rozpiął kurtkę. Przed sobą miał Hollanda i Petersona, którzy dreptali zgarbieni i na ugiętych nogach. Usłyszał strzykanie w czyichś kolanach. Wiązała i torebki maziowe. Domyślił się, że to stawy Hollanda. Peterson jest młodszy i w lepszej kondycji.

Dotarłszy do wyłomu korytarza, obrócił się i zaświecił w głąb latarką. Tunel, idealnie poziomy niczym pokład węgla, miał mniej więcej sto stóp długości, pięć stóp i pięć cali wysokości i tyle samo szerokości. Po lewej stronie było przejście, po prawej, na wysokości dwóch stóp od podłogi, długa, niska, betonowa półka. Domyślił się, że miała służyć do spania. Wyobraził sobie leżące tam jeden za drugim materace. Około dwudziestu. Dwadzieścioro śpiących dzieci. Pięć stóp dla każdego.

Podziemia nie były jednak nigdy zamieszkane. Nie było tu materaców. Ani śpiących dzieci. Ich miejsce zajęły wojskowe nadwyżki przetransportowane przed pięćdziesięciu laty ze starych baz lotniczych w Europie. Przeznaczone dla pilotów.

303

Tysiące bloków białego proszku zapakowanych w poźółkły silikonowany papier z nadrukowanym logo w kształcie korony z trzema szpicami i trzema kulami symbolizującymi klejnoty. Zarejestrowanym znakiem towarowym nieistniejącej już, lecz niegdyś całkowicie legalnej i wykonującej rządowe zlecenia firmy o nazwie Crown Laboratories — gdziekolwiek i pod czymkolwiek kierownictwem działała.

— Nie mogę w to uwierzyć — mruknął Peterson.

Paczki były poukładane w stertach wysokich i szerokich na dziesięć sztuk. Na długości całej półki takich stert było około stu pięćdziesięciu. Razem około piętnastu tysięcy paczek minus te, które już zabrano. Zapasy były nieco uszczuplone przy samym końcu, jakby ktoś cierpliwie rozbierał ceglany mur.

— Jest tego czterdzieści ton? — zapytał Holland.

— Nie — odparł Reacher. — Nawet w przybliżeniu. Tu jest tylko jedna trzecia. Muszą być dwa inne podobne do tego składy.

— Ile jest paczek w czterdziestu tonach? — zastanawiał się Peterson.

- Prawie czterdzieści pięć tysięcy.
- To chore. W detalu można za to dostać czterdzieści pięć miliardów.
- Podatki waszych dziadków przyniosły niezły zysk.
- Co z tym robili?
- Zażywały to załogi samolotów podczas drugiej wojny światowej — wyjaśnił Reacher.
- Głównie bombowców. Pod koniec wykonywali dwunastogodzinne, a nawet dłuższe loty. Do Berlina i z powrotem, daleko w głąb Niemiec, dzień po dniu. W trakcie każdego łom robili rzeczy, których nie dokonywali nigdy wcześniej. I w każdej minucie, w każdej sekundzie byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Straty były olbrzymie. Gdyby nie to, że byli zbyt wyczerpani, by myśleć, żyliby w ciągłym strachu. Pigułki wspomagające były jedynym sposobem, żeby zgodzili się latać.
- To nie są pigułki.

304

- To, w jakiej formie zażywano metamfetaminę, zależało od personelu medycznego. Niektórzy robili z niej pigułki, inni rozpuszczali w wodzie, jeszcze inni podawali w formie wziewnej. Stosowano też czopki. Byli pewnie i tacy, którzy przepisywali ją we wszystkich czterech formach.
 - Nie miałem o tym pojęcia.
 - Wydawano ją równie często jak amunicję lub racje żywnościowe.
 - To nie mogło im wyjść na zdrowie.
 - W niektórych samolotach były małe druty przyspawane przy końcu przepustnicy. Na ostatniej jednej czwartej cala. Nazywano to wojennym przyspieszeniem. W razie potrzeby pilot odciągał przepustnicę do samego końca, przerywał drut i uzyskiwał maksymalne przyspieszenie. Forsowało się w ten sposób silnik, co nie było dobre, ale jednocześnie ratowało życie, co było dobre. Tak samo było z narkotykami.
 - Ile tego zużyto?
 - Na pewno więcej, niż sobie wyobrażamy. W siłach powietrznych w Europie służyło wtedy kilkaset tysięcy żołnierzy. A zapotrzebowanie było olbrzymie. Zadania trudne. Jestem pewny, że już w połowie pierwszego okresu służby połknąłbym tyle, ile sam ważę.
 - I tyle tego zostało?
 - To mogło być miesięczne zapotrzebowanie. Nagle już niepotrzebne. Pod koniec nie wiadano, kiedy dokładnie zaprzestać produkcji.
 - Dlaczego to tu przywieziono?
 - Nie mogli tego po prostu wyrzucić. Nie mogli sprzedać. Z całą pewnością nie mogli spalić. Cała Europa byłaby na takim haju, że uleciałaby w powietrze. Przez chwilę wpatrywali się w milczeniu w paczki.
 - Poszukajmy reszty — powiedział wreszcie Holland.
- Reszta upchnięta była w dwóch następnych tunelach po lewej stronie. Takie same długie na sto stóp półki, takie same metodycznie poukładane paczki, taki sam lśniący w świetle

305

- latarek pożółkły papier. Piętnaście tysięcy bloków w drugim tunelu, piętnaście tysięcy w trzecim.
- Holland padł na kolana. Zacisnął pięści i uśmiechnął się szeroko.
- Razem to prawie dziewięćdziesiąt tysięcy funtów — stwierdził. — Cholerni ważniacy z DEA teraz będą się musieli z nami liczyć. To chyba największe przejęcie narkotyków w historii. I udało się właśnie nam. Policjantom z małego komisariatu w Bolton w Dakocie Południowej. Będziemy sławni. Przejdziemy do legendy. Koniec z rolą ubogiego krewnego. Cholerna służba więzienna może mnie pocałować w tyłek.
 - Moje gratulacje — powiedział Reacher.

- Dziękuję.
- Ale sprawa nie wygląda tak różowo. Platon znalazł to rok przed wami.
- W jaki sposób?
- Dzięki dedukcji i plotkom, jak sądzę. Wiedział, że zażywano to podczas wojny, i wiedział, że gdzieś muszą być zmagazynowane nadwyżki. W końcu namierzył to miejsce. Musiał mieć jakieś wtyki w siłach powietrznych. Dlatego pewnie odnaleźliśmy ten list przewozowy. Musiał leżeć na samym wierzchu, bo ktoś niedawno do niego zaglądał.
- Nie mogę uwierzyć, że motocykliści to wszystko zostawili — powiedział Peterson. — Pokusa, żeby zabrać to ze sobą musiała być olbrzymia.
- Odniosłem wrażenie, że jeśli Platon mówi komuś, żeby coś zostawił, ten ktoś to zostawia — odparł Reacher.

Przesuwając się nieco dalej w głąb tunelu, wyobraził sobie długi szereg spoconych mężczyzn, którzy przed pięćdziesięciu laty podawali sobie z rąk do rąk dwufuntowe paczki, a następnie układali je równo niczym murarze. Do pracy oddelegowano prawdopodobnie najniższych wzrostem żołnierzy. Nie wiedział, jakie obowiązywały wówczas w siłach powietrznych wymogi dotyczące wzrostu, prawdopodobnie jednak część ludzi stała prosto, a część nie. Spuszczali pewnie paczki szybami wen-

306

tylacyjnymi. Po pięć, dziesięć albo więcej w worku. Na powierzchni korzystano z kobyłek i wózków. Jakiegoś prowizorycznego systemu. Znoszenie paczek po schodach byłoby zbyt pracochłonne. Motocykliści wyciągali je pewnie na powierzchnię w ten sam sposób. Trudno było nie wykorzystać faktu, że przewody wentylacyjne są niewykończone i otwarte na obu końcach.

Przesunąwszy się jeszcze dalej, dokonał kolejnego odkrycia.

Od głównego tunelu odchodził tunel poprzeczny. Z promieniem koła łączyła się część jego obwodu. Reacher wcisnął się tam i dotarł do sąsiedniego korytarza. Badając jego ściany, odkrył dwa następne boczne tunele, jeden prowadzący w lewo, drugi w prawo. To miejsce było prawdziwym labiryntem. Miało łącznie osiem rozchodzących się gwiazdźście korytarzy i trzy niekompletne, łączące je pierścienie. W bocznych korytarzach też były półki. Dużo miejsca dla śpiących dzieci. Dużo rogów. Na niektórych skręcało się tylko w lewo, na innych w prawo. Nigdy w obie strony. Dziwny układ. W rzucie z góry musi wyglądać jak celtycka broszka. Być może kompromisy, na które musieli pójść inżynierowie, nie ograniczały się tylko do wysokości sufitu. Niewykluczone, że cały obiekt miał być dziwną, okrojoną, podziemną wersją Pentagonu, okrągłego, nie pięciokątnego, w niektórych miejscach pozbawionego połączeń między korytarzami i pierścieniami.

Skala między nimi została dodatkowo wydrążona w dziesięciu różnych miejscach. Miały się tam pewnie mieścić nigdy nieurządzone łazienki, nigdy nieurządzone kuchnie albo magazyny na nigdy niedostarczoną żywność. Wszystkie ściany były z gładkiego, suchego i zakurzonego betonu. Czuć było zapach stęchlizny. Wszędzie panowała absolutna cisza.

— Zobacz tutaj! — zawołał Peterson.

Reacher nie potrafił zlokalizować jego głosu. Dobiegał zewsząd, ze wszystkich tuneli jednocześnie, hucząc, brzęcząc, trzepocząc i obiegając ściany.

— Gdzie jesteś?! — krzyknął.

307

— Tutaj! — odkrzyknął Peterson, co nie okazało się zbyt pomocne.

Reacher wrócił do głównego okrągłego pomieszczenia i krzyknął jeszcze raz. Peterson był w następnym z rozchodzących się promieniście tuneli. Kiedy Reacher tam dotarł, przyglądał się leżącemu na półce wielkiemu, szkaradnemu zbiornikowi paliwa, zespawanemu z kawałków giętej blachy na tyle małych, by można je było spuścić na dół rurami wentylacyjnymi. Długi na mniej więcej czterdzieści stóp mógł pomieścić pięć tysięcy galonów i śmierdział naftą.

Pierwotnie na pewno nie znajdował się w tym miejscu. Spawy były marnej jakości. Technicznie nie do przyjęcia. Mechanicy sił powietrznych nie odwaliliby takiej fuszerki. Peterson zrobił krok do przodu i postukał w blachę. Dźwięk był stłumiony i głuchy. Reacher przypomniał sobie cysternę, z którą o mało się nie zderzył u wyłom starej okręgowej drogi.

— Wspaniale — mruknął. — Jesteśmy dwieście stóp pod ziemią z pięcioma tysiącami galonów paliwa lotniczego w domowej roboty zbiorniku.

— Dlaczego uważasz, że to paliwo lotnicze? — zapytał Peterson. — Śmierdzi naftą.

— Paliwo lotnicze to w gruncie rzeczy nafta. I jest go znacznie więcej, niż potrzebowaliby do piecyków w barakach. Poza tym dopiero je dostali. Kiedy już wiedzieli, że wyjadą. Po odsnięciu pasa startowego. Z tego wynika, że przyleci tu samolot.

Najprawdopodobniej już wkrótce. I zatankuje. Holland musi poinformować o tym DEA. Muszą szybko zareagować.

— Nie przylecą tu po zmroku. Na pasie nie ma świateł.

— Nieważne. Mamy mało czasu. Gdzie jest najbliższe biuro terenowe DEA?

Peterson nie odpowiedział.

— Jak udało im się napełnić zbiornik tak głęboko pod ziemią? — zapytał zamiast tego.

— Cysterna podjechała tyłem do drzwi i włożyli szlauch do rury wentylacyjnej.

308

— Potrzebny byłby długi szlauch.

— Mają takie do domów z dużymi podwórkami. Nagle usłyszeli wołanie Hollanda:

— Panowie, spójrzcie na to!

Jego głos obiegał całe okrągłe pomieszczenie, odbijając się dziwnym poświstującym echem, niczym w galerii szeptów. Holland zawędrował do tunelu położonego dokładnie po drugiej stronie. Reacher i Peterson ruszyli tam, Reacher sunąc na tyłku, Peterson pochylony i na ugiętych nogach. Holland omiatał światłem latarki cały mierzący sto stóp tunel.

Widok był jak z bajki.

Jakby trafili do jaskini Aladyna.

34

W świetle latarki Hollanda jaśniało złoto, srebro i platyna. Skrzyły się i migotały brylanty, ciemnozielone szmaragdy, krwistoczerwone rubiny i jasnobłękitne szafiry. Wyłaniały się wyblakłe stare farby, pejzaże, portrety, oleje na płótnie, żółte pozłacane ramy. Były tam łańcuszki, szpilki, naszyjniki, bransoletki i pierścienie. Nowe i stare, zwinięte, splecione, leżące wzdłuż całej długości półki. Z żółtego, białego i różowego złota. Rozłożone na długości stu stóp łupy. Obrazy, biżuteria, świeczniki, srebrne tace, zegarki. Małe złote zegary, ściągane sznurkiem zamkowe torebeczki, kryształowy wazon wypełniony ślubnymi obrączkami.

— Nieodebrane fanty z lombardów Platona — domyślił się Peterson.

— Zapłata za dostarczane przez niego narkotyki — powiedział Reacher.

— Może jedno i drugie. Może obie rzeczy są w gruncie tym samym — pogodził ich Holland.

Ruszyli wszyscy w głąb tunelu. Nie mogli się oprzeć. Półka miała trzydzieści jardów długości i około trzydziestu dwóch cali szerokości. Ponad dwadzieścia pięć jardów kwadratowych powierzchni. Wielkości sporego pokoju. Wypełnionego po

310

brzegi. Nie sposób było włożyć tam ręki. Niektóre z klejnotów były przepiękne. Niektóre z obrazów wspaniałe. Wszystkie napawały smutkiem. Były owocami desperacji. Szczątkami czyjegoś rozbitego życia. Świadectwem ciężkich czasów, uzależnień, włamań, niepowetowanych strat. Połyskująca w snopach trzech latarek kolekcja była jednocześnie bajeczna i straszna. Czyjeś sny, niekiedy czyjeś koszmary, ukryto w tajemnicy dwieście stóp pod ziemią.

Sny, które mogły ważyć sto albo tysiąc funtów.
I mogły być warte milion albo dziesięć milionów dolarów.

— Chodźmy — mruknął Reacher. — Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Nie powinniśmy tracić czasu.

•••

Wyjście na powierzchnię było długie, ciężkie i męczące. Reacher liczył stopnie. Było ich dwieście osiemdziesiąt. Jakby wchodzili na dach dwudziestopiętrowego budynku. Na każdym schodku stawał na palcach. Domyślał się, że to dobre ćwiczenie, ale w tym momencie nie miał ochoty ćwiczyć. Powietrze robiło się coraz zimniejsze. Pod ziemią było koło zera, na powierzchni prawie minus trzydzieści stopni. Co dziesięć schodków temperatura spadała o jeden stopień. Wystarczająco szybko, by to zauważyć i nie doznać szoku. Reacher zapiął kurtkę i włożył czapkę oraz rękawice mniej więcej w jednej trzeciej drogi na górę. Peterson poddał się i zrobił to dopiero w połowie.

Przez minutę odpoczywali w murowanym budynku. Nadal jasno świecił księżyc. Peterson zebrał i zgasił latarki. Holland stał, opierając dłoń na balustradzie schodów. Miał zaczerwienioną ze zmęczenia twarz i z trudem oddychał.

— Musi pan zatelefonować — powiedział do niego Reacher.

— Naprawdę?

— Mogli włączyć i wyłączyć syrenę, kiedy byliśmy na dole.

— W takim razie i tak już za późno. — Holland wyjął komórkę i wybrał numer.

Przedstawił się, zadał pytanie i wy-

311

szłuchał odpowiedzi. — Wszystko w porządku — oświadczył z uśmiechem. — Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. — Zaczekał, aż Peterson wyjdzie z latarkami, i odwrócił się do Reachera. — Pan i ja domyśliliśmy się, gdzie jest klucz — powiedział. — Pan wiedział, że tam jest metamfetamina. Ale zasługę chcę przypisać Petersonowi. Będzie następnym komendantem. Ta historia pomoże mu z chłopakami. I w mieście. Odpowiednio go ustawi.

— Nie ma sprawy — odparł Reacher.

— Więc nie ma pan nic przeciwko?

— Ani trochę — zapewnił Reacher.

— To dobrze.

Wyszli na dwór i Reacher, nie zważając na jęk zawiasów, dosunął drzwi do framugi. Holland zamknął je na klucz, schował go do kieszeni i wrócili do samochodów. Holland zdjął na trzaskającym mrozie prawą rękawicę i podał dłoń Petersonowi. Peterson zdjął swoją rękawicę i wymienili uścisk.

— Teraz słuchajcie — powiedział Holland.

Nachylił się do swojego samochodu, wyjął z uchwytu mikrofon i wyciągnął go na zewnątrz, napinając przewód. Wcisnął przycisk i wprowadził kod „do wszystkich radiowozów”.

— Panie i panowie — powiedział do mikrofonu — dziś wieczorem zastępca komendanta policji Andrew Peterson dokonał największego przejęcia narkotyków, do jakiego moim zdaniem doszło kiedykolwiek w tym kraju. Jutro z samego rana pan Peterson zapozna ze szczegółami DEA i mniej więcej trzydzieści sekund później nasza jednostka policji będzie sławna w całym kraju. Pogratulowałem mu z całego serca. Tak jak to zrobicie wy wszyscy. To był kolejny dzień, w którym nawiązaliśmy do naszej długiej pięknej tradycji.

Holland wyłączył mikrofon i rzucił go na siedzenie.

— Dziękuję, szefie — powiedział Peterson.

312

— Nie ma za co. Nadal uważam, że nie powinienes tu przyjeżdżać.

Dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć.

Zostało pięć godzin.

•••

Tysiąc siedemset mil na południe trzy samochody Platona czekały przed niepozorną bramą w otaczającym cywilne lotnisko ogrodzeniu. Brama była sfatygowana, poobijana i zamknięta na łańcuch i kłódkę. Przy zarośniętym chwastami ogrodzeniu leżały sterty śmieci. Samo lotnisko było jednak dobrze wyposażone. Kiedyś wojskowe, potem cywilne, potem znowu wojskowe, wróciło w końcu pod cywilne rządy. Był tam długi pas startowy, hangary, biura i płyta postojowa, na której stały w równym rzędzie przykryte ciemnymi plandekami samoloty rekreacyjne.

Maszyna Platona nie była rekreacyjna. Jego boeing 737 był zdecydowanie największym samolotem na lotnisku. Miał dwadzieścia lat i Platon był jego trzecim właścicielem. Mało kto zresztą o tym wiedział. Tylko pasjonaci potrafili poznać wiek samolotów, a pasjonaci wolą zachować swoją wiedzę dla siebie. Platon mówił wszystkim, że samolot został skonstruowany rok wcześniej w stanie Washington na jego specjalne zamówienie. W rzeczywistości poleciał do pewnego zakładu w Arizonie, gdzie poszycie zostało wyczyszczone do gołego aluminium i pokryte warstwą szarego lakieru, która nadała metalowi ciemny, lśniący i groźny wygląd. Ludzie, którzy mieli wobec Platona jakieś zobowiązania, całymi dniami i tygodniami polerowali go glinką Clay Bar i woskiem Camauba. Samolot lśnił jak samochód na wystawie. Platon był z niego dumny. Nikt w jego rodzinie nie był dotąd właścicielem boeinga. Drogą biegnącą po wewnętrznej stronie ogrodzenia podjechał zakurzony pick-up i zatrzymał się tuż przy bramie. Facet, który z niego wysiadł, otworzył kłódkę, rozplątał łańcuch, po czym

313
podniósł i odciągnął na boki skrzydła bramy. Konwój trzech samochodów wjechał do środka. Platon nie byłby Platonem, a rangę rovery nie byłyby rangę roverami, gdyby trzymali się drogi biegnącej wzdłuż ogrodzenia. Pojechali na wprost, po trawie, przecinając drogi kołowania i pas startowy. Zatoczyli z respektem szeroki łuk wokół boeinga i zatrzymali się jeden przy drugim między dwiema cessnami i piperem. Sześciu mężczyzn wysiadło i sformowało luźny kordon. Platon wysiadł w jego obrębie. Nic mu nie groziło, ale względy ostrożności i reputacja kazały udawać, że jest wprost przeciwnie. Do przednich drzwi boeinga dotoczono już staroświeckie schody na kółkach. Nadal widniał na nich złuszczony i wyblakły napis „Mexicana”. Trzej mężczyźni weszli do samolotu. Po minucie jeden z nich wyjrzał na zewnątrz i skinął głową. Wszystko w porządku.

Platon wszedł na górę i zajął swoje miejsce, które miało numer 1A, w pierwszym rzędzie po lewej stronie. Mniejsza przestrzeń na nogi przed ścianką działową nie była dla niego problemem. Stara kabina pierwszej klasy pozostała niezmienną. Cztery rzędy szerokich skórzanych foteli po cztery w każdym rzędzie. Mieszczącą się z tyłu klasę turystyczną usunięto. Została po niej pusta przestrzeń. Samolot mieścił stu osiemdziesięciu pasażerów, a przed dwudziestu laty przeciętny pasażer ważył dwieście funtów wraz z bagażami. Dawało to łączny udźwieg trzydziestu sześciu tysięcy funtów, czyli mniej więcej szesnaście ton. Platon usiadł, a jego ludzie sprawdzili sprzęt przywieziony i załadowany na pokład samolotu przez człowieka, który był mu winien przysługę. Wiedząc, co mu grozi, wykonał zlecenie co do joty, ale ludzie Platona i tak to sprawdzili. Ciepłe ubrania, aluminiowe drabiny, latarki, broń automatyczna, amunicja, jedzenie i woda. Wszelkie inne niezbędne rzeczy miały na nich czekać w miejscu przeznaczenia.

Piloci skończyli przegląd przedstartowy. Pierwszy pilot wyszedł z kokpitu i stanął w przejściu. Platon skinął głową niczym

314
ktoś dający znak lokajowi, że może podać zupę. Pilot wrócił do kokpitu i włączyły się silniki. Samolot pokołował na pas startowy, zatrzymał się na jego skraju, przez chwilę dygotał wstrzymywany hamulcami, po czym potoczył się do przodu, przyspieszył i wzniósł się majestatycznie w górę.

•••

Reacher wrócił do miasta radiowozem Petersona. Holland jechał za nimi swoim fordem. Reacher wysiadł u wylotu ulicy Janet Salter i pomachał im obu. Następnie obszedł zaparkowany radiowóz i ruszył po śniegu do domu. Kiedy wszedł, starsza pani jeszcze nie spała. Zmierzyła go uważnym spojrzeniem, jakby chciała sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Udało się? — zapytała.

— Na razie idzie nieźle — odparł Reacher.

— W takim razie powinien pan zadzwonić do tej dziewczyny w Wirginii i o wszystkim ją poinformować. Wcześniej zachował się pan strasznie obcesowo. Przerwał pan rozmowę w pół zdania.

— Nie ma jej już pewnie w pracy. Jest późno.

— Niech pan to sprawdzi.

Reacher zdjął kurtkę, powiesił ją i usiadł na krześle w holu. Wybrał numer. Poprosił do telefonu Amandę.

Nadal pracowała.

— N zero sześć BA zero trzy to farmaceutyczny kod oznaczający amfetaminę — powiedział.

— Czterdzieści ton?

— Prawie nietknięte.

— Jezu.

— To samo przyszło nam do głowy.

— Co masz zamiar zrobić?

— Nic. Zajęli się tym miejscowi gliniarze.

— Jak wygląda czterdzieści ton?

— Monotonnie.

— Jak czterdzieści ton metamfetaminy może zagubić się w systemie? — zdziwiła się Susan.

315

— Nie wiem. Stale coś ginie. Dzieją się złe rzeczy. Może nie mieli się czym chwalić.

Kończy się wojna, zaczyna czas pokoju i nagle zmienia się hierarchia wartości. Może dlatego zaszyfrowali to kodem. A kiedy wszyscy zapomnieli, co oznacza kod, zapomnieli również, że ten towar tam leży. Co z oczu, to z serca.

Jego rozmówczyni milczała.

— Dziękuję za pomoc, Susan.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Powiedz swojemu znajomemu w Lackland, że są akta, za których odszukanie archiwiści biorą pieniądze. Te dane nie zostały odkryte przypadkowo. Może uda ci się w ten sposób odwdzielnąć przysługę.

— Wszyscy będą mieli Brązowe Gwiazdy. Coś jeszcze?

— Nie masz nic na temat Kaplera?

— Nie wiadomo, dlaczego złożył dymisję. Zgadza się, że to dziwne, ale nie ma żadnych konkretnych danych. Albo jest czysty, albo ktoś skutecznie wyczyścił archiwa.

— Dobra — powiedział Reacher. — Dzięki.

— Coś jeszcze?

— Nie, chyba wszystko załatwiliśmy.

— Więc to pożegnanie?

— Chyba tak.

— Miło się z tobą gadało.

— Mnie też. Życzę szczęścia, Susan. I jeszcze raz dziękuję.

— Jasne.

Jego rozmówczyni się rozłączyła. Reacher siedział przez chwilę na krześle z zamkniętymi oczyma i słuchawką na kolanach. Kiedy dobiegł z niej krótki przerywany sygnał, odłożył ją na widełki i zajrzał do kuchni.

•••

Janet Salter stała w kuchni z książką pod pachą. Nalewała sobie z kranu wodę do szklanki. Wybierała się do łóżka. Reacher stanął z boku, a ona minęła go i ruszyła w stronę schodów.

316

Reacher odczekał chwilę i poszedł po raz ostatni sprawdzić dom. Policjantka w bibliotece stała w odległości sześciu stóp od okna, czujna i nieprzystępna. Policjantka w holu siedziała na krześle przy telefonie, pochylona do przodu, z łokciami na kolanach. Reacher sprawdził widok z salonu i poszedł na górę do swojego pokoju. Nie zapalił światła i nie zasunął zasłon. Warstwa śniegu na dachu werandy była gruba, lśniąca i zmrożona. Ulica pusta. Zobaczył tylko zaparkowany radiowóz z gliniarzem w środku, koleiny i smagany wiatrem lód. Cisza, spokój.

•••

W Wirginii stacjonarny komputer Susan Turner wydał dźwięk podobny do dzwonka. Bezpieczne rządowe połączenie intranetowe. Dostała e-mail. Jednorazowe hasło z dowództwa zasobów ludzkich. Skopiowała je i wkleiła w okno dialogowe odpowiedniej bazy danych. Dawny raport dostarczono jej w formacie Adobe. Takim, jakiego używa się przy przesyłaniu cyfrowych fotokopii. Była to siedemdziesiąta trzecia pozycja z indeksu dołączonego do akt osobowych Jacka Reachera.

Dotyczyła eksperymentu przeprowadzonego przez zespół wojskowych psychologów, których w tamtym czasie było wielu. Tak wielu, że siedzieli przeważnie na tłustych tyłkach, czekając, aż wpadnie im do głowy jakiś pomysł. Ten akurat zespół interesował się mutacjami genetycznymi. Naukowo rzecz była rozpoznana. Odkryto już DNA. Bodźca do badań dostarczyły doniesienia o pokazywanym w wojskowych bazach filmie dla dzieci, taniej fantastycznonaukowej produkcji o potworze. Sam potwór był filmowaną w ekstremalnych zbliżeniach gumową kukielką. Jego pierwsze pojawienie się było kinowym majstersztykiem. Potwór wynurzał się z laguny. Szok był totalny. Siedzące na widowni dzieci krzyczały i kuliły w fotelach. Reakcja wydawała się powszechna.

317

Psychologowie zgadzali się, że kulenie się i cofanie przed źródłem skrajnego zagrożenia jest racjonalną reakcją wykształconą w trakcie ewolucji. Wiedzieli jednak o mutacjach. Na przykład żyrafy rodzą się czasem z krótszymi albo dłuższymi szyjami niż ich rodzice. W zależności od okoliczności okażą się one użyteczne lub nie. Czas pokaże. Ewolucja osądzi. Psychologowie zastanawiali się, czy rodzą się jakieś dzieci bez odruchu kulenia się. Byłoby to kontrproduktywne dla przetrwania gatunku. Ale być może przydatne w wojsku. Wysłano kopie filmu do odległych baz na Pacyfiku. Baz wojsk lądowych, marynarki, sił powietrznych i piechoty morskiej, ponieważ chcieli mieć jak największy materiał do badań. Na Pacyfiku, bo potrzebowali dzieci, które jeszcze nie widziały filmu i w ogóle o nim nie słyszały. Nad ekranami zamontowano dyskretnie aparaty fotograficzne wycelowane w pierwszy rząd widowni. Migawki sprzęgnięte były z projektorami w ten sposób, że robiły zdjęcia tuż po tym, jak potwór wynurzał się z mroku. Na seanse zapraszano setki, dzieci w wieku od czterech do siedmiu lat. Uważano, że ta właśnie grupa wiekowa jest wystarczająco dojrzała, jeśli chodzi o reakcję emocjonalną ale nieuspołeczniona w stopniu, który wykluczałby szczerą i spontaniczną ekspresję.

Dokument zawierał długą sekwencję ilustrujących eksperyment fotografii. Były trochę zamazane i trochę ciemne, ale wszystkie pokazywały to samo. Małe dzieci z otwartymi

szeroko oczyma i ustami, kulące się w fotelach, niektóre próbujące schować się za oparciami, obejmujące rękoma głowę, cofające się w strachu i panice.

Jednak był wyjątek.

Jedna z fotografii przedstawiała składający się z piętnastu foteli pierwszy rząd widowni.

Piętnaścioro dzieci. Sami chłopcy. Wszyscy wyglądający na mniej więcej sześć lat.

Czternastu czoła się w fotelach. Jeden wyrwał się do przodu. Był większy

318

od innych. Miał krótkie, jasne, potargane włosy. Podrywał się i siedzenia, kierując w stronę ekranu. Miał podniesioną agresywnie prawą rękę i coś w niej trzymał.

Susan Turner była przekonana, że tym czymś jest otwarty nóż sprężynowy.

Agresywny chłopiec nie został wymieniony w dokumencie z nazwiska. Obserwowano go przez krótki czas, lecz potem jego ojciec otrzymał nowe rozkazy i chłopiec zagubił się w systemie. Krótco potem eksperyment został przerwany. Ale uzyskane do tego momentu wyniki zachowano w aktach. Agresywnego chłopca opisano długimi słowami, z których żadne nie Susan nie mówiło.

Na ostatniej stronie pliku zamieszczono indeks odsyłaczy. Wszystkie odnosiły się do akt osobowych Jacka Reachera.

Susan wróciła do technicznego opisu eksperymentu. Opóźnienie między pojawieniem się potwora i otwarciem migawki aparatu wynosiło osiemnaście klatek filmu, czyli trzy czwarte sekundy. Była pod wrażeniem. Zaimponował jej nie tylko skok do przodu. Znała ludzi reagujących w taki sposób. Sama do nich należała. Naprawdę wyjątkowa była jednak szybkość, z jaką sześciolatek wyjął i otworzył trzymany w ręku nóż.

•••

Cisza w domu Janet Salter trwała niespełna dziesięć sekund. A potem najpierw z jednego, potem drugiego, trzeciego i na koniec czwartego policyjnego radia dobiegły głośne trzaski, kody i nagła słowa. Rozdzwoniły się komórki i telefon stacjonarny. W sypialni dziennej zmiany zatupotały nogi i otworzyły się drzwi. Policjantki zbiegły na dół i nagle wszystkie zaczęły głośno mówić naraz. W ich głosach słychać było strach i przerażenie.

Reacher wyszedł ze swojego pokoju i zbiegł na parter. Cztery Policjantki, dwie w mundurach, dwie w piżamach, stały w holu i wszystkie rozmawiały przez komórki, wszystkie blade i

ZSZO-

319

kowane, wodząc dokoła szeroko otwartymi z przerażenia oczyma, wszystkie naszprycowane adrenaliną i niewiedzące, co robić.

— Co jest? — zapytał Reacher.

— Chodzi o Andrew Petersona — odparła jedna z kobiet.

— Co z nim?

— Został śmiertelnie postrzelony.

35

Gliniarz ze stojącego na ulicy radiowozu wbiegł do domu, potęgując ogólny zamęt. Reacher nie miał wątpliwości, że policjanci z dwóch pozostałych radiowozów są tak samo rozkojarzeni. Przez chwilę ochrona Janet Salter nie była warta funta kłaków. Wobec czego starał się jednocześnie obserwować okno w salonie i próbować poskładać fragmenty układanki z beładnej paplaniny. Nie było to trudne. Gołe fakty były następujące: zgodnie z najnowszymi rozkazami komendanta Hollanda miejscowa policja nadal była w stanie najwyższego pogotowia. Bezustannie patrolowano i obserwowano ulice. Żadna nie była odwiedzana rzadziej niż co dwadzieścia minut. Przyglądano się każdemu przechodniowi, każdemu autu i każdej ciężarówce. Sprawdzano każdy parking, każdą alejkę i każdy wjazd.

Radiowóz kierowany przez jednego z nowych o nazwisku Montgomery wjechał na zaśnieżony parking w północno--wschodniej części miasta i Montgomery zobaczył samochód

Petersona, który stał, jak się wydawało, pusty, z otwartą szybą od strony kierowcy i pracującym silnikiem, dotykając zderzakiem ceglanego muru. Przy bliższych oględzinach Montgomery odkrył, że samochód nie jest pusty. Na przednim siedzeniu leżał martwy Peterson z raną postrzałową głowy.

321

Reacher stanął przy oknie w salonie i obserwując cichą ulicę, rozmyślał o Petersonie. Zrozpaczone policjantki zostawił w holu. Słyszał ich głosy. W tym momencie weszły w krótką fazę zaprzeczenia. Może historia jest nieprawdziwa? Co Reacher uważał za teoretycznie możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. Operacyjne relacje z terenu bywają czasem niedokładne. Rany głowy sprawiają niekiedy mylne wrażenie. Ludzie w śpiączce brani są omyłkowo za martwych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach na sto łudzenie się nadzieją jest jednak stratą czasu. Reacher o tym wiedział. Był optymistą, ale nie głupcem.

•••

Złe wieści zostały potwierdzone pięć minut później przez samego komendanta Hollanda, który zaparkował przed domem i wszedł do środka. Trzy sprawy były dla niego najważniejsze. Po pierwsze, chciał osobiście poinformować o zdarzeniu podwładnych. Po drugie, zależało mu, by skupili się na swoich zadaniach. Odesłał policjanta z powrotem do stojącego na ulicy radiowozu, policjantki z dziennej zmiany zaś do łóżek i kazał jednej policjantce z nocnej zmiany zająć stanowisko w bibliotece, a drugiej pilnować frontowych drzwi. Panował nad sobą i przemawiał cichym stanowczym głosem. Był porządnym dowódcą. Sytuacja być może nieco go przerastała, miał zdecydowanie za dużo na głowie, ale starał się działać. A więc i tak zachowywał się lepiej niż niektórzy znani Reacherowi dowódcy.

Trzecia sprawa, z którą przyjechał Holland, była czymś pośrednim między rozkazem i zaproszeniem. Wszedł do salonu, popatrzył Reacherowi prosto w oczy i poprosił go, żeby pojechał rzucić okiem na miejsce zbrodni.

•••

Janet Salter wstała zaalarmowana hałasem i schroniła się w kuchni. Reacher znalazł ją tam. Była całkowicie ubrana

322

i miała w kieszeni rewolwer. Spodziewała się, co chce jej powiedzieć.

- Wiem, co robić — zapewniła, machając niecierpliwie ręką.
- Na pewno?
- Do piwnicy, z bronią, czekać na hasło.
- Kiedy?
- Kiedy tylko coś się wydarzy. Albo wcześniej. Może już teraz.
- Niezły pomysł. Zabójca gdzieś tu jest, gdzieś blisko — ostrzegł Reacher.
- Wiem, co robić — powtórzyła.

•••

Reacher usiadł na przednim siedzeniu nieoznakowanego samochodu Hollanda. Holland zawrócił i ruszył w kierunku miasta. Skręcił w lewo przy parku, w prawo w ulicę, przy której była kafejka, i minął sklep z ubraniami, gdzie Reacher zrobił zakupy. Następnie, klucząc bocznymi uliczkami, dotarł do długiej przecznicy zabudowanej piętrowymi ceglanymi domami. Były proste i kwadratowe. Kiedyś mieściły się w nich pewnie sklepy, biura i magazyny. Kiedyś tworzyły pewnie handlowe centrum Bolton. Teraz były w ruinie. Większość wydawała się porzucona. Trzy zburzono, tworząc w ten sposób prowizoryczny parking o rozmiarach może sto na czterdzieści stóp, używany jednak bardziej w dzień niż w nocy. Wszędzie były góry i doliny zamrożonego śniegu i koleiny powstałe wiele dni temu, kiedy ziemia była jeszcze miękka.

Pustego parkingu strzegły dwa radiowozy z obracającymi się na dachach czerwonymi światłami. Ich promienie omiatały w szaleńczym rytmie odległe i bliskie ściany. W każdym radiowozie był jeden gliniarz. Reacher nie znał żadnego z nich. Po prostu tam siedzieli. Nie trzeba było odganiać gapiów. Było o wiele za późno i o wiele za zimno, żeby się pojawili.

323

Samochód Petersona stał w samym rogu po lewej stronie. Silnik nadal pracował, okno od strony kierowcy było otwarte. Krótkie pionowe rury na zderzaku dociśnięte były do ceglanego muru, który stanowił boczną ścianę sąsiedniego budynku.

Holland zaparkował przy krawężniku i wysiadł. Reacher zrobił to samo, po czym zapiął kurtkę i naciągnął czapkę na uszy. Boczna uliczka, przy której był parking, biegła z północy na południe i sąsiedni budynek osłaniał ich przed wiatrem. Było zimno, ale do zniesienia. Weszli na parking. Nie musieli się bać, że zادةpczą ślady opon albo butów, ponieważ żadnych śladów nie było. Poryty koleinami śnieg był niczym blacha falista, tyle że twardszy. Poza tym gładki i śliski. Starając się nie stracić równowagi, podeszli z tyłu do samochodu Petersona. Jego rura wydechowa cierpliwie pyrkotała. Cały pojazd stał niczym wiemy sługa czekający na dalsze dyspozycje pana.

Kiedy podeszli do drzwi od strony kierowcy, pod ich podeszwami zaskrzypiał lód. Zajrzeli do środka przez otwarte okno. Stopy Petersona leżały przy pedałach, ciało było wykręcone w pasie. Osunął się na bok. Jego pistolet nadal tkwił w kaburze. Miał odchyloną do tyłu głowę, wygięty kark i przyciskał policzek do siedzenia, jakby oglądał coś bardzo ciekawego po wewnętrznej stronie drzwiczek.

Reacher obszedł samochód od tyłu, przecinając po drodze niewielkie białe kłęby spalin, po czym położył dłoń w rękawicze na klamce, otworzył przednie drzwi od strony pasażera i przykucnął. Peterson wpatrywał się w niego niewidzącymi oczyma. Miał trzecie oko pośrodku czoła. Rana wlotowa, idealnie umiejscowiona zupełnie jak u adwokata na wschód od miasta. Pocisk był prawie na pewno kalibru 9 milimetrów. Strzał oddano z bliskiej odległości, mniej więcej pięciu stóp. Na skórze widać było niewyraźne oparzenia i niewyraźne tatuaże od prochu.

Nie było rany wylotowej. Kula nadal tkwiła w głowie

324

Petersona, spłaszczona, zdeformowana i przekręcona. Trochę nietypowe dla dziewięciu milimetrów i strzału oddanego z małej odległości. Ale najwyraźniej Peterson miał twardą czaszkę.

Nie było wątpliwości, że nie żyje. Reacher znał się w wystarczającym stopniu na balistyce i ludzkiej biologii i oglądał w życiu dość trupów, żeby mieć absolutną pewność. Mimo to sprawdził. Zdjął rękawicę i przyłożył dwa palce do zimnej skóry za uchem Petersona. Nie poczuł pulsu. Nie poczuł nic prócz woskowego ciała nieboszczyka, częściowo miękkiego, częściowo twardego, jednocześnie stałego i niematerialnego, niewrażliwego na żywy dotyk. Włożył rękawicę.

Biegi w samochodzie zmieniało się dźwignią umieszczoną w kolumnie kierownicy. Ustawiona była w pozycji DRIVE. Ogrzewanie nastawione na dwadzieścia stopni. Radio bardzo ściśnione. Słyszać było cichy szum przerywany co jakiś czas niezrozumiałym mamrotem głosów.

- Dobra — mruknął Reacher.
- Zobaczył pan dosyć? — zapytał Holland.
- Tak.
- No więc co się stało?
- Nie wiem.
- Dlaczego nie pojechał prosto do domu?
- Nie wiem.

- Szukał zabójcy — stwierdził Holland.
- Wszyscy go szukacie.
- Ale to wcale nie należało dziś w nocy do jego zadań. Robił to na własną rękę. Wie pan dlaczego?
- Nie.
- Chciał panu zaimponować.
- Mnie?
- Był pan dla niego kimś w rodzaju mentora. Pomagał mu pan. Może nawet popychał do zrobienia pewnych rzeczy.
- Naprawdę?

325

- Powiedział mu pan, co ma robić z martwym adwokatem. Wszystkie te fotografie... Powiedział mu pan, co ma zrobić z martwym motocyklistą. Dyskutował pan z nim. Miał objąć stanowisko szefa policji. Chciał być dobrym szefem. Był ciekaw zdania innych.
- Nie kazałem mu szukać zabójcy w środku nocy.
- Chciał rozwiązać tę sprawę.
- Wszyscy tego chcecie.
- Chciał zyskać pański szacunek.
- Albo pański — odparł Reacher. — Może próbował zasłużyć na te bzdurne pochwały, którymi obsypał go pan dziś przez radio. Na temat metamfetaminy. Przez pana poczuł się jak uzurpator.

Na chwilę zapadła cisza.

- Co się tutaj wydarzyło? — zapytał Holland.
- Zobaczył kogoś na parking. Prawie na pewno w samochodzie albo pick-upie. Za zimno, żeby chodzić pieszo. Wjechał na parking. Zatoczył szeroki łuk. Zatrzymał się drzwi w drzwi. Całkiem blisko. Ściszył radio, opuścił szybę, gotów do rozmowy. Ale facet go zastrzelił. Peterson osunął się na fotel, jego stopa ześlizgnęła się z hamulca i samochód wjechał na mur.
- Zasadniczo ten sam scenariusz co z adwokatem.
- Zasadniczo.
- Czy szybko umarł?
- Od strzału w głowę na ogół umiera się szybko.

Stali w milczeniu, trzęsąc się na mrozie.

- Czy nie powinniśmy poszukać łuski? — zapytał Holland.

Reacher pokręcił głową.

- Odbyło się to tak samo jak w przypadku adwokata: łuska wpadła do pojazdu zabójcy. Holland milczał. Reacher poznał po wyrazie jego twarzy, że nadal zadaje sobie to samo pytanie: „Kim jest ten facet?”. Widać to było w jego oczach. Niewygodne pytanie z mało ciekawą odpowiedzią.

326

- Widzę teraz, dlaczego chciał pan, żebym się tu znalazł — stwierdził Reacher. — Chciał pan, żebym to ja powiedział głośno, co się tu dzieje. Ja, nie pan. Ktoś z boku. Holland się nie odezwał.
- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Jeszcze nie — powiedział Reacher. — Zastanówmy się przez chwilę.

•••

Wrócili do komisariatu. Holland zaparkował na zarezerwowanym miejscu i podeszli między koszami na śmieci do drzwi. Udali się do sali odpraw i stanęli przy biurku Petersona.

- Powinien pan sprawdzić jego skrzynkę e-mailową i pocztę głosową. Mógł dostać jakąś wiadomość, która go tam zaprowadziła — powiedział Holland.

- Chwyta się pan ostatniej nadziei.
- Mam prawo.
- Czy w ogóle tu przedtem przyjechał?
- Nie wiem.
- Czy w ogóle miał czas to zrobić?
- Pewnie nie. Ale i tak powinniśmy sprawdzić wiadomości. Bo w tych okolicznościach musimy mieć stuprocentową pewność.
- Niech pan sam to sprawdzi. To pana komisariat. Ja jestem tylko cywilem.
- Nie wiem jak — wyznał Holland. — Nigdy się tego nie nauczyłem. Nie mam smykałki do techniki. Jestem ze starej szkoły. Wszyscy to wiedzą. Ja należę do przeszłości, Andrew był przyszością.

Reacher postukał więc w klawiaturę telefonu i komputera. Nie były potrzebne żadne hasła i żadne PIN-y. Wszystko ustawione na szybki dostęp. W poczcie głosowej znalazł tylko jedną wiadomość, od Kim Peterson, nagraną tuż przed osiemnastą, po tym jak Reacher i jej mąż popędzili do domu Janet Salter po obejrzeniu nagrania z więzienia.

327

W nagranych głosie Kim słyhać było jednocześnie panikę i odwagę, rezygnację i płaczący ton. „Kiedy wracasz do domu?” — zapytała.

W skrzynce e-mailowej Reacher znalazł dwie wiadomości. Pierwsza była z DEA w Waszyngtonie. Agent potwierdzał, że w obiekcie na zachód od Bolton w Dakocie Południowej nie ma laboratorium, w którym produkowano by metamfetaminę. Ustalono to dzięki kosztownej obserwacji prowadzonej przez satelitę. Podziękowano Petersonowi za zainteresowanie i proszono, żeby skontaktował się ponownie, jeśli pojawią się nowe informacje. -

Drugą wiadomością był rozsyłany na cały stan rutynowy nocny biuletyn z drogowki.

Poszukuje się: w tym przypadku całkiem sporej liczby fantów, w tym trzech samochodów i czterech ciężarówek skradzionych tego dnia w różnych miejscach na terytorium całego stanu, pług śnieżnego skradzionego z bazy drogowej na wschód od Mitchell, czegoś, co nazywało się motopompą Isuzu serii N, i pojazdu do odladzania skradzionych przez dwóch pracowników cywilnego lądowiska na wschód od Rapid City, oraz buchniętej w Pierre strzelby Ithaca. Poszukiwano również czterech osobników poruszających się chevroletem suburban model 1979, podejrzewanych o udział w brutalnym i nieudanym napadzie w Sioux Falls, i na koniec, na podstawie zgłoszenia samego Petersona, barmana, który był podejrzany o zabójstwo i poruszał się pick-upem Forda z 2005 roku.

- Nic ważnego — stwierdził Reacher.

Holland usiadł za biurkiem.

- Więc powiedz to na głos — poprosił. — Powiedz, do czego doszedłeś.
- Trzy pytania. Dlaczego adwokat zatrzymał się na drodze, niczego nie podejrzewając? Dlaczego Peterson zatrzymał się na parkingu? I dlaczego zginął akurat dzisiaj?
- Jakie są odpowiedzi?
- Ponieważ adwokat uważał, że może to bezpiecznie zrobić.

328

Ponieważ Peterson uważał, że może to bezpiecznie zrobić. I ponieważ ogłosił pan przez policyjne radio przejęcie metam-fetaminy.

Holland pokiwał głową.

- Zabójca jest jednym z nas — mruknął. — To gliniarz. Za pięć minut północ. Jeszcze cztery godziny.

36

Holland i Reacher przeanalizowali wszystko jeszcze raz, szukając słabych punktów w swoim rozumowaniu, nie znajdując żadnych i z tego względu nabierające niemal całkowitej

pewności. Fakt, że w komisariacie pracuje zblatowany gliniarz, wyjaśniał, dlaczego nic nie dały blokady, których celem było niewpuszczenie do miasta obcego. Hipoteza zblatowanego gliniarza, migającego światłami, być może machającego przez okno ręką w rękawicy, wyjaśniała, dlaczego ostrożny adwokat zatrzymał się na pustej drodze. Hipoteza zblatowanego gliniarza, który usłyszał wcześniej triumfalny komunikat Hollanda, wyjaśniała, dlaczego Peterson zginął zaraz po jego ogłoszeniu. Facet zorientował się, że musi coś zrobić jeszcze tej nocy. „Jutro z samego rana pan Peterson zapozna ze szczegółami DEA”, powiedział Holland. Wniosek był prosty. Hipoteza zblatowanego gliniarza stojącego na parkingu, być może machającego niecierpliwie ręką wyjaśniała również, dlaczego Peterson, niczego nie podejrzewając, od razu do niego podjechał.

Kiedy zawyła syrena, zblatowany gliniarz musiał także zgodnie z planem kryzysowym stawić się, chcąc nie chcąc, w więzieniu. To tłumaczyło, dlaczego Janet Salter przeżyła zamieszki, które tam wybuchły.

330

— To moja wina — uznał Holland. — To, co powiedziałem przez radio, przyczyniło się do śmierci Andrew.

— Ja zrobiłbym to samo — powiedział Reacher. — W gruncie rzeczy kilka razy zrobiłem to samo.

— Chciałem mu pomóc.

— Nie mógł pan sobie zdawać sprawy z konsekwencji. Niech pan się nie obwinia.

— Jak mogę się nie obwiniać?

— Po co tam w ogóle pojechał? Nie był na służbie. Ten parking nie był po drodze do jego domu.

— On zawsze był na służbie, przynajmniej w głębi duszy. I mógł jechać tamtędy do domu. Z grubsza rzecz biorąc. To znaczy nakładał bardzo mało drogi. Najwyżej dwie minuty. Taki po prostu był Andrew. Zawsze chciał dać z siebie więcej. Zawsze gotów był jeszcze raz spróbować, jeszcze raz coś sprawdzić.

Reacher się nie odezwał.

— Zakładam, że za wszystkim stoi ten Meksykanin — dodał Holland. — Ten, o którym stale słyszymy.

— Platon.

— Jak dawno udało mu się przeciągnąć na swoją stronę naszego człowieka?

— Rok temu — odparł Reacher. — Ta cała historia trwa chyba od roku.

— Przekupił go?

— Tak się dzieje w większości przypadków.

— Kto to jest?

— Nie wiem.

— Przypuszczam, że to któryś z nowych. Prawie ich nie znam. W każdym razie nie na tyle, żeby im ufać. Jednostka jest w rozsypce. To też prawdopodobnie moja wina. Nie udało mi się ich krótko trzymać.

Reacher milczał.

— Od czego zaczniemy? — zapytał Holland.

— Niech pan mi opowie o Kaplerze — poprosił Reacher.

331

— Miał jakieś problemy w Miami. Niczego mu nie udowodniono, ale krążyły plotki. Mowa była o forsie za narkotyki.

— Wspaniale.

— To były tylko plotki.

— Powinien mu się pan dokładnie przyjrzeć. I Lowellowi. Co mu się przytrafiło przed rokiem? I niech pan sprawdzi Montgomery'ego. Ludzie, którzy odkrywają przestępstwo, są czasem tymi samymi, którzy je popełnili.

— Mam ich wezwać? — zapytał Holland.

— Najbezpieczniej byłoby wezwać wszystkich. Cały cholerny komisariat. Wiedziałby pan wtedy na pewno, że ma przed sobą sprawcę.

— Mogę to zrobić?

— Jasne, że pan może.

— A powinienem?

Reacher nie odpowiedział. Podstawowe pytanie każdego gliniarza: „A jeśli się mylę?”.

— Ekipa dyżurująca w domu pani Salter musi być w porządku — uznał Holland. — Nigdzie dziś nie wyjeżdżali. Prawda? Nie czekali na opustoszałych parkingach. Mają alibi, które może poświadczyć pan i wzajemnie oni sami.

— To prawda.

— Więc mogę ich tam zostawić.

— Ale powinien pan ich najpierw ostrzec — powiedział Reacher. — Jeśli nasz sprawca wyczuje, że się zaciska, może spróbować po raz ostami.

— Przyskrzynią go.

— Nie zrobią tego, jeśli pan ich wcześniej nie ostrzeże. Jak się zachowają, jeśli do drzwi zapuka znajomy policjant? Będą najpierw strzelali, a potem zadawali pytania?

— Przyskrzynią go potem.

— Potem może być za późno.

— To byłaby samobójcza misja.

— Może jest na nią gotowy. Musi wiedzieć, że wpadnie wcześniej czy później. Musi wiedzieć, że zginie, cokolwiek się

332

wydarzy. Jest między młotem i kowadłem. Dostanie czapę, czy to będą dwa, czy trzy zabójstwa.

— Może się w ogóle nie zgłosić. Może nie wykonać mojego rozkazu.

— W takim wypadku zdradzi się przed panem. Zupełnie jakby wymalował sobie na plecach tarczę strzelniczą. Zaoszczędzi panu kłopotu.

— Więc co powinienem zrobić? Mam ich wezwać?

— Ja bym to zrobił — odparł Reacher. — To podstawowy obowiązek każdej jednostki policyjnej. Oczyszczyć ulice z przestępców.

•••

Holland zaczął dzwonić. Na początku odbył siedem rozmów z czterema policjantkami i trzema policjantami stacjonującymi u pani Salter. Podtekst był niezręczny. „Jeden z naszych kolegów jest zabójcą. Nie ufajcie nikomu spoza waszej ekipy”. Następnie zwrócił się przez radio do wszystkich funkcjonariuszy i kazał im bez względu na to, gdzie są co robią i czy są czy nie są na służbie, stawić się za trzydzieści minut w bazie. Co zdaniem Reachera było drobnym taktycznym błędem. Lepiej było zażądać, by stawili się natychmiast. Nie oznaczało to wcale, że zjawią się wcześniej, lecz nawet bardzo bliski termin dawał zabójcy poczucie, że nadal ma czas i przestrzeń, by działać, by wykonać zadanie, i to w idealnych z jego punktu widzenia warunkach chaosu i zamieszania, kiedy wszyscy gliniarze będą pędzili na złamanie karku do komisariatu. Następne pół godziny mogło się okazać ryzykowne.

Holland odstawił mikrofon i podniósł słuchawkę.

— Nie poinformowano jeszcze Kim Peterson.

— Niech pan tego nie robi przez telefon — powiedział Reacher. — To byłoby nie w porządku.

— Wiem. Dzwonię do dyspozytora, bo chcę, żeby pan to zrobił. On może pana podwieźć i później odebrać. Godzina powinna wystarczyć.

333

- Mówi pan poważnie? — zapytał Reacher.
 - Nie mam czasu sam tego zrobić. Będę zajęty tutaj.
 - Nie mam odpowiedniej rangi. Jestem tu przejazdem...
 - Poznał ją pan. Spędził pan noc w jej domu.
 - To pana obowiązek, nie mój.
 - Na pewno już pan to robił.
 - To nie ma nic do rzeczy.
 - Na pewno jest pan w tym dobry.
 - Nieszczególnie.
 - Musi pan to zrobić. Ja po prostu nie mogę, rozumie pan?
- Niech pan mnie nie zmusza.

•••

Po całej godzinie spędzonej w fotelu 1A w przedniej części kabiny Platon zaczął się niecierpliwić. Nocne loty go nudziły. W dzień zawsze był jakiś widok, nawet z wysokości siedmiu mil. Ziemia była na ogół brązowa i pusta, ale widział wystarczająco dużo dróg, domów i miast, żeby uświadomić sobie, że tam na dole mieszkają nowi klienci, czekający tylko, żeby ich zwerbować i obsłużyć. W nocy ich nie widział. Nie widział nic oprócz ciemności i sznurów odległych świateł.

Wstał i ruszył na tył, mijając swoich ludzi i ostatnie fotele pierwszej klasy i przechodząc do przestrzeni ładunkowej, gdzie była kiedyś klasa turystyczna. Spojrzał na leżący na podłodze sprzęt. Jego ludzie już go sprawdzili. Sprawdził go jeszcze raz, ponieważ nie bez kozery nazywał się Platon.

Żywność, woda, mało ciekawe. Siedem kurtek, siedem czapek, siedem par rękawic. Wszystkie nowe i odpowiednie. Kurtki były wielkie i pękate, wypełnione gęsim puchem. Wszystkie czarne, popularnej marki North Face. Sześć w rozmiarze średnim, jedna w chłopięcym. Pistolety maszynowe marki H&K, model MP5K. Krótkie, kanciaste, futurystyczne i zabójcze. Jego ulubione. W siedmiu plecakach były zapasowe magazynki i latarki.

334

Platon natychmiast dostrzegł problem. Paski plecaków powinny być maksymalnie wydłużone, by można je było włożyć na pękate kurtki. Wniosek narzucał się sam. Trzeba tylko myśleć z wyprzedzeniem. Ale nie zrobiono tego.

Nie bez kozery nazywał się Platon.

Aluminiowe drabiny wyprodukowała amerykańska firma o nazwie Werner. Mierzyły przy maksymalnym rozstawie trzydzieści dwie stopy i miały udźwig sto pięćdziesiąt funtów. Wszystkie oblepione były żółtymi nalepkami ostrzegawczymi. Lekko brzęczały wskutek wibracji silnika. Ważyły prawdopodobnie po dwadzieścia funtów każda. Było ich cztery. Osiemdziesiąt funtów. Zostawiają je na miejscu. Zamiast czterech bezużytecznych drabin lepiej przewieźć czterdzieści zapakowanych w silikonowany papier bloków.

To samo dotyczyło oczywiście sześciu bezużytecznych mężczyzn. Oni też zostaną na miejscu. Co ma większą wartość? Dziewięćset funtów dającej się łatwo zastąpić ludzkiej mierzwy czy czterysta pięćdziesiąt dodatkowych paczek metamfetaminy? Odpowiedź jest prosta.

Platon myślami był już przy podróży powrotnej. Wiedział, że musi mu się udać. Przewyższał innych pod wieloma względami. Na ogół w przytłaczający sposób. Jego człowiek na dole stanowił wyłącznie dodatkowe zabezpieczenie, nic więcej.

•••

Caleb Carter zajmował niską pozycję w społecznej hierarchii. Znajdował się na samym dole totemicznego słupa, co zakrawało jego zdaniem na ironię. Tak się składało, że wiedział to i owo o totemicznych słupach i w ogóle o kulturze rdzennych Amerykanów. Wiedział to i owo o wielu rzeczach, lecz była to wiedza nieusystematyzowana i chaotyczna, nieznajdująca odzwierciedlenia w jego stopniach w szkole średniej, a później w możliwościach zatrudnienia. W związku z tym Caleb poszukał pracy w więziennictwie. W jego klasie był to najczęstszy wybór. Zapewne najczęstszy wybór dla wielu przyszłych rocz-

335
ników maturzystów. Wyszkolono go tam, wyposażono w krótkofalówkę oraz mundur ze sztucznego włókna i wysłano na nocną zmianę w okręgowym areszcie. Był najmłodszym członkiem czteroosobowej ekipy. Z tego względu kimś sytuującym się na samym dole totemicznego słupa.

Tyle że mówienie o nowym pracowniku, że jest na samym dole totemicznego słupa, jest nonsensem. Jaką wysokość miały totemiczne słupy? Dwadzieścia, trzydzieści stóp? Rdzenni Amerykanie nie byli głupi. Na samym dole umieszczali największą szychę. Czy facet, który jest naprawdę ważny, chciałby tkwić dwadzieścia albo trzydzieści stóp nad ziemią, gdzie nikt nie może go zobaczyć? Tak samo jest w supermarketach. Na półkach na wysokości oczu leżą najlepsze towary. Takie, które najlepiej się sprzedają. Wielkie korporacje zatrudniają ekspertów, żeby je wyszukiwali. Najważniejsze, żeby znalazły się na wysokości oczu. Z tego względu ktoś na samym dole zajmuje w rzeczywistości wysoką pozycję, a ten na górze jest tak naprawdę niewiele wart. W pewnym sensie. Powszechny błąd percepcji. Rodzaj lingwistycznej inwersji. Caleb Carter nie wiedział, jak do tego doszło.

Praca na nocnej zmianie była łatwa. Cele zamykano, zanim przychodził na dyżur, i otwierano po tym, jak z niego schodził. Tak naprawdę ekipa Caleba była odpowiedzialna tylko za jedno: mieli pilnować, czy żaden z osadzonych nie potrzebuje nagłej pomocy medycznej.

Więźniowie mogli zacząć toczyć pianę z ust albo walić głowami w ścianę. Niektórzy nie zdawali sobie do końca sprawy, jakie powinni brać leki. Inni próbowali powiesić się na skręconych i zasupłanych nogawkach spodni. Żałosna banda.

W zakres monitoringu wchodziło dziesięć inspekcji, jedna co godzina. Oczywiście większość z nich nie była przeprowadzana. Czasami nie przeprowadzano żadnej. Łatwiej było siedzieć w wartowni, grając w pokera, oglądając porno w Internecie albo drzemiąc z zatyczkami w uszach. Z początku ta niesumienność drażniła Caleba. Zaczynając nową pracę i nowe

336
życie, miał wiele entuzjazmu i energii. Był gotów traktować wszystko poważnie. Ale najważniejszym obowiązkiem każdego nowego jest się przystosować. Dlatego się przystosował. Po miesiącu nie pamiętał już, co go tak drażniło. Czego mogło wymagać szefostwo w zamian za nędzne dziesięć dolców za godzinę?

Zamieszki, które wybuchły poprzedniej nocy w sąsiednim bloku, zmieniły nieco sytuację. Dowódca warty wyznaczył po nich trzy inspekcje. Jedną nawet przeprowadził osobiście. Tej nocy Caleb oczekiwał dwóch, ale minęły już cztery godziny i nie przeprowadzili żadnej, w związku z czym było jasne, że skończy się na jednej. Miał ją oczywiście na głowie Caleb, bo znajdował się na samym dole totemicznego słupa. Specjalnie przeciwko temu nie protestował. Zamierzał to zrobić już niedługo, ale nie natychmiast, ponieważ w tym momencie odwiedzał w sieci kilka miejsc, w których pokazywano tłuste nagie dziewczyny i gospodarskie zwierzęta. Robota może zaczekać.

•••

Reacher wysiadł z poobijanego samochodu u wylom podjazdu Petersona, popatrzył w ślad za odjeżdżającym dyspozytorem i ruszył w stronę domu. Miał wrażenie, że idzie białym tunelem. Zaspy śniegu po lewej i prawej stronie miały po pięć stóp wysokości. Przed sobą miał rozwidlenie w kształcie litery Y, na prawo do stodoły, na lewo do domu. Wiatr był silny,

teren płaski i otwarty. Nigdy jeszcze nie było mu tak zimno. Wiedział to z całą pewnością. Biegun ciepła zaliczył już wcześniej. Pewnego dnia w Arabii Saudyjskiej, na samym początku operacji Pustynna tarcza, temperatura w południe wyniosła sześćdziesiąt stopni. Teraz w Dakocie Południowej wynosiła minus trzydzieści pięć, ale lodowaty wiatr obniża ją subiektywnie co najmniej do pięćdziesięciu. Żadna z ekstremalnych temperatur nie jest przyjemna, lecz dobrze wiedział, którą woli.

337

Doszedł do rozwidlenia i skręcił w lewo, w stronę domu. Ścieżka była w porządku. Posypano ją solą i żwirem. Może był to ostatni domowy obowiązek, jaki wykonał w życiu Andrew Peterson. Dziesięć minut pracy. Dzięki temu łatwiej poinformować wdowę o jego śmierci. Przed sobą zobaczył dom. Czerwone deski, czerwone drzwi pobrązowane w księżycowej poświacie. Miękkie żółte światło za szybą okna. Niewyraźny zapach drzewnego dymu z komina. Reacher szedł dalej. Było mu tak zimno, że zapomniał niemal, jak się stawia kroki. Niczym ofiara udaru. Musiał się skoncentrować. Lewa stopa, prawa stopa, jeden krok, drugi krok, świadomie i z rozważą. Jakby opanowywał całkiem nową umiejętność.

Przy drzwiach odczekał chwilę, zakaszał, pozbywając się z płuc lodowatego powietrza, po czym zapukał. Gruba rękawica i fakt, że cały się trząsł, zmieniły to, co miało być zdecydowanym podwójnym stuknięciem, w stłumiony urywany terkot. Najgorszy odgłos pod słońcem. Pukanie do drzwi gliniarza po północy, kiedy w domu czeka na niego rodzina. To nie może być dobra wiadomość. Kim zrozumie to w ułamku sekundy. Pytanie brzmiało, jak zaciekle i jak długo nie będzie chciała przyjąć tego do wiadomości. Reacher wiedział, jak to będzie wyglądać. Pukał po północy do wielu różnych drzwi.

Otworzyła. Jedno spojrzenie i ostatnia absurdalna nadzieja znikła z jej twarzy. To nie mąż. Nie upuścił kluczy w śnieg. Nie upił się nie wiadomo dlaczego i nie ma trudności z włożeniem klucza do dziurki.

Upadła, jakby otworzyła się pod nią zapadnia.

•••

Caleb Carter wziął z półki przy drzwiach czarną latarkę Maglite na cztery baterie i sprawdził krótkofalówkę. Była włączona i działała. Latarka dawała mocne światło. Do ściany przykręcona była tabliczka z przywiązany na postrzępionym sznurku długopisem. Caleb wpisał na niej wyjście na piątą

338

inspekcją — cztery poprzednie wpisy były fałszywe. Nikt nie podniósł wzroku. Caleb wyszedł z wartowni i ruszył korytarzem.

Jeśli chodzi o jurysdykcję, areszt okręgowy nie miał nic wspólnego z więzieniem stanowym, które z kolei nie miało nic wspólnego z więzieniem federalnym. Wszystkie trzy obiekty znajdowały się jednak w tym samym miejscu i były identyczne pod względem architektonicznym. Oszczędność skali, łatwość działania. W okręgowym areszcie siedzieli głównie miejscowi, którym nie udało się wyjść za kaucją. Niewinni, dopóki nie udowodni im się przestępstwa. Ich rozprawy jeszcze się nie odbyły. Caleb znał kilku ze szkoły średniej. Mniej więcej jedna czwarta pensjonariuszy miała już rozprawy za sobą. Zostali uznani za winnych i skazani i czekali, aż system skieruje ich dalej.

Żałosna banda.

W piętrowym budynku, który składał się z dwóch skrzydeł przylegających do siebie na kształt litery V, było sześćdziesiąt cel, po piętnaście w każdej sekcji. Parter wschodniego skrzydła, piętro wschodniego skrzydła, parter zachodniego skrzydła, piętro zachodniego skrzydła. W miejscu, gdzie stykały się skrzydła, były metalowe schody, a za nimi jednopiętrowa przybudówka ze stołówką i świetlicą, tak że na parterze budynek miał właściwie kształt litery Y.

We wszystkich sześćdziesięciu celach był komplet. Jak zawsze. Pieniądze na areszt nie szły z Bolton i wyglądało na to, że politykom z Pierre, Waszyngtonu czy skądkolwiek indziej zależy, żeby ich fundusze były prawidłowo wykorzystane. W mieście godzono się z tym, że jeśli w areszcie są wolne miejsca, prawo zaczyna być przestrzegane surowiej. I odwrotnie. Jeśli jest jakaś wolna przycza, wystarczy uncja zioła, żeby kogoś przymknąć. Jeśli wszystkie sześćdziesiąt cel jest zajętych, nawet posiadanie dwóch uncji może ująć na sucho.

Organy ścigania. Branża, w której zdecydował się zrobić karierę Caleb.

Zaczął inspekcję na parterze, od końca wschodniego skrzydła.

339

Przeszedł cały korytarz, odwrócił się, zapalił latarkę i ruszył powoli z powrotem. Cele były po jego lewej stronie. Trzymał latarkę na ramieniu, dzięki czemu nie tylko fajnie wyglądał, ale miał światło na wysokości oczu. Cele miały pręty z przodu, przycze po prawej stronie, umywalki i toalety w lewym tylnym rogu i wąskie biurka naprzeciwko łóżek. Na przyczach leżeli mężczyźni. Większość spała, burcząc, mamrocząc i chrapiąc pod cienkimi szarymi kocami. Kilku czuwało i światło latarki odbijało się w ich wąskich szurzących oczach.

Caleb skrzył w drugi korytarz i skontrolował zachodnie skrzydło.

Piętnaście cel, piętnaście łóżek z leżącymi na nich piętnastoma mężczyznami. Dwunastu spało, trzech nie, żaden nie był chory.

Caleb wszedł po schodach na piętro wschodniego skrzydła. Ten sam wynik. Nie wiedział, dlaczego szefostwo tak się przejmuje. To miejsce to po prostu magazyn. Coś w rodzaju taniego hotelu. Czy obsługa hotelowa sprawdza co godzinę swoich gości? Chyba nie.

Procedury są takie durne.

Minął schody i przeszedł do zachodniego skrzydła. Szedł trochę szybciej niż zwykle. Cienie krat przesuwają się, kiedy padało na nie światło latarki. Cella pierwsza, ludzki kształt pod kocem po prawej stronie, nie śpi, cella druga, ludzki kształt pod kocem po prawej stronie, śpi, cella trzecia, to samo.

I tak dalej, i tak dalej aż do końca korytarza. W celi szóstej był grubas. Ten, który nie rozmawiał z nikim poza motocyklistą z celi siódmej.

Ale w celi siódmej nie było motocyklisty.

Cella siódma na piętrze wschodniego skrzydła była pusta.

37

Reacher nie zdążył złapać padającej na ganek Kim Peterson. Po chwili pochylił się niezgrabnie w wielkiej kurtce i wsunął jej rękę pod plecy. Zemdląca na amen. To absurdalne, ale najbardziej martwiło go to, że drzwi są szeroko otwarte i z domu ucieka ciepło. Wsunął więc drugą rękę pod kolana Kim, podniósł ją i zamknąwszy drzwi kopnięciem, zaniósł ją do salonu i położył na poobijanej sofie przy piecyku.

Widział już wcześniej mdlejące kobiety. Wiele razy pukał do czyichś drzwi po północy.

Wiedział, co robić. Jak wszystko inne w wojsku zostało to dokładnie objaśnione. Omdlenie wskutek szoku jest prostą reakcją wazowagalną: serce bije wolniej, naczynia krwionośne się rozszerzają; zmniejsza się energia hydrauliczna, która doprowadza krew do mózgu. Sposób postępowania można zawrzeć w pięciu punktach. Po pierwsze, złapać ofiarę. Zdążył się już z tym spóźnić. Po drugie, położyć ją tak, żeby miała wysoko stopy, a głowę nisko; grawitacja pomaga wtedy dopłynąć krwi do mózgu. Co zrobił. Przekręcił Kim tak, że jej stopy znalazły się na poręczy sofy, a głowa niżej, na poduszce. Po trzecie, sprawdzić puls. Co zrobił, na nadgarstku. Zdjął rękawice i przyłożył palce do jej skóry, tak jak to zrobił wcześniej z jej mężem. Rezultat był odmienny. Puls miała w normie.

341

Punkt czwarty instrukcji postępowania: obudzić ofiarę głośnymi krzykami i lekkimi klapsami. To zawsze wydawało mu się okrucieństwem wobec dopiero co owdowiałych kobiet. Ale spróbował. Szepnął jej do ucha, dotknął policzka i delikatnie poklepał po ręce.

Bez odpowiedzi.

Spróbował jeszcze raz, trochę bardziej zdecydowanie, podnosząc głos i dotykając jej mocniej. Nic się nie wydarzyło, tylko nad jego głową zaskrzypiały klepki podłogi. Jeden z chłopców obrócił się we śnie. Reacher na chwilę umilkł. Znieruchomiał. Do domu wróciła cisza. W salonie było ciepło, ale nie gorąco. W piecu się nie paliło. Zdjął czapkę i rozpiął kurtkę, po czym pochylił się i znów do niej przemówił. Dotknął jej policzka i ręki.

Kim Peterson otworzyła oczy.

Punkt piąty instrukcji postępowania: przekonać ofiarę, żeby położyła się na piętnaście albo dwadzieścia minut. W tym przypadku było to łatwe. Nie potrzebował perswazji. Kim Peterson się nie poruszała. Leżała po prostu na plecach, wpatrując się uważnie, w sufit, jakby coś tam napisano. Coś skomplikowanego i trudnego do zrozumienia.

- Pamięta mnie pani? — zapytał.
- Oczywiście.
- Niestety, mam złe wiadomości.
- Andrew nie żyje.
- Niestety, tak. Przykro mi.
- Kiedy?
- Przed godziną.
- Jak?
- Został zastrzelony. Zmarł natychmiast.
- Kto go zastrzelił?
- Naszym zdaniem facet, którego szukamy.
- Gdzie?
- W głowę.

Oczy Kim się zwięziły.

342

- Nie, miałam na myśli miejsce, gdzie to się stało.
- Przepraszam. W śródmieściu. Na pustym parkingu.
- Co tam robił?
- Wykonywał obowiązki. Coś sprawdzał.
- Był dobrym człowiekiem, wie pan?
- Wiem.
- Mam dwóch synów.
- Wiem.
- Co ja teraz zrobię?
- Będzie pani sobie z tym radziła krok po kroku. Dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie. Sekunda po sekundzie.
- Dobrze.
- Od zaraz.
- Dobrze.
- Po pierwsze, musimy tutaj kogoś ściągnąć. Już teraz. Kogoś, kto będzie mógł pomóc. Kogoś, kto będzie mógł z panią pobyć. Bo nie powinna pani być sama. Czy jest ktoś, do kogo mógłbym zadzwonić?
- Dlaczego nie przyjechał komendant Holland?
- Bardzo chciał, ale musiał zająć się śledztwem.
- Nie wierzę panu.
- Nie mógł tego odłożyć na później.
- Nie wierzę, że chciał przyjechać.
- Czuje się odpowiedzialny. Dobry szef zawsze czuje się odpowiedzialny.
- Powinien przyjechać.

- Do kogo mam zadzwonić?
- Do mojej sąsiadki Alice.
- Jaki ma numer?
- Przycisk trzeci na telefonie.

Reacher się rozejrzył. Na ścianie w aneksie kuchennym wisiał telefon z bezprzewodową słuchawką i czarną konsolą. Były na nim najróżniejsze przyciski i wyświetlacz z wielkim czerwonym zerem. Żadnych wiadomości.

343

- Proszę się stąd nie ruszać — rzucił Reacher.

Przeszedł do kuchni i wziął do ręki słuchawkę. Miała normalną klawiaturę do wybierania numerów. A także przycisk pamięci. Przycisk pamięci przestawiał chyba klawiaturę na klawisze szybkiego wybierania. Naciskając klawisz pierwszy i drugi, Kim dzwoniła pewnie do Andrew, do komisariatu i na komórkę. Reacher wcisnął przycisk pamięci i trójkę. Aparat sam wybrał numer i w słuchawce odezwał się sygnał. Dzwonił całkiem długo. W końcu ktoś odebrał. Kobieta, zasnana, ale przejęta. Chyba trochę zaniepokojona. Może jej mąż jest w drodze. Może ma dorosłe dzieci w innym mieście. Nocne telefony są tak samo złowieszcze jak nocne pukanie do drzwi.

- Czy to Alice? — zapytał.
- Tak, zgadza się. Z kim mówię?
- Jestem u Kim Peterson. Pani sąsiadki. Powinna pani do niej zaraz przyjść. Jej mąż został zabity dziś w nocy.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Po chwili Alice się odezwała, ale Reacher nie usłyszał, co mówi. Jej słowa zagłuszył inny dźwięk. Nagły. Głośny. Dobiegający z zewnątrz. Płaczliwy i skowyczący. Wrzaskliwy i szeleszczący. Wznoszący się i opadający. Nowy dźwięk przetoczył się przez mroźne pola niczym fala. Uderzył w bok domu i załomotał o szyby. Więzienna syrena.

Za pięć pierwsza w nocy.

Zostały trzy godziny.

38

Reacher wyobraził sobie cały eksplodujący w czterech wymiarach zwariowany scenariusz: policjanci w całym mieście, wracający z północy, południa, zachodu i wschodu na wezwanie Hollanda do komisariatu, słyszący nagle syrenę, zmieniający wszyscy kierunek jazdy, pilnująca Janet Salter siódemka wyruszająca do więzienia, powiększająca ogólne zamieszanie, zostawiająca ją samą

Samą niestrzeżoną i bezbronną wobec zabójcy, który po raz ostami będzie próbował ją zabić, a potem uciec albo znowu się zakamuflować.

„Wiem, co robić”, powiedziała Janet Salter.

Reacher odłożył słuchawkę.

- Muszę wyjść! — zawołał do Kim. — Alice jest już w drodze.

Otworzył frontowe drzwi. Syrena nadal wyla. Jej dźwięk był ogłuszający. Miał przed sobą odśnieżony podjazd. Pięćdziesiąt stóp do rozwidlenia, następne pięćdziesiąt do ulicy. A potem milę do miasta i kolejną milę do domu Janet Salter.

Nie miał samochodu.

Zamknął za sobą drzwi, wyszedł, poślizgnął się, potknął i skręcił pod ostrym kątem w stronę stodoły. Nadal stał w niej

345

stary pick-up Forda z zamontowanym z przodu śnieżnym pługiem. W stacyjce nie było kluczyka.

Pobiegł z powrotem do domu i zapukał energicznie do drzwi. Czekał bardzo długo. W końcu Kim Peterson ponownie mu otworzyła. Pierwszy szok minął. Teraz przeżywała koszmar. Zgarbiona, półprzytomna, zapłakana.

— Przepraszam — powiedział — ale potrzebuję kluczyka do pick-upa.

Nie odpowiedziała.

— Przepraszam, Kim, ale naprawdę potrzebuję kluczyka.

— Jest razem z innymi kluczami Andrew — odparła. — W jego kieszeni.

— Nie macie drugiego?

— Nie sędzę.

— Na pewno?

— To bardzo stary pick-up.

— Musi być zapasowy klucz.

— Chyba się zgubił.

Kim odwróciła się i ruszyła w głąb holu. W pewnym momencie zachwiała się i wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się ściany. Reacher zatrzasnął drzwi i wyszedł na dwór, żeby zaczekać. Na Alice. Sąsiadkę. Rolnicze tereny Dakoty Południowej były rozległe i słabo zaludnione. Domy stały daleko jeden od drugiego. Alice przyjedzie samochodem. Pożyczy go od niej.

Czekał.

Syrena nie przestawała wyc.

Alice przysłała pieszo.

Zobaczył ją w odległości jakichś stu jardów w świetle księżyca. Wysoka, trochę niechlujna, bo ubierała się w pośpiechu, szła szybkim krokiem, potykając się i ślizgając na lodzie, rozkładając szeroko ręce, jakby balansowała na linie. Spod wełnianej czapki wystawały włosy i blada plama twarzy. Podeszła drogą od prawej, zerkając niespokojnie na dom Petersonów i z trudem koordynując ruchy na zdradliwej na-

346

wierzchni. Reacher wyszedł na mróz, do rozwidlenia i dalej aż do ulicy. Spotkali się u wylotu podjazdu.

— Nie ma pani samochodu? — zapytał.

— Nie zapaliłby.

Reacher spojrzał w lewo, w stronę miasta.

Ona spojrzała na wprost, w stronę domu.

— Jak się czuje Kim? — zapytała.

— Źle — mruknął.

— Co się stało?

— Andrew został śmiertelnie postrzelony. Przez jakiegoś faceta na pustym parkingu.

— To straszne.

— Niech pani tam lepiej idzie. To będzie długa noc.

— Nie skończy się na jednej nocy.

— Jest pani na to gotowa?

— Muszę być.

— Niech pani zadzwoni do jej ojca. Kim powiedziała, że czasami ją odwiedza.

— Zadzwonię.

— Powodzenia.

Alice ruszyła w stronę domu.

Reacher skręcił w lewo w ulicę.

„Wiem, co robić”, powiedziała Janet Salter.

•••

Minutę później miał sto jardów do skrzyżowania z prowadzącą ze wschodu na zachód główną drogą. Na prawo było centrum miasta. Na lewo głucha wieś. Chciał, żeby mieszkał tam jakiś gliniarz. W odległości maksimum dziesięciu minut jazdy. Ktoś, komu mógłby zaufać. Nie Kapler, Lowell czy Montgomery. Chciał kogoś, kto należy do większości. Chciał, żeby facet był w domu, nie na służbie, żeby w momencie ogłoszenia alarmu spał, żeby zbudził się, ubrał, wyszedł na mróz, odpalił swój radiowóz i ruszył na zachód.

Chciał go zatrzymać i poprosić o podwiezienie.

347

Jego marzenie częściowo się spełniło.

Kiedy do skrzyżowania zostało mu siedemdziesiąt jardów, zobaczył światła na wschodzie. Zbliżające się szybko, pulsujące czerwienią i błękitem. Odbijały się od śniegu tak intensywnie, że mogło się здаwać, że przemieszcza się cały rozświetlony zagon ziemi. Że to podchodzący do lądowania latający spodek. Wielki, jasny, wirujący poziomo krąg światła. Przyspieszył kroku, wychodząc mu na spotkanie, i natychmiast potknął się i poślizgnął. Kręcąc rękoma wiatraka, odzyskał równowagę. Twarz zdążyła mu już solidnie przemarznąć. Miał wrażenie, że obito ją kijem, a potem znieczulono u dentysty. Radiowóz pędził sześćdziesiąt mil na godzinę na łańcuchach i zimowych oponach. On dreptał z prędkością trzech mil na godzinę, na sztywnych i odmawiających posłuszeństwa nogach, potykając się i ślizgając, zupełnie jakby biegł w miejscu. Jakby występował w slapstickowej komedii. Do rogu zostało mu jeszcze pięćdziesiąt jardów.

Widział, że nie zdąży.

Nie musiał.

Gliniarz go zobaczył.

Samochód zwolnił, skręcił na północ w ulicę Reachera i ruszył w jego stronę. Jasne przednie reflektory, jaskrawo-niebieskie i ciemnoczerwone lampy na dachu, białe stroboskopowe światła bijące boleśnie po oczach. Reacher stanął na szeroko rozstawionych nogach, podniósł obie ręce i pomachał. Uniwersalny sygnał wzywania pomocy. Szerokie kręgi zataczane obiema rękami.

Radiowóz zwolnił.

Reacher w ostatniej chwili odskoczył na bok i samochód zatrzymał się obok niego. Szyba od strony kierowcy zjechała w dół. Za kierownicą siedziała kobieta. Miała bladą, spuchniętą od snu twarz. Potargane włosy. Zaczerwienione oczy. Nie znał jej.

— Muszę się dostać do domu Salter — wymamrotał.

Zdrętwiały mu wargi. Górna część twarzy zmarzła na kość.

348

Z dolną nie było lepiej. Zawiasy łączące górną i dolną szczękę przestały działać.

— Że co? — zapytała policjantka.

— Musi mnie pani podwieźć.

— Dokąd?

— Do domu Janet Salter.

Pięć mil dalej wyła więzienna syrena. W radiowozie brzęczała krótkofalówka. Głos dyspozytora był niski, silił się na spokój. Staruszek wrócił już prawdopodobnie do komisariatu. Od kobiety czuć było alkohol. Chyba bourbon. Wypiła szklaneczkę przed snem. Może nawet dwie albo trzy.

— Kim pan jest, do diabła? — zapytała.

— Współpracowałem z Hollandem i Petersonem.

— Peterson nie żyje.

— Wiem o tym.

— To pan jest tym wojskowym gliniarzem?

— Tak. I musi mnie pani podwieźć.

- Nie mogę.
- Więc dlaczego pani skrzyła w moją stronę?
- Nie skrzyłam z pana powodu. Jadę na wyznaczone stanowisko.
- To nie jest droga do więzienia.
- Zajmujemy pozycje w odległości mili od ogrodzenia. Ja będę pilnowała północnowschodnich rubieży. Właśnie tędy mam tam dotrzeć.
- Co się stało?
- Motocyklista zwiął. Jego cela jest pusta.
- Nie — odrzekł Reacher.
- Jak to nie?
- To niemożliwe. To zmyłka. Próba odwrócenia uwagi.
- Albo tam jest, albo go nie ma, chłopie. A oni mówią że go nie ma.
- Gdzieś się ukrył. W schowku na szczotki albo podobnym miejscu. To zmyłka.
- Gówno prawda.

349

— Zetknąłem się z tym już wcześniej. Uciekinierzy mają dwa problemy. Po pierwsze, z wydostaniem się, po drugie, z wymknięciem się obławie. Ci sprytni najpierw się chowają. Gdzieś na terenie więzienia. Do chwili, aż skończy się obława. Wtedy uciekają. Ale ten facet nigdzie się nie wybiera. Wykonał tylko pierwszą część. Dla odwrócenia uwagi.

Policjantka nie odpowiedziała.

— Niech się pani zastanowi — tłumaczył Reacher. — Ucieczka jest trudniejsza, niż to się nam wydaje. Zaręczam pani, że facet nadal jest w środku. Jutro zgłodnieje i wyjdzie z tej mysiej dziury, do której się schował. Śmiejąc się od ucha do ucha. Bo wtedy będzie już za późno.

— Zalewa pan.

— Facet nadal jest w więzieniu. Może mi pani wierzyć. Niech pani zaryzykuje. Będzie tą jedną odważną.

— Zwariował pan.

— Dobrze, przypuśćmy, że zwariowałem. Przypuśćmy, że facet naprawdę zwiął. Ale zrobił to pięć godzin temu. Wie pani

0 tym. Więc jaki jest, do cholery, sens zajmowania pozycji w odległości jednej mili od więzienia?

Policjantka nie odpowiedziała. Syrena wciąż wyla.

— Pięć minut. Proszę. Nic więcej od pani nie chcę. Policjantka nie odpowiedziała. Po prostu wcisnęła jednocześnie przycisk szyby i pedał gazu. Szyba zamknęła się

1 radiowóz ruszył. Kiedy Reacher pochylił się w jego stronę, tylny błotnik uderzył go w biodro, obrócił dokoła i cisnął na zamarznięty śnieg. Leżąc bez tchu na plecach, patrzył, jak plama światła znika w oddali.

„Wiem, co robić”, powiedziała Janet Salter.

•••

Reacher wstał z ziemi. Kiedy dotarł do skrzyżowania, syrena przestała wyć. Umilkła w pół dźwięku, po chwili wybrzmiało jej ostatnie skowyczące echo i zapadła cisza. Nie głucha cisza,

350

gdy wszystko jest przysypane świeżym śniegiem, lecz dziwna cisza, w której słyhać lament, szelest i chrobot ściskanego mrozem świata. Odgłos kroków Reachera biegł przed nim po bryłach i taflach lodu. Zachodni wiatr wiał mu prosto w twarz, kłując igiełkami lodu. Obejrzał się. Przebiegł najwyżej sto pięćdziesiąt jardów. To wszystko. Miał przed sobą dwie mile. Droga nie jechał żaden pojazd. Był zupełnie sam.

I było mu bardzo zimno.

Na pół biegnąc, na pół idąc, brnął przez koleiny, ślizgając się przy każdym kroku i odzyskując równowagę, kiedy jego obcas trafiał w następną szczelinę wrytą w lodzie przez założony na oponę łańcuch. Z trudem łapiąc powietrze, kaszlał i rzeził. Lodowate powietrze paliło go w krtani i rozrywało płuca.

Przed sobą miał dwie mile. Pokonanie ich może potrwać trzydzieści minut. Zbyt długo. Na pewno ktoś z ekipy miał dość odwagi, żeby z nią zostać, pomyślał. Jedna z siedmiu osób. Jedna z kobiet. Do diabła z przepisami. Do diabła z planem. Peterson zginął. Jego zwłoki jeszcze nie ostygły. To chyba wystarczające usprawiedliwienie. Na pewno jedna z nich zdobędzie się na odwagę i powie federalnym, żeby spadali na drzewo. Przynajmniej jedna. Może więcej. Może dwie albo trzy.

Może wszystkie.

A może żadna z nich. „Wiem, co robić”, powiedziała Janet Salter.

Czy na pewno wiedziała?

Czy to zrobiła?

•••

Reacher biegł dalej. Jeden krok, potem następny i jeszcze następny. Wiatr stawiał opór, lodowe szpilki bębniły o kurtkę. Stracił kompletnie czucie w stopach i dłoniach. Miał wrażenie, że zamarzły mu łyzy w oczach.

Przed sobą zobaczył bank. Stał samotnie pośrodku niewielkiego parkingu. Skraj miasta.

Pierwsze zabudowania. Na wy-

351

sokim betonowym słupie zamontowano tablicę z czerwonymi cyframi. Czas i temperatura.

Dwadzieścia po pierwszej. Minus trzydzieści cztery stopnie.

Przyspieszył kroku. Dokąś już dotarł. Po prawej i lewej stronie zaczęły się budynki. Sklep spożywczy, apteka, upominki, wypożyczalnia DVD. Części samochodowe, UPS, monopułowy, pralnia. Wszystkie z własnymi parkingami. Wszystkie cofnięte od ulicy.

Wszystkie dla zmotoryzowanych klientów. Biegł dalej, jednocześnie pocąc się i trzęsąc z zimna. Zabudowania były coraz gęstsze i wyższe. Śródmieście. Sto jardów dalej było duże skrzyżowanie. Na prawo do więzienia, na lewo do autostrady. Reacher skręcił na południe przy komisariacie. Wiatr gwizdał między antenami na dachu.

Jeszcze mila.

Biegł środkiem głównej ulicy. Samotna postać. Niezgrabna. Krótkie nieporadne kroki.

Podnosił nogi i opuszczał je prawie pionowo. Jedyne dzięki temu się nie wywracał. Nie było mowy o płynnych długich susach. Nie pozwalał na to lód. Tracił ostrość widzenia. Paliło go w gardle. W żadnym oknie nie paliło się światło. Tylko on jeden poruszał się w pustym białym świecie.

•••

Minął rodzinną restaurację, zamkniętą i cichą. W środku było ciemno. Poustawiane na stolikach krzesła przypominały ludzi stojących w milczeniu z podniesionymi rękoma. Do ulicy, przy której mieszkała Janet Salter, zostało czterysta jardów. Dla dobrego biegacza czterdzieści sekund. Jemu zajęło to dwie minuty. Radiowóz przy wylocie ulicy zniknął. Zostały po nim tylko koleiny. Puste jak kolejowa zwrotnica. Reacher przestąpił przez nie i ruszył dalej. Minął jeden, a potem drugi dom. Wiatr szumiał w gałęziach iglaków. Ziemia skrzypiała i jęczała pod jego stopami.

Podjazd Janet Salter.

W domu paliły się światła.

352

Nic się nie poruszało. Nic nie było słycać. Nic nie odbiegało od normy. Cisza, spokój.

Przez sekundę odpoczywał z rękami opartymi na kolanach unosząc się ciężko piersią. A potem pobiegł w stronę domu.

Wdrapał się po schodkach na werandę. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz. Pociągnął za uchwyt dzwonka. Drut wysunął się z małego odlanego z brązu otworu. Wsunął z powrotem. Sekundę później usłyszał cichy, grzeszny i dyskretny dźwięk w środku domu.

Żadnej odpowiedzi.

To dobrze. Janet Salter nie mogła go usłyszeć w piwnicy. A nawet jeśli usłyszała, nie wyjdzie, żeby otworzyć.

Taką miał nadzieję.

„Wiem, co robić”, powiedziała. „Do piwnicy, z bronią czekać na hasło”.

Zajrzał do środka przez witrażową szybkę. W holu paliło się światło. Zobaczył zabarwione na niebiesko wnętrza, krzesło, stolik z telefonem, schody, dywan, obrazy. Pusty wieszak na kapelusze.

Żadnego ruchu. Nikogo w środku. Nic nie odbiega od normy.

Cisza, spokój.

Z jego wcześniejszych obliczeń wynikało, że do środka można się dostać na czterdzieści trzy różne sposoby. Z czego piętnaście jest praktycznie realnych, osiem łatwych. Zszedł z werandy i brnąc przez głęboki śnieg, obszedł dom z boku. Z wcześniejszej inspekcji zapamiętał, że zasuwka solidnego

354

mosiężnego zamka w kuchennych drzwiach wchodzi we wpasowaną w futrynę ciężką osłonę. W przeciwieństwie do ościeżnicy frontowych drzwi, którą zrobiono z lakierowanego twardego orzecha o pięknym słoju i którą trudniej byłoby wymienić, ościeżnica kuchennych drzwi była wycięta ze stuletniego miękkiego drewna, dlatego rozsądniej będzie włamać się z tyłu.

Reacher cofnął się, nabrał powietrza, uniósł nogę i walnął obcasem w drewno tuż pod zamkiem. Druga próba nie była potrzebna. Był dużym mężczyzną zbyt zmarzniętym i zdenerwowanym, by stać go było na cierpliwość. Drzwi nie pękły, ale osłona wypadła z framugi i potoczyła się po podłodze.

— To ja! — zawołał. — Reacher! — Janet mogła nie usłyszeć dzwonka, ale usłyszała chyba trzask drewna. Nie chciał, żeby umarła na atak serca. — To ja! — powtórzył.

Wszedł do kuchni i przytknął drzwi, zostawiając szeroką na cal szparę. Wróciły do niego wszystkie znajome dźwięki i zapachy. Syczenie wody w rurach. Ekspres, teraz zimny. Zajrzał do korytarzyka z tyłu. Zapalił światło. Drzwi na dole schodków były zamknięte.

— Janet?! — zawołał. — To ja, Reacher!

Żadnej odpowiedzi.

— Janet?! — powtórzył głośniejsze.

Żadnej odpowiedzi.

Zszedł po schodach. Zapukał głośno w drzwi piwnicy.

Żadnej odpowiedzi.

Nacisnął klamkę.

Drzwi się otworzyły.

Zdjął rękawicę, wyjął z kieszeni rewolwer i wszedł do piwnicy. W środku było ciemno. Przez chwilę nasłuchiwał. Żadnych dźwięków z wyjątkiem huczenia pieca i skrzypienia pompy.

Pomacał lewą ręką ścianę, znalazł kontakt i zapalił światło.

Piwnica była pusta. Zobaczył tylko skaczące po podłodze

355

cienie drewnianych słupów podtrzymujących sufit. Podeszedł do miejsca, w którym była kotłownia. Pusto. Nic oprócz huczącego głośno starego zielonego pieca.

Wrócił do drzwi. Spojrzał w górę nad muszką rewolweru. Nikogo nie zobaczył. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku.

— Janet?! — zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Niedobrze.

Wdrapał się do kuchni. Przeszedł do głównego holu. Zobaczył to samo co wcześniej, kiedy przyglądał mu się przez witrażową szybę. Cisza, spokój. Krzesło, stolik, dywan, obrazy, wieszak na kapelusze. Żadnego ruchu. Żadnego odstępstwa od normy.

Znalazł ją w bibliotece. Siedziała w swoim ulubionym fotelu. Na kolanach trzymała książkę. Miała otwarte oczy. Pośrodku czoła ziała dziura po pocisku.

Niczym trzecie oko.

Prawie na pewno kalibru 9 milimetrów.

•••

Umysł Reachera bardzo długo pozostawał wyłączony. Bolało go ciało, które tajało, a uszy piekły tak, jakby ktoś przystawił do nich lampę lutowniczą. Piekły go nos, policzki, usta, podbródek i dłonie. Siedząc na krześle w holu, bujał się w tę i z powrotem, cierpiąc i obejmując się rękoma. Zaczęły go boleć stopy, potem zebra, potem długie kości w rękach i nogach. Miał wrażenie, że wszystkie są połamane i pokruszone.

Janet Salter nie miała grubej czaszki. Odstrzelona tylna część głowy zabzdziła jej ulubiony fotel. Fragmenty weszły głęboko w dziurę, jaką wylatujący pocisk zrobił w oparciu.

„Będę miała mnóstwo czasu na czytanie, kiedy skończy się ta cała afera”, powiedziała.

Reacher ukrył twarz w dłoniach, oparł łokcie na kolanach i wbił wzrok w podłogę.

356

„Jestem uprzywilejowana, powiedziała. Nie każdy ma szansę wcielić swoje przekonania w życie”.

Potań czy i zobaczył, że ma krew na rękach. Niesione wiatrem małe igielki lodu zostały na jego twarzy tysiące małych nakłuć. Niewidocznych, kiedy miał zamrożoną skórę. Teraz zbierały się w nich tysiące kropelek krwi. Przetarł palcami każdy cal twarzy, jakby ją szorował. Wytarł ręce o spodnie. Wbił wzrok w podłogę. Przez chwilę śledził kolorowe zakrętasz na dywanie. Kiedy dotarł do miejsca, w którym wszystkie się zbiegały, podniósł oczy. Janet Salter patrzyła mu prosto w twarz. Siedziała na ukos od niego, na lewo od słupka schodów, za drzwiami prowadzącymi do biblioteki. Pod dziurą od kuli na jej czole utworzył się mały przecinek. Właściwie nie była to krew. Zwykła wydzielina. Wyciek.

Patrzył jej w oczy tak długo, jak zdołał, a potem opuścił wzrok i znów zaczął wpatrywać się w dywan.

„Nie lubię przegrywać, powiedział. Lepiej dla wszystkich zainteresowanych, żeby po prostu do tego nie doszło”.

„Chroń i służ”.

„Nigdy nie schodź z posterunku”.

Puste słowa.

Jest oszustem, przebierańcem i nieudacznikiem.

Zawsze nim był.

•••

Siedział na krześle. Nikt nie przychodził. Dokoła niego hałasował dom. O niczym nie wiedział. Nieświadomy wydawał swoje dźwięki. Woda szumiała w rurach, okno stuknęło o futrynę, wyważone tylne drzwi skrzypiały, poruszając się na wietrze.

Podniósł słuchawkę.

Wybrał numer, który zapamiętał.

„Tu Biuro Statystyki Pracy. Jeśli znasz numer wewnętrzny działu, z którym chcesz się połączyć, możesz go wybrać w każdej chwili”.

Wystukał sto dziesięć.

357

Kliknięcie. Terkot.

— Tak?

— Proszę z Susan.

— Z kim?

— Z Amandą.

Kliknięcie. Terkot.

— Reacher? — odezwała się Susan.

Nie odpowiedział.

— Reacher? Wszystko w porządku?

Nie odezwał się.

— Powiedz coś. Albo się rozłącz.

— Byłaś kiedyś głodna? — zapytał ją.

— Głodna? Oczywiście. Czasami.

— Ja byłem raz głodny przez sześć miesięcy. Podczas wojny w Zatoce. Pustynna tarcza i Pustynna burza. Kiedy mieliśmy wyrzucić Saddama z Kuwejtu. Moja jednostka trafiła tam na samym początku i zostaliśmy do końca. Byliśmy głodni przez cały czas. Nie było nic do jedzenia. To znaczy dla nas i dla innych ludzi na tyłach. Co gotowi byliśmy zaakceptować. Ktoś to zawałił. Przy tak dużych operacjach zdarzają się potknięcia. Linie zaopatrzeniowe zawsze stwarzają problemy. Lepiej, żeby to, co jest, trafiło do ludzi na pierwszej linii frontu. Więc nikt się nie skarżył. Ale to nie było zabawne. Schudłem. Zmizer-niałem. A potem wróciliśmy do domu, przez jakiś czas obżerałem się jak świnia i o wszystkim zapomniałem.

— A potem?

— A potem, dziesięć lat później, jechaliśmy tym rosyjskim pociągiem. Mieli amerykańskie racje żywnościowe. Trochę się wtedy nudziłem. Po powrocie do domu postanowiłem odkryć, co było grane. W ramach hobby. Okazało się, że pewien facet z logistyki sprzedawał przez dziesięć lat naszą żywność. Rozumiesz, trochę tu, trochę tam, na cały świat. Do Afiki, Rosji, Indii, Chin. Każdemu, kto płacił za to dziadostwo. Był ostrożny. Tak rozlokował zapasy, że nikt niczego nie zauważył. Ale potknął się na wojnie w Zatoce. Nagle powstało olbrzymie

358

zapotrzebowanie, a zapasów nie było. Wysyłał do nas racje na papierze, a my głodowaliśmy na pustyni.

— Ten generał?

— Awansowali go pod sam koniec. Przez większość czasu był pułkownikiem. Nie był orłem intelektu, ale zachowywał ostrożność. Dobrze zacierał ślady. Ja jednak nie zamierzałem mu odpuścić. Albo on, albo ja. To była sprawa osobista. Moi ludzie chodzili przez niego głodni. Sprawdziłem jego konta bankowe i wszystko. Wiesz, na co wydał pieniądze?

— Na co?

— Na nic wielkiego. Większość po prostu odkładał na emeryturę. Kupił sobie tylko chevroleta corvette, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty. Uważał, że to klasyczny model. Gratka dla kolekcjonera. Rzecz w tym, że rocznik osiemdziesiąty corvette był najgorszy, jaki kiedykolwiek wyprodukowano. Kompletny rzęch. Wyjęli z niego silnik o pojemności trzech i pół litra i wsadzili trzylitrowy, żeby zmniejszyć emisję spalin. Miał moc stu osiemdziesięciu koni. Gdybym się rozpędził, mógłbym pobiec szybciej od corvette z osiemdziesiątego roku. Coś we mnie po prostu pękło. To znaczy, można głodować, jeśli padło się ofiarą jakiegoś przestępczego geniusza. Ale głodowanie przez kompletnego półgłówka to zupełnie coś innego. Kompletnego, pozbawionego gustu, podłego, żalosego małego półgłówka.

— I dorwałś go?

— Tak. Pracowałem nad tą sprawą, jakby chodziło o Ethel Rosenberg. Wychodziłem z siebie. Sprawdziłem dowody na wszystkie strony. Mogłem wygrać w Sądzie Najwyższym. Wezwałem go. Powiedziałem, że jestem niezadowolony. Był w galowym mundurze, obwieszony zupackimi medalami. Roześmiał mi się w twarz. Protekcyjnie. Jakby był ode mnie lepszy. To ty kupiłeś sobie corvette rocznik osiemdziesiąt, dupku, pomyślałem. Nie ja. Więc kto tu jest lepszy? I mu przywaliłem. Stuknąłem go w brzuch, żeby zgiął się wpół, i walnąłem jego łbem o biurko.

— Co się stało?

359

— Rozbiłem mu czaszkę. Przez sześć miesięcy był w śpiączce. Potem już nigdy nie doszedł do siebie. I miałaś rację. W zasadzie byłem ugotowany. Nie mogłem zostać w sto dziesiątej. Uratowała mnie tylko waga zarzutów. Nie chcieli, żeby to trafiło do gazet. W przeciwnym razie wywaliliby mnie na zbity pysk. Więc się przenieśliem.

— Dokąd?

— Nie pamiętam. Za bardzo się wstydziłem. Postąpiłem źle. I zmarnowałem najlepsze dowództwo, jakie kiedykolwiek mi powierzono.

Susan milczała.

— Potem długo o tym myślałem. No wiesz, dlaczego to zrobiłem. Nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Nadal nie potrafię.

— Zrobiłeś to dla swoich ludzi.

— Być może.

— Naprawiałeś świat.

— Niekoniecznie. Nie chcę naprawiać świata. Może powinienem, ale tego nie robię.

Susan nie odezwała się.

— Po prostu nie lubię ludzi, którzy go psują. Czy to brzmi jak maksyma?

— Powinno. Co się stało?

— Potem już nic. To cała historia. Powinnaś zamówić nowe biurko. To stare nie przynosi nikomu zaszczytu.

— Pytam, co się stało dziś w nocy.

Reacher nie odpowiedział.

— Powiedz. Wiem, że coś się stało — nalegała Susan.

— Dlaczego?

— Bo do mnie zadzwoniłeś.

— Często do ciebie dzwonię.

— Tylko kiedy czegoś potrzebujesz. Więc teraz też czegoś potrzebujesz.

— Nic mi nie jest.

— Słyszę to w twoim głosie.

— Przegrywam dwa do zera.

360

— Jak to?

— Dwoje zabitych w akcji.

— Kto?

— Gliniarz i stara kobieta.

— Dwa do zera? To nie jest gra.

— Wiesz cholernie dobrze, że to gra.

— To ludzie.

— Wiem, że to ludzie. Patrzą w tej chwili na jedną z ofiar. I jedyne, co powstrzymuje mnie przed przyłożeniem sobie lufy do głowy, to udawanie, że to gra.

— Masz broń?

— W kieszeni. Piękną starą trzydziestkęósemkę.

— Nie wyjmuj jej z kieszeni, dobrze?

Reacher nie odpowiedział.

— Nie dotykaj jej, dobrze?

— Daj mi jakiś rozsądny powód.

— Trzydziestkaósemka niekoniecznie spełni swoje zadanie. Wiesz o tym. Nieraz się tak zdarzało. Możesz skończyć jak ten generał.

— Będę uważnie celował. W sam środek. Upewnię się.

— Nie rób tego, Reacher.

— Spokojnie. Nie zamierzam się zastrzelić. To nie w moim stylu. Mam po prostu zamiar siedzieć i czekać, aż eksploduje mi łeb.

— Przykro mi.

— To nie twoja wina.

— Nie lubię myśleć o tym jak o grze.

— Wiesz, że to gra. To musi być gra. Tylko w ten sposób można to znieść.

— Dobrze, niech ci będzie. Na jakim jesteśmy etapie tej gry? Czy to ostatnia kwarta?

— Dogrywka.

— Więc opowiedz mi o jej dotychczasowym przebiegu. Zapoznaj mnie z sytuacją.

Jakbyśmy razem pracowali.

— Żałuję, że tak nie jest.

361

— Pracujemy razem. Co w tej chwili mamy?

Reacher nie odpowiedział.

— Co w tej chwili mamy? — powtórzyła.

Odetchnął głęboko i powiedział jej, co mają z początku powoli, potem szybciej, gdy złapał właściwy rytm zapamiętany z czasów, kiedy rozmawiał z ludźmi, którzy rozumieli to, co rozumiał, widzieli to, co widział, i chwyтали w lot to, o czym nie musiał mówić. Opowiedział jej o autobusie, o metam-fetaminie i procesie, o więzieniu, miejscowej policji i planie kryzysowym, o adwokacie, ochronie świadka i zamieszkach,

0 Platonie i podziemnym magazynie, o Petersonie i Janet Salter.

— Włóż rękę do kieszeni — brzmiały jej pierwsze słowa.

— Po co?

— Wyjmij broń.

— Teraz już mogę?

— Nie tylko możesz. To konieczne. Zabójca cię widział.

— Kiedy?

— Kiedy byłeś sam z panią Salter. Miał pięć godzin.

— Nie pojawił się. Był przez cały czas na obrzeżach więzienia.

— To tylko hipoteza. Mógł się zameldować, wyłączyć radio

1 wrócić cichaczem do miasta. Czy w ogóle wiemy, że kazali im wszystkim się zameldować? To jasne, powinno się postępować według planu, ale kto ci powie, że tak się dzieje w rzeczywistości, kiedy wybucha prawdziwa afera?

— Tak czy owak, ja go nie widziałem.

— On o tym nie wie. Jeśli cię widział, zakłada pewnie, że ty też go widziałeś. Ma zamiar cię załatwić.

— To również tylko hipoteza.

— Pomyśl o tym, Reacher. Co może powstrzymać tego faceta? Zabił już adwokata, Petersona i Salter. Trzy kule z anonimowego pistolem. Czwartą szykuje dla ciebie. Wtedy będzie bezpieczny. Nikt się nie dowie, kim jest.

— Ja już teraz nie wiem, kim jest.

362

- Facet nie ma co do tego pewności. I nie ma pewności, czy w końcu na to nie wpadniesz. Jesteś jego ostatnią przeszkodą
 - Dlaczego jeszcze mnie nie załatwił?
 - Nie nadarzyła się okazja. To jedyny możliwy powód. Z tobą będzie ostrożny. Bardziej niż z innymi. Adwokat był oferemą Peterson wieśniakiem, Salter nieszkodliwą starszą panią. Ty jesteś inny.
 - Nie aż tak bardzo.
 - Musisz się wycofać do Rapid City. Zaszyć się gdzieś i porozmawiać z FBI.
 - Nie mam środka lokomocji.
 - Masz telefon. Korzystasz z niego w tej chwili. Rozłącz się i zadzwoń do FBI. Uważaj na siebie, dopóki nie przyjadą.
- Reacher nie odpowiedział.
- Zrobisz to? — zapytała.
 - Wątpię.
 - Nie byłeś odpowiedzialny za tych ludzi. Chyba wiesz.
 - Czym zdaniem?
 - Wszystko potoczyłoby się tak samo, gdyby ciebie tam nie było. Szansa, że się tam pojawisz, była jak jeden do miliona.
 - Peterson był miłym facetem. I dobrym gliniarzem. Chciał być jeszcze lepszy. Był jednym z tych gości, którzy wiedzą dosyć, żeby wiedzieć, że nie wiedzą wszystkiego. Polubiłem go.
- Susan milczała.
- I polubiłem panią Salter. Była nobliwą starszą damą.
 - Musisz się stamtąd wydostać. Wróg przewyższa cię liczebnie. Platon nie przybędzie sam.
 - Mam nadzieję.
 - To niebezpieczne.
 - Dla niego.
 - Pamiętasz, jak będąc dzieckiem, oglądałeś film o potworze, który wynurzał się z laguny?
- 363
- Nadal mają to w moich aktach?
 - W indeksie na samym końcu.
 - I przeczytałaś to?
 - Byłam ciekawa.
 - Źle to zinterpretowali. I zabrali mi nóż, co mnie wkurzyło.
 - Dlaczego źle to zinterpretowali?
 - Nie byłem wcale jakimś genetycznym wybrykiem. Urodziłem się tak samo wystraszony jak wszyscy. Może nawet bardziej. Podobnie jak inni nie mogłem zasnąć i płakałem. Ale w końcu mnie to zmęczyło. Oduczyłem się tego. Aktem woli. Przekierowałem strach na agresję. Okazało się to dość łatwe.
 - W wieku sześciu lat?
 - Nie, wtedy byłem już starym wygą. Zacząłem w wieku czterech. Po roku byłem gotowy.
 - To właśnie teraz robisz? Przekierowujesz strach na agresję?
 - Złożyłem przysięgę. Taką samą jak ty. Że będę walczył z wszystkimi wrogami, zewnętrznymi i wewnętrznymi. Wygląda na to, że będę miał jednego i drugiego. Platona i jego zblatowanego gliniarza, kimkolwiek jest.
 - Twoja przysięga wygasła.
 - Nigdy nie wygasa.

- Swoją drogą, skąd sześciolatek wziął nóż sprężynowy?
- Ty go nie miałaś?
- Oczywiście, że nie.
- A teraz masz?
- Nie.
- Powinnaś sobie sprawić.
- A ty powinieneś pojechać do Rapid City i załatwić tę sprawę do końca.
- Brakuje nam czasu.
- Nie masz podstaw prawnych.
- Więc umieść kolejną wzmiankę w moich aktach. Albo oszczędź im wszystkim trochę wysiłku. Skseruj ją. Wyślij trzy

364

kopie, do FBI, DEA i lokalnych władz w Dakocie Południowej. Zrób to dziś w nocy.

- Nie myślisz racjonalnie. Chcesz się ukarać. Nie możesz wygrać z nimi wszystkimi. Nie musisz z nimi wszystkimi wygrać.

- Postawili cię na czele sto dziesiątej?
- I będę nią dowodziła. Tak długo, jak zechcę.
- Ta sprawa była naprawdę ważna.
- Wszystkie są ważne.
- Nie tak jak ta. Patrząc na miłą starszą panią z dziurą w głowie. Była dla mnie ważniejsza niż to, że głodowałem.
- Przestań na nią patrzeć.

Reacher wbił wzrok w podłogę.

- Nie możesz zmienić przeszłości — powiedziała Susan.
- Wiem.
- Nie możesz naprawić tego, co się stało. I wcale nie musisz. Tamten facet zasługiwał na to, żeby zapaść w śpiączkę i być może nigdy się z niej nie obudzić.
- Być może.
- Jedź do Rapid City.
- Nie.
- W takim razie przyjedź do Wirginii. Zajmiemy się tym razem.

Reacher milczał.

- Nie chcesz przyjechać do Wirginii?
- Pewnie, że chcę.
- Więc zrób to.
- Zrobię to. Jutro.
- Zrób to teraz.
- Jest środek nocy.
- Zadawałeś mi wcześniej pewne pytanie.
- Tak?
- Teraz już go nie zadajesz.
- Jakie to było pytanie?
- Pytałeś, czy jestem mężatką.

365

- A jesteś?
- Nie.

Reacher podniósł wzrok. Janet Salter wpatrywała się w niego.

- Wyjadę jutro — powiedział i odłożył słuchawkę. Za pięć druga. Zostały dwie godziny.

40

W trzeciej godzinie lotu Platon zaczął się niepokoić. Trudno się temu dziwić. Jego życie było niczym gra wideo. Ciągłe coś się działo. Każdą sprawę należało załatwić skutecznie i gruntownie. Od najważniejszej do najmniej ważnej. Nawet najmniej ważna sprawa nie była trywialna. Wydawał tysiąc pięćset dolarów miesięcznie na same gumki potrzebne do spięcia gotówki, którą zabiera do banku. Żaden problem nie był mały. I było sporo dużych. A ludzie oceniali nie tylko treść, ale i styl tego, co robi. Dramatyzowanie to słabość. Szczególnie w jego przypadku.

Paradoksem było to, że jako dziecko nie odbiegał wzrostem od rówieśników. Aż do siódmego roku życia był tak samo duży, a nawet większy od innych. W wieku ośmiu lat nadal nie ustępował nikomu. W wieku dziewięciu lat grał w piłkę. A potem przestał rosnąć. Nikt nie wiedział, czy stało się to z powodów genetycznych, środowiskowych czy w wyniku choroby. Na pewno nie wynikało z niewłaściwego odżywiania czy braku opieki. Jego rodzice zawsze byli kompetentni i obecni. Z początku udawali, że niczego nie widzą. Zakładano, że sprawa sama się rozwiąże. Niestety, nie rozwiązała się. W związku z czym najpierw odwrócił się od niego ojciec, a potem matka.

Teraz nikt się od niego nie odwraca.

367

Miał włączoną komórkę. Normalne zasady się do niego nie odnosiły. Telefon zadzwonił, a on go odebrał. To był jego człowiek w terenie. Jakiś jego kolega gliniarz dowiedział się za dużo i trzeba go było sprzątnąć. Platon specjalnie się tym nie przejął. Straty uboczne. Nieistotne. W pobliżu węszy także inny facet i należało się nim zająć. Były wojskowy policjant. Platon też się tym nie przejął. Nieważne. Nie jego problem.

W końcu jednak usłyszał ważną wiadomość: świadek nie żyje.

Uśmiechnął się.

— Uratowałeś czyjeś życie — powiedział.

Następnie sam wykonał telefon. Na Brooklyn w Nowym Jorku. Przekazał wiadomość. Ostatnia przeszkoda została usunięta. Dakota Południowa jest teraz wolna od kłopotów. Tytułu własności nikt nie zdoła podważyć. Rosjanin zgodził się przelać pieniądze natychmiast. Platonowi, który uważnie nasłuchiwał, wydawało się, że słyszy kliknięcie myszki.

Znów się uśmiechnął.

Załatwione.

Zamknął klapkę telefonu i wyjrzał przez okno. Siedzi na miejscu 1A, najlepszym w całym samolocie. Jego samolocie. Spojrzał na leżące niżej Stany Zjednoczone. Ciemne i masywne. Paciorki światła. Zerknął na zegarek. Jeszcze pięćdziesiąt siedem minut i zacznie się kolejne przedstawienie. Kolejne wyzwanie. Kolejny triumf.

•••

Reacher poszedł na górę i odnalazł sypialnię Janet Salter. Mieściła się z tyłu domu, dokładnie nad biblioteką—przyjemne pomieszczenie pachnące talkiem i lawendą. Przylegająca do niej łazienka znajdowała się nad kuchnią. Nad umywalką była szafka z lekami, a w niej podstawowe kosmetyki oraz pudełko z amunicją do trzydziestkiósemki: osiemdziesiąt osiem naboju, które zostały z początkowej setki.

368

Włożył je do kieszeni kurtki, zamknął lustrzane drzwiczki szafki, po czym zszedł do biblioteki i stanął nad Janet Salter. Odsunął na bok jej książkę i miękką rękę i wyjął rewolwer z kieszeni swetra. Nadal był załadowany. Nie padł z niego ani jeden strzał. Schował go do kieszeni, położył książkę i rękę z powrotem i zrobił krok do tyłu.

•••

Gliniarz, który zabił adwokata, zastępcę komendanta i panią Salter, siedział w samochodzie i wpatrywał się w przednią szybę. Znajdował się na wyznaczonej pozycji i był osobiście odpowiedzialny za jedną ósmą zaśnieżonej mili po lewej i jedną ósmą zaśnieżonej mili po prawej stronie. Prawdę mówiąc, nie przypuszczał, by jakkolwiek zbieg zdecydował się uciekać inaczej niż szosą, nawet latem. Zarówno latem, jak i zimą teren był zbyt płaski i monotony, żeby gdzieś się schować. Psy dogoniłyby delikwenta po minucie. Ucieczkę na przełaj i chowanie się w rowach i przepustach można obejrzyć wyłącznie na czarno-białych gangsterskich filmach, które pokazują w środku nocy na mniej znanych satelitarnych kanałach. Nie, w dzisiejszych czasach każdy zdrowy na umyśle zbieg ucieka szosą, przywiązany do podwozia pustej furgonetki dostawczej.

I prawdę mówiąc, nie było żadnego zbiega. Platon nie pozostawił w tej kwestii cienia wątpliwości. Architektura więzienia obfituje we wszelkiego rodzaju puste przestrzenie. Podwieszane sufity, nad którymi biegą przewody wentylacyjne, podpodłogowe komory, w których rozgałęziają się rury. Wszelkiego rodzaju panele inspekcyjne. Wszystkie absolutnie bezpieczne, ponieważ donikąd nie prowadzą. Ale nadają się do wszelkich innych celów poza ucieczką. Z kanapką i butelką na mocz facet może tam przesiedzieć dziesięć albo nawet dwanaście godzin.

To powinno wystarczyć.

Gliniarz sprawdził broń. Z przyzwyczajenia. Instynktownie.

369

Najpierw służbowy pistolet, w kaburze, potem ten drugi, w kieszeni. Załadowany. Jeden pocisk w komorze i kolejnych czternaście w magazynku.

Tych czternastu nie powinien raczej potrzebować.

•••

Reacher po raz ostami obszedł cały dom. Był pewny, że tu nie wróci, i chciał dobrze zapamiętać niektóre rzeczy. Sprawdził drzwi frontowe, tylne i do piwnicy, kuchnię, hol i bibliotekę, przyjrzał się, jak wygodnie, z książką na kolanach, rozsiadła się Janet Salter. Zważywszy, jak bardzo musiała być wcześniej spanikowana, przybranie takiej pozycji musiało potrwać od pięciu do ośmiu minut. Tyle czasu musiało minąć, zanim odprężyła się w obecności zaufanej osoby w rodzaju miejscowego policjanta.

Jeśli dodać do tego minutę na opuszczenie domu przez ochronę, ktoś spóźnił się od sześciu do dziewięciu minut na apel w więzieniu.

Ktoś to zapamięta.

Albo i nie.

Jeśli w ogóle był jakiś apel.

Jeśli facet tam w ogóle pojechał.

Reacher zapiął kurtkę pod szyją, wcisnął czapkę na uszy i naciągnął na nią kaptur. Założył rękawice, otworzył frontowe drzwi i wyszedł ponownie na dwór. Mróz osaczał go, atakował i torturował, lecz on nie zwracał na to uwagi. Aktem woli. Zamknął za sobą drzwi, pomaszerował podjazdem, skręcił w ulicę i ruszył w stronę komisariatu. Przez cały czas był w stanie najwyższej czujności. Miał wrażenie, że potrafi wyciągnąć broń i strzelić tysiąc razy szybciej niż przeciwnik. Miał wrażenie, że może wydobyć rudę, wytopić z niej metal, narysować plan, odlać części i skonstruować własny pistolet — i zdąży z tym wszystkim, zanim jakkolwiek przeciwnik położy go trupem.

Nie boję się śmierci.

370

To śmierć boi się mnie.

Strach w agresję.

Poczucie winy w agresję.

•••

W komisariacie zastał tylko dyżurującego za biurkiem cywilnego dyspozytora — wysokiego kruchego siedemdziesięcio-latka, siedzącego z ponurą miną na stołku. Zapytał go, czy są jakieś nowe wiadomości. Facet odparł, że nie ma. Zapytał go, jak długo policjanci będą stacjonowali w pobliżu więzienia. Facet odparł, że nie wie. Nie zetknęli się dotąd z taką sytuacją. Nigdy wcześniej nie doszło do ucieczki.

— Dziś też nie doszło do ucieczki — stwierdził Reacher. — Facet schował się gdzieś w środku.

— Tak pan uważa?

— Owszem, tak uważam.

— Na jakiej podstawie?

— Zdrowego rozsądku.

— W takim razie to potrwa najwyżej godzinę albo dwie. Są w odległości mili od więzienia. Dwie godziny wystarczą, żeby zdecydować, czy facet jest już daleko, czy może w ogóle nie wydostał się za bramę.

— Niech pan mi powie, jak wygląda sprawdzanie obecności.

— Robię to stąd. Drogą radiową. Odczytuję nazwiska z listy; policjanci odpowiadają mi z samochodów albo przez krótkofalówkę, a ja ich odhaczam.

— Jak wyglądało to dziś w nocy?

— Wszyscy się zgłosili.

— Żadnych nieobecności?

— Nie.

— Nikomu nie nawalił samochód? Nikt się nie zawahał?

— Nie.

— Kiedy pan ich sprawdził?

— Zacząłem, kiedy usłyszałem syrenę. Sprawdzenie całej listy zajmuje mniej więcej pięć minut.

371

— Więc w gruncie rzeczy to oni sami się odhaczają.

— Nie rozumiem.

— Tak naprawdę nie wie pan, gdzie są i co robią. Wie pan tylko, czy odpowiedzieli na pańskie wezwanie.

— Pytam ich, gdzie są. Oni mnie informują. Są albo na wyznaczonej pozycji, albo niedaleko. Poza tym ma prawo ich sprawdzić dyrektor więzienia.

— W jaki sposób?

— Może wdrapać się na wieżę i zrobić to wizualnie. Teren jest płaski. Jeśli chce, może też wejść na naszą częstotliwość i sam sprawdzić obecność.

— Czy dziś to zrobił?

— Nie wiem.

— Kto ostami zameldował się dziś na pozycji? — zapytał Reacher.

— Nie mogę powiedzieć. Ci z początku alfabetu są przeważnie w drodze. Ci z końca są na miejscu.

— Tak panu mówią.

— Dlaczego miałbym im nie wierzyć?

— Musi pan zadzwonić do komendanta Hollanda. Pani Salter nie żyje.

•••

Włócząc się po pustym komisariacie, zajrzał do sali odpraw, gabinetu Hollanda i łazienek. W końcu, żeby odpocząć, wszedł do pomieszczenia z przypiętymi do ścian fotografiami.

Motocyklista i adwokat. Usiadł tyłem do motocyklisty i przyjrzał się adwokatowi. Nie znał jego nazwiska. W ogóle niewiele o nim wiedział. Miał jednak świadomość, że facet znalazł się w podobnej sytuacji co Janet Salter. On był mężczyzną ona kobietą on znajdował się na

zaśnieżonej drodze, ona w wypełnionej książkami bibliotece, ale oboje byli ludźmi jednocześnie roztroprnymi i naiwnymi, którzy dali się omamić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa, oboje byli odprężeni. Dzwignia biegów w pozycji parkowania i opuszczona szyba były tym

372

samym, co wygodna pozycja Janet Salter i książka na jej kolanach.

„Powinno się zrozumieć ich motyw, okoliczności działania, ich cele, obawy i potrzeby. Powinno się myśleć tak jak oni. Widzieć to, co oni widzą. Być nimi”.

Ich postawa wyrażała pełne zaufanie. Nie częściowe, nie połowiczne. W dosłowny sposób się otworzyli. Otworzyli drzwi, okna, serca i umysły. Bez żadnych obaw, żadnych wątpliwości, żadnych zahamowań.

Poszli na całość.

Nie zrobiliby tego w stosunku do pierwszego lepszego gliniarza.

To był gliniarz, którego oboje znali, wcześniej spotkali, byli z nim w bliskich stosunkach.

„Co zrobiłaby teraz twoja elitarna jednostka?” — zapytał wcześniej Peterson.

Odpowiedź: Reacher, Susan i każdy inny dowódca sto dziesiątej specjalnej położyliby nogi na uszkodzonym biurku i wysłali dwóch skrzętnych poruczników, żeby prześwietlili życie obu ofiar i sporządzili listę ich znajomych wśród boltońskich policjantów, zaczynając od tych, z którymi łączyły ich najbardziej zażyłe stosunki. Następnie on, ona albo którykolwiek z innych dowódców porównaliby obie listy i nazwisko wyskoczyłoby samo.

Reacher nie miał dwóch skrzętnych poruczników.

Można było to jednak załatwić inaczej.

•••

Minutę później usłyszał na korytarzu czyjeś kroki. Nierówne. Stukot jednej podeszwy, po którym następował chrobot drugiej. Staruszek z dołu. Lekko utykał.

— Komendant Holland jest w drodze — powiedział, zaglądając do pokoju. — Opuścił posterunek przy więzieniu. Nie powinien, ale zrobił to.

Reacher pokiwał głową i nic nie powiedział.

373

— To straszne, co przytrafiło się pani Salter — stwierdził stary.

— Wiem.

— Wie pan, kto to zrobił?

— Jeszcze nie. Czy ktoś o czymś informował?

— Na przykład kto?

— Na przykład sąsiad. Padł strzał.

— W środku domu?

— W jej bibliotece.

Staruszek wzruszył ramionami.

— Domy stoją daleko od siebie. Wszyscy mają burzowe okna. W większości potrójnie szklone, a w taką noc wszystkie są szczelnie zamknięte.

Reacher nie odpowiedział.

— Czy to któryś z nas? — zapytał stary.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Komendant Holland zwołał odprawę. Tuż przed syreną. Nie widzę innego powodu, żeby ją zwoływać. I nie widzę innego sposobu, żeby to zrobić. Chodzi mi o adwokata, pana Petersona, a teraz panią Salter. Wszyscy troje, szybko i bez trudu, ot, tak. To musi być któryś z nas. A potem zapytał pan, kto dziś w nocy zajął pozycję jako ostatni.

— Był pan gliniarzem?

— Trzydzieści lat służyłem w tutejszej policji.

— Przykro mi.

- Chciałbym dorwać tego drania.
- Rozmawiał pan z nim dzisiaj. W którymś momencie. Albo tuż przed, albo tuż po.
- Wszyscy odzywali się jak zwykle.
- Dobrze ich pan zna?
- Nowych nie.
- Czy któregoś z nich łączyła szczególnie zażyła znajomość z panią Salter?
- Wielu. Jest bardzo popularna... To znaczy była.

374

Czterysta mil na południe i siedem mil nad ziemią znowu zadzwoniła komórka Platona. Pieniądze, które otrzymał od Rosjanina, wędrowały przez świat. Z jednej jurysdykcji do drugiej, dyskretnie i po cichu, automatycznymi nocnymi przekazami, które miały łącznie trwać siedem godzin. Zawsze jednak są gdzieś czynne jakieś banki. Depozyt pokazał się na ekranie komputera w Hongkongu i uruchomił kod nakazujący zawiadomienie właściciela konta. Urzędnik, który go zobaczył, wybrał więc odpowiedni numer i po pięciu kolejnych przekie-rowaniach połączył się z telefonem na pokładzie boeinga lecącego nad Nebraską. Platon odebrał i wysłuchał bez komentarza. Był w tej chwili najbogatszym facetem, jakiego zna. I będzie nim zawsze. Nie bez kozery nazywał się Platon. Był teraz bogatszy od swoich rodziców, od Rosjanina i od swojego dawnego wspólnika Martineza. Od wszystkich.

•••

Urzędnik banku w Hongkongu rozłączył się z Platonem i wybrał kolejny numer. W Brooklynie w Nowym Jorku. Minęła tam trzecia w nocy, ale telefon odebrał natychmiast Rosjanin, który płacił więcej niż Platon.

O wiele więcej.

- Powiedziałem mu, że pieniądze wpłynęły na jego konto — oznajmił urzędnik.
- Więc niech pan teraz cofnie transakcję — odparł Rosjanin.

Urzędnik kliknął i przewinął ekran.

- Zrobione.
- Dziękuję — odparł Rosjanin.

•••

Z Brooklynu Rosjanin zadzwonił do Mexico City, pod numer miejscowej służby policyjnej o długiej nazwie, której nie próbował nawet tłumaczyć. Odebrał pułkownik. Rosjanin poinformował go, że wszystko idzie zgodnie z planem.

375

— Platon jest już w powietrzu. Wystartował przed ponad trzema godzinami — powiedział pułkownik.

— Wiem — odparł Rosjanin.

— Chcę dostać piętnaście procent — oznajmił pułkownik.

Rosjanin milczał przez chwilę. Udawał, że jest wściekły.

Obiecał wcześniej dziesięć procent. Przez cały czas mówiło się o podziale dziewięćdziesiąt o dziesięciu. W głębi duszy gotów był jednak zgodzić się na osiemdziesiąt do dwudziestu. Miał zamiar przejąć osiemdziesiąt procent aktywów Platona. Pięć procent więcej było dla niego nieoczekiwaną premią. Prezentem. Pułkownik był człowiekiem płytkim i pozbawionym ambicji. Ograniczonym pod każdym względem. Dlatego właśnie był pułkownikiem, a nie generałem.

- Stawia pan twarde warunki — stwierdził Rosjanin.
- Albo pan się godzi, albo nie — odparł pułkownik.
- Mówi pan tak, jakbym nie miał wyboru.
- Bo go pan nie ma.

Długie milczenie, wyłącznie dla spotęgowania efektu.

— No dobrze — westchnął Rosjanin. — Dostanie pan piętnaście procent.

— Dziękuję — odparł pułkownik.

Rosjanin rozłączył się i wybrał numer niemożliwej do namierzenia komórki leżącej w tym momencie na nocnej szafce w sypialni w Wirginii. Tak samo jak w Brooklynie minęła tam trzecia w nocy. Ta sama strefa czasowa. Niemożliwa do namierzenia komórka należała do pracownika DEA opłacanego przez szwagra znajomego kuzyna Rosjanina. Pracownik agencji odebrał telefon i Rosjanin poinformował go, że wszystko idzie zgodnie z planem.

— Mam na to pańskie słowo? — zapytał facet.

Rosjanin się uśmiechnął. Typowe biurokratyczne podejście.

Opłacany przez szwagra znajomego kuzyna Rosjanina zblatowany agent uchylił wcześniej decyzję zblatowanego agenta, którego opłacał Platon, i zgodził się, by Rosjanin przejął interesy prowadzone przez Meksykanina w Stanach Zjednoczonych,

376

pod warunkiem że nie zabierze zamelinowanej w Dakocie Południowej rządowej metamfetaminy. W gruncie rzeczy najlepiej byłoby, gdyby rządowa metamfetamina wyparowała. Pozwoliłoby to wyjść z kłopotliwego położenia. Kłopotliwe było to, że nadal tam się znajdowała, kłopotliwe, że o niej zapomniano, kłopotliwe, że w ogóle istniała. Nawet zblatowani agenci są czasami lojalni wobec swojej firmy.

— Ma pan moje słowo — odrzekł Rosjanin.

— Dziękuję — powiedział facet w Wirginii.

Rosjanin znowu się uśmiechnął, widząc absurdalność tego wszystkiego. Nie zamierzał jednak naruszać warunków umowy. Dlaczego miałby to robić? To prawda, metamfetamina to prawdziwy skarb, ale on miał bardziej dalekosieżne cele. I nie będzie żałował czegoś, co nigdy do niego nie należało. Tym bardziej że w ogóle za to nie zapłacił. Rozłączył się, napisał SMS i wysłał go pod kolejny numer telefonu.

•••

Siedem mil nad Nebraską trzy rzędy za Platonem, w fotelu 4A zawibrowała tkwiąca w kieszeni opiętych spodni wyciszona komórka. Piąty z sześciu przeznaczonych na straty Meksykanów wyciągnął ją i zerknął na ekranik. To on wiozł Platona na lotnisko. Pokazał komórkę siedzącemu w fotelu 4B mężczyźnie, który był szóstym z sześciu i siedział wcześniej z przodu rangę rovera. Obaj pokiwali głowami. Żaden się nie odezwał. Żaden nawet się nie uśmiechnął. Byli zbyt spięci.

ZRÓBCIE TO, brzmiała treść SMS-a.

•••

Minutę później Reacher usłyszał w mroźnym bezruchu samochód Hollanda. Usłyszał niski pomruk silnika i chrzęst opon na śniegu. Potem ciszę, która zapadła, kiedy Holland go zgasił, potem skrzypnięcie i trzaśnięcie drzwiczek i odgłos kroków. Usłyszał, jak otwierają się drzwi holu, i wyobraził sobie wpadające do środka zimne powietrze. Holland szedł

377

korytarzem. Po chwili stanął w progu, pochylony, pokonany, jakby znalazł się u kresu drogi.

— Jesteś pewny? — zapytał.

Reacher pokiwał głową.

— Nie ma co do tego wątpliwości.

— Bo czasami ofiary postrzału mogą przeżyć.

— Nie tym razem.

— Nie powinniśmy tego sprawdzić?

— Nie ma potrzeby.

— Co to było?

— Dziewięć milimetrów, między oczy. Tak samo jak w dwóch wcześniejszych przypadkach.

- Sprawca zostawił jakieś ślady?
— Nie.
— Więc nie zbliżyliśmy się do rozwiązania. Nadal nie wiemy, kto to jest.

Reacher pokiwał głową.

- Ale wiem, jak go zdemaskować — powiedział.

41

— Wkrótce znowu zacznie padać śnieg — wyjaśnił Reacher. — Zasypie pas startowy, a motocykliści już go nie odśnieżą. Pogoda jest nieprzewidywalna. Dlatego trzeba się spieszyć. Dlatego Platon jest już w drodze. Musi zabrać swoje klejnoty, zanim dojdzie do sfinalizowania transakcji. Poza tym ma pewnie zamiar wykiwać Rosjanina i zabrać trochę metam-fetaminy. Być może nawet większą część. Ma duży samolot. Zgaduję więc, że kazał swojemu człowiekowi stawić się tam i pomóc. Facet w pewnym momencie zejdzie z posterunku i tam pojedzie. Może już wkrótce. Musimy tylko dotrzeć na miejsce przed nim. Ukryjemy się i zobaczymy, kto się pojawi. Wpadnie nam prosto w ręce.

- Tak uważasz? — zapytał Holland.

— Jasne.

— Możemy tam na niego czekać kilka godzin — mruknął Holland.

— Nie sądzę. Platon musi szybko odlecieć. Nie może pozwolić, żeby uziemiła go śnieżycą. Z takim wielkim samolotem, bez odpowiedniego wyposażenia może tam utknąć aż do lata.

— Swoją drogą jakiego rodzaju pomoc będzie mu potrzebna?

— Na pewno jakaś.

379

— Przywiezie ze sobą ludzi. Trzeba tylko zejść na dół, a potem wejść na górę po schodach.

— Nie po to kupuje się psa, żeby samemu szczekać.

— Na pewno?

— Będą musieli wylądować wielkim samolotem pośrodku pustkowia. Ktoś może to usłyszeć. Wszystko może się zdarzyć. Lokalny gliniarz zawsze się przyda.

— Będziemy musieli się tam ukryć? Jest bardzo zimno.

— Zimno? — odparł Reacher. — To betka.

Holland przez minutę się nad tym zastanawiał. Reacher uważnie go obserwował. Komendant poruszał w milczeniu ustami i strzelał oczyma w lewo i w prawo. Początkowo był niechętny, ale w końcu się zgodził.

— Dobrze. Jedźmy tam.

Za pięć trzecia.

Została jedna godzina.

•••

Holland prowadził. W jego nieoznakowanym samochodzie nadal było ciepło. A drogi nadal były skute lodem i puste. W środku nocy, w środku zimy, w środku pustkowia. Z wyjątkiem wiatru nic się nie poruszało. Minęli wylot ulicy Janet Salter. Nikogo tam nie było. Holland siedział blisko przy kierownicy, przypięty pasami, w sztywnej kurtce zapiętej pod samą brodę. Reacher rozparł się na fotelu, bez pasów, w rozpiętej kurtce, której poły rozsunał na boki, bez rękawic, z rękoma w kieszeniach. Koleiny na drodze pomarszczył mróz. Przednie opony skakały w lewo i prawo. Łańcuchy na tylnych kołach brzęczały i grzechotały. Wysoko na niebie, za postrzępionymi wstążkami chmur świecił okrągły, blady i mizerny księżyc.

— Jak długo powinniście pozostawać na wyznaczonych pozycjach? — zapytał Reacher.

— Nie ma ustalonego czasu. Wszystko zależy od dyrektora więzienia — odparł Holland.

380

— Ale jak myślisz?

- Jeszcze przez godzinę.
- Więc każdy gliniarz, którego wcześniej zobaczymy, będzie naszym sprawcą.
- Jeśli ktokolwiek się pojawi.
- Moim zdaniem się pojawi — odparł Reacher.

•••

Skręcili w starą okręgową drogę równoległą do autostrady i pojechali na zachód. Pięć mil, nie za szybko, nie za wolno. Wiał lodowaty wiatr. Potem skręcili na północ, w wąską krętą drogę. Osiem mil. W końcu zamajaczył przed nimi pas startowy, jak zwykle imponujący, masywny, szeroki, płaski, nieskończenie długi w światłach reflektorów, nadal odśnieżony i suchy.

Holland nie zwolnił. Wjechał po prostu na skąpany w księżycowym świetle beton i ani na chwilę nie zbaczal z kursu, nie zdejmował nogi z gazu. Przed nimi była tylko szara ciemność. Żadnych świateł. Żadnej aktywności. Nikogo. Drewniane baraki z oddali wydawały się czarne. Za nimi stał murowany budynek, teraz jaby większy i jeszcze czarniejszy.

Dwieście jardów przed końcem pasa Holland zdjął nogę z gazu i samochód zaczął wytracać szybkość. Komendant nadal siedział tuż przy kierownicy, wyprostowany, przypięty pasami, usztywniony zapiętą kurtką.

- Gdzie mam zostawić samochód? — zapytał.
- To nie ma znaczenia. — Reacher nadal rozpierał się na fotelu z rękoma w kieszeniach.
- Powinniśmy go ukryć. Facet go zobaczy. Jeśli przyjedzie.
- Facet już tu jest — powiedział Reacher.
- Co?
- Właśnie przyjechał.

Samochód toczył się coraz wolniej. Od pierwszego rzędu baraków dzieliło ich trzydzieści jardów. Holland trzymał stopę na podłodze, nie na hamulcu. Dźwignia biegów nadal znajdowała się w pozycji DRIYE. Łańcuchy na tylnych kołach

381

stawiały opór, który uniemożliwiał dalszą jazdę na luzie. Cały samochód znajdował się w stanie zawieszenia. Dygotał lekko, nie stojąc w miejscu i nie tocząc się do przodu.

- Od jak dawna wiedziałeś? — zapytał Holland.
- Na pewno od jakichś trzech minut — odparł Reacher. — Ponad wszelką wątpliwość od pół godziny. Patrząc wstecz, od jakichś trzydziestu jeden godzin. Ale wcześniej nie wiedziałem, że już wiem.
- Chodzi o coś, co powiedziałem?
- Chodzi o to, czego nie powiedziałeś. O to, czego nie zrobiłeś.
- Czego na przykład?
- Na przykład przed chwilą nie zwolniłeś i nie zgasiłeś świateł, kiedy wjechaliśmy na pas startowy. Facet mógł już tam być. Ale ty wiedziałeś, że go nie ma. Bo to ty jesteś tym facetem.

— Mylisz się.

— Niestety, nie. Spędziliśmy dziś pod ziemią całą godzinę i pierwszą rzeczą, jaką powinieneś zrobić, kiedy wyszliśmy na powierzchnię, był telefon do domu pani Salter. Ale tego nie zrobiłeś. Musiałem ci przypominać. Okazało się, że wszystko jest w porządku, bo facet nie dotarł do niej w ciągu tej godziny. Ale ty wiedziałeś o tym już wcześniej, bo to ty jesteś tym facetem. Dlatego nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić. Powinieneś lepiej udawać.

Holland milczał.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Petersonem—podjął Reacher. — Przyszedł o ósmej, kiedy uznaliśmy, że po przeliczeniu więźniów okaże się, że jednego brakuje. Niepokoił się. Byliśmy spięci. Peterson wziął mnie na stronę i zapytał, czy jestem

uzbrojony. Odpowiedziałem twierdząco. I dodałem, że pani Salter też ma broń. Oczywiście pytania w takiej sytuacji. Ty ich nie zadałeś poprzedniego wieczoru. Choć powinienes.

— Może zakładałem, że jesteście uzbrojeni. Wiedziałem, że pani Salter ma w domu rewolwery. Radziła się mnie w sprawie amunicji.

382

— I dałeś jej dobrą radę. Ale tamtej nocy powinienes upewnić się, czy rewolwery są wyjęte ze skrzynki. Jeśli nie wizualnie, to przynajmniej werbalnie. Zrobiłby to każdy z wyjątkiem faceta, który wie, że nie będą potrzebne.

Holland milczał.

— Na samym początku trafiliśmy na scysję między tobą i motocyklistami. Tyle że to nie była żadna scysja. Słuchałeś tego, co mieli do powiedzenia. Dostawałeś od nich instrukcje. Regularny dziesięciminutowy wykład. Platon podjął decyzję. Zabić adwokata i zabić Janet Salter. Motocykliści przekazywali ci wiadomość. Nagle usłyszałeś za sobą radiowóz Petersona i rzuciłeś pistolet w śnieg, żeby usprawiedliwić, dlaczego tak długo tam stoisz. A potem pchnąłeś jednego z nich i wszcząłeś awanturę. Wszystko było wyreżyserowane na użytek Petersona i mój. A ta historia z rzucaniem kości? Nie uniknęliby przypadkowych kontroli, gdybyś do nich nie dzwonił i nie ostrzegał. Cały czas pracowałeś dla tego samego faceta. Dlatego pozwoliłeś im bez słowa wyjechać z miasta.

Holland milczał.

— Znacznie później Peterson i ja postawiliśmy cię w niezręcznej sytuacji — ciągnął Reacher. — Pojawiliśmy się tutaj, kiedy mogłeś bezpiecznie wyjąć klucz z piecyka. Wiedziałeś, gdzie jest. Sam na to nie wpadłeś. Zostałeś poinformowany. Przyjechałeś wszystko przygotować. Ale na dół zeszliśmy wszyscy razem, bo nie wiedziałeś, jak temu zapobiec. I Peterson zobaczył te wszystkie rzeczy, na które musiał zareagować. Dlatego gadałeś te bzdury przez radio. Żeby po jego zabiciu podejrzanych było sześćdziesięciu, a nie tylko ty jeden. A potem okłamałeś mnie co do Kaplera. Próbowaleś podsunąć mi fałszywy trop. W Miami nie mówiło się wcale o pieniądzach za narkotyki. Gdyby krążyły jakieś plotki, moja znajoma w Wirginii dawno trafiłaby na ich ślad.

— Mogłem zabić Petersona już tutaj. Kiedy zeszliśmy pod ziemię — odezwał się Holland.

— To prawda. Ale mnie byś nie zabił. Wiesz o tym. Boisz

383

się mnie. Sprawdziłeś moje akta osobowe. Poinformowała mnie o tym znajoma w Wirginii. Twoja sygnatura jest w moich aktach. Dlatego wiedziałeś, że adwokat, Peterson i Janet Salter to jedno, a ja to coś innego. Z nimi poszło ci łatwo. Stanałeś na drodze, włączyłeś światła na dachu, machnąłeś ręką i adwokat się zatrzymał. Dlaczego miałby tego nie zrobić? Szef policji z sąsiedniego hrabstwa? Pewnie często razem jedliście śniadanie. Peterson pojechałby za tobą wszędzie. A Janet Salter była pewnie zachwycona na twój widok. Dopóki nie wyciągnąłeś pistolem.

Holland znów milczał.

— Trzy łuski po nabojach. Dwie z nich zabrałeś z tego samochodu, trzecią podniosłeś z podłogi u Janet Salter. Założę się, że wyrzuciłeś je do jednego z koszy na śmieci przed komisariatem. Czy mam zadzwonić do tego staruszka za biurkiem i poprosić, żeby do nich zajrzał?

Holland milczał.

— Domyślam się, że czwarty pocisk jest w komorze. Pocisk przeznaczony dla mnie. W jakimś starym porzuconym pistolecie. Może przez kogoś zgubionym, może pochodzącym z nierozwiązanej sprawy. A może dostarczyli ci go motocykliści. Chcesz opróżnić kieszenie i pokazać mi, że się mylę?

Holland milczał.

— Ale mój pocisk pozostanie w komorze — kontynuował Reacher. — Bo ja różnię się od tamtych trojga. Wiesz o tym. Wyczułeś to chyba, a później uzyskałeś potwierdzenie, kontaktując się z wojskiem. Dlatego byłeś ze mną ostrożny. Całkiem słusznie. Dostrzegam wiele rzeczy. Przez ostatnie trzy godziny próbowałeś dobrać mi się do skóry. Ciągnąc mnie to tu, to tam, bez przerwy ze mną rozmawiając, starając się odkryć, jak dużo wiem, nie spiesząc się, czekając na odpowiedni moment. Tak jak teraz. W komisariacie długo się zastanawiałeś. Najpierw nie chciałeś tu ze mną przyjechać, a potem zmieniłeś zdanie, ponieważ liczyłeś, że być może nadejdzie odpowiedni moment. Ale ten moment nie nadszedł i nigdy nie nadejdzie.

Sprytny

384

z ciebie facet i dobrze strzelasz, ale ja jestem sprytniejszy i lepszy. Wierz mi. Tak naprawdę jesteś wyleniałym starym szczurem. Nie możesz się ze mną równać. Tak jak teraz. Jesteś zapięty po szyję i w pasach, a ja nie. Zanim dotkniesz swojego rewolweru, przestrzelę ci oczy na wylot. I tak jest od trzech godzin. Nie dlatego, że już wcześniej wiedziałem, lecz dlatego, że taki po prostu jestem.

Holland milczał.

— Ale powinienem zgadnąć już wcześniej — przyznał Reacher. — Powinienem się wszystkiego domyślić już trzydzieści jeden godzin temu. Kiedy po raz pierwszy zawyła syrena. Miałem to podane na tacy. Nie mogłem zrozumieć, jak ten facet mógł mnie zobaczyć, skoro ja nie widziałem jego. Wiedziałem, że musi podjechać samochodem, ulicą od frontu. Z powodu mrozu. I dokładnie tak zrobił. Zobaczyłem go. Zobaczyłem ciebie. Minutę po tym, jak wszyscy się wycofali, podjechałeś samochodem, szybko i bezczelnie, od frontu.

Przyjechałeś zabić Janet Salter.

— Przyjechałem jej strzec.

— Obawiam się, że nie. Zamieszki mogły potrwać kilka godzin. Nawet kilka dni. Sam to powiedziałeś. A ty zostawiłeś silnik na chodzie.

Holland się nie odezwał.

— Zostawiłeś silnik na chodzie, bo miałeś zamiar uporać się z tym naprawdę szybko. Uznałeś, że możesz się trochę spóźnić do więzienia. Tak jak zapewne spóźniłeś się dzisiaj. Ale w domu byłem ja. Mój widok cię zaskoczył. Potrzebowałeś czasu, żeby się zastanowić. Dlatego nie odjechałeś od razu. Mnie i pani Salter wydawało się, że jesteś w rozterce, bo masz do spełnienia dwie wykluczające się powinności, ale ty zastanawiałeś się, czy mam jeden z jej rewolwerów, a jeśli tak, to czy uda mi się wyciągnąć broń szybciej od ciebie. Doszedłeś do wniosku, że mam broń i że wyciągnę ją szybciej. Dlatego wyszedłeś. Postanowiłeś, że spróbujesz kiedy indziej. Platon na pewno nie był z ciebie zadowolony. Prawdopodobnie bardzo mu się spieszyło. Ale w końcu zrobiłeś, co kazał.

385

Holland milczał przez dłuższy czas.

— Wiesz dlaczego, prawda? — zapytał wreszcie.

— Tak — odparł Reacher.

— Skąd?

— W końcu do tego doszedłem. Widziałem fotografię w twoim gabinecie. Wygląda zupełnie jak jej matka.

— W takim razie rozumiesz.

— Nie była więźniem. Próbowali ją w idiotyczny sposób ukryć, ale przebywała tam z własnej woli. To było jasne. Podobał jej się chyba taki styl życia.

— To wcale nie świadczy o tym, że nie była narażona na niebezpieczeństwo.

— To żadne usprawiedliwienie. Można to było załatwić inaczej.

— Wiem. Przykro mi.

— I to wszystko? Trzy osoby nie żyją, a tobie jest przykro?

Holland nie odpowiedział. Siedział nieruchomo przez krótką chwilę, a potem podniósł stopę z podłogi i wcisnął pedał gazu. Samochód skoczył do przodu. Suchy beton pod kołami, osiem cylindrów w układzie widlastym, dwie rury wydechowe, wysoki moment obrotowy, twarde zawieszenie, szybki tylny napęd, prawie zerowy efekt „siadania tyłu”, przyspieszenie od zera do sześćdziesięciu mil w osiem sekund. Reacher wcisnęło w fotel. Do bocznej ściany baraku mieli może ze trzydzieści jardów. Dziewięćdziesiąt stóp. Tylko tyle. Ściana szybko się do nich zbliżała, wypełniała całą szybę, jasna w świetle reflektorów. Silnik wył na wysokich obrotach. Po przejechaniu trzydziestu z dziewięćdziesięciu stóp Reacher zdążył wyciągnąć z kieszeni smitha & wessona. Po przejechaniu sześćdziesięciu wcisnął mocno jego lufę w ucho Hollanda. Zanim uderzyli w ścianę, obejmował zgiętą sztywno lewą ręką oparcie jego fotela. Przód samochodu przebił deski baraku. Ekspłodowały poduszki powietrzne i roztrzaskała się przednia szyba. Przednie koła odbiły się od podłogi i samochód uniósł się w powietrze. Przedni zderzak uderzył w ramę łóżka

386

i wbił ją w piecyk, od którego oderwała się zamocowana na górze rura. Sam piecyk potoczył się w bok niczym beczka, a samochód opadł na podłogę i sunął dalej, uderzając w to samo łóżko i wbijając je w następne, stojące po drugiej stronie przejścia. Reling nad przednią szybą walnął w niezamocowaną rurę i zgiął ją z głośnym zgrzytem. Jej koniec przeorał dach samochodu, który był już cały w środku baraku i nadal szybko się przemieszczał. Łańcuchy na tylnych kołach szorowały i chrobotowały na drewnianej podłodze. Reacher kopnął Hollanda w kolano, zmuszając go do zdjęcia stopy z gazu. Pchając przed sobą łóżka, samochód wybił dziurę w drugiej ścianie i zatrzymał się w płataninie pogiętych żelaznych ram i szczątków płyty pilśniowej. Oba przednie reflektory zgasły, spod maski dochodziło zgrzytanie i grzechot. Nadwyreżone części syczały, rzeziły i tykały. Wszędzie sypał się pył i drzazgi. Przez rozbitą przednią szybę do środka samochodu wpływało niczym olej polarne powietrze. Lufa rewolweru w dalszym ciągu wbijała się mocno w ucho Hollanda.

Reacher siedział wyprostowany, trzymając się fotela kierowcy. Napompowana poduszka pasażera zatrzymała się na jego zgiętym sztywno łokciu i zdążyło z niej ujść powietrze.

— Mówiłem ci, Holland, że nie możesz się ze mną równać — syknął.

Holland milczał.

— Rozbiłeś samochód — stwierdził Reacher. — I czym ja teraz wrócę do miasta?

— Co ze mną zrobisz?

— Przejdziemy się. Trzymaj ręce tak, żebym je dobrze widział.

„Będę miała mnóstwo czasu na czytanie, kiedy skończy się ta cała afera”, powiedziała Janet Salter.

„Kto sieje wiatr, zbiera burzę”.

387

Wygramolili się z rozbitego samochodu na mróz i wiatr i ruszyli alejką biegnącą między pierwszym i drugim rzędem baraków, Holland przodem, Reacher dziesięć stóp za nim, trzymając w opuszczonej ręce stary sześciostrzałowiec — ten sam, który przez tyle godzin nosiła w kieszeni swetra Janet Salter.

— Opowiedz mi o Platonie — polecił.

Holland zatrzymał się i odwrócił.

— Nigdy go nie poznałem. Wszystko było załatwiane przez telefon albo za pośrednictwem motocyklistów.

— Czy jest taki zły, jak mówią?

— Gorszy.

— Co ma się tu dziś wydarzyć?

— Tak jak mówiłeś: chce zabrać biżuterię i ukraść część metamfetaminy.

— I ty miałeś mu w tym pomóc?

— Tak, kazał mi przyjechać. Mam dla niego pewne urządzenia i klucz.

— Dobra — rzucił Reacher, po czym podniósł sześciostrzałowiec, pociągnął za spust i strzelił Hollandowi między oczy. Broń odskoczyła lekko, a dźwięk był taki sam, jaki wydaje zawsze na otwartej przestrzeni ważący sto pięćdziesiąt osiem granów pocisk kalibru trzydzieści osiem. Suchy trzask przetoczył się po równinie i szybko ucichł, bo nie miał się od czego odbić. Holland upadł z głośnym szelestem grubego nylonu. Szttywna kurtka pociągnęła go nieco w bok i sprawiła, że leżał na ramieniu z twarzą zwróconą do księżyca. Trzydzieści osiem setnych cala to matematycznie więcej niż dziewięć milimetrów, w związku z czym trzecie oko na jego czole było trochę większe niż u Janet Salter, ale miał od niej trochę większą twarz, więc ogólnie efekt był podobny.

Szef policji, Thomas Holland, requiescat in pace.

Jego ciało znieruchomiało i zaczęła się z niego sączyć krew. A potem w kieszeni zaterkotała jego komórka.

42

Reacher znalazł ją po trzecim dzwonku. Była w kurtce Hollanda, w kieszeni na piersi, jeszcze ciepła.

Wcisnął zielony przycisk i przystawił komórkę do ucha.

— Tak? — zapytał.

— Holland?! — Wykrzyczane na całe gardło. Marne połączenie, w tle głośny hałas, latynoski akcent, nosowy, niezbyt głęboki głos.

Nieduży mężczyzna.

Platon.

Reacher nie odpowiedział.

— Holland?

— Tak.

— Będziemy za piętnaście minut. Potrzebujemy świateł do lądowania — powiedział Platon i w słuchawce zapadła cisza.

Będziemy? Ilu ich jest? Potrzebujemy świateł do lądowania? Jakich świateł? Reacher przez sekundę stał nieruchomo. Nie widział, by do pasa doprowadzona była energia elektryczna. Nie zamontowano na nim żadnych lamp. Był po prostu płaską betonową płytą. Możliwe, że za oświetlenie miały służyć reflektory forda, ale w takim przypadku Platon miał pecha, ponieważ oba były rozbite. Zresztą przednie reflektory samo-

389

chodu nie mogły oświetlić dwumilowego pasa. Nawet halogenowe, nawet nastawione na maksymalną moc.

Piętnaście minut.

Teraz już czternaście z hakiem.

Reacher schował komórkę do kieszeni i przeszukał pozostałe kieszenie Hollanda. Znalazł w nich klucz do drzwi murowanego budynku oraz starego porysowanego glocka siedemnastkę. Bezpański pistolet. W magazynku czternaście kul, w komorze jedna.

Jego kula.

Włożył klucz i glocka do kieszeni i wyjął z kabury Hollanda kolejnego glocka. Nowsza, służbowa broń. Załadowana. Następnie założył obie rękawice, złapał Hollanda za kołnierz koszuli, marynarki i kurtki, zaciągnął go do najbliższego baraku, zostawił na podłodze i wrócił do samochodu.

Trzynaście minut z hakiem.

Samochód stał w połowie w środku i w połowie na zewnątrz baraku. Reacher precyzyjnie się przez wybitą w ścianie otwór, stanął tam, gdzie wcześniej był piecyk, i otworzył bagażnik.

Były tam najrozmaitsze rzeczy. Podpadały pod trzy główne kategorie: normalne wyposażenie samochodu leżące tam, gdzie według producenta powinno leżeć; normalne wyposażenie gliniarza, poukładane elegancko w plastikowych pojemnikach oraz rzucone na to wszystko inne rzeczy. Do pierwszej kategorii należały koło zapasowe i lewarek. Do drugiej: odblaskowa kamizelka, cztery czerwone flary drogowe, trzy włożone jeden w drugi drogowe pacholki, zielona skrzynka na mniejsze akcesoria, apteczka, dwie brezentowe płachty, trzy rolki taśmy do grodzienia miejsca przestępstwa, torba z białymi szmatkami oraz zamykany schowek na krótką broń palną. Do trzeciej: długi zwój brudnej liny, wyciąg silnikowy z bloczkami i trójnogiem oraz nieotwarte pudełka z wielkimi, mocnymi workami do śmieci. Nic, co choć z daleka przypominałoby światła do lądowania.

Dwanaście minut z hakiem.

390

Wyobraził sobie całą scenę z punktu widzenia pilota. Schodzący do lądowania boeing 737, pod nim skąpana w świetle księżyca, granatowoszara tundra. W jakimś stopniu widoczna, lecz monotonna i pozbawiona punktów orientacyjnych. Facet ma na pewno GPS, ale będzie potrzebował pomocy z ziemi. To jasne. Nie liczył oczywiście na żadne zatwierdzone przez federalny urząd lotnictwa systemy naprowadzania. To też było jasne. Cały ten lot był niezgodny z przepisami.

Czego dokładnie potrzebował?

Z pewnością czegoś zaimprovizowanego.

Może ogniska?

Podczas drugiej wojny światowej lądujący w angielskiej mgłę piloci bombowców naprowadzani byli przez równoległe do pasa długie rowy, wypełnione płonąca benzyna. Piloci małych samolotów przerzucający tajnych agentów do okupowanej Europy wypatrywali pół z trzema ogniskami rozłożonymi w kształcie litery L.

Czy Holland miał rozpalić ogniska?

Jedenaście minut z hakiem.

Nie, ogniska odpadają.

Reacher zatrzasnął bagażnik i uprzątnął śmieci spod samochodu, po czym przecisnął się do przodu, odciągnął od zderzaków splątane ramy łóżek i zrzucił z maski kawałki płyty pilśniowej. Silnik nadal pracował, ale czuć było swąd oleju i głośno stukały łożyska. Reacher otworzył drzwiczki od strony kierowcy, usiadł na miejscu Hollanda, wrzucił tylny bieg i wdepnął gaz. Samochód szarpnął, zadygotał i wycofał się tą samą drogą którą wjechał, przez dziurę w tylnej ścianie, po podłodze baraku i przez dziurę w przedniej ścianie. Kiedy opadł na tylne koła, Reacher obrócił kierownicę, wrzucił przedni bieg i ruszył w stronę północno-wschodniego rogu pasa startowego. Górnego prawego rogu z punktu widzenia pilota boeinga. Zahamował, wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął z plastikowego pojemnika cztery czerwone flary. Cisnął trzy na fotel pasażera i wbił czwartą w beton. Zapaliła się automatycznie

391

i zapłonęła silnym płomieniem. Na drodze widać ją było z daleka, z góry chyba z jeszcze większej odległości.

Reacher wszedł do samochodu i podjechał w przeciwny róg. Górny lewy. Przednie reflektory były rozbite, ale widział coś niecoś w księżycowej poświacie. Sto jardów. Zapalił drugą flarę i ruszył mierzącym dwie mile pasem. Nie było to wcale zabawne. Przez rozbitą przednią szybę wpadał do środka lodowaty wiatr. W dodatku samochód jechał powoli. Coraz wolniej. Silnik stukał i wpadał w wibracje. Czuć było, że zaraz się zatrze. Wskaźnik temperatury na tablicy rozdzielczej zbliżał się do czerwonego pola.

Niedobrze.

Dziewięć minut z hakiem.

Przejechanie dwóch mil powinno mu zająć dwie minuty. Ciężko ranny samochód pokonał je w cztery. Reacher zapalił trzecią flarę w północno-zachodnim rogu. Lewym dolnym, z punktu widzenia pilota. Wskoczył do samochodu, trochę się cofnął, przekreślił kierownicę i ruszył dalej. Samochód zaczął w niekontrolowany sposób dygotać. Wyraźnie tracił moc. Wskaźnik temperatury dotarł do samego końca. Spod maski wydobywała się para i czarny dym. Gęste kłęby.

Jeszcze sto jardów. To wszystko. Ostami róg.

Samochód przejechał pięćdziesiąt jardów i zgasł. Stał po prostu w połowie południowego krańca pasa i nie chciał jechać dalej. Poszła skrzynia biegów, ciśnienie oleju, chłodnica, może coś jeszcze, a może wszystko.

Reacher wysiadł i przebiegł resztę drogi.

Wbił w beton ostatnią flarę i cofnął się.

Szkarłatna poświata w czterech rogach była o wiele jaśniejsza niż cokolwiek innego w pobliżu. I odbijała się jasno od zasp odgarniętego śniegu. Nikt w kokpicie boeinga nie powinien mieć wątpliwości co do kształtu i położenia pasa startowego. Pośrodku bliższego końca stał ciemny samochód, ale nie stanowił większej przeszkody niż ogrodzenie na lotnisku.

Dwie minuty z hakiem.

392

Robota wykonana.

Tyle że Reacher utknął w odległości dwóch mil od miejsca, w którym miał się znajdować, a noc była za zimna na spacer. Nie sądził jednak, by musiał drałować na piechotę. Nie miał wątpliwości, że jeśli tylko wyrazi takie życzenie, ktoś wkrótce go podwiezie. Może nawet zanim zamarznie na śmierć. Co było dobre. Niestety, z posiadanych przez niego obecnie informacji wynikało, że dotrze wówczas do murowanego budynku najprawdopodobniej później niż Platon. Co było niedobre. Zdecydowanie niedobre. I stało w całkowitej sprzeczności z tym, co planował.

„Kiedy pada pierwszy strzał, wszystkie plany diabli biorą”.

W trzaskającym mrozie pobiegł do unieruchomionego samochodu, oparł się o błotnik i czekał, obserwując nocne niebo.

•••

Po minucie zobaczył nad horyzontem światła. Podobne do gwiazd, które nie były gwiazdami. Małe elektryczne iskierki, migoczące, powiększające się i tańczące w górę i w dół, w lewo i w prawo. Punktowe reflektory w podwoziu odległego o jakieś dziesięć mil, lecącego w jego stronę samolotu.

Po chwili zobaczył również światła poniżej horyzontu. Bardziej żółte, słabsze, pełzające po ziemi, mniej stabilne, podrygujące, poruszające się o wiele wolniej. Przednie światła pojazdu kołowego. A właściwie dwóch pojazdów, jadących jeden za drugim krętą drogą z szybkością około trzydziestu mil na godzinę. W odległości jakichś pięciu mil.

To one miały go podwieźć.

Były blisko, ale niewystarczająco blisko.

Oparł się o samochód i czekał.

•••

Boeing dotarł tam pierwszy. Najpierw był mały i cichy, później większy i głośniejszy. Pojawił się, lecąc nisko i płasko: szerokie skrzydła, migocące rozgrzane powietrze, ogłuszające

393

wycie silnika, snopy rażącego światła. Miał uniesiony dziób i opuszczone podwozie, dwa tylne koła niżej niż przednie, niczym pazury gigantycznego drapieżnego ptaka, które sięgały po zepsuty samochód w podobny sposób, w jaki orzeł sięga po owcę. Reacher pochylił się i

samolot przeleciał tuż nad jego głową, olbrzymi, prawie na wyciągnięcie ręki. Miał wrażenie, że fala powietrza i potworny hałas przygniotą go do ziemi. Ale zaraz potem wyprostował się, odwrócił i patrzył nad dachem samochodu, jak samolot muska ziemię, zawisa, waha się, przelatuje sto, dwieście, trzysta jardów, w końcu z głośnym piskiem gumy i kłębami czarnego dymu zdecydowanie przyziemia, po czym pędzi do przodu z opuszczonym dziobem do momentu, aż przełączone na odwrotny ciąg silniki zaczynają go z ogłuszającym rykiem hamować.

Po chwili odwrócił się i spojrzął na południe.

Pojazdy kołowe były coraz bliżej. Jechały powoli i ostrożnie ze względu na zakręty, gołoledź i złą nawierzchnię — miniaturowy konwój uparcie zdążający do celu. Ich przednie światła skręcały w lewo i w prawo, podskakiwały i opadały w dół. Pierwszy pojazd był dziwną otwartą ciężarówką z wielkim zwojem ciężkiej giętkiej rury nawiniętej na bęben zaraz za szoferką pompą osadzoną na stalowej ramie i kolejnym zwojem rury na kolejnym bębnie. Pojazd jadący za nią był generalnie tego samego typu i rodzaju, tyle że miał za szoferką duży biały zbiornik, pomost roboczy i długie ruchome ramię, złożone i związane na czas podróży. Pierwsza ciężarówka była w barwach Shell Oil Company i miała na kratce chłodnicy napis ISUZU.

Stanowy biuletyn z drogówki: motopompa Isuzu serii N oraz pojazd do odladzania skradzione przez dwóch pracowników cywilnego lądowiska na wschód od Rapid City. Skradzione zapewne na polecenie Platona, żeby boeing mógł zostać zatankowany z podziemnego zbiornika i bezpiecznie wznieść się w nocne niebo.

Reacher odsunął się od samochodu i czekał. Reflektory pierwszej ciężarówki wyłuskały go z mroku i kierowca zwolnił,

394

a potem stanął. Reacher uświadomił sobie, że ma na sobie ciemne spodnie, czapkę khaki i brązową kurtkę, która, choć stara, nadal wyglądała jak strój policjanta z drogówki. Zepsuty crown vic stał w poprzek pasa, jakby blokował do niego dostęp. Nikt poza organami ścigania nie używa zwykle tego modelu. Chłopców z Rapid City musiano jednak uprzedzić, że będzie na nich czekał zblatowany gliniarz, bo po krótkiej pauzie motopompa, a w ślad za nią odladzarka ruszyły z miejsca. Reacher podniósł rękę, częściowo w geście powitania, częściowo dając sygnał, żeby się zatrzymali, i minutę później siedział w ciepłej szoferce pierwszej ciężarówki, zmierzając pasem startowym ku temu, co czekało go na drugim końcu. Dwadzieścia siedem minut po trzeciej.

Zostało dwadzieścia osiem minut.

43

Boeing podkołował, zawrócił i stanął jak najbliżej pierwszego rzędu baraków. Z bliska wydawał się gigantyczny. Wysoki, szeroki i długi, odpoczywający przez chwilę pośrodku pustkowiec, posapujący, poświstujący i górujący nad stojącymi za nim cichymi budynkami: żywa maszyna w pasywnym mroźnym krajobrazie. Jego silniki nadal głośno pracowały, światła na brzuchu migotały czerwienią przednie drzwi były szeroko otwarte. W kabinie paliło się światło. Na betonową nawierzchnię spuszczone z niej aluminiową malarską drabinę, która w porównaniu z wielkim samolotem wydawała się ażurowa, krucha i niematerialna. Na ziemi stało siedmiu mężczyzn. A właściwie na pierwszy rzut oka sześciu mężczyzn i jeden chłopiec. Trudno było pomylić Platona z kimś innym. Abstrakcyjne liczby — cztery stopy i jednaście cali — nie oddawały w pełni rzeczywistości. Miał mięśnie, sylwetkę, ruchy i zwalistą posturę dużego mężczyzny, a przy tym wszystkim rozmiary dziecka. Nie był karłowaty. Nie był wybrykiem natury. Jego kończyny, tors, kark i głowa były całkiem proporcjonalne. Przypominał pomniejszonego dokładnie o dwadzieścia pięć procent obrońcę NFL. Po prostu. Był miniaturowym twardzielem. Zabawką.

Wyglądał na czterdzieści kilka lat i miał na sobie czarną

puchową kurtkę, czarną wełnianą czapkę i czarne rękawice. Było mu chyba bardzo zimno. Jego towarzysze byli młodszy. Około trzydziestki. Ubrani tak samo jak on. Czarne puchowe kurtki, czarne czapki, czarne rękawice. Byli normalnej wielkości Latynosami, hiszpańskiego, nie indiańskiego pochodzenia, i im również było chyba bardzo zimno.

Cieżarówka z pompą zatoczyła krąg i zaparkowała przy skrzydle boeinga. Odladzarka stanęła tuż za nią. Obaj kierowcy wysiedli. Nie zareagowali w widoczny sposób na nieludzką temperaturę. Pochodzili z Rapid City. Przywykli do mrozu. Mieli własne puchowe kurtki.

Obaj byli biali, średniego wzrostu i szczupli. Zahartowani i zredukowani do spraw podstawowych. Ręce, nogi, głowy, ciała. Mieli też koło trzydziestki, ale wyglądali na czterdzieści. Wiejskie korzenie, już od kilku pokoleń mieszkający w mieście.

Reacher został jeszcze przez chwilę w ciepłej szoferce i obserwował sytuację.

Platon poruszał się w obrębie kordonu sformowanego przez sześciu jego ludzi. Tak naprawdę nie było to potrzebne. Robił to być może z przyzwyczajenia, może na pokaz. On i pozostali byli uzbrojeni. Wszyscy mieli przewieszane przez szyje na nylonowych paskach pistolety maszynowe Heckler & Koch MPK5. Krótka kanciasta broń, czarna i paskudna. Magazynek na trzydzieści naboju. Spoczywały podniesione i dumne na puchowych kurtkach, z kolbami po prawej i lufami po lewej stronie. Wszyscy faceci mieli również plecaki z czarnego nylonu, które wydawały się prawie puste z wyjątkiem niewielkiego ciężkiego ładunku na samym dnie. Reacher domyślił się, że to latarki. Do penetracji podziemi. I najprawdopodobniej zapasowe magazynki. Do automatów. Zawsze dobrze je mieć. Przy ogniu ciągłym trzydzieści pocisków wylatuje z MP5 w dwie krótkie sekundy.

Pistolety maszynowe. Najlepsi przyjaciele producentów amunicji.

Reacher wyskoczył z szoferki. Na mróz i na wiatr. Chłopcy

z Rapid City nadal trzymali fason, ale Meksykanie trzęśli się jak osiki. Na ich twarzach malował się wyraz niedowierzania. Wylecieli wieczorem z przyjemnego ciepłego miejsca, wiedząc, że udają się tam, gdzie jest zimno, lecz czym innym było zrozumienie tego słowa, a czym innym odczucie tego na własnej skórze. Broń Platona poskakiwała lekko na jego piersi, ponieważ cały dygotał. Przez cały czas kręcił się w kółko i przytupywał. Choć częściowo mógł to robić ze zdenerwowania. Widać było, że jest spięty. Miał twardą brązową twarz i wykrzywione w grymasie usta.

Chłopcy z Rapid City nie odczytali tego grymasu w prawidłowy sposób.

Facet, który prowadził ciężarówkę z motopompą zrobił krok do przodu, rozłożył ręce i uśmiechnął się w sposób, który miał według niego świadczyć o przebiegłości.

— Jesteśmy — oznajmił.

Oczywiste stwierdzenie.

Platon zmierzył go obojętnym spojrzeniem.

— I co?

— Chcemy więcej pieniędzy. — Najwyraźniej wcześniej to sobie zaplanował, obgadał i uzgodnił z kumplem. W barze. Musieli wpaść na ten pomysł po trzecim albo czwartym piwie. Pokażemy gościowi zabawki, po czym schowamy je i zażądamy więcej forsy.

Coś takiego nie może się nie udać.

— O ile więcej? — zapytał Platon.

Mówił po angielsku dość dobrze, z lekkim obcym akcentem i trochę niewyraźnie, bo skostniała mu twarz, a za plecami wyły silniki odrzutowe.

Kierowca motopompy przywykł do hałasu. Pracował na lotnisku.

— Drugi raz to samo.

— Mam podwoić stawkę?

— Zgadza się — odparł kierowca.

Platon omiół wzrokiem swoich trzech ludzi i zatrzymał się na czwartym.

398

— Wiesz, jak obsługiwać ten sprzęt? — zapytał po hiszpańsku, dość wolno, by Reacher zdołał go zrozumieć.

— Myślę, że tak — odparł czwarty facet.

— Myślisz czy wiesz?

— Robiłem to już wcześniej — odparł facet. — Mówię o pompie. Wiele razy. Co do odladzarki to nie bardzo. Nie było takiej potrzeby. Ale to nie może być specjalnie trudne. Trzeba po prostu spryskać skrzydła.

— Tak czy nie?

— Tak.

Platon odwrócił się do chłopaków z Rapid City, położył dłonie w rękawicach na broni, podniósł ją i zastrzelił obu facetów strzałami w pierś. Tak po prostu. Ogniem ciągłym. Najpierw jednego, potem drugiego. Dwoma krótkimi, prawie połączonymi ze sobą seriami po dziewięć albo dziesięć pocisków. Niesamowita szybkostrzelność. Ogłuszający hałas. Długi na stopę jaskrawy płomień wylotowy. Strumień wypadającego z wyrzutnika mosiądzu. Zużyte łuski pofrunęły z grzechotem na bok. Dwaj faceci padli w strumieniach krwi i tumanach pierza z rozdartych kurtek, najpierw jeden i natychmiast po nim drugi. Byli martwi, zanim jeszcze dotknęli ziemi, z sercami rozerwanymi na strzępy. Postrzępione krwawe dziury w ich piersiach były tak duże, że można by w nie wsadzić pięść.

Dym z pistolem uleciał z wiatrem, nagły hałas ucichł i znów ciszę zakłócało tylko jednostajne i niskie wycie silników.

Dwadzieścia stóp nad nimi pilot wyjrzał przez okno boeinga.

Reacher był pod wrażeniem. Długie serie, minimalny rozrzut. Znakomite panowanie nad językiem spustowym, kapitalna celność i minimalny odrzut. I to w rękawicach. Platon robił to już wcześniej. To nie ulegało kwestii.

Nikt się nie odezwał.

Platon przesunął kciukiem zatrzask i częściowo zużyty magazynek wypadł z pistolem.

Wyciągnął rękę i czekał. Stojący najbliżej facet skoczył do przodu, wyjął z jego plecaka nowy

399
magazynek i położył mu na dłoni. Platon włożył go do uchwytu, sprawdził, czy dobrze wszedł, i odwrócił się do Reachera.

— Komendant Holland, jak sądzę — powiedział.

— Tak.

— W końcu się spotkaliśmy.

— Tak.

— Dlaczego drzwi nie są otwarte, a sprzęt nie jest rozstawiony?

Reacher nie odpowiedział. Zastanawiał się, o jakim sprzęcie mowa.

— Wiesz, że twoja córka jest nadal w moich rękach — przypomniał Platon.

— Gdzie ona jest? — zapytał Reacher.

— Wyjechała razem z resztą. Spełnia swoje marzenia.

— Wszystko u niej w porządku?

— Na razie tak. Ale to nie znaczy, że nic jej z mojej strony nie grozi.

— Popsuł mi się samochód — wyjaśnił Reacher. — Sprzęt jest w bagażniku.

— Gdzie jest twój samochód?

— Na drugim końcu pasa startowego.

Platon nie odpowiedział na to bezpośrednio. Cecha dobrego przywódcy. Nie ma sensu biadolić nad tym, czego się nie zmieni.

— Weź odladzarkę — polecił po hiszpańsku jednemu ze swoich ludzi — i zabierz potrzebny sprzęt z bagażnika komendanta Hollanda.

Facet ruszył w stronę odladzarki.

— Gdzie jest klucz do budynku? — zapytał Platon, znowu zwracając się do Reachera. Reacher wyjął go z kieszeni i wyciągnął w stronę Meksykanina. Platon wystąpił poza otaczający go ludzki kordon. Reacher rozważał stojące przed nim dwie możliwości. Mógł wbić mu klucz w oko albo upuścić go i kiedy Meksykanin się pochyli, złamać mu kark, zadając silny cios w podbródek.

Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Platon miał za sobą
400

pięć pistoletów maszynowych MP5K. W ułamku sekundy powietrze mogło przesyć siedemdziesiąt pięć dziewięciomili-metrowych pocisków. Większość z nich by chybiła. Ale nie wszystkie.

Odladzarka zawarczała i ruszyła z miejsca. Platon podszedł do Reachera. Głową sięgał mu dokładnie do obojczyka. Podbródek miał dokładnie na wysokości jego pasa. Mały facet. Miniaturowy twardziel. Zabawka. Reacher znów zaczął się zastanawiać nad ciosem w podbródek. Zły pomysł. Bardzo trudno byłoby wyprowadzić tak niski cios. Lepiej trzasnąć go pionowo łokciem w szczyt czaszki.

Albo zastrzelić.

Platon wziął od niego klucz.

- A teraz zdejmij kurtkę — polecił.
- Co takiego? — zdziwił się Reacher.
- Zdejmij kurtkę.
- Dlaczego?
- Sprzeciwiasz mi się?

Sześć palców na spustach sześciu pistoletów maszynowych.

- Zadaję ci pytanie — powiedział Reacher.
- Ty i ja zejdziemy pod ziemię — odparł Platon.
- Dlaczego ja?
- Bo byłeś tam już wcześniej. W przeciwieństwie do nas. Jesteś naszym przewodnikiem.
- Mogę tam zejść w kurtce.
- To prawda. Ale jesteś w cywilnych ciuchach. To znaczy, że nie masz pasa z bronią. Jest zimno i masz kurtkę zapiętą z przodu. To znaczy, że trzymasz broń w zewnętrznych kieszeniach. Nie jestem głupi. Dlatego nie chcę znaleźć się w nieznanym otoczeniu z uzbrojonym przeciwnikiem.
- Uważasz mnie za przeciwnika?
- Nie jestem głupi — powtórzył Platon. — Bezpieczniej jest założyć, że wszyscy są przeciwnikami.
- Jest zimno — zauważył Reacher.
- Twojej córce będzie zimnej w grobie.

401

Sześć palców na spustach sześciu pistoletów maszynowych.

Reacher rozpiął kurtkę, zsunął ją z ramion i upuścił na ziemię. Uderzyła o nią ze stłumionym grzechotem. Dwa pistolety, dwa rewolwery, pudełko z amunicją, komórka. Plastik, metal, tektura. Minus trzydzieści cztery stopnie. Porywisty wiatr. Bawełniany sweter. Po kilku sekundach trząsł się bardziej niż którykolwiek z nich.

Platon nadal stał w miejscu. Odladzarka wkrótce wróci, pomyślał Reacher, i kierowca opowie, jak wygląda rozbity ford. Ktoś przyjrzy się wkrótce barakom i zauważy zniszczenia. I ktoś przeszuka intfe baraki. Ktoś zacznie zadawać niewygodne pytania.

Czas mszać.

— Załatwmy to — mruknął.

Za dwadzieścia siedem czwarta.

Zostały dwadzieścia dwie minuty.

44

Podeszli gęsiego do murowanego budynku: dziwaczny pochód siedmiu mężczyzn. Pierwszy Platon, cztery stopy i jedenaście cali, drugi Reacher, sześć stóp i pięć cali, za nimi pięciu ludzi Platona, wszyscy, jeśli chodzi o wzrost, gdzieś pośrodku między tymi dwiema skrajnościami. Szósty facet Platona, który pojechał odladzarką po sprzęt z rozbitego samochodu Hollanda, jeszcze nie wrócił. Murowany budynek czekał na nich w księżycowej poświacie, tak samo cichy i obojętny jak przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Łupkowy dach, zamurowane okna, kominy, gzymsy, wykusze, ozdobne detale.

Portyk i stalowa płyta drzwi.

Platon włożył klucz do zamka, obrócił go i zastygł bez mchu. Reacher zrozumiał, że teraz jego kolej. Przekręcił klamkę o sześćdziesiąt stopni, ciężko i precyzyjnie niczym w bankowym sejfie, i pociągnął drzwi do siebie. Kiedy się uchylły, skrzypiąc zawiasami, wszedł do środka, stanął za nimi i otworzył je na oścież, jakby pchał ciężarówkę.

Nadal stojąc, Platon podniósł rękę. Stojący z tyłu facet wyjął z jego plecaka latarkę i położył mu na dłoni w podobny sposób, w jaki instrumentariuszka kładzie narzędzia na dłoni chirurga. Platon zapalił ją przełożył do drugiej ręki, po czym strzelił

403

palcami i wskazał Reachera. Stojący za nim mężczyzna zsunął z ramienia plecak, wyjął z niego latarkę i podał Reacherowi.

Latarka była marki Maglite, na cztery baterie. Wyprodukowana w Ontario w Kalifornii. Najwyższy standard przenośnego oświetlenia. Aluminiowy stop, solidna, praktycznie niezniszczalna konstrukcja. Reacher włączył ją i omiół snopem światła betonowe pomieszczenie.

Bez zmian.

Wszystko wyglądało tak samo jak przed czterema godzinami, kiedy wychodził stąd z dwoma nieżyjącymi już mężczyznami. Prowadzące w dół spiralne schody, wystające z podłogi dwie niewykończone rury wentylacyjne. Stęchłe powietrze, lekki przeciąg, zapach dawno zapomnianych lęków.

— Pan pierwszy, panie Holland — powiedział Platon.

Rozczarowało to trochę Reachera. Stracił kurtkę, lecz nadal

miał na nogach buty. Już wcześniej zastanawiał się, czy nie puścić Platona przodem i nie kopnąć go w głowę tak, żeby potoczyła się kilkadziesiąt stóp po schodach.

Najwyraźniej jednak Platon zdał sobie sprawę z takiej możliwości. Spryciarz.

Reacher ruszył więc przodem, tak samo nieporadnie jak wcześniej. Wielkie obcasy, wąskie stopnie, brzęk metalu. W miarę jak schodził na dół, świst silników odrzutowych stawał się coraz cichszy. Usłyszał, że Platon wydaje instrukcje po hiszpańsku.

— Kiedy wróci odladzarka, rozstawcie sprzęt, a potem zacznijcie tankowanie. Otwórzcie pozostałe trzy włązy w samolocie i przystawcie do nich drabiny. Sprawdźcie, jak funkcjonuje odladzarka i na ile minut przed startem powinniśmy jej użyć. I wystawcie wartę w odległości trzydziestu jardów na południe. To jedyny kierunek, z którego może nam coś grozić.

Zmieniajcie się co dwadzieścia minut. Albo jeszcze częściej, jeśli chcecie. Chcę, żeby wartownicy był przez cały czas czujni, a nie żeby zamarzli na śmierć.

404

Platon umilkł i Reacher usłyszał nad sobą jego kroki. Drobne, bardziej precyzyjne. Metal brzęczał o wiele ciszej. Snopy światła z obu latarek padały w dół i zataczały kręgi, zawsze zgodnie z ruchem wskazówek zegara, odległe od siebie

0 dwadzieścia stóp i niesynchronizowane. Reacher się nie spieszył. Był teraz

Hollandem nie tylko z nazwiska. Improwizował, mając nadzieję, że nadarzy się odpowiednia okazja.

•••

Na górze odladzarka wróciła z leżącym na siedzeniu pasażera niezbędnym sprzętem. Wyciągiem silnikowym, liną i workami na śmieci. Wyciąg był kanciastym metalowym urządzeniem z trzema nóżkami i wysięgnikiem podobnym do ramienia małego dźwigu. Zwykle ustawiano go przed samochodem tak, by wysięgnik znalazł się nad komorą silnika. Błoczki, zgodnie z odwiecznymi zasadami mechaniki, zwielokrotniały siłę ciągu

1 i pozwalały jednej osobie podnieść ciężki żeliwny blok.

Trzej ludzie Platona wnieśli wyciąg do bunkra i ustawili wysięgnik nad jednym z szybów wentylacyjnych, zupełnie jakby mieli zamiar łowić ryby w przerębli. Zaczęli nawijać linę na błoczki. Ale nie ma nic za darmo. Większy ciężar oznacza mniejszą szybkość. Kiedy zamontowany jest jeden błoczek, przeciągnięcie liny o jeden jard powoduje, że niewielki ciężar pokona tę samą drogę. Przy dwóch błoczkach większy ciężar pokona już tylko osiemnaście cali, a przy trzech błoczkach zaledwie dwanaście. I tak dalej. Coś za coś. Zdecydowali się na dwa błoczki. Kompromis między szybkością i udźwigiem. Facet, który przyjechał odladzarką nie powiedział nic na temat forda.

•••

Dwieście osiemdziesiąt niewygodnych stopni. Po pokonaniu siedemdziesięciu, czyli jednej czwartej drogi, Reacher przy-
405

spieszył kroku. Ujrzał nadarżającą się okazję. „Rozstawcie sprzęt, a potem zacznijcie tankowanie”, polecił Platon. To oznaczało, że minie trochę czasu, zanim jeden z Meksykanów zejdzie na dół, żeby podłączyć szlauch z ciężarówką do zbiornika paliwa. Może pięć, może dziesięć minut. A pięć lub dziesięć minut sam na sam z Platonem głęboko pod ziemią mogło się okazać produktywnie. Dlatego uznał, że powinien go maksymalnie wyprzedzić. Żeby się przygotować. Zaczął schodzić najszybciej, jak mógł. Czyli niewiele szybciej.

I o wiele wolniej, niż należało.

Platon schodził tak samo szybko. Właściwie go doganiał. Dla kogoś o jego rozmiarach spiralne schody były szerokie jak w pałacu. Jak w hollywoodzkim musicalu. Poza tym miał drobne stopy. W porównaniu z nim był zwinny i sprawny. Reacher zwolnił. Lepiej nie skręcić kostki i oszczędzać siły na później.

•••

Facet, który siedział w samolocie w fotelu 4A, stał razem z facetem z fotela 4B przy ciężarówce z motopompą w miejscu, gdzie nie było ich widać z murowanego budynku i boeinga i gdzie nie mógł ich zobaczyć Meksykanin pełniący wartę na pasie. Facet z fotela 4A wysłał już wcześniej SMS Rosjaninowi: Samochód gliniarza rozbity. Nie ma jak się wy dostać.

Dostaniecie dwa razy tyle, odpowiedział Rosjanin.

Facet z 4B spojrział na odladzarkę. Facet z 4A powiódł za nim wzrokiem. Ciężarówka miała silnik Diesla, była niezgrabna, niezbyt szybka, rzucająca się w oczy i kradziona. Ale zawsze to jakiś pojazd.

Nic nie powiedział.

Komórka zabrzęczała ponownie w jego dłoni.

Dostaniecie trzy razy tyle. Zróbcie to, napisał Rosjanin.

Zapłata w potrójnej wysokości była niewyobrażalną fortuną lecz nawet ona bladła wobec życia w świecie, w którym nie będzie Platona.

406

Facet z 4B pokiwał głową. Przed chwilą prowadził odladzarkę. Wiedział, że jest sprawna. OK., napisał facet z 4A i wysłał SMS Rosjaninowi.

•••

Reacher minął drugą strefę akustyczną, w której szyb rezo-nował niczym obój. Dwie trzecie drogi na dół. Odgłosy stąpających po metalu czterech stóp łączyły się i zlewały w jedną upiorną melodię, która pulsowała w górę i w dół, wibrując w nieruchomym martwym powietrzu niczym zapowiedź nieuniknionej tragedii. Reacher zadrżał i szedł dalej w mrok, trzymając latarkę między kciukiem i palcem wskazującym i muskając ścianę trzema pozostałymi palcami w rękawicy. Wysoko nad nim obracał się, podskakiwał i przecinał ciemność promień latarki Platona. Reacher postawił piętę na dwusetnym schodku. Zostało jeszcze osiemdziesiąt.

•••

Cieżarówka z motopompą jest w gruncie rzeczy prostym urządzeniem. Stosunkowo nowym wynalazkiem. W dawnych czasach samoloty tankowały paliwo bezpośrednio z cystern. Na nowoczesnych lotniskach umieszcza się zbiorniki z paliwem pod ziemią, a na płycie wyjeżdżają mniejsze ciężarówki, które łączą dysze w studzienkach z dyszami pod skrzydłami samolotu. Rura na bębnie bezpośrednio za szoferką łączy się z podziemnym zbiornikiem, a rura po drugiej stronie z samolotem. Między nimi jest pompa, która pobiera paliwo z dołu i pompuje je do zbiorników w samolocie. Prosty linearny układ.

Faceci z foteli 4A i 4B podjechali ciężarówką z motopompą jak najbliżej drzwi murowanego budynku, mniej więcej w połowie odległości między spragnionym paliwa boeingiem i umieszczonym głęboko pod ziemią zbiornikiem. Jeden z nich położył sobie na ramieniu końcówkę pierwszej rury, a drugi uruchomił elektryczny silnik, który obracał bęben. Ten z

końcówką na

407
ramieniu wciągnął rurę do budynku i wpuścił ją do drugiego szybu wentylacyjnego, tego, nad którym nie stał wyciąg silnikowy.

•••

Reacher dotarł na dół. Taka sama sytuacja jak poprzednio. Stanął na ostatnim schodku, dziewięć cali nad posadzką pomieszczenia. Sufit sięgał mu do pasa, tułów wciąż znajdował się w szybie, twarz dzielił jeden cal od zaokrąglonej betonowej ściany. Platon stanął tuż za nim, podobnie jak to zrobił wcześniej Holland. Reacher poczuł na plecach lufę automatu.

— Idziemy — rzucił Platon.

Reacher zgiął się wpół, wsunął ramiona pod sufit i podreptał do przodu na przykurczonych nogach, z karkiem zgiętym pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Po chwili ukląkł, usiadł na ziemi, zrobił pół obrotu i zaczął przesuwając się do tyłu na piętach, dłoniach i pośladvach. Bez godności, powoli i nieporadnie. Walcząc z ogarniającą go klaustrofobią.

Platon zeskoczył z ostatniego schodka i normalnie wszedł do pomieszczenia.

Zrobił trzy zdecydowane kroki do przodu, po czym zatrzymał się i rozejrzał, wyprostowany jak struna, mając co najmniej cztery cale do betonowego sufitu.

— Gdzie są moje rzeczy? — zapytał.

Reacher nie odpowiedział. Czuł się zagubiony. Świat stanął dla niego na głowie. W jego świecie wysoki wzrost dawał przewagę. Sprawiał, że człowiek był silniejszy, bardziej zauważany, dominujący, wiarygodny. Traktowano go z szacunkiem, szybciej awansował, więcej zarabiał, powierzano mu odpowiedzialne funkcje. Potwierdzały to dane statystyczne. Wysoki człowiek zwyciężał w bójkach, nie dawał się prześladować, rządził na podwórku. Ktoś, kto rodzi się wysoki, wygrywa los na loterii.

408

Ktoś, kto rodzi się niski, przesuwają się dwa pola do tyłu.

Ale nie tu, na dole.

Tu na dole wysoki przegrywał.

Tu na dole był świat, w którym mały facet był górą.

— Gdzie są moje rzeczy? — powtórzył Platon z ręką na automacie.

Reacher podniósł dłoń, chcąc mu pokazać kierunek, ale w tym samym momencie usłyszał za sobą dwa łupnięcia, klaśnięcie i jeszcze jedno łupnięcie. Obrócił się na tyłku i zobaczył, że szybem wentylacyjnym zrzucono trzy paczki z workami na śmieci oraz końcówkę śliskiej liny. Rzeczy, które widział wcześniej w bagażniku Hollanda.

— Mamy do wykonania robotę — powiedział Platon. — To nic skomplikowanego. Ładujemy towar do worków, przywiązujemy je do liny, oni je wyciągają.

— Ile tego towaru? — zapytał Reacher.

— Samolot może zabrać szesnaście ton.

— Będziesz tu siedział cały tydzień.

— Nie sądzę. Mam mniej więcej dziesięć godzin. Motocyklista wyjdzie z mysiej dziury zaraz po lunchu. Załatwiłem z dyrektorem, że będzie trzymał twoich gliniarzy aż do tego momentu. Więc nikt nie będzie nam przeszkadzał. A załadowanie tony w pół godziny powinno być możliwe. Zwłaszcza że pomożesz mi tu na dole. I nie przejmuj się. Prawdziwa harówka czeka ich na powierzchni.

Reacher nie odezwał się.

— Ale najpierw zabierzemy biżuterię — zarządził Platon. — Gdzie jest składowana?

Reacher chciał mu ponownie pokazać kierunek, lecz w tym samym momencie z drugiego szybu wentylacyjnego wypadła gruba czarna rura z zamontowanym na końcu mosiężnym kołnierzem. Kołnierz uderzył o podłogę, a rura zaczęła się układać w zwoje. Po chwili wysoko na górze rozległy się czyjeś kroki. Dalekie pobrzękiwanie metalu stawało się coraz bliższe i głośniejsze. Ktoś schodził na dół.

409

Zaraz zacznie się tankowanie.

— Gdzie jest biżuteria? — zapytał Platon.

Reacher nie odpowiedział. Oceniał, ile czasu mu zostało. Dwieście osiemdziesiąt schodków. Facet od tankowania powinien się pojawić za dwie lub trzy minuty, bez względu na to, jak szybko schodził. To powinno wystarczyć. Reacher od bardzo dawna nie brał udziału w bójce, która trwałaby dłużej niż dwie albo trzy minuty.

Nadarzała się odpowiednia okazja.

— Gdzie jest biżuteria? — powtórzył Platon.

— Sam ją sobie znajdź — warknął Reacher.

Kroki na schodach były coraz głośniejsze.

Platon się uśmiechnął. Odsunął mankiet kurtki, powoli i nonszalancko zerknął na zegarek, po czym skoczył do przodu, szybki, zwinny i gibki, mając zamiar kopnąć Reachera w żebra.

Siedząc na ziemi, Reacher sparował to kopnięcie i podniósł się na kolana. Platon, zataczając się, poleciał do tyłu. Reacher odwrócił się i ruszył w ślad za nim.

I walnął mocno głową o sufit, otarł sobie knykie i runął z powrotem na kolana. Platon wyprostował się, doskoczył od tyłu i kopnął go mocno w żebra.

A potem odsunął się i znowu uśmiechnął.

— Gdzie jest biżuteria? — powtórzył.

Reacher nie odpowiedział. Z palców płynęła mu krew i był pewny, że rozbił sobie czaszkę. Przytłaczał go sufit nad głową.

Platon oparł dwie dłonie na automacie.

— Dostałeś jedną złotą kartkę — oznajmił. — I na tym koniec. Gdzie jest biżuteria?

Reacher podniósł więc latarkę i oświetlił właściwy korytarz. Chociaż odległość była spora, klejnoty zamigotały odbitym światłem. Platon ruszył szybkim zawadiackim krokiem w tamtą stronę, stąpając na palcach, jakby szedł ulicą i miał nad głową słoneczne niebo.

— Weź trochę worków! — krzyknął przez ramię.

410

Reacher wziął paczką z workami i ujarzmiony, spętany i upokorzony powlókł się, podążając za niedużym mężczyzną niczym wielka tresowana małpa.

•••

Platon był we właściwym korytarzu i robił to samo co wcześniej Holland. Omiatał półkę światłem latarki i przyglądał się złom, srebru i platynie, brylantom, rubinom, szafirom i szmaragdów, zegarom, obrazom i świecznikom. Na jego twarzy nie widać było jednak chciwości ani zachwyty. Oceniał po prostu, jak długo trzeba będzie to pakować.

— Zaczynj to wkładać do worków — powiedział. — Ale najpierw pokaż mi proszek. Sunąc na tyłku i piętach, w unížonej, pełnej szacunku pozie, Reacher zaprowadził go do trzeciego z trzech tuneli wypełnionych metamfetaminą. Widok nadal był porażający. Cała ściana zastawiona nieruszonymi od pięćdziesięciu lat paczkami, po dziesięć sztuk w pionie i dziesięć w poziomie. Pożółkły silikonowany papier połyskujący w świetle latarek. Piętnaście tysięcy paczek. Ponad trzynaście ton.

— To wszystko? — zapytał Platon.

— Jedna trzecia.

Kroki na schodach były coraz głośniejsze. Facet od tankowania zaczął iść szybciej.

— Zabierzemy to, co tu leży — powiedział Platon. — I jeszcze trochę. Aż samolot będzie pełny.

— Sprzedałeś chyba amfę Rosjaninowi — zauważył Reacher.

— Owszem — potwierdził Platon.

— I mimo to zamierzasz ją zabrać?

— Tylko trochę.

— To nieuczciwe.

Platon się roześmiał.

— Zabiłeś dla mnie trzy osoby, a teraz nie podoba ci się, że okradam jakiegoś durnego Rosjanina, którego w ogóle nie znasz?

411

— Wolałbym po prostu, żebyś dotrzymywał słowa.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę, żeby coś złego stało się mojej córce.

— Jest z tymi facetami z własnej woli. A poza tym za dziesięć godzin nie będzie mi do niczego potrzebna. Nie będę tu już więcej robił interesów.

— Ja też nie będę ci do niczego potrzebny — powiedział Reacher.

— Zachowam cię przy życiu. Wykonałeś zadanie, które ci zleciłem. Długo to trwało, ale w końcu zrobiłeś co trzeba.

Reacher się nie odezwał.

— Dotrzymuję słowa — dodał Platon. — Danego wszystkim z wyjątkiem Rosjan.

Za sobą usłyszeli ostatni głośny krok na metalowym schodku, a potem pierwszy cichy krok na betonowej podłodze. Odwrócili się i zobaczyli jednego z ludzi Platona, który tak jak pozostali miał około pięciu stóp i siedmiu cali wzrostu i dlatego lekko się pochylił. Na piersi miał zawieszony automat, w rękę trzymał latarkę. Rozejrzał się dokoła. Nie z ciekawości. Chciał po prostu wykonać zadanie. Podniósł jedną ręką rurę paliwową, wyprostował ją i mocno potrząsnął, żeby usunąć zagięcia. Następnie zapytał po hiszpańsku, gdzie jest zbiornik. Reacher zaczekał, aż Platon przetłumaczy mu pytanie, i wskazał latarką odpowiedni korytarz. Facet pociągnął za sobą rurę i zniknął.

— Idź pakować biżuterię — polecił Platon.

Reacher zostawił Meksykanina z jego firmowym produktem i powlókł się z powrotem. Pięć tysięcy galonów w prowizorycznym zbiorniku. Postanowił sprawdzić, czy rura jest do niego właściwie podłączona. Wiedział, że zostanie tu na dole aż do śmierci Platona, czyli minimum

dwie minuty i maksimum dziesięć godzin, i nie chciał, by jego uwagę zaprzętało zbyt wiele rzeczy.

Facet Platona krzątał się przy prowizorycznym zbiorniku. Mosięzna końcówka rury została już podłączona do pasującego do niej mosiężnego pierścienia w tylnej ścianie zbiornika.

412

Facet szarpał ją w jedną i drugą stronę, sprawdzając, czy nie ma luzów. Nie znalazłszy żadnych, odkręcił kran przy zbiorniku. Reacher usłyszał, jak paliwo dostaje się do rury. Niedużo paliwa. Trzy, najwyżej cztery galony. Wpłynęło wyłącznie pod wpływem grawitacji do tego odcinka, który leżał na podłodze, na niższym poziomie niż sam zbiornik. Resztę paliwa musiała zassać pompa i pociągnąć je wysoko w górę i na zewnątrz.

Reacher obserwował złącze. Między dwiema uszczelkami pojawiła się pojedyncza kropla nafty. Przez chwilę rosła, a potem spadła na beton, zostawiając na nim niewielką ciemną plamę.

To wszystko.

Nic więcej.

Instalacja była bezpieczna.

Facet Platona pochylił się, podreptał do schodów i ruszył na górę. Reacher okrążył centralne pomieszczenie i zniknął w korytarzu położonym daleko od biżuterii i daleko od metamfetaminy.

45

Zróbcie to. Krótkie proste słowa, krótki prosty rozkaz. Względnie krótka prosta prośba lub krótkie proste żądanie. Względnie krótki prosty projekt umowy. Bardzo atrakcyjnej. Zróbcie to, zaróbcie kupę forsy i życie długo i szczęśliwie, otoczeni szacunkiem i podziwem całej społeczności, ciesząc się sławą tych, którzy załatwili Platona. Sławą świętych i bohaterów. Ludzie będą o was śpiewali pieśni i opowiadali legendy.

Facet z fotela 4A spojrział na faceta z fotela 4B. Obaj z trudem przełknęli ślinę. Byli bardzo blisko zrobienia tego. Niebezpiecznie blisko. W odległości stu stóp na południe stanął na posterunku nowy wartownik. Patrzył w drugą stronę, czujny i spięty. Daleko za nim dwie flary wciąż płonęły na drugim końcu pasa. Pięćdziesiąt jardów za ogonem boeinga wciąż paliła się trzecia flara. Pięćdziesiąt jardów za odladzarką czwarta flara przypominała szkarłatną purchawkę. Niebieski księżyc, biały śnieg, czerwony płomień.

Pozostali trzej faceci pracowali w samolocie. Otwierali włazy, spuszczały na dół drabiny, przygotowywali system przekazywania towaru z rąk do rąk, a następnie załadowania go do samolotu i ułożenia na podłodze dawnej klasy turystycznej.

Facet z fotela 4A położył sobie na ramieniu końcówkę drugiej

414

rury. Facet z fotela 4B wcisnął przycisk i bęben zaczął się obracać.

Za szesnaście czwarta. Zostało jedenaście minut.

•••

Reacher usłyszał, że Platon rusza z miejsca. Usłyszał, jak wychodzi z korytarza do centralnego pomieszczenia. Siedział na podłodze pierwszego z biegnących koncentrycznie tuneli, który nazwał na własny użytek Pierścieniem B. Jak w miniaturowym Pentagonie, tyle że okrągłym i podziemnym. Położone centralnie pomieszczenie było Pierścieniem A. Potem szedł Pierścień B i Pierścień C, a na zewnątrz Pierścień D. Wszystkie częściowo połączone przez osiem prostych szprych. Ponad tysiąc siedemset stóp tuneli. Dwadzieścia cztery skrzyżowania. Dwanaście nieregularnych skrętów w lewo, dwanaście nieregularnych skrętów w prawo. Plus dziesięć wykutych w skale łazienek, kuchni i magazynów.

Plątanina korytarzy.

Labirynt.

Reacher był w nim już wcześniej, Platon nie.

Komórka poza zasięgiem, jego faceci zajęci na górze, żadnej możliwości wezwania posiłków. Reacher czekał.

— Holland?! — zawołał Platon.

Jego głos odbił się głośnym echem. Wydawało się, że dobiega zewsząd i znikąd.

Reacher czekał.

— Holland?! Bierz dupę w troki! Nasza umowa nie jest jeszcze sfinalizowana. Pamiętaj, że okaleczę twoją córkę i pozwolę jej żyć przez cały rok, zanim ją wykończę.

Reacher milczał.

— Holland?!

Żadnej odpowiedzi ze strony Reachera. Pięć sekund. Dziesięć.

— Holland?!

415

Reacher milczał. Dokładnie w tym momencie zaczęła się wielka gra. Gra o życie. Miał pięćdziesiąt procent szans. Sprytny facet, wyczuwając problem, popędziłby na górę po schodach i wysłał swoich żołnierzy, żeby go rozwiązali. Głupi facet zostałby na dole, żeby rozwiązać go samemu.

Ale to samo zrobiłby sprytny facet zaślepiiony własnym ego, arogancją poczuciem wyższości i potrzebą by nigdy nie okazywać słabości, ponieważ ma tylko cztery stopy i jedenaście cali wzrostu.

Pięćdziesiąt procent szans.

Gra o życie.

Platon został.

— Holland?! Gdzie jesteś?!

W jego głosie zabrzmiał niepokój.

Reacher przystawił usta do zaokrąglonej betonowej ściany.

— Holland nie żyje — powiedział.

Wypowiedziane cicho, lecz złowrogim tonem zdanie obiegło ściany i wróciło do niego dochodzącym zewsząd i znikąd echem. Słyszał, jak Platon szura po betonie, kręci się w kółko, próbując zlokalizować jego głos.

— Co powiedziałeś?! — krzyknął i jego kroki ucichły.

Reacher przemieścił się jednym z pustych korytarzy do

Pierścienia C. Powoli i cicho. Zupełnie bezdźwięcznie, jeśli nie liczyć szelestu spodni, kiedy opierał się pośladkami o podłogę. Co nie miało w ogóle znaczenia. Dokoła słycać było wszelkiego rodzaju dźwięki i szelesty, wędrujące, rozgałęziające się, cichnące.

Reacher przyłożył usta do ściany i powiedział:

— Zabiłem Hollanda strzałem w głowę. Teraz idę po ciebie.

— Kim jesteś?

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Powiedz.

— Byłem przyjacielem Janet Salter.

— Kogo?

— Świadka. Nie znałeś nawet jej nazwiska?

416

— Jesteś tym wojskowym gliniarzem?

— Zaraz się dowiesz, kim jestem.

Sprytny facet popędziłby na górę po schodach.

Platon został.

— Myślisz, że możesz mnie pokonać?! — wrzasnął.

— A czy jest jakaś inna możliwość?! — odkrzyknął Reacher.

— Myślisz, że możesz mnie pokonać tu, na dole?

— Mogę cię pokonać wszędzie.

Długa pauza.

— Gdzie jesteś?!

— Tuż za tobą — odparł Reacher. Tubalny głos, huczące echo. Szybkie szuranie stóp na betonie. Żadnej odpowiedzi. Reacher przemieścił się dalej ze zgaszoną latarką. Usłyszał, że Platon wchodzi w jeden z rozbiegających się promieniście korytarzy. Stukot jego obcasów cichł i potężniał, dochodząc jednocześnie z prawej i lewej strony. Reacher skręcił w lewo, a potem w prawo. W swój własny prosty korytarz. Przylegający chyba do korytarza Platona. Zobaczył światło latarki przy wylocie Pierścienia C i położył się na boku, zwinięty w kształt litery S u wyłom prostego korytarza, w odległości zaledwie trzech stóp od centralnego pomieszczenia. Płasko na podłodze, żeby stanowić mały cel. Daleko od pionowych powierzchni, ponieważ kule przechodzą przez ściany. Robią tak nie tylko dźwięki. Powie wam to każdy kombatant. W wąskich alejkach i ograniczonej przestrzeni kula, która chybiła, nie trafia Panu Bogu w okno, ale wryza się w kamień i cegły. Przywierając płasko do ściany, wyświadczasz przysługę nie sobie, lecz przeciwnikowi. To sprzeczne z intuicją, ale prawdziwe.

Usłyszał, że Platon zatrzymuje się u wyłom jego korytarza. Zobaczył blask jego latarki. Meksykanin stał odwrócony twarzą do centralnego pomieszczenia. Dwie możliwości. Po pierwsze, mógł skręcić w prawo i oddalić się od tunelu, w którym czekał na niego Reacher. Po drugie, mógł skręcić w lewo, w stronę Reachera.

417

Zabawa w chowanego. Być może najstarsza zabawa na świecie.

•••

Facet z fotela 4A wniósł drugą rurę do murowanego budynku, ominął schody i dociągnął ją do szybu wentylacyjnego, w którym tkwiła już pierwsza rura. Włożył końcówkę do szybu i pomagając sobie kolanem, zaczął jard po jardzie spuszczać drugą rurę na dół. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści stóp, zupełnie jakby podciągał się na dziecinnych drabinkach. Kiedy w szybie zniknęło sześćdziesiąt stóp rury, zdjął ją z ramienia, położył na krawędzi, a potem wyrównał i sprawdził, czy nie ma zagięć.

Nie było żadnych.

Jedna rura szła w górę szybu ze zbiornika do pompy, druga prosto w dół tym samym szybem. Prosty linearny układ.

Zróbcie to.

Facet z fotela 4A wyszedł na mróz i odnalazł kumpla.

— Możesz stąd trafić wartownika? — zapytał.

Facet z fotela 4B przyjrzał się swojemu automatowi. Miał lufę

0 długości czterech i pół cala. Wspaniała broń, ale nie celniej sza od porządnego pistolem. A on cały się trząsał. Nie tylko z zimna.

— Nie — odparł.

— Więc zakradnij się do niego. Jeśli cię zobaczy, powiedz, że przyszedłeś go zmienić. Zagadaj go. Ja załatwię pozostałych, kiedy będą wychodzili z samolotu. Zaczekaj, aż usłyszysz moje strzały, i stuknij go.

Facet z fotela 4B nie odpowiedział.

— Zrób to dla swojej matki. I siostr. I córek, które kiedyś spłodzisz.

Facet z fotela 4B pokiwał głową po czym odwrócił się

1 ruszył na południe. Z początku powoli, potem coraz szybciej.

418

Platon skręcił w prawo. Oddalając się od Reachera. Szkoda. A może nie. Może to oznacza jedynie chwilę zwłoki, z której wyniknie korzyść. Światło jego latarki powoli i regularnie się rozjaśniało i przygasało, rozjaśniało i przygasało. Dzięki temu Reacher zorientował się, że

Platon idzie wzdłuż ściany centralnego pomieszczenia, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, oświetlając każdy z prostych korytarzy, przystając, dokładnie go sprawdzając i ruszając dalej. Generalnie żadna strata. W okrągłym pomieszczeniu skręt w prawo był tym samym co skręt w lewo. A przemieszczanie się w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara było lepsze niż przemieszczanie się zgodnie z nimi. O wiele lepsze. Z kilku przyczyn, które wkrótce powinny stać się jasne.

Szczególnie dla Platona.

Reacher czekał.

Promień latarki przesunął się coraz dalej.

Nagle wysoko w górze rozległy się jakieś dźwięki. Cztery stłumione krótkie terkoty. Tak ciche, że można ich było w ogóle nie usłyszeć. Może to odgłos startera pompy. Może odladzarka. Może coś związanego z samolotem.

Cokolwiek.

Ale gdyby Reacher miał podejrzewać najgorsze, uznałby, że to cztery potrójne serie z szybkostrzelnego pistolem maszynowego.

Na powierzchni było ich sześć.

Platon też je usłyszał. Światło jego latarki znieruchomiało.

Cisza.

Nic więcej.

Długie oczekiwanie.

W końcu światło latarki powędrowało dalej.

Reacher zobaczył Platona od tyłu, przez ażurową stalową kratkę, z której zrobione były schody. Stał mniej więcej dwadzieścia stóp od niego. Jego latarka oświetlała korytarz dokładnie po drugiej stronie okrągłego pomieszczenia.

419

Reacher odsunął prawą rękę do tyłu i trzymał ją w gotowości.

Platon nadal obchodził powoli centralne pomieszczenie w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara, z głową zwróconą pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo, w stronę rozchodzących się promieniście korytarzy. Latarkę trzymał w lewej ręce. To oznaczało, że automat trzyma w prawej. Broń nadal miał zawieszoną na szyi. To oznaczało, że lufa jest zwrócona w lewą stronę, do środka, nie na zewnątrz. Fundamentalnie zła strona dla praworęcznego faceta idącego po okręgu w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Fatalny błąd. Żeby go naprawić, musiał szybko zgiąć łokieć i zaplątać pas, na którym wisiała broń.

Reacher się uśmiechnął.

Facet nie był jednak taki sprytny.

Platon się zbliżał.

Ćwiartka okręgu. Jeszcze tylko dwa korytarze.

Jeszcze jeden.

Nagle zadygotała rura podłączona do zbiornika z paliwem. Daleko na powierzchni zaczęła pracować pompa. Reacher usłyszał szum cieczy, kiedy pompa zassała i paliwo zaczęło wypełniać rurę. Usłyszał syk powietrza, z początku cichy, potem głośniejszy, kiedy zbiornik zaczął się opróżniać.

Promień światła wędrował dalej.

I dotarł na miejsce.

Snop światła wypełnił długi tunel, koncentrując się tuż nad zwiniętym w kłębek Reacherem. Jakiś odbłask wyłuskał go z mroku. Platon zastygł bez ruchu zaledwie jard dalej. Tylko na ułamek sekundy. Reacher wyczuł to. I wykorzystał, żeby zamachnąć się trzymaną w prawej ręce latarką. Zupełnie jakby wykonywał desperacki rzut zza pola pod koniec dziewiątej rundy, kiedy przeciwnicy zdobywają bazę domową. Latarka miała półtorej stopy długości.

Zrobiona z ciężkiego stopu, z czterema dużymi bateriami i kratkowaną obudową. Świetny uchwyt. Niesamowite przyspieszenie. Siła mięśni, furia i gniew. Geometria i fizyka.

420

Latarka Reachera trafiła Platona grubszym końcem w czoło. Potężne uderzenie. Reacher obrócił się na biodrze i podciął nogami Platona. Meksykanin upadł. Reacher przekręcił się na plecy, obrócił na drugi bok i zwałił na przeciwnika.

I świat wrócił do normy. Teraz to, co pionowe, stało się poziome, a to, co poziome, stało się pionowe. Wysoki wzrost przestał być przeszkodą. Wprost przeciwnie. W parterze duzi faceci zawsze są górą.

Zaczął okładać Platona po twarzy. Raz, drugi i trzeci, mocno i zaciekle. A potem sięgnął po automat i położył na nim rękę w tym samym momencie co Platon. Zaczęło się desperackie przeciąganie liny. Platon był silny. Niewiarygodnie, fenomenalnie silny jak na mężczyznę jego wzrostu. I niewrażliwy na ból. Reacher trzymał lewą ręką automat, a prawą walił Platona po głowie. Po raz czwarty, piąty, szósty i siódmy. Platon wierzgał, szarpał się, rzucał w lewo i prawo. Reacher leżał na nim, przygniatał go całą swoją masą dwustu pięćdziesięciu funtów, a mimo to o mało nie zsunął się na podłogę. Platon warczał i gryzł, wił się i kręcił. Reacher wbił mu dłoń pod nos i walnął jego głowę o beton. Raz, drugi i trzeci. Potem czwarty. Bez skutku.

Platon próbował kopnąć go w genitalia, wierzgając i wyginając się, jakby płynął na plecach. Reacher przygwoździł do niego automat, podniósł się i walnął go w żebra. Meksykanin zakaszał i z ust pociekła mu krew. Poderwał w górę tułów i próbował uderzyć Reachera z byka. Ten zakrył dłonią jego wyszczerzone zęby i ponownie walnął jego głowę o podłogę. Platon miał przez cały czas otwarte oczy.

Nagle rozległ się chłupot i szum. Głośny, potężny, nieubłagany. Podobny do chłupotu wody lejącej się ze strażackiego węża. Lejącej się z dziesięciu strażackich węzów. Podobny do ryczącego wodospadu. Zaśmierdziało naftą. Trzymając lewą rękę na automacie, Reacher pomacał wokół siebie, znalazł

421

latarkę Platona, wbił mu łokieć w gardło i skierował snop światła w stronę dźwięku. Jakaś ciecz lała się z bliższego szybu wentylacyjnego. Lała się strumieniem, wartkim potokiem. Setki galonów. Potop. Ciecz spadała na beton, rozpryskiwała się, rozlewała i płynęła po posadzce. W powietrzu unosiły się opary. Przebijał się przez nie promień latarki. Nafta.

Paliwo lotnicze.

Które lało się z głośnym chłupotem i szumem. Jakby ktoś odkręcił olbrzymi kran. Jakby pękła tama. Platon wierzgnął, wykręcił się i wyrwał gardło spod łokcia Reachera.

— Co to jest, do diabła? — wycharczał. — Przeciek?

— To nie przeciek — mruknął Reacher.

— Więc co?

Reacher obserwował potok, który nie słabł ani na chwilę. Jego źródłem była pracująca ostro pompa na powierzchni. Dwa węże w jednym szybie. Jeden tłoczył paliwo w górę, drugi w dół. Jeden opróżniał zbiornik, drugi wylewał jego zawartość prosto do podziemi.

— Co to jest? — powtórzył Platon.

— Przechytrzyli cię — odparł Reacher. Od oparów zaczęła go boleć głowa i piekły oczy.

— Co takiego?

— Rosjanin przekupił twoich ludzi. Wyeliminowali cię z interesów.

— Myślą że uda im się mnie zatopić?

— Nie. Oni nie chcą cię zatopić. — Zatopienie nie wchodziło w grę. Za duża była powierzchnia podziemi. Pięć tysięcy galonów mogło tu utworzyć rozlewisko o głębokości najwyżej dwóch cali. — Mają zamiar cię spalić — dodał.

— Jak? Chcą wrzucić zapalkę do szybu? Zgaśnie, nim doleci.

Reacher nie odpowiedział. Platon wyrwał mu się i ukląkł.

Krew ciekła mu ze złamanego nosa i z ust. Miał powybijane zęby, spuchnięte oko i pęknięte oba łuki brwiowe.

422

Położył ręce na automacie, a potem je opuścił. Reacher pokiwał głową.

— Nawet o tym nie myśl — powiedział. — Płomień wylotowy przy tych oparach?

Chcesz ich wyręczyć?

— Jak mają zamiar to zrobić? — zapytał Platon. Reacher nie odpowiedział. Zastanawiał się. Próbował sobie

wyobrazić, co dzieje się na powierzchni, wyobrazić sobie różne opcje.

Zobaczyć to, co widzą oni. Wcielić się w nich. To nie będzie zapalka. Platon miał rację.

Zapalka by zgasła.

•••

Facet z 4B uruchomił odladzarke, obrócił kierownicę i ruszył na wschód, w stronę górnego prawego rogu pasa startowego. Pięćdziesiąt jardów. Czterdzieści. Trzydzieści. Dwadzieścia. Przy samym końcu zawrócił. Facet z 4A wyskoczył na zewnątrz, złapał płonącą flarę u podstawy i wyciągnął ją z betonu. Trzymając ją daleko od siebie, wsiadł do odladzarke i nie zamknąwszy drzwiczek, wystawił flarę na zewnątrz. W strudze powietrza zapłonęła jaśniej, zadymiała i zamigotała, ale nie zgasła. Ciężarówka ruszyła z powrotem. Pięćdziesiąt jardów, czterdzieści, trzydzieści...

•••

Potop trwał. Nie miał końca. Paliwo lało się i bębniło o beton. Szyb wentylacyjny był niczym powiększony sto razy kran wanny. Reacher klęczał w przemoczonych spodniach. Kałuża paliwa miała już pół cala głębokości. Opary gęstniały. Trudno było oddychać.

— Więc co robimy? — zapytał Platon.

— Jak szybko potrafisz wspinać się po schodach? Platon stanął na nogi.

423

— Szybciej od ciebie — odparł.

Reacher klęczał, Platon stał naprzeciwko niego. Ich twarze i nosy były na tej samej wysokości.

„Będę miała mnóstwo czasu na czytanie, kiedy skończy się ta cała afera”.

— Nie wydaje mi się — powiedział Reacher i nie podnosząc się z kolan, walnął Platona hakiem, potężnym, prymitywnym, pierwotnym ciosem, wyprowadzonym z samego środka ziemi, idącym przez mokry beton, jego kolano, udo, tułów, ramię, rękę, nadgarstek, aż do pięści, tak że każdy mięsień i włókno skurczyło się tylko raz w idealnej sekwencji i harmonii. Szczeka Platona pękła i głowa poleciała mu do tyłu jak u szmacianej lalki. Na ułamek sekundy zawisł bez ruchu w powietrzu, a potem padł z pluskiem na ziemię.

Reacher był przekonany, że nie żył, zanim jeszcze dotknął ziemi.

Żeby mieć całkowitą pewność, złapał go za uszy i szarpnął jego głowę najpierw w jedną a potem w drugą stronę, czując, jak rozchodzą się kręgi. A potem robił to tak długo, aż upewnił się, że rdzeń kręgowy jest rozbity na miazgę.

Potop trwał, nieubłagany, głośny i gwałtowny. Okrągłe pomieszczenie, niegdyś suche i dostojne, przesiąkło teraz odorem chemikaliów i kipiało od oparów. Kałuża miała cal głębokości i drobne fale rozchodziły się wokół spienionego wiru pod szybem wentylacyjnym.

„Chyba wszyscy boją się śmierci”, stwierdziła kiedyś Janet Salter.

„To zależy, jaką przybiera formę”, odparł.

Rozchlapując paliwo, dotarł na klęczkach do schodów, zgarbił ramiona, wsadził głowę do szybu, podniósł się na nogi, po czym przeskakując po trzy stopnie naraz, puścił się galopem do góry. Jego lewa ręka ślizgała się po stali, prawa kurczowo odpychała od ściany. Odgłos kroków zagłuszał dobiegający z dołu huk wodospadu, a on rwał dalej do góry, po trzy, po cztery stopnie, w ogóle nie oddychając, niczym beztlenowiec,

424

do góry i dokoła, do góry i dokoła, nie licząc, po prostu biegnąc, biegnąc, biegnąc, wspinając się, kręcąc, gnając coraz wyżej i szybciej w stronę powierzchni.

•••

Odladzarka zatrzymała się, zawróciła na trzy i podjechała tyłem pod same drzwi murowanego budynku. Dokładnie przed nią był pas startowy. Facet z 4A wysiadł i trzymając w wyciągniętej ręce flarę, podbiegł pochylony do budynku. Przystanął na sekundę w progu, odsunął rękę z flarą do tyłu, zamachnął się i wrzucił ją do środka. Flara obróciła się dwa razy w powietrzu, skwiercząc i sypiąc iskrami niczym jasnorożowy fajerwerk, po czym odbiła się od niewykończony krawędzi szybu wentylacyjnego, obróciła jeszcze raz, wpadła do środka i zniknęła z pola widzenia.

Za pięć czwarta.

Minęło sześćdziesiąt jeden godzin.

46

Dopiero po czterech dniach miejsce zdarzenia ostygło na tyle, by można było dokonać inspekcji. W tym momencie czekało na to w kolejce sporo agencji. Pierwsi pojawili się ludzie z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, z sił powietrznych, z FBI i policji drogowej, a także powołany przez rząd zespół śledczy badający możliwość podpalenia. Incydent wzbudził wielkie zainteresowanie. Pierwsze zauważyło go północnoamerykańskie dowództwo sił powietrznych. Ich satelity odkryły niezwykle gorącą plamę, którą ich komputery zinterpretowały jako odpalenie bądź też uderzenie rakiety. Rosyjscy koledzy zauważyli to samo. W ciągu paru sekund sięgnięto po telefon w Białym Domu. Zapewniono, że nic złego się nie dzieje, i otrzymano w zamian analogiczne zapewnienia. W Dakocie Południowej są silosy raketowe, ale nie w tym miejscu. I żadna rosyjska raketa nie została wystrzelona w kierunku Ameryki.

Wysłano Gwardię Narodową, żeby zabezpieczyła teren. Później wkraczały tam jedna po drugiej kolejne agencje. Pięć mil dalej założono bazy operacyjne i wysłano patrole, które dotarły tak blisko, jak tylko się dało. Z pobliskiego miasta Bolton nadeszła tymczasem wiadomość o dziwnej toksycznej chmurze niesionej przez wiatr z zachodu. Patrole zostały

426

wycofane i wydano specjalne kombinezony ochronne. Do Bolton oddelegowano lekarzy. Informacje o objawach były niejasne i mogły wskazywać, że cała ludność otrzymała niewielką dawkę psychostymulantów. Odnotowano przypadki krótkotrwałej euforii i ekscytacji. Zbadano powietrze, lecz wyniki nie były niejednoznaczne. Od wielu dni wiał silny wiatr, aż z Wyoming. We wschodniej części stanu nie zaobserwowano żadnych podobnych symptomów.

Patrole znowu wyszły w teren i w odległości czterech mil na południe od epicentrum odkryły rozbity pojazd — skradzioną z cywilnego lądowiska na wschód od Rapid City odladzarkę, która w chwili wypadku jechała na południe starą okręgową szosą prowadzącą od miejsca zdarzenia. Droga była zaśnieżona, nawierzchnia w złym stanie. Wszystko wskazywało na to, że odladzarka wpadła w poślizg i co najmniej dwa razy dachowała. Pojazd był wyjątkowo trudny do prowadzenia.

W pobliżu znaleziono dwa trupy. Dwaj niezidentyfikowani Latynosi, ubrani w ciemne garnitury nabyte, jak się zdaje, w Meksyku, oraz fabrycznie nowe zimowe kurtki. Tuż przed

śmiercią odnieśli ciężkie rany, prawdopodobnie w wypadku, ale zmarli wskutek wyziębienia, kiedy odczołgali się od pojazdu. Obaj mieli nielegalną broń automatyczną. Z jednego z pistoletów maszynowych wystrzelono trzy pociski, z drugiego dziewięć. Po otrzymaniu tej informacji do kolejki oczekujących agencji dołączyło Federalne Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej.

Patrole poszerzały pole poszukiwań. W połowie drugiego dnia bazy operacyjne zostały przeniesione na południowy skraj starego wojskowego pasa startowego. Odkryto tam zniszczony i nienadający się do jazdy nieoznakowany radiowóz. Miejscowi potwierdzili, że należał do policji w Bolton i używał go jej komendant Tom Holland. Holland zaginął w noc pożaru. Miejscowa policja była w rozsypce. Na ich terenie dokonano niedawno trzech zabójstw, między innymi na osobie zastępcy komendanta Andrew Petersona.

427

Spostrzegawczy strażak odnalazł w czasie spaceru po pasie startowym dwie wypalone flary drogowe, po jednej w każdym rogu starego pasa startowego. Umieszczono je tam najwyraźniej celowo, co sugerowało, że w nocy mogło dojść do nieautoryzowanego lądowania. Żaden lot nie został zarejestrowany przez Federalny Urząd Lotnictwa. Na południe od epicentrum kilku agentów dostrzegło jednak przez lornetki wrak, który mógł być pasażerskim odrzutowcem. Po otrzymaniu tej informacji do kolejki dołączyła Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu.

Trzeciego dnia w godzinach popołudniowych satelity sił powietrznych stwierdziły, że obrzeże epicentrum ochłodziło się do temperatury dwudziestu stopni. Weszły tam patrole. Epicentrum miało średnicę mniej więcej stu jardów. Najwyraźniej doszło do wybuchu ognistej kuli, która wypaliła się i zgasła dość szybko w porównaniu z głównym pożarem. Specjaliści od pożarów zaczęli wykonywać symulacje na laptopach. Dokładna inspekcja terenu wykazała, że doszło do poważnych zniszczeń. W odległości stu stóp od epicentrum znaleziono kupkę popiołu, która mogła być ludzkimi szczątkami. Wypalony i poskręcany aluminiowy szkielet był zdaniem Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu wrakiem odrzutowca, zapewne boeinga 737.

Zapuszczające się dalej patrole odkryły poskręcane i okopcone żelazne i stalowe fragmenty należące być może do jakiegoś pojazdu, a także mniejsze kawałki stali pochodzące, jak się wydaje, z broni palnej. Wszędzie walały się części samolotu. Nie próbowano nawet policzyć ludzkich szczątków. Zadanie było beznadziejne. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Dosłownie.

Jedyną nienaruszoną strukturą był nieduży betonowy bunkier z prowadzącymi w dół schodami. Z zewnątrz bunkier przypominał zwykły murowany budynek. Przyznały się do niego siły powietrzne. Oryginalne plany zaginęły, jednak według przekazów ustnych zbudowano go przed pięćdziesięciu laty zgodnie z ówczesnymi standardami budowlanymi. Dach uległ znisz-

428

czeniu, lecz ściany przetrwały. Beton w środku pokrył się pęcherzami i zwapniał, ale nie popękał. W posadzce były trzy prowadzące w dół okrągłe szyby. Przypuszczano, że dwa z nich obudowane były stalą i służyły jako szyby wentylacyjne, a w trzecim znajdowały się stalowe spiralne schody. Wszystko to jednak najpierw się stopiło, a potem wyparowało. Zdaniem specjalistów od podpaleń przemawiało to za tezą, że pożar zaczął się pod ziemią. Specjaliści włożyli kombinezony ochronne i spuszczone ich sześćdziesiąt metrów w głąb ziemi. Znaleźli tam płataninę niewielkich tuneli i pomieszczeń, zwapniałe i pokryte pęcherzami betonowe ściany, popiół pochodzenia organicznego oraz ponad tysiąc nienaruszonych diamentów.

•••

Specjaliści od pożarów założyli bazę w komisariacie policji w Bolton. Podłączyli bezprzewodowo laptopy do serwerów w centrali i zabrali się do pracy. Sporządzili trójwymiarowe modele podziemnego obiektu. Wysunęli pewne hipotezy i założenia. Z policyjnych raportów wynikało, że skradziono ciężarówkę z motopompą oraz odladzarzkę. Skoro zatem poskręcane aluminium było wrakiem odrzutowca, a pod ziemią znajdował się zbiornik, materiałem palnym mogło być paliwo lotnicze. Zgadzało się to z ich opinią na temat temperatury pożam, której górną granicę określał fakt, iż ocalały diamenty, a dolną to, że śnieg na ziemi stopił się w promieniu dwóch mil od epicentrum.

•••

Major Susan Turner oglądała codziennie wieczorne wiadomości, czytała poranne gazety i śledziła bieg wydarzeń w Internecie. Nie ruszała się ze swojego gabinetu w Rock Creek, czuwając przy telefonie. Spała w jednym z foteli dla gości, kładąc nogi na drugim. Telefon nigdy nie zadzwonił.

•••

429

Po tygodniu specjaliści od pożarów przedstawili najbardziej prawdopodobną hipotezę. Do pożaru doszło podczas tankowania, być może wskutek wyładowania elektrostatycznego między samolotem i węzłem, być może — i ta wersja była bardziej prawdopodobna — wskutek zgromadzenia się oparów pod ziemią i iskry skrzęsanej obcasem o beton. Ogień płonął dwieście dziesięć stóp pod ziemią i nie gasł tak długo wskutek dziwnej równowagi aerodynamicznej, polegającej na tym, że powietrze zasysane było w dół przez szyb klatki schodowej, a odpowiadające mu masą produkty spalania wyrzucane z taką samą szybkością przez dwa bliźniacze szyby wentylacyjne, co tworzyło warunki do kontrolowanej i długo trwającej eksplozji w wąskim pionowym cylindrze zbudowanym z ogniotrwałego materiału. Niczym przy startującej rakiecie, tyle że nielecącej w górę, lecz w dół, do środka ziemi. Świadczyło o tym zniszczenie dachu. Sześćset jardów dalej znaleziono dwie tymczasowe pokrywy umieszczone pięćdziesiąt lat wcześniej w fałszywych kominach. Oceniano, że wąski stożek ognia mógł sięgać tysiąca stóp wysokości, podobnie jak to się dzieje przy starcie rakiety.

Uważano, że początkowa faza pożaru mogła trwać cztery godziny. Kiedy poziom paliwa spadł poniżej pewnego krytycznego poziomu, równowaga aerodynamiczna uległa zakłóceniu i ognista kula uniosła się w górę i płonęła jeszcze całą godzinę z niższą lecz nadal olbrzymią temperaturą.

Obecność toksycznej chmury nad Bolton nie została wyjaśniona. Siły powietrzne przyznały, że magazynowały tam nadwyżki wyposażenia załóg lotniczych z drugiej wojny światowej. Konkretnie hełmy i buty z garbowanej skóry. Uznano, że za krótkotrwałe niepożądane objawy medyczne mogły być odpowiedzialne chemikalia użyte w procesie garbowania. Nie wyjaśniono również, skąd wzięły się diamenty. Według jednej z teorii skradziono je w Europie w ostatnich dniach wojny i powierzono kwatermistrzowi, który zamierzał przeszmuglować je do Stanów, lecz ostatecznie wysłał przesyłkę pod niewłaściwy adres.

430

Po kilku dyskretnych telefonach z Pentagonu FBI i lokalna policja zdecydowały, że wobec braku szczątków, które można by pozytywnie zidentyfikować jako ludzkie, nie zostanie wszczęte śledztwo w sprawie zabójstwa.

•••

Dwa tygodnie później Kim Peterson wyprowadziła się z dziećmi do Sioux Falls, żeby być bliżej ojca i dziadka. Nie była to tętniąca życiem metropolia, ale przynajmniej widziała coś przez okno.

•••

Cztery tygodnie później Susan Turner odkomenderowano do Afganistanu. Sto dziesiąta miała już tam swoich ludzi i wymagana była jej obecność. Ostatniego dnia w Wirginii włożyła stare akta osobowe Jacka Reachera do jasnobrązowej koperty i umieściła na niej adnotację: Zwrot do dowództwa zasobów ludzkich. Zostawiła ją na samym środku uszkodzonego biurka, po czym wyszła ze starego gabinetu w Rock Creek, zamknęła za sobą drzwi ze żłobkową szybką, przeszła wyłożonym linoleum korytarzem i zbiegła po kamiennych schodach do czekającego samochodu.

Polecamy thrillery z Jackiem Reacherem

JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ

Jack Reacher wie, po czym rozpoznać zamachowca-samobójcę. Listę dwunastu oznak behawioralnych sporządzoną przez izraelski wywiad zna na pamięć. Nowojorskie metro, linia numer sześć, godzina druga w nocy. Jack i pięcioro pasażerów. Czworo z nich nie budzi podejrzeń. Piąty, biała kobieta, około czterdziestki, wydaje się idealną kandydatką na gotową na śmierć terrorystkę. Reacher próbuje zagadać desperatkę, odwrócić jej uwagę; w trakcie rozmowy przerażona kobieta wyciąga rewolwer i strzela sobie w głowę. Policja umarza dochodzenie, lecz sprawą dziwnego samobójstwa nadal interesują się służby specjalne. I nie tylko one. Susan Mark pracowała w Pentagonie i miała dostęp do informacji istotnych dla bezpieczeństwa narodowego. Informacji, za które wiele osób gotowych jest zabić... a Reacher właśnie stał się ich celem numer 1. Tropiony przez policję, FBI i terrorystów z Al-Kaidy staje do nierównej walki.

SIŁA PERSWAZJI

Pisarz brytyjski, od 1998 mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 wybrany prezesem stowarzyszenia Mystery Writers of America. Kształcił się na prawnika, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach z pracy w wyniku restrukturyzacji, zainwestował we własną karierę literacką. W 1997 ukazała się jego pierwsza powieść - Poziom śmierci. Książka zdobyła nagrodę Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, m.in.: Echo w płomieniach, Siła perswazji, Jednym strzałem, Elita zabójców, Nic do stracenia, Jutro możesz zniknąć, 61 godzin, Worth Dying For i The Affair. Książki Childa publikowane są w 43 krajach. Wytwórnia Paramount Pictures przygotowuje ekranizację Jednym strzałem; premiera planowana jest na rok 2013.

Thrillery Lee Childa z Jackiem Reacherem

JEDNYM STRZAŁEM ECHO W PŁOMIENIACH BEZ LITOŚCI ELITA ZABÓJCÓW WRÓG BEZ TWARZY NIC DO STRACENIA PODEJRZANY NIEPRZYJACIEL POZIOM ŚMIERCI JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ SIŁA PERSWAZJI 61 GODZIN

Wkrótce

CZASAMI WARTO UMRZEĆ UPROWADZONY W TAJNEJ SŁUŻBIE OSTATNIA SPRAWA

LEE CHILD

61 GODZIN

Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC

Nigdy nie wybaczej, nigdy nie zapominaj. To motto zawsze przyświecało Reacherowi. Francis Xavier Quinn był z pewnością jednym z najgorszych ludzi, jacy stanęli na jego drodze. Człowiekiem, który zrobił coś naprawdę niewybacznego. Dlatego jego śmierć tak bardzo cieszyła Jacka. Aż do dnia, gdy po dziesięciu latach zobaczył go ponownie -całego i zdrowego w czarnym cadillacu przed budynkiem bostońskiej filharmonii... Nie przeprasza, z niczego się nie tłumaczy. Dobry sposób na życie. Sposób Reachera. Jack jest świadkiem brutalnej próby porwania młodego studenta. Postanawia interweniować. W rezultacie kilka

osób traci życie. Ginie też policjant. Reacher nie zamierza jednak składać wyjaśnień. Czyżby w końcu przestał odróżniać dobro od zła? Tylko dlatego, że sprawa dotyczy go osobiście?